



K v ě t a L e g á t o v á

Želary





K v ě t a L e g á t o v á

Želary



Z języka czeskiego przełożyła Dorota Dobrew

KOWALSKA / STIASNY • WARSZAWA 2006

Zwierciadło na wietrze

1

Nic, tylko woda i woda, lekko pofalowana.

W jednym miejscu marszczy się i rozbija o kamienie. Tęczowe krople spadają na powierzchnię, wzburzoną i kipiącą.

W kałuży tapla się pluszcz. Dziwny ptak, który jednocześnie kąpie się i śpiewa. Jak okiem sięgnąć, rozciąga się górzysta okolica z nitką rzeki pod stromymi zboczami.

Przy brzegu zbiera się biała piana. Na jej powierzchni huśta się sosnowa szyszka, a na niej leży wymęczona pszczoła, nic nieznacząca, nawet wobec bezmiaru nadchodzącej śmierci.

2

Po wyboistej drodze, ciągnącej się wzdłuż rzeki, jedzie wóz. W wodzie koń kłusuje do góry nogami.

Droga jest niebezpieczna, ale woźnica, wyprostowany w szerokim rozkroku, popędza konia. Wiatr mu targa włosy, ogłusza go, ale mężczyzna nastawia piersi na wiatr, upojony jazdą śmieje się spierzchniętymi ustami, a po policzkach płyną mu łzy.

– Juliszko!

Ściągnął lejce. Dziewczyna się zatrzymała. Lekko podsadził ją na wóz razem z koszem.

– Wycinasz trawę pod skałą?

Zaczerwieniła się.

– Mamy wynajętą łąkę. Tam będziemy żąć.

Woźnica się zachmurzył. Był zły na siebie o tych parę słów rzuconych bezmyślnie. Co znaczy jedna płachta ostrej, kwaśnej trawy wyciętej gdzieś nad rzeką? Od niepamiętnych czasów chodzi tam cała wieś. I wszyscy mają wynajęte łąki, gdzie będą żąć. Po drugiej stronie.

Juliszka wyprostowała boscie nogi i dotknęła wypchanego worka. Palcem wycisnęła w nim dołek. Ziarno. Starannie wygładziła płótno – i znowu się w nie wwierca poharatowanymi palcami wyziębłych nożyn. Potrafi cieszyć się z rzeczy, o których nawet nie warto wspomnieć. Patrzy w górę z głową odchylną do tyłu.

Wierzchołki drzew zamoczone w błękitcie nieba.

Chwilami mruży oczy przed wiatrem i przez szparki obserwuje pędzące pnie, chwilami całkiem zamyka oczy i czuje tylko wstrząsy wozu, rozluźnia całe ciało, żeby jak najwięcej użyć z tej upojnej huśtawki.

Pasemka jasnych włosów powiewają jej koło uszu, jeden kosmyk łaskocze ją w nos. Ciemnoniebieskie oczy, ciągle jakby zdziwione tym, co widzą, rozświetlił odblask dziecięcego uśmiechu.

Zjeżdżają do jaru.

I znowu pod górę między skały, oddalają się od rzeki.

– Uhaaa, uhaaa! – krzyknął woźnica, nasłuchując echa. Skały odbiły jego głos.

Uhaaa! Uhaaa!

Już widać pierwsze domki na stoku. Zatrzyma się przed gospodą, przemknęło przez myśl Juliszce. Wsiądę przed gospodą.

Przez jej ciało przebiegła przyjemna fala. Od rana we wsi powstają drewniane szkielety straganów. Jutro w Żelarach zaczyna się odpust. Zajrzę do Madlenki.

Niecierpliwie rzuca okiem w kierunku odległych dachów. Okrada się z czegoś – zapomina cieszyć się jazdą. Tak bardzo już chce zeskoczyć z wozu, wbiec do kowalowej obory, przykucnąć w zeszlórocznych liściach i popatrzeć na koźleta.

Urodziły się wczoraj, ale może już będą na podwórku, zajęte pierwszymi bójkami na żarty, pilnowane przez matkę – żywicielkę, obrończynię i wzór do naśladowania.

Juliszka kocha starą kozę kowala, którą w tym bogatym domu trzymają tylko z powodu mleka dla prosiąt.

Koza ją zna, ucieszy się ze spotkania. Joza przyniesie Madlenkę, kaleką Madlenkę, dawną koleżankę ze szkoły...

Juliszka spędzi z nią zaoszczędzony czas.

Wozem rzuca po porośłym trawą zboczu, miejscami kwitnącym jaskrawymi kolorami lata. Widać całą okolicę. Wzgórza i lasy aż po zamglony horyzont. Tu i tam skupisko chałup, krzycząco niebieskich albo białych, ze spadzistymi dachami, na których nie utrzyma się śnieg. Każdy tu umie postawić sobie domek. Z drewna, z kamieni, z cegieł. Wystarczą trzy pomieszczenia połączone glinianą przyzbą: kuchenka, izba, obora. Potem jeszcze przylepi się gdzieś drewnianą komórkę.

Mijają dom starej dziwaczki Lucki Vojniczowej. Budynek jest drewniany, na wysokiej kamiennej podmurówce – jakby wyrastał z ziemi. Pachnie miętą, szałwią i dziewanną. W otwartych na oścież oknach kwitną pelargonie i fuksje, a po ścianach pełzną ku nim szerokie liście dzikiego wina.

Juliszka parę razy była w środku. Wie, jak Lucka mieszka. Z korytarza prowadzą schody, jedno w dół do piwnicy, drugie na stryszek, gdzie ze stropu zwieszają się wiązki suszonych ziół. Po strychu hula wiatr, okienka są pootwierane, mimo to przestrzeń nasycona jest przyjemną wonią.

Była tam razem z Żenią, córką leśniczego, koleżanką ze szkoły i przyjaciółką – dni beztroskiego ugania się po żelarskich lasach dawno minęły, zniknęły bez ostrzeżenia i bez zadośćuczynienia. Jeszcze tyle miały sobie do powiedzenia, kiedy rozstawały się na zawsze. Juliszka nie wie do dziś, dlaczego Żenia tak przylgnęła do tej wiedźmy, ani dlaczego jej tajemnicza siedziba zawsze stała dla niej otworem.

Jak inni śnią o czarodziejskim zamku, tak Juliszka Gorczikova marzyła o domku zielarki. O tej niemal pustej izbie, nagrzaną słońcem, zięjącej tajemnicą, rodzącej dreszczyk, ale nie strach.

Wyprostowała się, żeby w pędzie zobaczyć przynajmniej kawałek izby. Dostrzegła szerokie łóżko przykryte pierzynami jak nastroszonym śniegiem.

Na drogę wybiegł pies i rzucił się za wozem. O mało nie wpadł pod koła, miota się, ochryple szczeka, języ wyliniały grzbiet, obnaża niemal bezzębne dziąsła, straszny i bezsilny w dzikiej furii schorowanej starości.

Dziewczyna wychyla się z wozu.

– Cicho, Rafan, nie szalej!

Woźnica drażni rozwścieczone zwierzę, smaga je po wychudzonych bokach. Pies gna obok furmanki, jego jedyne oko krwawo płonie. Jednak siły, które wściekłość wykrzeszała ze starych kości i ścięgien, już się wyczerpały. Wóz się oddala, a Rafan leży na ziemi, oddech mu się rwie, z otwartego pyska wycieka spieniona ślina.

Koleiny skręcają ku drodze. Idzie nią jakiś mężczyzna. Nawet się nie obejrzał za jadącym wozem, przeskakuje rów, kroczy po ścieżce biegnącej wzdłuż drogi. Juliszka ze zdziwieniem wpatruje się w jego plecy, na których kołysz się niewielki tobołek.

Zaleszak!

Mężczyzna idzie powoli, trochę pochylony, stawia równomierne, długie kroki, idzie jak maszyna.

Dziewczyna szepcze z przejęciem: – Toniu!

Woźnica nie reaguje. Nie odpowiada. Stoi na wozie sztywno wyprostowany, jakby skamieniał. Kostki dłoni, którymi ściska lejce, zbiały.

A jednak to nie wyblakła twarz Wojty Zaleszaka wyłoniła się przed nim jak zjawa. Zobaczył cygańskie oczy jego brata, Jana.

3

Wysoko na skałach stoi młody gajowy Jura Machała. Stoi samotnie, górując nad okolicą, z czołem smagany wiatrem, pod nogami ma zdradliwą głębię.

Przytknął do oczu lornetkę.

Poczuł, jak ciepnie mu skóra. Długo, uporczywie prowadzi wzrokiem mężczyznę z tobołkiem na ramieniu.

Spojrzał na niebo, po którym rozwiały się białe strzępki.

Złapał się na tym, że odwleka moment, kiedy zacznie schodzić ze zbocza. Jakby tym zwlekaniem mógł oddalić to, co dotąd pozostaje nieznanne, co jednak zdarzy się dziś albo jutro, co jest nieuniknione, czemu zdecydowany jest stawić czoło, czemu wyjdzie bez obawy naprzeciw.

Zmrużył oczy na wietrze i ruszył w dół.

W dolinie spotkał robotników z kamieniołomu, którzy wracali z pracy. Zwolnili kroku, kiedy go dostrzegli, i wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Rozdrażniło go to.

Przechodzi obok nich ze ściągniętą twarzą i mrukliwie odpowiada na pozdrowienia. Czuje się jak na cenzurowanym. Ma ochotę skoczyć im do oczu i zedrzeć im z twarzy ten wyraz niechcianego współczucia.

Stary Judas, który włókł się na końcu, podszedł do niego i poprosił o papierosa. Gajowy bez słowa otworzył cygarniczkę. Stary poczęstował się i zamrugął zamglonymi oczyma.

Przygląda mi się, jakbym wracał z własnego pogrzebu. W oczach roznieciły mu się ogień. Jednocześnie jasno sobie uświadamia, jak śmieszny byłby jego wybuch. Nie ma powodu do złości.

Jeśli się nie opanuję, wyjdę na chłystka, który nagle głupieje ze strachu.

Trzęsącymi się palcami powoli wyjmuję papierosa dla siebie, ze wszystkich sił koncentruje się tylko na tej czynności. Pierwszą zapałkę złamał, druga się zajęła. Stary Judas przygląda się jego ruchom.

W krzakach mignęła spódnica. Przez gęstwinę przedziera się babka od porodów Lucka Vojniczova, wątła, siwa kobieta o spojrzeniu pełnym miękkiej zadumy. Jura zatrzymał wzrok na koszu z ziołami i już wiedział, jak rozładować rozdrażnienie.

– Gdzie z tym tobołem, kmotro?

Lucka zatrzymała się i wyprostowała plecy. Jej wielkie, pełne melancholii oczy ożyły i zmieniły się nie do poznania.

– Nie dopytuj się za bardzo, żebyś ci czasem nie powiedziała.

Jura czuje, że cudzy gniew go uspokaja. Chłodzi jak olej na oparzonej skórze.

– Jest na was skarga, żeście w Żelarach oskubali wszystkie miedze. Ludziom zdychają kozy. Będę wam musiał wlepić karę.

– A ja ci zaraz wlepię parę razy w tę twoją beczelną gębę. Nie wyskakuj tu na mnie i lepiej uważaj, żebyś sam nie dostał kozikiem między żebra. Wojta Zaleszak nie zapomniał, przez kogo siedział w kryminale.

Jakby się przerwała grobla. Robotnicy spojrzeli po sobie. Ma niuch jak kuna!

– Śmieście się, pijaczyny – zwraca się do nich Lucka – wam też nic nie ujdzie na sucho! Wszyscy wiedzą, kto gospodarzył Wojcie w pustej chałupie. Choćby ten Judas: ma na ścianie jego zegar z kukułką, no wyprzuj się tego, łajdaku, Marinka wszystko widziała! A kto mu rozebrał komórkę, kto potrzebował tyczek do szczepek? Kto mu rozwalił sanie, czyj chłopak woził się na nich całą zimę?!

Jura słucha z ulgą. Nagle ogarnął go spokój, jest przedziwnie szczęśliwy i nawet skory do zaczepki.

– Mówcie lepiej o swoich złodziejstwach! – odszczeknął.

– Ciebie – wykrzykuje Lucka – ciebie dorwie pierwszego. A potem choćby i sznur, jemu jest wszystko jedno! Pisz testament, póki jeszcze ręka ci się nie trzęsie!

Gajowy pochyła się nad starą i z szyderstwem w głosie nuci cicho i z przejęciem:

*Dla ciebie rozmaryn, moja miła,
A dla mnie biednego ta mogiła...*

– Oszczędzaj głos, nie wygrałam uszu na loterii! Mnie nie musisz udowadniać, żeś wypadł z wozu komediantom!

Stary Judas zaniósł się śmiechem. Ale nagle coś mu przeskoczyło w gardle, a śmiech zmienił się w urywany kaszel, jakby ktoś darł starą szmatę. Usiadł na ziemi i skulił się w sobie. Ludiek Kral przyklęknął obok niego ze współczuciem.

– Znowu?

– Znowu. Cholerne życie.

Grzbietem dłoni otarł krwawą ślinę.

– Powinniście leżeć.

– A moje bachory ty będziesz żywić?!

– Nie wymawiaj się bachorami – wrzeszczy na niego Lucka bez śladu współczucia. – Nie pożywią się tym, co im wymalujesz na plecach! – Patrzy, jak Judas wyciąga korek z piersiówki. – Ciągniesz w sam raz lekarstwo na swoją chorobę. Ale jak będziesz zdychać, to przyjdiesz do mnie, żebym zrobiła cud.

Judas znowu zaniósł się kaszlem.

– Nie widzicie, kmotro? – powiedział Ludiek Kral z wyrzutem.

– Widzę. Lepiej niż ty, smarkaczu. Wielka strata! Jednego huncwota mniej.

Rzeka nie zajączała, lasy się nie zachwiały. Żaden z mężczyzn nie pobladł. Słowa, które nie przeszłyby przez gardło najbardziej bezwzględnemu z nich, starucha wymawia tak lekko, że nawet nie brzmią okrutnie. Stara wiedźma, której spowszedniały wszystkie ludzkie strapienia, poczyna sobie, jak chce. Żadna chałupa w okolicy nie ukryje przed nią swojej tajemnicy. Zna wszystkie żale, które tłuką się tu o skały, miotają się jak wiatr i ziębią jak woda dzikiej rzeki.

Dawno temu zielarka była ognistą dziewczyną rzadkiej urody. Kochała się w chłopaku jak malowanie, ale wżenili go do młyna, bo siostry dorastały, a w chałupie nie było ani jednej wstążki, którą mogłyby się przystroić. Lucka nie miała mu za złe ożenku, nawet nie przyszło jej na myśl, że mógłby się sprzeniewierzyć powinnościom brata.

Przeglądała swoje skrzynie i widziała, że są puste.

Dzień w dzień młody młynarz przechodził przez grzbiet góry na drugą stronę i stukał w znajome okno.

Czym byłbym bez ciebie, moja duszo!

Żonę swojego kochanka po raz pierwszy Lucka zobaczyła na odpuscie. Ujrzała blade chuchro, ze śladami surowych pięści na policzkach.

Jednej chciał się przypodobać tym, że bił drugą.

Taki dowód oddania przejął Luckę zgrozą. Wieczorem przywitała go wyrzutami. Urażony kochanek próbował obrócić to w żart, więc chwyciła drewniany tłuczek do masła i rozwalila mu głowę.

Taki był koniec ich historii miłosnej.

W pomarszczonej twarzy wciąż widać cień urzekającego piękna. Ledwie uchwytny rys. Starucha nie jest z kruchego rodu leśnych boginek. Wchodzi w gęstwinę razem z mężczyznami, którzy otaczają Judasa i niezręcznie szukają słów pocieszenia.

Jura ruszył wzdłuż rzeki.

Zastanawia się, co robić. Godziny, które nadejdą, będą wymagać cierpliwości, której dotąd nie zdołał się nauczyć. Musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, bo inaczej sam wejdzie Wojcie w drogę i wywoła awanturę. Najlepiej zająć się jakąś dziewczyną, jedną z tych, którym zawsze mówi, że są najpiękniejsze na świecie, i zabić czas pustą zabawą. Niedaleko mieszka Hedviczka Vlkoszova.

Pomyślał, że jak zawsze zobaczy ją przez okno, jak siedzi przy maszynie do szycia. Ale dostrzegł ją wcześniej. Kopała w ogródku.

Kiedy stanął przy płocie, odłożyła łopatę.

– Juro, Wojta Zaleszak wrócił!

Nie było to przyjemne powitanie. Myślał, jak skierować rozmowę na inne tory, ale nie dała mu szansy.

– Zabije cię – szeptała z przerażeniem w oczach.

– Nie zabije. Napilem się wody z zaczarowanego źródła.

Zamilkł. Patrzył na wykrzywioną płaczem twarz, w której pulsowało przerażenie. Ta dziewczyna naprawdę mnie kocha, przemknęło mu przez głowę. W nieoczekiwanym przypływie pokory zawstydził się swoich letnich uczuć i zrobiło mu się jej żal.

4

Vrapenka to karczma i parę chałup. Karczma jest murowana, przestronna, z prostymi kolorowymi malunkami wokół okien i drzwi. Wyszły spod ręki karczmarza, która nie otarła się o sztukę. Ale przecież ludzie nie przychodzą tu dla wrażeń artystycznych.

Przed karczmą stoją toporne stoły i ławy. W lecie przed zmrokiem nikt nie siedzi w środku. Choćby dlatego, że straciłby widok na drogę, po której jeżdżą wozy i wloką się stare baby z wiązkami chrustu na pochylonych plecach.

Przed szynkiem skupia się życie wsi.

O tej porze – tuż po południu – nawet w sobotę bywa mało gości. Tylko dwa stoły są zajęte. Przy jednym siedzi garbarz Mraz, odludek i włóczęga, przesiąknięty ostrym odorem swojego rzemiosła. Posiła się słoniną z chlebem, każdy kęs zapija piwem. Je rękoma i oblizuje brudne palce. Przy drugim stole grają w karty. Jest tu siwy Blacha, którego nazywają Rysiem, karciarz-profesjonalista, który może siedzieć przy grze od rana do wieczora i od wieczora do rana, dopóki nie wygra tyle, żeby mógł się upić do nieprzytomności. Obok niego młody Hložek, postawny młokos, który jakoś nie może sobie wybrać zawodu i jest jeszcze na garnuszku u matki. Naprzeciwko – Sluka, ojciec siedmiorga dzieci. Po północy zawsze któreś z nich po niego przyjdzie i zaprowadzi go do domu. Dalej Valcharz, robotnik leśny, dzikus i zabijaka, który potrafi harować bez wytchnienia pięć dni w tygodniu.

Zza pleców mężczyzn grze przypatruje się karczmarz. Jest namiętym karciarzem, chociaż sam nigdy nie gra, bo skąpstwo nie pozwala mu ryzykować.

Naprzeciwko, po drugiej stronie drogi, zieje czarna gardziel kuźni. Czeladnik kowalski Joza karmi owsem z plecionki wychudzonego konia, który przed chwilą przywiózł kopiatą furę drewna.

- Zapłacisz za ten owies – wścieka się kowal.
- Jasne, że zapłacę – odpowiada chłopak spokojnie.
- Pożycz mi parę groszy, chłopaczku.

Furman napiera na Jozę, patrząc na niego ponad grzbietem konia.

- Na chłanie?
- Czego się czepiasz, matole!/? Nad koniem się użalisz, a człowiek może zdechnąć.

Joza zamachał mu przed nosem pustą papierową torebką. Zatrzymał się przy ławce, na której siedziała dziewczyna oparta plecami o ścianę. Odłożył plecionkę i wziął dziewczynę na ręce. Niesie ją na oczach chłopów, którzy przypatrują się temu od stołów w karczmie.

- To ci dopiero niańka, co?
- Dobrze wie, co robi.

W kuźni jest szaro, Joza lawiruje pomiędzy czyhającymi na niego sprzętami. Kowal rzucił za nim złym okiem, podejrzewa go tak samo jak tamci, powtarza to codziennie:

– Kuźni ci nie dam!

Joza go mija, jakby nie słyszał. Kaleka Madlenka spogląda ponad jego ramieniem złym, prześmiewczym wzrokiem. Wszystkie upokorzenia pielęgnuje w duszy jak trujący kwiat.

W izbie na poddaszu zwraca się do niej matka.

– Obiecałam karczmarzowej chustkę.

Madlenka kuśtyka do okna, przytrzymuje się mebli. Ściegi, ściegi, od rana do wieczora ściegi. Tysiące ściegów w smutnych kolorach wzorów, jakie nosi się w tej okolicy.

Jedna sekunda. Jedno poślizgnięcie na oblodzonym zboczach. Chciała wstać, ale nogi się pod nią ugięły. Zaczęła krzyczeć. Pierwsza przybiegła Juliszka. Widziała nad sobą jej roześmianą, czerwoną twarz.

– Co ci się stało?

– Podwinęła mi się noga.

Do domu zaniósł ją garbarz Mraz. Niósł ją ostrożnie, nogi bolały tylko trochę i wcale się nie bała.

– Do małej trzeba zawołać doktora.

– Zwariowaliście? Do rana jej przejdzie.

Nie przeszło do rana. Ani do żadnego z następnych ranków.

Posłali po Luckę i po strasznej scenie Madlenka pojechała do szpitala. Leczenie kosztowało krocie, a kowalka przeklęła każdy wydany grosz. Nogi uratowano na tyle, że mogła utykać.

Matka wstydy się córki, a dziewczyna znajduje w tym słodycz zemsty. Zanurza się w niej jak w ciepłym źródle. Joza wyżyma mokrą szmatę i owija nią szczotkę. O to, żeby poddasze Madlenki było czyste, dba tylko on. Z zewnątrz dochodzi zawodząca melodia pieśni maryjnej.

Maryjo, Maryjo, lelijo czysta...

Maryjo, Maryjo, królowo gwiazdzysta...

Drogą sunie procesja. Odpust świątecznie odmieni całą wieś. Każdą komórkę można będzie z zyskiem wynająć pielgrzymom.

Na czele procesji niosą krzyż. Chłopi przed gospodą ściągnęli brudne czapki. Zamarli w kłopotliwym milczeniu, patrzą tępo przed siebie.

Tylko Ryś odłożył karty i szerokim ruchem złożył ręce. Chłopiska się nudzą, modlitwa jest dla nich za długa, ale nie odważą się przerwać siwemu. Wszechmogący mógłby im przecież jakoś odpłacić.

Ryś porusza ustami.

Ojczy nasz, któryś jest w niebie, mam wyjść w tę dychę? Świeć się imię Twoje, gdybym miał na ręku chociaż dwudziestkę! Przyjdź królestwo Twoje, Słuka nie powinien puścić tej lewy, bądź wola Twoja, Ty wiesz, jaki to dureń, jako w niebie, trzymaj, nade mną Panie Boże, rękę, żebym mu przebił tę ostatnią kartę, tak i na ziemi, on ją na pewno ściska, ten dureń, chleba naszego powszedniego daj nam dziś, żeby tylko mnie nie przebili trumfem, i odpuść nam nasze winy, mogłem zagrać bez lew, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, gdybym nie miał tych dwóch dam, i nie wódz nas na pokuszenie, spraw, żeby mi kiedyś przyszła karta, Panie Boże, tym się nie da grać, ale nas zbaw ode złego, niczego od Ciebie nie chcę, tylko jednego asa, i do tego jeszcze kolor, amen.

Stary podniósł głowę i pokrzepiony modlitwą wyszedł w czerwioną siódemkę. Zauważył to Mraz. Zirytowało go to – tam czterech chłopów pomrukuje z zadowolenia przy karciochach, podczas gdy jemu pięty oblizuje senna nuda. Garbarz poczuł serdeczne obrzydzenie do czaszki Rysia, porosłej przypominającą pleśń siwizną. Do tego jeszcze psuje mu widok. Rzucił kilka zdań, w których wyraził, co myśli. Ryś natychmiast się odciął, nazwał go przy tym huncwotem i śmierdzącym szmaciarzem. Na to Mraz oświadczył, że według jego rozeznania Ryś to zapijaczony wałkoń i złodziejskie nasienie, szuler i lump.

Rozmowa obudziła bernardyna, który wygrzewał się na słońku. Obok niego kury trzepały się w kurzu na drodze i sypały mu piaskiem w futro. Psisko otworzyło jedno oko, a ponieważ nie znalazło powodu, żeby otworzyć i drugie, ponownie zapadło w sen.

Przez drogę przechodzi grupa robotników z kamieniołomu, oddziela się od nich stary Judas i z ociąganiem, jakby musiał przemyśleć każdy krok, zmierza do karczmy. Dwoma palcami dotyka czapki, ma to być powitanie i jednocześnie znak, że chce się przysiąść. Potem siada na ławie w rogu, nie przeszkadzając mężczyznom w grze i kłótni. Szerokim gestem przywołuje karczmarza.

– Przyszedłeś zapłacić, coś wypił na krechę?

Karczmarz wspiera się na pięściach na stole. Judas wyciąga do niego żylastą szyję.

– Nie wywalaj tak na mnie ślepiów, bo ci jeszcze wypadną. Zaraz przestaniesz wydziwiać. Idzie tu Vojta Zaleszak.

Karczmarz zamrugał oczami, a chłopcy wokół stołu unoszą się, jakby ktoś ich ciągnął do góry za szyje. Stary uśmiecha się złośliwie. Jest świadom swojej ważności. Rozważa, czy to dobry moment, żeby zamówić na cudze konto śliwovicę.

Garbarz Mraz poruszył grdyką. W jednym zdaniu zawarł to, co myślą wszyscy, czego się boją i na co w przerażeniu czekają.

– Niech to jasny gwint!

5

Tonia Bartek przemknął koło karczmy jak wiatr. Ktoś go zawołał po imieniu, ale nie obejrzał się, poganiał konia, uciekał od wizji, która go prześladowała.

Jakaś młoda kobieta uskokczyła przed wozem i pogroziła mu pięścią.

Na rozdrożu pomógł Juliszce zsiąść z wozu. Widział, jak patyczkowatymi rękoma luzuje pod szyją węzeł, który ją dusił. Poczuł ostry ból, nawet nie wiedział, dlaczego.

– Dziękuję, Toniu.

Zarzucił głową na znak, że nie ma za co.

Mogłem ją podwieźć na samą górę i zawrócić, nic by mi się nie stało.

Wskoczył na wóz i ruszył. Strząsał z siebie świerzbiące niezadowolenie i pogrążał się we własnej udreće.

Spomiędzy drzew wyrzał czerwony dach domu Bartków. Czteroletni chłopczyk zeskoczył z płotu, z krzykiem biegnie w stronę wozu.

Tonia uniósł syna z ziemi.

Razem wjeżdżają na podwórzec, wyprzegają konia, prowadzą go do stajni.

Chłopiec podskakuje i z przejęciem papple, bo ani jedna godzina dziecięcego dnia nie jest pusta.

Bartkova pompuje wodę i wita męża uśmiechem.

Tonia wyjmuje jej wiadro z ręki. Stawia je w kuchni przy piecu i trochę odlewa do glinianej misy do mycia. Pomieszczenie jest ciche, przytulne, czyste. Ładna kobieta stawia na stole misę gęstej zupy.

W Toni rośnie niepokój.

– Vojta Zaleszak wrócił.

Kobieta nawet nie drgnęła. Tylko oczy jej zamarty, są jakby ze szkła.

– Odsiedział swoje – mówi i ledwie porusza wargami. – Rozmawiałeś z nim?

– Nie.

Załomotało jej serce. W tej ciszy na pewno to słycać.

– Jutro mu pošę przez chłopca chleba i trochę twarogu, żeby nie myślał, żeśmy się go wyrzekli. Kaźdego może spotkać nieszczęście.

Co ja wygaduję, Jezu Chryste!

– Może pójdzie do siostry.

Oboje wiemy, że nie pójdzie.

Tonia patrzy na ręce żony, które bezmyślnie podnoszą z podłogi paproch. Odezwowało się w nim gorzkie współczucie.

Na nic to wszystko, dziewczyno! Mówimy o jednym, a kaźde z nas myśli o tym drugim. Nad naszym strapieniem jeszcze się nie zamknęły wody.

Młody Bartek długo i powoli wyciera ręce. Bada twarz żony. Nawet nie wiesz, jaka się stawałaś piękna, ledwie się pojawiał. Janiczek, Jano, przyjaciel!

Wtedy, w tę lutową noc, nie byłem pijany. Wiedziałem, że został na mostku. Tego się nie domyślasz, moja miła, tego się nikt nie domyśla. Do rana nasłuchiwałem kroków i mówiłem sobie: umrze.

Tonia odłożył ręcznik, usiadł przy stole i zaczął jeść.

– Vojta będzie nas teraz potrzebował – mówi pochylony nad talerzem. – Mogłabyś mu jutro posprzątać.

Bartkova zrozumiała, że wyciąga do niej rękę, że chce jej pomóc pokonać cienie lody. Podeszła do pieca i niepotrzebnie wyrównała ścierkę, która suszyła się nad blachą. Kaźdy krok był dla niej ponad siły, bała się, że upadnie na równej podłodze. Usiadła na ławie i zaczęła obierać ziemniaki.

Myślisz, że to takie łatwe? Że mogłabym wejść do domu Jana – i nie spadnie na mnie sufit, ściany się na mnie nie zwałą?

W czerwonej mgie płynęła przed nią biała koszula Jana, wyszywana w drobny wzorek rodem z żelarskiej ziemi. Koszula bez ciała, poruszająca się na wietrze. Tak jak ją widziała po raz ostatni, brudną, porzuconą na tyczkach płotu.

Przebity strzęp.

Co mam tam sprzątać?

Ciężkie spojrzenie oparła na czarnej głowie męża.

Po co mnie tu przyprowadziłeś, Toniu? Dlaczego nie zostaliśmy w domu moich rodziców? Gdybym miała dziesięć żyć, wszystkie bym je tu zatraciła.

Kiedy tylko zamknę oczy, słyszę głos Jana i zbiera mi się na płacz.

Podniosła miskę z obierkami i poszła je wyrzucić na dwór. Przystąpiła próg i oparła się o ścianę.

Vojta wrócił. Spotkam się z nim, a on wspomni o bracie. Co sobie pomyśli, kiedy wykrzyknę: milcz!

Pavlik przyskoczył do matki, wywija jej przed twarzą zdechłą mysz.

– Popatrz, mammo! Co przyniosła Dajda! Kobieta odruchowo zasłoniła się ręką.

– Boisz się?

– No pewnie.

Wysypała obierki. Wraca do domu, synek idzie z nią.

– Wyrzuć tę mysz i umyj ręce.

Pavlik jest posłuszny. Odrzucił mysz i z zalem patrzy, jak leci na gnojowisko. Chciałby ją pokazać ojcu. Ojciec zakłada kapotę. Bartkova chwytą go za ramię.

– Zostań, Toniu!

– Jest sobota, dziewczyno, co mam robić w domu!

Powiedział to łagodnym tonem, ale rozumiała, że nie ustąpi.

– Nie jadłeś kolacji, ziemniaki są obrane.

– Już mam dosyć.

Dotknął dłonią głowy syna.

– Wrócę niedługo.

Bartkovej napłynęła krew do twarzy.

– Wrócisz pijany, tak jak zawsze!

Toni skamieniały oczy. Mimo to odezwał się bezsilnie, prawie bez gniewu.

– Dajże spokój.

Kobieta patrzy w ziemię. Na progu wydłuża się i rzędzie cień męża. Pavlik chwycił w obie garście matczyne spódnice.

– Jak będę duży, nigdy nie będę chodził do karczmy, mammo.

Co ty możesz wiedzieć, co będzie, jak będziesz duży! Może tak samo jak ja potkniesz się o jedno nieszczęsne spotkanie.

Wyjęła malowany talerzyk syna, pokroiła na nim dymiące ziemniaki, posoliła, na wierzch rzuciła grudkę masła. Obok postawiła garnuszek z mlekiem.

– Dlaczego nie jesz, mammo?

Pavlik ukląkł na krześle i własną łyżką podaje jej kawałek ziemniaka. Otworzyła usta. Chłopczyk jest szczęśliwy, z przejęciem karmi zasmuconą matkę.

6

Lucka Vojniczova usiadła koło Mraza i zamówiła śliwownicę. Karczmarz ma wyśmienitą śliwownicę. Pędzi ją sam i szczyci się tym, że jej nie chrzci.

– Znosi się na coś – rzuciła stara i popatrzyła na niebo.

Nikt nie odpowiedział. Jakieś otepienie odebrało mężczyznom głos, zaschło im w gardle, rosnące wzburzenie na próżno porusza im grdyki, a na twarzach wyciska głupawe uśmiechy. Lucka widzi sześciu wyjątkowych lumpów, których coś wytrąciło z równowagi. Przyczyna jest jasna. Ścieżką od strony rzeki nadchodzi Zaleszak.

– Co się tak gagicie?

Obruszyli się. Lucka powinna uważać na słowa. Są w stanie największego rozdrażnienia, przypominają poskromionych łobuziaków, których po raz pierwszy w życiu czeka szczepienie.

Zaleszak jest coraz bliżej, obcasy jego butów z cholewami stukają na kamieniach, wygląda tak obco, że z trudem go rozpoznają. Wyraźnie widzą pobladłą twarz, kapotę z powiewającymi połami i nieforemny tobolek przerzucony przez ramię.

Wietrzą korzenną woń zbrodni, krwawej bijatyki i bezlitosnej zemsty.

Vojta, ten popędliwiec i zabijaka, w biały dzień, przy świadkach zadał trzy ciosy nożem gajowemu Jurze Machali i jest więcej niż pewne, że nie doprowadził dzieła do końca. Jura ciągle chodzi po ziemi.

Ale Jano nie żyje.

Kiedy Vojta się o tym dowie, wstąpi w niego bestia. W powietrzu kołysze się pętla i już jest gdzieś miejsce pod drewniany krzyż.

Vojta nie jest łagodną owieczką, nie ma co się łudzić. Zatopi w kim trzeba zakrzywiony nóż. Może teraz ma inne myśli i inne zamiary. Ale nie dziś, to jutro rozpacz i wściekłość wykurzą go z nory.

Dziwny człowiek – Vojta!

Zdawałoby się, że jest wcieleniem spokoju. Siadywał obok brata, zatopiony w sobie, daleki od zgiełku, który go otaczał. Aż tu nagle w jednej chwili wybuchał jak wulkan. Chłopy odstępowały do tyłu, zapierało im dech. W pięciu nie mogli dać mu rady.

I dlaczego?

Między Jurą i Zaleszakami spiętrzyły się gniewy. Lucka Wojniczova zeznała przed sądem: Oni zniosą jeden drugiego tylko z rozbitymi gębami.

Zapisałi to w protokole.

Vojta zatrzymał się przed karczmą.

Stary Judas, który jest człowiekiem praktycznym i nie ma zahamowań płynących z przewrażliwienia, uniósł się z ławy.

– Witaj, przyjacielu! Siadaj tu z nami, zapłacisz to i owo!

Trzeba przyznać, że pozostali poczuli się dotknięci taką bezczelnością, przynajmniej w pierwszej chwili.

Vojta pozwala się objąć za ramiona i poprowadzić do stołu. Rozgląda się oczyma, które wyglądają, jakby były zasnutę pajęczyną.

Juda oblizał popękane wargi. Zachęcony uległością Vojty sięga po jego tobołek i ściąga mu go z pleców.

– Co tam masz?

– Bieliznę. Kupiłem w mieście.

Nareszcie usłyszeli jego głos. Przez to, że przemówił, stał się bardziej ludzki. Siadł na skraju ławy, zawiniątko przycisnął do siebie. Omiata mężczyzn przyćmionymi oczyma, jakby ich liczył: Sluka, Valcharz, Hložek, Mraz, Judas, Ryś. Karczmarz postawił na stole gorzałkę. Wzrokiem bazyliuszka przepala Wojcie kieszenie. Ile przyniosłeś z kryminału?

Chłopy wyciągają ku Wojcie szyje jak rozsierdzone gęsi, gęgają o niczym, a na końcu języka mają jedno pytanie, palące jak rozgryzione ziarno pieprzu. Tylko garbarz, w którego duszy tlił się gdzieś na dnie ciepły płomyk, przesunął pełnymi współczucia oczyma po jego twarzy.

– Jesteś zmęczony, chłopcze.

Powieki Vojty drgnęły.

– Szedłem na piechotę. Całą drogę. Dwa dni i dwie noce.

Judas podniósł szklanekę.

– Wypijemy za to.

Nagle pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda.

– Vojta nie będzie pić. Nie może się upić.

Jakimś cudem znalazł się między nimi czeladnik kowalski Joza. Valcharz i Sluka doskoczyli do niego i w tej samej chwili obaj zakotłowali się w powietrzu. Joza odrzucił ich jak dwa snopki.

Pochylił się nad Wojtą.

– Idź do domu.

Wojta podniósł na niego mętny wzrok.

– Poczekam tu na Jana.

Niewidzialna sieć zamotała się chłopom wokół ciała. Zamilkli. Wybałuszają na Wojtę oczy jak śnięte ryby.

Zaleszak wyczuł, że coś jest nie w porządku. Zmieniał się na twarzy, jakby dochodził do siebie po uderzeniu pioruna.

– Co? Co jest z Janem?

Odezwała się Lucka Vojniczova.

– To nie wiesz? Tej zimy zamarzył na śmierć na moście.

Chłopy pochrząkują, nie mogą odkaszlnąć. Wojta wstał.

– Napij się – ciągnie go Judas z powrotem – zapij zmartwienie!

Wojta odtrącił go gwałtownie.

– Zostawcie mnie! Dajcie mi wszyscy spokój!

Chce odejść, ale karczmarz stanął mu na drodze. Wojta wyciągnął z kieszeni starą papierową torebkę i wytrząsnął z niej garść pomiętych pieniędzy.

– Nie mam więcej.

Odwrócił się plecami i postawił pierwszy krok. Pod lekkim brzemieniem ugiął się jak starzec.

– Ścięło go – powiedział stary Ryś.

– Trzeba to zapić – odpowiedział Judas.

Wojta podświadomie ominął wieś. Idzie pustym zboczem, jest śmiertelnie zmęczony, ale idzie. Jest niewymownie sam. Brat, który był przy nim do ostatnich chwil, rozpułnął się gdzieś, odwiał go wiatr.

Wydaje mu się, że stąpa po popiele, w którym zapada się z każdym krokiem coraz głębiej.

Na skraju lasu rozkrzyczała się sójka. Zawahał się. Potem roześmiał się nerwowo i wszedł w gęstwinię.

Minione chwile powracały do niego w niewyraźnej płataninie. Dławił się nimi jak kurzem. Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił? Dlaczego siostry nic mi nie napisały?

– Wojto!

Oczy Wojty musiały powrócić z bardzo daleka, żeby zobaczyć, kto się do niego odezwał. Kobieta ubrana po miejsku, z gołą szyją, na której lśni łańcuszek z wisiorkiem. Wisiorek się porusza. Pewnie dlatego, że kobieta oddycha.

– Nie poznajesz mnie? Ircza Marenina.

Wystrojona, z pańskim szykiem. Jak mogła się tak zmienić? Ach, Boże! Wojta patrzy na złoty łańcuszek. Chwycić i zerwać!

– Co się tak gapisz?

– Nic, tak.

– Czekam na ciebie.

– Na mnie?

Wisiołek znowu przyciągnął wzrok Wojty. Porusza się w górę i w dół.

Wzięła go za rękę. Dawniej to on brał ją za rękę.

Śliczniutką, wstydliwą Irczę w bluzce z wykrochmalonymi rękawami.

– Wojto – szepnęła miękko. Tak dobrze znał ten aksamitny ton.

Odrzącił ją szorstko. Cofnęła się.

– Co ty sobie wyobrażasz... ty... bandyto?!

Wisiołek na szyi się huśta. Wojta wyciągnął po niego rękę. Twarda pięść trafiła go w twarz. Zatoczył się i upadł. Trafił łokciem na kamień, ból na chwilę zamglił mu oczy. Kiedy oprzytomniał, zobaczył omszały głaz, po którym sunie szczypawka. Przetoczył się trochę na bok, żeby nie tarasować jej drogi.

7

Juliszka wróciła z trawą wcześniej niż zwykle, ale siostra zapytała:

– Gdzieś tyle zwłóczyła?

– Tonia mnie podwiózł.

Staza, która stała pośrodku podwórza z założonymi rękoma, niechlujna i rozczochrana, nie dostrzegła w tej odpowiedzi nic sprzecznego z logiką.

– Który Tonia?

– Bartek.

– Z niego też się zrobił niezły nicpoń.

Juliszka rozwiązuje płachtę, zgarnia naręczę trawy, niesie je do drewnianego chlewiku, na wół zawalonego i przegniłego, skąd przez okienko kozy wystawiają swoje głodne mordy.

– Kozom nie dawaj, pasły się.

Nieszczęsne zwierzęta, uwiązane do palika w wyskubanej zagrodzie, przez cały dzień opisywały daremne kręgi, żeby gdzieś pod kamieniem trafić na rdzawą kępkę zdeptanej trawy.

– Są głodne.

Juliszka wrzuciła trawę do chlewika.

– Połowa by im starczyła. Tylko podepczą i rozrzucą.

Staza mówi ostrym, płaczącym głosem.

Mąż Stazy, który przy komórcie wyklepywał kosę, obejrzał się, przesunął papieros w kącik ust i krzyknął:

– Nie drzyj się!

Staza podniosła żdźbło i zaczęła je żuć. Wlecze się za Juliszką do chałupy, której przegniłe ściany wyginają się i cuchną zakisłymi śmieciami, dymem i pieluchami. Staza nie wietrzy. Mówi, że oszczędza ciepło.

Z przyjemnością patrzy, jak siostra pracuje. Sama nie może. Jest w połogu. Jest dziwnie słaba, pokłada się, kwęka, popłakuje i tyje. Wypluła przeżute żdźbło na kupę chrustu przy piecu.

Juliszka rozpała ogień i stawia na blasze garnek z ziemniakami.

– Nie mogłaś przynieść trochę grzybów?

– Nie ma grzybów.

– Nie ma, bo nie szukasz.

Juliszka nie odpowiada. Sprząta, chociaż od dawna wie, że nie przemoże tego bałaganu, który jej niedbałej siostrze jest w smak.

Ugotować, posprzątać, umyć dzieci.

Staza przyjmuje jej posługi jako oczywistość, przecież zaopiekowała się osieroconą siostrą i wychowała ją. Żyje w przekonaniu, że dług jeszcze nie został spłacony. Juliszka myśli tak samo. Nawet we śnie nie przyjdzie jej do głowy, żeby przeciąć te niewolnicze więzy.

– Ciotka obiecała mi kurze podroby. Skocz po nie.

Juliszka wygląda przez okno. Z jednej strony widać czarny kątek nieba.

– Zdążysz przebiec. Idź i powiedz ciotce, że ten groch, co go posłała przez Tomaszka, był cały robaczywy.

Juliszka rzuciła fartuch, trochę się ogarnęła. Wybiegła z domu.

– Odstaw ziemniaki za chwilę! – woła przez ramię. Uświadamia sobie, że jej krok jest lekki, odczuwa radość, jaką daje chód bez brzemienia. Wyobraża sobie, że może tak iść, gdzie oczy poniosą, włożyć się ile dusza zapagnie, że ma czasu w bród i nie musi się nigdzie spieszyć, może się zatrzymać i pochylić nad rzeką, tam gdzie po wodzie biegają nartniki.

Podbiega kudłaty pies. Obwąchuje jej rękę i cicho, prosząco skamle.

– Nic nie mam, Szuhaj.

Chwyliła go dłonią za futro i przyjaźnie potarmosiła. Zamerdał ogonem. Doleciał ostry gwizd. Pies nastawił uszu, znieruchomiał na chwilę. Potem rzucił się pędem. Gna tam, gdzie ze zbocza ześlizguje się popielatą falą stado owiec. Na szczycie stoi żona Marka Gorczika, kuzyna Juliszki. Wypatruje męża.

Jest cicho. Okolica nabiera ostrych rysów. Wbiła się w przestrzeń. Marek Gorczik wyszedł spomiędzy pni świerków i podchodzi z wolna pod górę miarowym krokiem. Objęli się pośrodku zbocza.

Na uboczu pod lasem stoją drewniane zabudowania Zaleszaków. Połamany płot porastają kolczaste gałęzie tarniny. Tarnina i dzika róża. Juliszka nigdy nie miała dość widoku tych krzewów, które na wiosnę zasłaniały dom czerwonymi i białymi kwiatami. Kiedy była mała, lubiła tu siadywać. Patrzyła daleko za rzekę, na ogromne czerwone słońce, zapadające pomiędzy szczyty, za każdym razem na nowo oczarowana kolorami zachodu, kuliła się w kłębek, obejmowała rękoma kolana, dopóki na niebie nie rozpląnęło się ostatnie tchnienie tego wielkiego płomiennego piękna. Zaleszakowa często ją tam widywała i wołała do niej. Juliszka bała się jej. Nie była taka jak inne wiejskie kobiety i dziewczynka nigdy nie nazywała jej ciocią. Cere miała zbyt białą, włosy zbyt czarne. I niespotykane fiołkowe oczy.

Tylko jej uśmiech napawał spokojem i wkradał się do serca.

Jano uśmiechał się tak samo.

Na niebie pojawiła się czarna chusta, słońce pali jadowicie.

Będzie wichura, pomyślała Juliszka i przyspieszyła kroku.

Kmotrę zastała przy kuchni. Na stole leżała oskubana kura.

– Posyłałście po mnie, kmotro?

Zatrzymało ją tłumione pssst! Stara przytyka do ust palce powykęcane przez artretyzm. Dokuśtykała do szafki, w której spomiędzy świętych obrazków wyjęła zdjęcie.

– Popatrz!

Juliszka patrzy na obcą, odpychającą twarz. Z izby dobiega terkotanie maszyny do szycia.

– Ircza w domu?

Kmotra przytaknęła.

– Szyje sobie fatałaszkę.

Westchnienie szczęścia, które dużo mówi. Koślawe palce stukają w obrazek.

– Dlatego po ciebie posiałam. Żebyś trochę Irczy pomogła. Mogłabyś jutro?

Jutro zaczyna się w Żelarach odpust, dzieci Stazy będą się naprzykrzać...

– Dobrze, kmotro, przyjdę.

Zaskrzypiały drzwi, Ircza spostrzegła na stole zdjęcie.

– Rozmawiacie o nim?

– Przecież Juliszce możemy powiedzieć.

– Nie mówię, że nie.

Ircza stanęła obok przyjaciółki, przygląda się jej ostentacyjnie i drwiąco. W tym spojrzeniu nie ma już nic z dawnej przyjaźni. Powiew wiatru uderzył w okno. Zaskrzypiało.

– Muszę już iść, kmoterko.

– Weź dla Stazki kurzy łeb i szyję, żeby mnie nie pomówiła.

Nowy powiew wiatru rozedrgał okno. W izbie poszarzało.

– Może zostaniesz, aż przejdzie?

– Nie, mam dużo pracy.

Kmotra idzie z Juliszką do sieni.

– On ma kawiarnię w Szadovej Hucie. Wiesz, że Ircza tam jakiś czas pracowała, no i całkiem zwariował na jej punkcie. Jest wdowcem, ale dzieci ma już dorosłe i zaopatrzone, więc dom i wszystko zostanie dla Irczy. Ma dziewczyna szczęście. – Matczyna radość dźwięczy jak rwący górski potok, zaśluchany sam w sobie. – Masz tu jeszcze kołacz. Ale nie dawaj go Stazie.

– Kmoterko, wiecie, że Zaleszak wrócił?

– Myślałam, że jeszcze rok posiedzi. Musieli go wypuścić za dobre sprawowanie.

A skąd wiesz?

– Widziałam go.

– Jak wygląda?

– Jak zawsze.

– Od małego było wiadomo, że skończy na szubienicy. Kręcił się też koło Irczy, ale zrobiłam z tym porządek. Jano był lepszy. Jana szkoda. Chociaż po śmierci starej Zaleszakovej i on zszedł na psy. Obaj zresztą mają po kim. Z tatusia był największy zabijaka w okolicy.

– Co nam do tego, mamó – odezwała się z kuchni Ircza. Juliszka dostrzegła kątem oka, jak gasi niedopałek o brzeg stołu.

8

Juliszka przedziera się przez wietrzysko. Wiatr nią rzuca, deszcz oślepia. Ślizga się po mokrej trawie, pada na kolana, z trudem łapie dech, połyka go razem z wiatrem przez otwarte usta i czuje, jak pali ją w gardle. Nie jest tak źle, przekonuje siebie i próbuje znaleźć jakiś urok w tej ogłuszającej szarpaninie.

Dobiegło ją huczenie wody. Przestraszyła się.

Zgubiłam drogę?

Zatrzymała się na brzegu rzeki. Woda jest wzburzona, dziko przewala się nad przełamanym mostkiem.

Strach dodał jej sił. Wspina się po zboczu, obiema rękoma przytrzymuje się kępek trawy.

Niebo się otrząsa i jak straszliwy ptak przeczesuje czerwonym dziobem siwe pióra. Gdzieś daleko w górze turkoczą wozy. Butwiejąca ciemność miejscami świeci jak stary pień.

Dotarła do zabudowań. Wszystko jedno, do czyich. Załomotała do drzwi i jednocześnie chwyciła za klamkę. Klamka ustąpiła. Przebiegła przez sień i wpadła do szarego pomieszczenia, oświetlonego lampą naftową. Wiatr zatrzaskał za nią drzwi.

Ogarnął ją nienaturalny spokój.

Izba jest niemal pusta. Z niskiego sufitu zwieszają się włókna pajęczyn. Półki pełne różnych rupieci. Łóżko, a na nim kożuch, na wpół zeżarty przez myszy. Obok pieca dzban, w którym pobłyskuje woda. Okiennice się nie domykają, jedna z nich jest pęknięta i pobrzękuje o szybę.

Mężczyzna, który stał przy oknie i patrzył na szalejące żywioły, odwrócił się. Przygaszona twarz Wojty Zaleszaka.

Co tu robi, przelatuje dziewczynie przez głowę. Tutaj, w pustej chałupie. Dlaczego nie poszedł do którejś ze swoich zamężnych sióstr?

– Zaraz pójde, Wojto. Tylko chwilkę odpoczne. – Cała się trzęsie, głos jej się łamie. – Na zewnątrz jest okropnie. Myślałam, że się uduszę. Gnało mnie do rzeki. Woda zerwała kładkę.

Wojta podniósł ze stołu na wpół opróżnioną butelkę.

– Napij się.

– Co to jest?

– Gorzałka.

Odsunęła jego rękę.

– Wyglądasz jak zmokła kura. – Rzucił jej z łóżka dziurawy kożuch. – Owiń się.

Kożuch śmierdział myszami.

– Nie, dziękuję, nie jest mi zimno.

Zauważył węzełek, z którego kapąła woda i krew.

– Co tam masz?

– Kmoterka dała mi kurzy łeb.

Skrzywił się.

Na zewnątrz huczała burza, w izbie było duszno i śmierdziało stęchlizną. Od czasu do czasu przebił się przez nią rześkim językiem powiew świeżego powietrza.

Wojta wskazał krzesło przy stole, jedyne, które miało cztery nogi, a sam usiadł na łóżku. Zatrzeszczało, ale nie zarwało się.

– Co nowego?

– Mnóstwo ludzi pomarło.

Nie uświadomiła sobie, że właśnie przekreśliła nóż wbity w serce Wojty.

– Ciotki Gorczika też. Marek został sam i ożenił się.

Chciałby zapytać o Jana. Ale nie potrafi wymówić jego imienia.

– Marek?

– Ten z Hrziba.

– Wiem, wiem.

Potem nastała cisza, długa cisza. Każdy myślał o swoich sprawach. Dopóki w sieni coś nie zachrobotało. Dopóki coś upiornie nie zaskrobało do drzwi.

Vojta otworzył drzwi i przez próg przewaliło się ciało. Juliszka przy nim przyklękała.

Jura Machała.

– Jura!

– Już go diabli wzięli?

Vojta skrzyżował ramiona.

Juliszka rozejrzała się bezradnie. Przypadła do rozwiązanego tobołka i wyciągnęła z niego koszulę. Przez zsiniałą twarz Vojty przebiegł skurcz.

– Zostaw! Nie dotykaj...

Juliszka się cofa.

– Nie teraz! Nie teraz! Nie teraz!

Jej głos go obezwładnił. Zatrzymał się.

Patrzy, jak dziewczyna moczy koszulę w dzbanie z wodą.

– Vojto, nie mogę zatrzymać krwi! Chodź tu i zaciśnij ten węzeł!

– Daj mi spokój – wychrypiał. Czuł, jak odurza go nienawiść. – Nie zajmuję się trupami.

– On żyje.

– Tym gorzej dla niego. Niech zdycha.

Juliszka wyprostowała się.

– Musimy kogoś sprowadzić. Idź po Luckę.

Minęła długa chwila, zanim zrozumiał, czego od niego chce. Przebrała miarę. Takie zuchwalstwo! Wściekłość przerodziła się w niepohamowaną wesołość, która napływa do oczu jak łzy, drapie w gardle i wywołuje chrapliwy śmiech.

– Proszę cię, Vojto, idź!

Ostatnie słowo zabrzmiało twardo.

– Nie jestem aniołem, dziewczyno.

Stała przed nim jak człowiek, który nie zamierza ustąpić. Wpatrywał się w jej zniszczoną, przemoczoną spódnicę, spod której wyglądały patykowate nogi, gapił się na jej wąskie ramiona, na zwisające w strąkach mokre włosy, przyklejone do głowy. Wykorzystuje swoją bezsilność.

Zacisnął wargi.

– Dobrze wiesz, że to nie ma sensu.

– Musimy coś zrobić!

– Co mnie obchodzi Jura Machała? – krzyknął. – Wystarczy, że mi zapaskudził podłogę.

Na policzkach wystąpiły mu plamy.

– Coś ci powiem – mówił dalej cicho, a w jego głosie słychać było drganie napiętych do granic strun. Obliznął wargi. – Nawet gdyby akurat nie było burzy i gdyby cała ta wyprawa na coś się mogła zdać, to dla Jury Machali nie kiwnę palcem. Nie kiwnę palcem, żebyś mnie nawet błagała na kolanach.

– Popatrz na niego!

– Patrzą. I nie żal mi go ani trochę, jeżeli o to pytasz. – Wskoczył na stół i wyrwał jedną deskę pomiędzy belek w stropie.

– Jest. Ojcowa strzelba. Jest i kulka dla tego psa. Proś za gajowego, miłosierna dziewczynko, załamuj ręce, płacz!

Bez trudu wyrwała mu broń. Odrzuciła ją w kąt. Jego ręce były bezwładne, nie mógł się bronić. Wstrząsał nim niepowstrzymany śmiech.

– Pójdę sama, Vojto.

Urywany śmiech ustąpił. Chwycił ją za ramię.

– Nie ujdiesz nawet stu kroków, a skręcisz sobie kark. Posłuchaj!... Tam na dworze sam diabeł tańczy!... Widziałas zerwaną kładkę? Do wsi prowadzi teraz tylko jedna droga. Ta sama, którą szedł Jura. Przez skały!

Dziewczyna naciąga chustkę na głowę. Swoją nieugiętością, swoim niesamowitym, szalonym spokojem doprowadza Vojtę do szału.

– Chcesz się zabić przez Machalę? Wracaj! Mówię ci, wracaj! – Szarpnął ją do tyłu, ale wywinęła mu się. Jeszcze raz chwycił ją za ramię. Ścisnął. Wyrwała się mu ze straszliwą siłą.

Połamie jej kości.

Na czoło wystąpił mu pot. Puścił.

– Nic na świecie – wyrzuciła z siebie – nic na świecie mnie nie zatrzyma!

– Bo co? – krzyknął.

– Bo tak trzeba.

Ogarnęła go wściekłość zaprawiona nienawiścią, jaką czujemy do upartego dziecka, które sprzeciwia się naszej woli i bezmyślnie pcha się w sam środek niebezpieczeństwa. Wybiegł za nią na wiatr i wczepił się palcami w jej włosy. Był nieprzytomny z wściekłości. Nienawidził jej do szpiku kości.

– Wracaj! – chrypiał. – Jak zdechnąć, to zdechnąć. Ja pójdę.

- Ty? Dlaczego?
- Dlatego, że właśnie oszalałem!
- Wojto, skały są jak z lodu – dyszy Juliszka z ustami przy jego twarzy. Odrzącił ją na bok.
- Wracaj do środka i módl się, żebym wrócił.

9

Lucka Vojniczova wkroczyła w sam środek burzy. Tylko do niej dotarło, co Wojta powiedział w drzwiach karczmy, kiedy zachwiał się na progu i rozglądał się za kawałkiem podłogi, który mógłby go utrzymać.

Wyszli oboje, zanim pozostali zdążyli się obejrzeć.

Zielarka ślizgała się po zboczu, padała, kaleczyła sobie ręce i czoło, centymetr po centymetrze wdrapywała się pod górę, a miary tego wyczynu nie zmniejszy nawet jego całkowita zbyteczność.

Bo Jura jest żywy, a rany, które mu Juliszka obwiązała, już nie krwawią. Ledwie odzyskał przytomność, otworzył spierzchnięte usta i wysyczał przekleństwo. Odkrył, że nie może poruszyć prawą ręką. Nie przeszkodziło mu to usiąść. Rozejrzał się i zobaczył miejsce najmniej oczekiwane ze wszystkich. Potrząsnął głową z obawy, że to, co widzi, to wytwór gorączki.

Juliszka odwróciła się i krzyknęła. Na pytania Jury odpowiadała zdławionym głosem, ale na tyle spójnie, że dowiedział się, co się stało.

Wstał i z trudem podszedł do stołu. Powąchał butelkę i w odróżnieniu od Juliszki pociągnął z niej zdrowo. Opadł na krzesło, zachwiał się, ale nie rozpadło. W ramię wgrzyzał mu się przekłęty ból, dłonie paliły, na całym ciele nie miał jednego miejsca, które by nie bolało. Był w podłym nastroju, a obecność Juliszki nastrój ten jeszcze pogarszała. Usłyszał zniechęcony głos Wojty Zaleszaka, Juliszka wypowiedziała je kilka razy.

Powinien na nią huknąć, ale jest na to za słaby.

Znowu chwycił butelkę i znowu się napił.

– Nie przyjdzie, Juro, nie przyjdzie. Zabiłam go.

Jeśli nie przestanie, trzasnę ją tą butelką.

Ból duszy minął po półgodzinie i został tylko ten mniej ważny – fizyczny.

Lucka Wojniczowa zrzuca w drzwiach mokry wełniak. Za nią wchodzi Wojta Zaleszak. Oboje dyszą jak po wyścigach.

Juliszka przpadła do spódnicy starej i schowała w nich twarz.

– Kmoterko!

– Skąd się tu wzięłaś? – spytała Lucka, choć naprawdę wcale się nie zdziwiła. Dotknęła zakrwawionego rękawa Jury. Zawył.

– Nie dotykaj mnie, stara wiedźmo!

Starucha uśmiechnęła się z rozbawieniem. Leciutko trąciła go w ramię, był bliski omdlenia.

– Rozbierz go, Wojto!

– Niech się sam rozbierze.

– Ściągaj to z niego, ale już.

Vojta osunął się po ścianie na podłogę.

– Wy durnie! Ledwo was coś zabolilo, a już umieracie! – powiedziała Lucka i delikatnie uniosła mu głowę. – Wstań. Połóżysz się na łóżku. Chodź, to tylko parę kroków.

Vojta posłusznie idzie. Kładzie się na zatęchłym sienniku.

– Podeprzyj go trochę i umyj mu twarz – rzuciła do Juliszki. Od razu zwietrzyła przepalankę. – Potem daj mu trochę wódki.

Dziewczyna zwilża ostatnią koszulę. Vojta czuje na czole chłód, który przynosi ulgę. Woda mu spływa za kołnierz, ale nie może się ruszyć.

Nie zależy mu na niczym.

Na zemście też już nie.

Morderczy gniew odpływa z jego duszy jak mętna woda. Zostaje po nim słodka pustka.

Lucka może się zająć łokciem Jury. Gajowy zaciska białe wargi i stara się nie jęczeć.

– Łapę masz niezłe wywichniętą. Chwyć się stołu.

Szarpięcie. Jura zawył. Z czoła spływa mu lepki pot. Dobrze, że wszystko wokół jest mokre od deszczu, bo popuścił w spodnie. W tym czasie w karczmie chłopcy zbierają się, by ruszyć w góry. Są przekonani, że Wojta Zaleszak rozprawił się z Jurą Machalą. Z tego, co do nich dotarło, najbardziej prawdopodobne wydaje się, że stracił go w jakąś przepaść. Żaden z ciekawskich nie jest aż tak załgany, żeby udawać oburzenie. Hložek proponuje, żeby się rozdzielić: dwóch z nich pójdzie po żandarmów. Pomysł jednak upadł, bo wszystkim pilno było ujrzeć zmasakrowane ciało Jury.

A także dlatego, że młody gajowy właśnie przechodzi przez jar. Nie widzi zbitej grupki u podnóża góry. Jedną ręką podtrzymuje drugą, zawieszoną na chustce Lucki.

W chacie Zaleszaków mężczyźni zastali obie kobiety i bladego Wojtę, leżącego na sienniku.

– Co mu jest?

– Ma bydlęcą zarazę. Więc nic tu po was, wynocha – poinformowała ich Lucka.

Trochę nadziei im zaświtało, kiedy zobaczyli strzelbę. Była zardzewiała, przez całe lata lało się na nią z dziurawego dachu i nie dałoby się z niej ustrzelić nawet polnej myszy.

Stało się coś dziwnego. Coś nieprzewidzianego i przez to nieludzkiego. Odchodzą z ogromnym zdziwieniem rybaków, którzy wyciągnęli z rybnej rzeki puste sieci.

Wieje chłodny, świeży wiatr. Burza przeszła, a omyte lasy wydzielają ostrą woń. Jest cudowny wieczór. Zachodzące słońce kołysze się w rzadkiej pianie, która mieni się wszystkimi kolorami. Na zboczach skrzy się zieleń trawy, woda w rzece połyskuje.

Juliszka ześlizguje się po mokrej trawie w stronę domu.

Nagle okazuje się, że to bardzo blisko.

W kuchni jest tylko szwagier. Zauważył jej podarte ubranie, przez które prześwieca goła skóra.

– Gdzie byłaś?

– Schowałam się u Zaleszaków.

Uśmiechnął się. Coś ją w tym uśmiechu zaniepokoiło. Kiedy podszedł bliżej, odskoczyła. Chwycił ją w pasie, przycisnął do siebie i położył jej na ustach szeroką dłoń.

– Nie wrzeszcz!

Udało jej się krzyknąć.

Zobaczyła twarz Stazy, ale tylko przez chwilę. Potem poczuła uderzenie w plecy i zrobiło jej się ciemno przed oczyma. Upadła na kolana, ale gradobicie ciosów postawiło ją na nogi. Przedała się przez nie i wybiegła z domu.

– Ty dziwko! To takie rzeczy wyprawia z moim mężem, ludziska, tak go uwodzi!

Juliszka zrozumiała, że w jej życiu coś nieodwołalnie zostało przecięte. Z nieznana dotąd lekkością przeskoczyła ponad wrzaskiem Stazy jak nad niewielkim wybojem na nowej drodze.

Pojutrze Ircza zaprowadzi ją do przytułku dla dziewcząt w Szadovej Hucie, skąd panie wybierają sobie służące.

Rozejrzała się po okolicy.

Na wprost niej jarzył się pas nieba, z przeciwnej strony nadciągała noc. Nad każdą chałupą chwiały się obłoczki dymu.

Sama nie wie dlaczego – ani przez chwilę o tym nie pomyślała – ruszyła w kierunku chałupy swojego kuzyna Marka, z którym nie widziała się całe lata.

Żona Marka jej nie poznała. Patrzyły na siebie zmieszane, aż wyszedł Marek i odezwał się do Juliszki tak, jak mówi się do kogoś, na kogo się czeka od dawna.

Medalion

1

Zielona roleta przesiewa złoty kurz, wciąż go przybywa, ale Chrystus nad klęcznikiem jest bez aureoli. Głowę ma opuszczoną, jakby spał. Oddech wiecznej lampki daremnie próbuje ogrzać jego zlodowaciałe nogi. Wokół panuje cisza, cisza po burzy, która rozszalała się gdzieś poza tym światem.

Cela jest przesycona modlitwami. Połyka ludzki oddech i zmienia go w szary nalot na kamiennych ścianach.

Nienawidzi ludzi.

Wzdraga się przed promieniami słońca, które przenikają do jej tajemnic, ukrytych w pajęczynach. Muszla, zazdrosna o swą wilgotną ciemność.

Chce zamorzyć wszystko, co żywe, oprócz niedostrzegalnego życia, zasiedziałego pomiędzy popękkanymi kamieniami.

Na twarz Chrystusa padła garść światła. Oświetliła usta, zwarte w wiecznym milczeniu.

Tak, tak – nie, nie.

Pogańskie serce siostry Izabeli uderzyło kilka razy w ściśniętych piersiach, jak pięść napastnika.

2

Vratislav Lipka przyszedł tak samo, jak wszyscy inni. Niespokojny, onieśmielony. Przynosił ze sobą kawałek obcego świata stamtąd, z zewnątrz.

– Skąd jesteś?

– Z Żelar.

Vratislav Lipka – pierwszy i jedyny – przy tej pozbawionej znaczenia odpowiedzi podniósł oczy. Były bez wyrazu. Pierwszy i jedyny patrzył na siostrę śmiało, ale nie widział jej, zupełnie jakby zrosła się z tłem. Odpowiadała na pytanie, które przyszło z pustki.

Tylko dwa wypowiedziane mechanicznie i nic nieznaczące słowa. Nie zdradził się z żadnym ze swoich odczuć.

Nie okazał ani pokory, ani strachu, ani buntu.

Niczego.

Wiejskiemu proboszczowi, który go tutaj przyprowadził, drżą ręce. Mówią wszystko. Zdradzają niepewność, pełne bólu współczucie, niejasny strach, wątpliwości.

Od ciebie nie doczekam się pomocy, myśli Izabela. Nie od ciebie.

Wchodzi do kancelarii.

Matka przełożona uśmiecha się i skłania głowę, ponieważ to uważa za swoje posłannictwo – uśmiechać się i przytakiwać. Jej pucołowata twarz wyraża nienaturalną, zastygłą życzliwość.

Zapisany, opatrzony numerem, wprowadzony.

Izabela wzięła chłopca za rękę i poprowadziła przez szary korytarz do łazienki.

Proboszcz został w kancelarii, tak jak zawsze. Przydługi, niepotrzebny komentarz. Matka przełożona uśmiecha się, ale nie słucha. Mimo to wtrąca do rozmowy stosowne uwagi, ponieważ wie, w którym miejscu je wypowiedzieć.

Wiejski proboszcz nie jest naiwny, wszystko rozumie. Także niezbędność rzeczy zbytecznych, które zdejmują ciężar z serca i bez których dusza nie zazna ulgi.

Drzwi łazienki skrzypią. Są z żelaza, otwiera się je ciężkim kluczem. Wzrok Lipki na sekundę zatrzymał się na okratowanym oknie.

– Tu się wykąpiesz.

Chłopak stoi bez ruchu, przeniósł wzrok z kraty okiennej na pobielone ściany.

Siostra napuszcza wodę.

Kiedy wanna zapełnia się w trzech czwartych, zakręca kurek, odwraca się plecami i podchodzi do uchylonego, a jednak niedostępnego okna.

Lipka ściąga koszulę, posłuszny wydanemu rozkazowi. Zanim Izabela zdążyła się oprzeć o ramę okna, usłyszała plusk.

Chłopak myje się powoli, starannie, od stóp do głów.

Pod oknem łazienki gromadzą się ciekawscy. Nowy. Już się na niego szykują. To jedna z rzadkich rozrywek w tym zakładzie. Niezauważalne drobiazgi będą im umilać nagonkę.

Niedorozwinięty Fanousz stoi przy beczcze z deszczówką i chłapie w niej na zmianę prawą i lewą ręką. Jest rozpromieniony, wykrzykuje wulgarne wyzwiska, czuje się ważny, napawa się swoją odwagą. Pozostałe dzieci śmieją się hałaśliwie, co jeszcze bardziej go podnieca, biedak pryska sobie wodą do oczu i do nosa – za chwilę polecą mu z niego krew – i wydziera się z przejęciem:

*Zdechło cielę na gnoju,
muchy na nim siadają...*

Izabela patrzy. I nie ukarze go. Stoi bez ruchu przy oknie, aż dzieci ją zauważą i zaczną się nawzajem poszturchiwać z dyskretnym przesłaniem. Jedno po drugim znikają.

Siostra rozumie. Nowy chłopiec przynosi niepokój. Drażni nienasycone serca sierot, pozmiatanych ze wszystkich kątów w to jedno miejsce, które ma być domem, ale nie jest. Każdy z nich zżywał się długo i boleśnie z nową atmosferą, najboleśniej z rygiem – niewidzialnymi wodzami. Tymi wodzami, które trzyma w rękach Izabela. Odkryli to niemal natychmiast.

Stawali przed nią gotowi do walki, lecz bardzo szybko wyzbywali się zbójckiej dumy.

I o dziwo – to właśnie jej sukni czepiają się ci najmłodsi, którzy jeszcze czasem sikają w łóżko, to ją wołają w chorobie i od niej bez protestu przyjmują gorzkie wywary, które przywracają im siły.

Siostró Izabelo, niech siostra nie odchodzi!

Izabela nie ma złudzeń co do dzieci, które według urzędowego oznaczenia są moralnie zagrożone. Ale je kocha. Kocha je właśnie takie, jakie są. Zuchwałe, zakłamanie, złe.

Kocha je, kiedy są niesforne, nie chcą spać i nasłuchują nieodpartego wołania zza murów, które ona sama zna lepiej niż wpatrzeni w gwiazdy włóczędzy, zasypiający na stogu siana.

Kocha je poobijane w bójkach, kocha je, kiedy się pokornie modlą, kocha je złamane strachem.

A one wszystkie, wszystkie bez wyjątku, wiedzą o tej jej miłości – karzącej, małomówniej i bezpiecznej.

Te najsłabsze nią żyją.

Lipka wyciera się i rozważa, czy ma obudzić siostrę, która chyba zasnęła przy oknie, czy raczej przemknąć się obok niej i zniknąć, skoro nadarza się taka okazja.

Bezgłośnie wciągnął przydziałowe spodnie i koszulę, ale zanim zdążył dojść do drzwi, śpiąca siostra odwróciła się do niego tak, jakby wszystko widziała.

– Teraz pójdziesz do pana doktora.

Lipka drgnął. Rozmawia z nim jak z dorosłym, ale próbuje go złamać. Brzmi to w jej cichym głosie, wyziera z jej spokojnych oczu. Lipka ma instynkt zwierzęcia, a ten wysłał mu ostrzeżenie. Był już raz u doktora, kiedy miał zwichnięte ramię. Pamięta, jak Lucka wlokła go za zdrową rękę, pamięta ból i upokarzające łzy.

– Czego się boisz? – powiedziała to samo, co wtedy kmotra. Odgadła, co czuje. Lipka znowu drgnął. Trafił na coś nieznanego.

Wrócili do kancelarii. Proboszcz jeszcze mówił. Kiedy weszli, zamilkł. Wyglądał, jakby czuł się winny. Był jednym z tych, którzy wierzą, że odpowiadają za wszystkie nieszczęścia tego świata.

Izabela oznajmiła, że pójdzie z chłopcem do lekarza, a matka przełożona kiwnęła głową. To zadanie przypadało zawsze siostrze Kamili, która wyniosła je do rangi swojego przywileju i spełniała z taką gorliwością, że miejscowe plotkary popatrywały na siebie znacząco, kiedy w poczekalni widziały jej zarumienioną twarz pod wykrochmalonym kornetem.

Izabela wkroczyła w jej prawa, lecz Kamila nie odważyła się zaprotestować, ponieważ w klasztorze zawsze działo się to, czego życzyła sobie ta, która cieszyła się największą estymą.

Lekarz był młody, przystojny, lecz miał beznamiętne spojrzenie starego rozpustnika, a może świętego.

Zbadał Lipkę, zatrzymał się chwilę nad jego bliznami i z nikłym uśmiechem, przeznaczonym dla siostry, wpisał do karty: całkiem zdrowy.

– Kto cię tak tłukł?

– Nikt.

Lekarz wzruszył ramionami i znowu uśmiechnął się do siostry.

Nie odpowiedziała mu uśmiechem.

Idą przez wieś, rozciągniętą wzdłuż drogi. Domy są tu większe niż w Żelarach, ale naćkane jeden koło drugiego, a przed nimi ciągną się błotniste rowy.

– Idź przede mną.

Posłuchał bez słowa. Wsłuchał się w rytm kroków siostry i dopasował do nich swoje. Jest zdecydowany. Na ucieczkę wybrał noc. Izabela wpatruje się w jego plecy. Miejsce urodzenia: Żelary. Matka: Lenka Lipkova, nie żyje. Jej myśli krążą wokół imienia ojca, które nie zostało zapisane w papierach, lecz na twarzy chłopca. Nawet bardzo stary obrazek w medalionie, który przechowuje pomiędzy swoimi modlitewnikami, nawet on nie oddaje tak wiernie tego podobieństwa.

Przewaliło się jej przed oczyma ponad ćwierć wieku. Widzi swojego młodszego brata Jana. Idzie teraz przed nią.

Dwa razy, jak wierzyła, pchnęła go ku Bogu. Po raz pierwszy, kiedy zmusiła go do ślubu z takim jednym głupiutkim stworzeniem, które klęczało przed Izabelą, obejmowało ją w pasie i zalewało się łzami. Kiedy ją podniosła, do jej rąk przyłgnęły rozpalone policzki. Płonęły łzami jak winem.

Wtedy wszystkich, których kochała, uważała za świętych.

– To dziecko bez ciebie umrze – powiedziała do brata. Roześmiał się.

– Tu, na tej podłodze klęczała przede mną.

– Jest na tyle bogata, że może sobie pozwolić na histerię w dowolnej postaci.

– Wybrała ciebie.

– Tylko dlatego, że ja nie mam zamiaru wybrać jej.

– Jesteś odpowiedzialny za to, co się stało. Ożenisz się z nią.

– Ona nie szuka męża. Szuka niewolnika.

- Ożenisz się z nią, bracie... Powiedziała mi, co było między wami.
- Tylko że przedtem to coś było między nią i innymi mężczyznami.
- Nie chcę słuchać tych nieprzyzwoitości.
- To nie są żadne nieprzyzwoitości, ale dobrze, oszczędzę twoją niewinność...

Zwłaszcza że na pewno wysłuchałaś, jak przypuszczam – bez zgorszenia, kwiecistego monologu Ady.

Po dwóch latach burzliwego małżeństwa Ada Szeldova uciekła z Żelar, bez wahania i bez śladu, pozostawiając po sobie pamiątkę – chorowite dziecko w kołysce. Po raz drugi Izabela zawałczyła o zbawienie brata, kiedy przepędziła od niego Pavlinę – latawicę, okrytą hańbą żonę Michała Lipki.

Dawne szaleństwo Jana Szeldy już przepadło w przestrzeni i w czasie.

Teraz los zesłał jej trzecią, może najcięższą próbę.

– Vratslavie, znasz inżyniera Szeldę?

– Znam.

Drgnął i odwrócił się. Czeką na następne pytania, ale siostra więcej nie pyta. Idą w milczeniu do klasztoru.

– Umyj ręce, zaprowadzę cię do jadalni. Znowu ten ton, przeznaczony dla uszu dorosłego. Niechętnie i z obawą Lipka uświadomił sobie, że między nimi rozciągnęła się jakaś niteczka. Zarodek więzów?

Jeżeli będzie w klasztorze poniżany – a jest to nieuniknione – to na pewno nie przez tę siostrę. Odbierał to jako osobiste zagrożenie.

Jadalnia jest zimnym pomieszczeniem, wypełnionym tłustymi oparami.

– To jest twoje miejsce.

Usiadł na drewnianej ławie pomiędzy dwoma starszymi chłopcami. Siadając, poczuł, że w udo wbija mu się szpilka. Nie krzyknął, nie zasyczał, nie drgnął. Po chwili nowe ukłucie. Tym razem zauważył oprawcę i już wiedział, kogo ma stłuc jeszcze przed ucieczką.

– Jedz! – zachęca różowa siostra Kamila.

Lipka patrzy przed siebie i nie je. Nie może podnieść łyżki, kiedy patrzą na niego dziesiątki przyczajonych nieprzyjaciół.

– W niedzielę nie dostaniesz czekolady! – wyśmiewa się z niego zasmarkany Josefek. Przy tym głośno siorbie zupę i packa nią sobie koszulę.

W niedzielę już mnie tu nie będzie, myśli Lipka. Poczul na włosach czyjąś rękę.

– Ty jesteś z Żelar?

– Tak.

– Powiedz mi... – siostra, która go pogłaskała, zamilkła w pół słowa. Jak duch pojawiła się obok niej siostra Izabela.

– Siostrzo Andreo, siostra ma dyżur.

– Wiem, proszę o wybaczenie.

Coś mi chciała..., zrozumiał Lipka, coś ważnego.

– Jedz! – przykazała Izabela i stanęła przy nim. Nabrał łyżką gęstą, wystygłą zupę i z trudem przełknął.

Po posiłku jest cisza poobiednia. Dzieci leżą w łózkach, patrzą w sufit, niektóre cicho ze sobą rozmawiają, tak cicho, żeby nie obudzić drzemiącej siostry, która ich pilnuje.

Tylko te najmłodsze naprawdę śpią i pojękują przez sen.

Nowy chłopiec nie ma jeszcze przygotowanego posłania. Dlatego pozwolono mu na dworze układać drewno. Każde dziecko, które nie śpi, chciałoby się z nim zamienić, bo nakazana bezczynność jest gorsza niż nakazana praca.

Lipka układa drewno starannie i zrecznie. Nie zastanawia się nad tym, co robi.

Jego myśli mają inną treść. Stłuc chłopaka, który go kłuł, i uciec.

– Vratio.

Siostra Andrea stoi obok stosu drewna, nie widać jej od strony klasztoru. Chłopak odwraca się w jej stronę, ale nie przestaje pracować. Wie, że właśnie o to jej chodzi.

– Jak już to poukładasz, przyjdź do kuchni. Te okratowane okna po lewej.

Schyliła się za stosem drewna i zniknęła. Zamyślił się nad tym. To dziwne zaproszenie sprawiło, że ulotniła się gdzieś jego nieśmiałość.

– Żebyś się czasem nie przepracował. Jaśnie panu nie chciało się papać, jaśnie panu nie chce się do roboty.

Różowa Kamila. Będę jej nienawidzić.

Tę myśl miał chyba wypisaną na czole, bo wymierzyła mu policzek. Taki, że budził politowanie.

Drugi nie trafił celu.

Odkoczył, przebiegł przez podwórze i dopadł ogrodzenia, za którym króluje ogromny, na wpół dziki pies. Lipka patrzy mu w oczy, obmacują się spojrzeniem, pies podnosi się i podchodzi do płotu na ile pozwala mu łańcuch, którym jest przywiązany do budy.

To wilczyca. W gardle jej charczy wrogość.

Lipka mówi coś do niej cicho. Wyciąga rękę.

Kamila wykrzyknęła jego imię w chwili, kiedy przeskakiwał płot.

Pies i chłopiec powoli się do siebie zbliżają. Krok za krokiem. Oboje spięci.

– Nie podchodź do Rity! Nie podchodź!

Siostra potknęła się i upadła.

Pies i chłopiec są coraz bliżej siebie.

Kamila dotarła do ogrodzenia z twarzą wykrzywioną nienaturalnym grymasem i uwiesiła się na płocie.

Sparaliżowało ją przerażenie.

Wratislav Lipka obejmuje bestię za szyję, drapie ją za uszami, oboje łaszą się do siebie, jakby spotkali się po długiej rozłące. Rita poszczekuje, mruczy, szturcha swojego odnalezionego towarzysza całym ciałem, opisuje ogonem regularne koła.

– Puść natychmiast tego psa, słyszysz?! Natychmiast!

Suka sprężyła się i wyszczerzyła zęby.

– Zostaw ją natychmiast i chodź tu!

Lipka spojrział na nią zimno i postanowił wykonać polecenie. Idzie do furki, a za nim wilczyca wlecze za sobą zerwany łańcuch.

Kamila opadła na kolana i zatarasowała furkę swoim ciałem. Jej krzyk dociera do murów klasztoru i osiada w ich pęknięciach. Lipkę z psiej zagrody wyprowadziła Izabela. Rita pozwoliła się jej uwiązać i polizała jej rękę.

Kamila jest w szoku. Ciężko oddycha i zawodzi, że najlepiej zastrzelić oboje, i chłopca, i psa. Zgodziła się, żeby wezwać lekarza, ale kiedy zrozumiała, gdzie jej wbijają igłę, desperacko odmówiła.

Całe to zdarzenie z psem wniosło między dzieci niepokój. Do ich grona wdarł się ktoś, kto nie jest do nich podobny.

Kiedy po poobiednim odpoczynku bawiły się w ogródku, Lipka nie przyłączył się do nich. Nie dał im szansy, żeby go odrzuciły. Usiadł na boku i przyglądał się im w milczeniu.

Można by pomyśleć, że go to bawi.

Ale dla nich to już nie była zabawa.

Niektórzy próbowali rozjuszyć go szyderstwami. Jakby ich nie słyszał. Zamierzali dać mu wycisk, niech no tylko siostra odejdzie. Ale ledwie nadarzyła się odpowiednia chwila, nowy zaatakował sam. Tak szybko i skutecznie, że rozgonił ich wszystkich, zanim zdążyli zewrzeć szyki. Siostra, zaalarmowana krzykiem, przybiegła na sam koniec bójk. Lipka kopał leżącego chłopca, któremu z ust płynęła krew.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Kłutł mnie szpilką.

Bez żalu, bez szczypty współczucia, twarzą w twarz ze swoją zmasakrowaną ofiarą.

Został zamknięty w pustej izolatce. Naradzano się, jak go złamać. Głodem, biciem, uwięzieniem? Nowy chłopak nie boi się żadnego z tych środków. Przez rozdarty rękaw widać było ramię, pokryte wymownymi śladami.

Wieczorem do więzienia Lipki zakradła się siostra Andrea i przyniosła mu ciasto z jagodami. Postępuje wbrew regulaminowi klasztoru i wbrew wszelkim metodom, które tutaj prowadzą do celu. Lipka nie pragnie zaspokoić głodu jej kolacją. Patrzy na nią prawie tak samo prosząco, jak ona na niego. Złożyła ręce.

– Pomodlimy się, żeby Bóg dał nam siłę do walki ze złem.

Lipka ma siłę do walki ze złem. Jest tego pewny.

– Nie będziesz się modlić?

– Czego siostra ode mnie chce?

Twarz Andrei zastygła. Pytanie ją przestraszyło. Minęła chwila, w której zbierała siły.

– Znasz inżyniera Szeldę?

Mrugnął zaskoczony.

– Znam.

– ...Jest zdrow?

– Tak.

– Często go widzisz.

– Raczej nie. Mam mu coś przekazać?

– Nie, nie!

Nieprzyjemna cisza.

– Jestem żoną twojego stryja Michała.

Tego się nie spodziewał. Nigdy by nie pomyślał, że kiedyś się z nią spotka. Z tą dziwką, którą babcia przekleła i przez którą Michał zszedł na psy.

Nie wyjawiał swoich myśli ani nie okazał uczuć.

Instykt mu mówił, że trafił na człowieka niezwykle dobrego. I bezbronnego.

Czyżby się mylił?

– Odeszłam od niego... już dawno.

Powiedziała coś przedtem, ale nie dosłyszał.

– Wiem.

– A Liza?... Co robi Liza?

– Uczy się w mieście.

Andrea się rozplakała. Niechże już przestanie, na miłość boską! Co z tego, że się uczy! Mam jej powiedzieć, że dla Helenki Bojarovej Liza jest boginką?

– Wtedy była jeszcze mała.

Kiedy było to wtedy?

– Bratislavie, masz psa?

Lipka zrozumiał, że siostra chce zmienić temat. Ten nowy nie wydał mu się głupi.

Nie jest ciekawy, w końcu jest mu wszystko jedno, dlaczego powtarza się tu ciągle nazwisko Szeldy i dlaczego wywołuje takie poruszenie.

– Psa nie. Tylko kozę. Ale i tak nie jest moja.

– A czyja?

– Bojarów. Mieszkałem u nich w zimie.

– Bojarkę znam... To dobra kobieta. – Ściszyła głos, każde słowo pełzało w szarości i po omacku szukało swojej drogi.

– Kiedy mieszkałam w Želarach, ciebie jeszcze nie było na świecie. Bojarova miała Slavka i Ondrę.

– Nie żyją. Teraz ma Helenkę.

– Helenkę?

Co w tym dziwnego?

– Chodzi już do szkoły?

– Chodzi. Uczy się najlepiej z całej klasy.

Roztajał.

Ten želarski dzikus nagle ma twarz najłagodniejszą na świecie, nagle sam zaczyna opowiadać.

– Jeszcze zanim zaczęła chodzić do szkoły, umiała napisać SŁOŃ. Mądrała. Ale jest bardzo mała i chuda. Pije tran.

Z korytarza doleciał szelest nakrochmalonego habitu.

– Nie mów nikomu w Żelarach, że tu jestem. Proszę cię, na Boga, nie mów nikomu.

– Nie powiem.

Domyślił się, że o tym nie powinien się dowiedzieć przede wszystkim inżynier Szelda.

Andrea zerwała się, otworzyła drzwi i stanęła naprzeciwko tej, której się spodziewała.

– Przyniosłam mu kolację.

– Tak? Może siostra odejść. Zamknę drzwi.

Ani słowa przygany. Kiedy idą razem po korytarzu, Izabela pyta niby mimochodem.

– Siostra zna Żelary, prawda? Czy siostra wie, kto jest ojcem Lipki?

– Tak, powiedział mi to ksiądz proboszcz. Nazywał się Vilem Svojsik.

Andrea patrzy na Izabelę spokojnie, w jej oczach nie ma cienia niepokoju. Izabela się uśmiecha. Jej modlitwy zostały wysłuchane.

3

Vratislav Lipka stoi przy oknie izolátky – swojego więzienia. Znajduje się na pierwszym piętrze, pewnie dlatego nie ma tu krat.

Wieczorne chmury płyną po fioletowym niebie, w szyby stuka wiatr, z oddali dobiega uporczywy szept.

Dziś wyprawi się w drogę. Nawet gdyby okno było wyżej, nawet gdyby skok oznaczał śmierć.

Nie może oddychać.

Pożera go obce otoczenie i wszystko się w nim trzęsie.

Pojawiła się pierwsza gwiazda.

Jeszcze nie.

Dzieci usypiają w przestronnej sali, siostra Andrea chodzi między nimi, tu i tam zatrzymuje się i poprawia kołdrę.

Żelary, huczycy jej w głowie, Żelary!

Znowu jawi się jej naga prawda o klasztorze, a także o wszystkich, którzy w nim żyją.

Z niepokojem wsłuchuje się w dziecięce oddechy.

Biorą, stale tylko biorą. A gdyby tak umarła? Umrzyj, Andreo, jest nudno, jak nikt nie umiera. Będzie pogrzeb, przyjdzie nowa siostra, umrzyj, Andreo, coś się będzie działo!

Poświęciłam im życie, żywią się nim jak chlebem.

Josefek zapłakał przez sen, potem wytrzeszczył przebudzone oczy.

– No co, Josefku?

– Wilk mi się śnił.

– Śpij.

– Ja się boję spać.

– Śpij, śpij. Teraz przyśni ci się owieczka. Owieczka z czerwoną kokardką.

Josefek posłusznie zamyka oczy. Twarz siostry ogrzał szczęśliwy uśmiech. Obok Waszek, obie stopy wystają mu spod kołdry, czarne od brudu. Gdzie tylko może, zdejmuje buty. Nienawidzi butów. Lojza. Andrea dostała od niego różaniec z suchych żołądźci.

– Masz!

Zawstydzenie i ucieczka. Tak potrafią dawać tylko dzieci.

Aniołki w żelaznych łózkach.

Czyści, błogosławieni.

Żli, nieprzyjaźni, zawistni, tchórzliwi!

Chrystus nad drzwiami rozkrzyżowanymi rękoma wskazuje dwa przeciwne kierunki. Księżyc jest coraz wyżej. Noc nie jest czarna, jest ciemnoczerwona jak czeskie granaty. Andrea drzemie na brzegu łóżka. W drugim skrzydle klasztoru czuwa Izabela. Z pustego więzienia Vratislava Lipki dochodzi zapach nietkniętego ciasta z jagodami.

Chłopiec ucieka w kierunku torów. Zakarbował sobie ten kierunek w pamięci, kiedy jechali do klasztoru. Szyny z daleka cudownie błyszczą. Za dnia są czarne, w nocy świecą.

Za ogrodzeniem zawyła Rita. Wrócił i otworzył jej furtkę.

Rozdawał wolność, która go przepędiała.

Rita szła za nim aż do torów, obwąchała podkłady, obsikała je, podeszła jeszcze kawałek, ale potem odwróciła się, zaskomliła krótko na pożegnanie i ruszyła do domu.

Pędem, nawet się nie obejrzała.

Vratislav Lipka idzie i idzie. Nie czuje zmęczenia, nie czuje głodu.

W lesie zahukała sowa. Odpowiedział jej.

Kilka razy zeszkakiwał z nasypu, kiedy przejeżdżał pociąg, kilka razy musiał obejść domek dróżnika.

W porannej szarości otworzyła się przed nim czeluść tunelu. Zatrzymał się. Tunel ział niebezpieczeństwem. Ginęły w nim pręty torów. Lipka czuł je pod bosymi stopami, ten dotyk tłoczył mu w ciało odwagę.

Pogrążył się w czarnej otchłani.

Z początku za plecami jeszcze mu pobłyskiwał wąty kaganek, potem światło coraz bardziej rzedło, aż znikło. Otrząsnął się ze strachu i szedł dalej, z zacięciem, zdecydowanie, macał wokół siebie rękoma, a nogami ciągle natrafiał na metal, który był mu drogowskazem. Trząśił się z zimna, bo w podziemnym korytarzu zawiewał północny wiatr, szedł coraz szybciej, nie pozwalał odpocząć ściśniętemu sercu, aż w końcu ciemność rozwarła się przed nim i odskoczyła na boki, a z pękniętej skorupy wykuło się światelko, które coraz bardziej rozpierało rozchodzące się ściany.

Wybiegł z tunelu i zaczął gwizdać z radości.

Poranne słońce zaszczypało go w oczy.

Znów musiał obejść domek dróżnika. Doszedł do stacji. Tu przyszło mu do głowy coś, o czym wcześniej nie pomyślał. Wsiąść do pociągu i pojechać. Upatrzył sobie wiejską babę w szerokich spódnicach i z koszem, za którym skrył się jak za tarczą, i przedostał się do zatłoczonego wagonu. Kosz wcisnął go w kąt, nie mógł się poruszyć, ale odpowiadało mu to, mógł się skulić i spać.

Był niewidzialny.

Brzęczenie, które rezonowało mu w ciele, napawało go poczuciem szczęścia.

Kiedy przez tłum przedzierał się konduktor i wołał: Bilety do kontroli, budził się i wstrzymywał oddech.

Nagle kosz oddzielił się od jego ciała i rozkołysanym krokiem zaczął się przemieszczać do wyjścia. Lipka rozejrzał się z przestrachem jak nieprzygotowany aktor, przed którym rozsunała się kurtyna.

Próbuje wytrwać w swoim bezpiecznym kącie, ale ludzki prąd już go porywa. Przesuwa się razem z nim.

– Nie gap się, tylko idź! – ktoś na niego huknął.

– Ja jeszcze nie wysiadam.

– Nie? To jest ostatnia stacja, szanowny panie. Koniec jazdy.

Lipka wyskoczył z wagonu i znalazł się na szerokim peronie.

Po nieskończonych szynach ani śladu. W górze wielki napis: WSTĘP NA TORY WZBRONIONY.

Prąd ludzi wlecze go ze sobą, Lipka jest bezsilny wobec tej kipiącej masy. Kiedy spostrzegł, że ludzie zmierzają do podziemnego szybu, odwrócił się i zaczął przedzierać się pod prąd, poszturchiwany przez walizki, parasole, laski.

W końcu tłum wspiął się do podziemia, peron opustoszał. Ktoś za nim krzyknął, ale nie obejrzał się, ucieka, pędzi dalej.

Tory zaczynają się plątać, krzyżować, przecinać. Za plecami słyszy gwizdki i gniewne głosy. Wbiegł w sam środek gniazda żelaznych węży, dobiegł do muru i oparł się o niego plecami. Tu i tam stoi jakiś zbłąkany wagon bez lokomotywy, tak samo zagubiony jak on. Wołają na niego ze wszystkich stron, machają chorągiewkami. Desperacko podciągnął się na popękany mur. Przetoczył się szybko na drugą stronę, raniąc sobie dłonie o kawałki szkła, które były na górze.

Po drugiej stronie otworzył się przed nim nieoczekiwany widok. Zobaczył miasto – wysokie, usiane wieżami, nieco zadymione, takie samo, jakie wisi na ścianie w korytarzu żelarskiej szkoły.

Otarł pokaleczone dłonie o spodnie i ostrożnie ruszył pierwszą z brzegu ulicą. Domy wydawały mu się niezmiernie wysokie, pochyły się, jakby miały upaść. Po jezdni śmigły automobile.

Po raz pierwszy zobaczył tramwaj, o mało mu oczy nie wyszły na wierzch ze zdziwienia.

Ludzie, którzy przechodzili obok niego, wydzielali dziwną woń. Zapach miasta. Byli ożywieni, świąteczni i wszyscy się gdzieś spieszyli. Kiedy się tylko zatrzymał, zawsze stawał komuś na drodze.

Wydawało mu się, że jest obserwowany. Nie miał gdzie się schować. Wszędzie mnóstwo ludzi. W mieście było ich pełno jak robaków w serze.

Kiedy się trochę uspokoił, jego uwagę przyciągnęły wystawy. Połykał oczyma to niewiarygodne bogactwo. Pomyślał sobie w tej chwili: dopiero by się Helenka dziwiła!

Doskonale wiedział, że nie trzęsłyby się jej nogi i nie traciłaby tchu, że kroczyłaby dumnie i świadomie – w swojej nowej bajce.

A wszystko wokół byłoby naturalne.

– Co ci się stało, chłopcze? – odezwała się do niego ładna pani w dziwnym kapeluszu.

Cofnął się, skaleczona ręka, którą obmacywał szkło witryny, ześlizgnęła się mu wzdłuż ciała.

Pani położyła mu dłoń na ramieniu. Tego było za wiele jak na jego nieśmiałość. Wykręcił się – i już biegnie, zakosami, tak jak zawsze, chociaż wie, że nikt go nie będzie gonić.

Kiedy już zyskał pewność, że się wymknął, rozejrzał się i odnalazł w tłumie tę ładną panią. Zaczął się za nią skradać, skoro zaczęła o niego pazurkiem. Zbierał odwagę. Musi się do niej odezwać.

Przestraszy ją?

Nie. Już go odkryła. Widziała, że za nią idzie, pojawiał się w niezliczonych lustrach, które nadstawiała ulica. Zatrzymała się przy straganie z gazetami.

Odwrócił się do niej i szepnął tak cicho, że ledwie go rozumiała.

– Proszę pani, nie wie pani, jak się idzie do Żelaz?

Pokręciła głową. Otworzyła śmieszna torebkę i bez słowa podała mu pięciokoronówkę.

Lipka zacisnął w dłoni darowany pieniądz i patrzył, jak pani odchodzi.

– Proszę pani! – odważył się zawołać, ale już go nie słyszała.

Piątak to majątek. Mógłby sobie coś kupić, jest strasznie głodny. Ale nie ma śmiałości wejść do sklepu i wskazać jakiegoś przysmaku z wystawy.

Błądzi bez celu po ulicach i mimo woli się spieszy. Podchwycił rytm miasta.

Trafił na grupkę chłopców. Wypatrzył najmniejszego z nich i odciągnął go za rękę do bramy. Trochę się zdziwił, że mały się nie bronił i że pozostali uciekli.

– Mów, gdzie jest pociąg!

Chłopiec patrzy na niego bezradnie, jak nowo narodzone cielę.

– Gadaj!

– Nie wiem...

Lipka go uderzył. Chłopiec wybuchnął płaczem. Po drugim ciosie zaczął krzyczeć, jakby go obdzierali ze skóry.

– Dam ci piątaka!

Pięścią zatyka krzyczące usta. Chłopiec się dusi, czerwienieje, duże łzy lecą na koszulę. Na delikatną, czystą koszulę z błyszczącymi guzikami. Zaczynają się przy nich zatrzymywać ludzie Lipka już wie, że nie pozostaje mu nic innego, tylko następna ucieczka. Oderwał wrzeszczącemu gówniarzowi dwa guziki od tej pięknej koszuli, otarł się o kostium młodej pani, która cofnęła się, jakby był trędowaty i pisnęła z obrzydzeniem, wieje – znowu, jak zawsze, zakosami. Rozżarzony bruk pali go w stopy, to nieprzyjemne uczucie, chociaż stopy Lipki doświadczyły już niejednego.

Pieniądze w zaciśniętej dłoni zrobiły się wilgotne.

Jak to możliwe, że trafił do tego ogromnego miasta, skoro po drodze do Doub nie mijano się żadnego podobnego do tego?

Nagle zrozumiał swój błąd i spociał się na całym cieple. Po tych torach pociągi jeżdżą w dwie strony. Zagapił się i pojechał w przeciwnym kierunku, on, który ma takie wyczucie przestrzeni!

Przecież tunel też nie leżał na jego szlaku. Co się z nim dzieje?

Musi wrócić.

Ale jak?

Dotarł na przedmieścia, domy się skurczyły, miasto zmieniło się w wieś. Z nędznego straganu patrzy na niego przekupka z wydatną szczęką. Ruszył w jej kierunku. Przekupki zna, nie wstydzi się ich.

Podał jej darowany pieniądz.

– Co za to chcesz?

Rozejrzał się po straganie i wybrał wiśnie. Kiedy je ważyła, zdołał wydukać:

– Proszę pani, nie zna pani drogi do Żelar?

– Do Żelar? W życiu nie słyszałam takiej nazwy.

Roześmiała się nie wiadomo z czego i podała mu torebkę. Dołożyła mu jeszcze dwa suche rogaliki.

Usiadł na skraju chodnika i zabrał się do jedzenia. Strzelał pestkami w niebo.

Kiedy się najadł, poczuł zmęczenie.

Podniósł się ociężale. Ruszył pustą drogą, którą jechał wóz zaprzężony w starego konia. Powlókł się za nim.

Dotarli na szeroki plac. Pośrodku płócienny namiot. Cyrk. To znał. Ksiądz proboszcz kupił mu bilet, kiedy cyrkowcy zawitali do Szadovej Huty. Na samo wspomnienie dostaje gęśiej skórki. Przeraza go zęczność, nad którą trzaska bicz.

Wolały tych zwierząt nigdy nie zobaczyć. Zwierzęta w klatkach, zdeptane, cuchnące, zniewolone tak, że bardziej nie można.

Klasztor przypominał mu cyrk. Dzieci, które tam widział, podobne były do uwięzionych zwierząt.

Wślizgnął się pomiędzy wozy cyrkowe i szedł pomiędzy klatkami. Zwierzęta sapaly, warczały, chrapliwie dyszały, niektóre już się poddały, inne wciąż jeszcze żywiły nienawiść.

Spróbował jakoś się z nimi porozumieć, ale nie zwracały na niego uwagi. Żyły w innym świecie.

Przypłatał się do niego mały pudel, utykał na przednią łapkę. Lipka do niego przemówił, pies odpowiedział pełnym zrozumienia skomleniem i oblizał mu wierzch buta. Pewnie chciał się odwdziżyć za propozycję przyjaźni – zrobił kilka fikołków, stanął na tylnych łapkach i dreptał w kółko drobnymi kroczkami.

Chłopiec nadstawił ramiona, a pudel wskoczył mu na ręce. Z bliska było widać, że jest stary, oczy miał zmętniałe. Dotykał szyi Lipki zimnym, wilgotnym nosem.

Chłopak był tak przejęty, że zapomniał o ostrożności. Instynkt ostrzegł go w samą porę. Zdażył się skulić w cieniu pstrokato pomalowanej szopy, zanim na drodze pojawili się dwaj mężczyźni, którzy mogliby go dostrzec.

Ostrożnie prześlizgnął się bokiem do pawilonu dzikich zwierząt. W pewnej kryjówce jego ramion pudel bojowo zjeżył sierść i zawarczał na lwa. Chłopiec się roześmiał. Upuścił mikrusa na ziemię, ale ten natychmiast wspiał się po nogawce z powrotem. Znow się umościł w bezpiecznych ramionach, zjeżył się i zawarczał. Lew nawet go nie zauważył, ale mimo to Lipka w nagrodę pogłaskał go po siwym łepku. Pies przywarł mu do ramienia. Lipce było żal, że go zawiedzie. Nie wie, biedaczyna, że przyjaźń, która rozwinęła się tak spontanicznie i która tyle dla niego znaczy, już ma się ku końcowi.

Chłopiec ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie sprytnego szczura ze starego młyna. Na pewno na niego czeka.

W okrągłym namiocie coś się działo.

Niezauważalnie unieść płótno i przedostać się do środka to dla Lipki drobiazg. Przeczółgał się pod ławkami w ostatnim rzędzie i usiadł ze skrzyżowanymi nogami pod jednym ze słupów.

Na początku patrzył bez zainteresowania, ale potem przyszła kolej na numery akrobatów i wtedy się ożywił. Był chyba jedynym widzem, który potrafił docenić trudność tych ćwiczeń. Fascynowały go.

Znał dobrze ten martwy punkt – moment, kiedy trzeba puścić drążek i przejść do lotu, rozluźnić ciało i z elastycznością sprężyny wylądować na właściwym miejscu we właściwej chwili.

4

Przedstawienie dobiegło końca i Lipka wyszedł z namiotu. Razem ze wszystkimi, głównym wyjściem. Rozejrzał się i ruszył tam, gdzie było najmniej domów. Po półgodzinie na horyzoncie pojawiły się pola, a wśród nich nasyp. Tory.

Postanowił, że pójdzie po nich do najbliższej stacji i tam zapyta o pociąg do Żelaz. Zużyje na to całą swoją odwagę, ale nie ma wyboru.

Znajdą mu jakiś pociąg... Ale co będzie, jeśli zapytają, czy ma pieniądze?

Słońce dotarło do odległych szczytów i zstąpiło na nie. Stanęły w ogniu.

We wsi koło torów dzwonią na Anioł Pański. Nadchodzi noc, miłosierna, bezpieczna i niosąca otuchę. Chłopiec przeskakuje z podkładu na podkład z oczyma utkwionymi w dali.

– Stój!

Z rowu wyrosły dwie postaci w mundurach.

– Stój!

Przyspieszył biegu.

Coś wbito mu się w bok, a ból powalił go na kolana. Wyciągnął ręce, żeby się czegoś chwycić, a kiedy dotknął głową ziemi, usłyszał dudnienie pociągu. Czołgał się wzdłuż szyn, wpijał ręce w ziemię, przesuwając się centymetr po centymetrze, przywiązany do strużki czerwonej krwi.

Pociąg dudnił na wprost niego, wygłodniałe, dziko, słodko.

Obaj mężczyźni pochylili się nad nim i obaj zaczęli krzyczeć.

– To jakiś chłopiec!

Jeden z nich położył Lipce rękę na głowie. Krzyknął, bo chłopiec wbił się w nią zębami. Kopnął go z wściekłością w zraniony bok. Lipce wystąpiła piana na usta, zacharczał, jeszcze zdążył zobaczyć, jak z ziemi wystrzeliły płomienie, i zaraz potem zemdlał.

Zanieśli go do domku dróżnika i posłali po doktora.

Kiedy się obudził, zobaczył nad sobą córkę dróżnika z grubymi warkoczami upiętymi nad czołem. Podawała mu pachnący napój. Poczuł maliny.

– Napij się.

Lipka pije.

Błądzi oczyma po ścianach. Bok boli go tak, że nie może się ruszyć. Doktor przyjechał samochodem, obejrzał ranę i włożył do niej sondę.

– Mielście szczęście, to tylko mięsień.

– Myśleliśmy, że to Kaminek, przedwczoraj uciekł z kryminału.

Vratislav Lipka mdleje po raz drugi. Obok przemknął pociąg, podrygując jak balerina i łobuzersko pogwizdując. Córka dróżnika przemycza Lipce czoło.

– Siostró...

– Co takiego?

– Ja jestem z Żelar. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie wiem.

Sądząc z tonu głosu, chyba Lipce współczuje.

Chłopiec przez całą noc – ni to na jawie, ni to we śnie – słyszał stukot pociągów. Trzęsły jego łóżkiem. Do rana myśli mu ozdrowiały. Nikt nie wie, że uciekam z klasztoru. Nie mogą mnie tu zostawić. Odeślą mnie do domu. Nic innego im nie pozostaje.

Oslabione ciało chce spać. Lipka broni się przed snem ze wszystkich sił. We śnie człowiek nie jest w swojej mocy. Mógłby popełnić jakąś fatalną pomyłkę, zdradzić coś szeptem.

– Pojedziesz do domu – powiedziała córka dróżnika. – Tam niedaleko czeka auto.

Lipce krew nabiegła do twarzy.

Cud.

Auto niesie go po drodze umęczonej jak młyński rzemień.

W domu położy się pod sosną i bez końca będzie patrzył na zmieniające kształty obłoki.

Helenka będzie się dziwić.

Warto było. I droga po torach, i postrzał w bok.

Auto się zatrzymało, chciał wyskoczyć... Ale ledwie się wyprostował, ujrzał przez okno ohydny bryłę klasztoru. Wystrzelała w niebo jak siedlisko duchów.

Opadł z powrotem i wbił palce w siedzenie. Musieli go od niego oderwać.

Na białym łożku izolatki żelarski dzikus rozmyśla, jak to się stało, że ziemia wyslizgnęła mu się spod nóg jak rozpędzona obręcz. Nie wie, że na klasztornej koszuli jest pieczętka. Nie podejrzewa, że na ciele nosi znamię jak pies.

Zęby bólu wgrzają mu się w żywe mięso.

Bóg wie, kiedy znowu zbierze siły do ucieczki.

Zamknął oczy i wycisnął z nich łzy. Pod powiekami miał obraz sklepionego pomieszczenia, zalanego mdłym światłem. Chciało mu się krzyczeć, bić na osłep. Wszystko na nic. I droga, i postrzał w bok. Zupełnie na nic.

– Vratslavie.

Nie otwiera oczu. Nie chce nikogo widzieć. Dłoń Andrei sunie po jego czole, gładzi spocone włosy. Ma chęć splunąć na tę miłosierną dłoń.

– Ma gorączkę.

Akurat. W duchu śmieje się zjadliwie. Żadna tam gorączka. Nienawiść, nienawiść! Odejdź!

– Poczytam mu, jak się obudzi. Mam gdzieś twoje czytanie.

Jeszcze parę sekund i odeszła, szeleszcząc habitem. Z kim rozmawiała? Z Izabelą? W jakiś dziwny sposób związany jest z nimi dwiema. Dobrze wie, co mógłby od każdego z nich wyłudzić. Od Andrei wszystko, od Izabeli nic.

A jednak. Niemożliwe do nazwania uczucie mówi mu, że właśnie Izabela jest mu w jakiś szczególny sposób bliska.

Łączy ich niewidzialna nić.

Jakby go trzymała za rękę.

I co teraz?

Kiedyś dawno, we wczesnym dzieciństwie, bardzo pragnął trzymać kogoś za rękę. Tej ręki nigdy nie znalazł.

Przeciwnie. To jemu przypadła rola opiekuna.

Zaczęło się od kurcząt, którym myszołów zabił matkę. Trzymały się Lipki i pędziły do niego na złamanie karku, ledwie się pokazał. Uczył je dziobać ziarnka. Potem przyuczył Dulinę, bernardynkę, którą wykradł z szopy Kolisków (Koliskowie sprzedawali psie sadło), żeby ich pilnowała. Znalazł im kryjówkę w na wpół zawalonej szopie, gdzie sam czasami spędzał noce.

Potem kurczęta chodziły za Duliną. Kiedy chłodziła sobie brzuch, rozłożona w cieniu, z wyciągniętymi wszystkimi czterema łapami, wtulały się jej w sierść, jedno obok drugiego, jak sznurek żywych koralii.

Lipka był wtedy szczęśliwy.

Umiał wyławić szczęście z drobiazgów, które są pod ręką. Tę sztukę znają wszystkie stworzenia oprócz człowieka. Przeżywał chwile, których nic nie ma, kiedy oddychamy swobodnie, w doskonałej harmonii ze wszystkim, co, tak jak my, żyje. Nie rozumiał, że w życiu są jeszcze inne rzeczy, za którymi ludzie gonią, i nie było mu pisane, żeby to kiedyś zrozumiał.

5

Izabela przysiadła na łóżku obok chłopca. Patrzą na siebie w milczeniu.

Ach, jaki jest do niego podobny. Mój Boże, Ty sam, własną dłonią osłoniłeś go przed tą kulą, która miała mu przebić serce.

– Bratislavie.

Nie odpowiedział. Wie, że siostra nie czeka na odpowiedź.

– Wyzdrowiejesz... i znowu uciekniesz.

– Ucieknę.

– A potem znowu.

– Za każdym razem ucieknę.

– Dlaczego?

Wie, dlaczego, więc po co pyta. Siostra nie oczekuje odpowiedzi. Nie chce go oszukać, to pewne. Mówi z nim otwarcie, jak nikt inny w klasztorze. Ona jedna wie, że Bratislav Lipka nie jest już dzieckiem.

– Znam kogoś, kto nikogo nie słuchał, tak jak ty, a jak już postłuchał... – urwała.

Skończyło się źle.

– I dlatego wrócisz, skąd przyszedłeś.

Serce mu załomotało. Wstyd mu, że siostra to słyszy. Ale do uszu Izabeli ten łomot nie dociera.

– Do Żelar?

– Do Żelar – przytaknęła. Uśmiechnęła się. Jeszcze długo po jej odejściu chłopiec łamał sobie głowę, czy w tym uśmiechu naprawdę była czułość.

Jego powrót załatwiła bez problemu, na protest zdobyła się tylko Andrea.

– Przecież tam go zabijają.

– Nie zabijają, siostrzo Andreo.

W karcie Lipki pojawił się zapis: nie poddaje się procesowi wychowania.

Data odjazdu jest już wyznaczona. Lipka posłusznie je, pije, po południu zasypia na rozkaz. Dusi go dziwna tajemnica, którą stąd wyniesie. Nienawidzi tajemnic.

O tym nie powie Helence ani słowa.

Dziesięć nieskończenie długich dni.

Isolatki nie zamyka się już na noc. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że chłopiec, któremu każdy ruch sprawia ból, mógłby opuścić łóżko i wyslizgnąć się do ciemnych korytarzy. Że nie złąknie się figur kamiennych świętych, rzucających długaśne cienie, że przecisnie się malutkim okienkiem na zewnątrz, że wyjdzie na nocny ziąb do lasu.

Przez jakiś czas znów mu towarzyszy Rita.

Dotarł do polany, usiadł na zwałonym drzewie i patrzy na księżyc.

Tutaj nareszcie jest sobą i nic mu już nie ciąży.

Rano nikt nie będzie wiedział, gdzie go szukać.

Szedł na bosaka, z podkasaną koszulą, żeby jej nie orosić.

Zaniepokoił go szelest, który bardziej wyczuł, niż usłyszał.

Schował się w młodniaku. Z mroku lasu na polanę wyszedł mężczyzna, na ramieniu niósł worek i rydel. To, co chce zakopać, pewnie ma w worku.

Miejsce wybierał bardzo rozważnie – nakłuwał ziemię dotąd, aż rydel wszedł w nią miękko. Czasem przerywał kopanie i rozglądał się dokoła.

Wyprostował się i odrzucił narzędzie. Z rozwiązanego worka wyjął jakieś zawiniątko. Wyglądało jak bochenek chleba zawinięty w kobiecą chustę. Jeden róg chusty się odchylił, mężczyzna nie zdołał go przytrzymać. Lipka widział, że trzęsą mu się ręce. Zawartość chusty wypadła na ziemię.

Małeńkie dziecko.

Mężczyzna zaklął – i usłyszał głębokie westchnienie chłopca. Rzucił się w kierunku młodniaka.

Lipka nie czekał. Ból obezwładniał mu nogi, ale zdołał go przemóc. Wiedział, że idzie o życie. Zrobił trzy zakosy, potem przypadł do ziemi i poczekał, aż mężczyzna go wyprzedzi. Wstrzymywał oddech tak mocno, że o mało nie rozsadziło mu płuc.

Mężczyzna przeczesywał trawę rydlem, głośno dyszał, coś niezrozumiale bełkotał. Jednak jego twarz z wolna traciła dziki wyraz, uspokajał się, nabywał przekonania, że dźwięk, który go zaniepokoił, był tylko podmuchem wiatru. Wrócił do rozkopanej jamy.

Chciał podjąć przerwana pracę, kiedy zauważył na ziemi cień. O parę kroków od niego stała kobieta.

– To wy?

Nie odpowiedziała.

– Urodziło się martwe.

– Komu?

Teraz on nie odpowiedział. Zbliżał się do niej powoli, ani jeden jego ruch nie zapowiadał zagrożenia.

Lipka, który stał tuż za plecami mężczyzny, poczuł chłód spoczonej skóry. Czy ta kobieta nie rozumie, co się zaraz stanie?

– Dostyc tego – powiedziała nagle. – Nie ja jedna o tym wiem.

– Wy jedna.

– Dajże spokój. Sam je urodziłeś?

– Ona nic nie powie – odpowiedział drżącym głosem.

– Jak długo?

Chwycił rydel, kobieta się cofnęła. Zrozumiała w końcu, że jest szalony?

Lipka wyszedł z zarośli. Oboje spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Sprowadziliście na mnie tego bękarta?

Zamachnął się, ale tam, gdzie mierzył cios, Lipki już nie było. Rydel wbił się w ziemię. Minęło pięć sekund, zanim mężczyzna wyrwał go z darni i rzucił się za uciekającym świadkiem. Strach uskrzydlił Lipce nogi. Chłopiec znał wszystkie sztuczki przydatne w czasie ucieczki, i żeby nie ta przekłeta rana, ten rwący ból przy każdym skoku, inaczej zatańczyłby z tym człowiekiem. Przepędziłby go po ciemnych krzakach – teraz ich unika, ledwie łapie dech i traci siły. Prześladowca się zbliża, nie pozostaje nic innego, tylko wspiąć się na drzewo i ukryć się w gałęziach.

O jednym nie pomyślał. Że ucieka w kierunku klasztoru. Zrozumiał swój błąd, kiedy do ataku rzuciła się Rita. Skoczyła mężczyźnie do gardła, odepchną ją z wielkim trudem, ale wilczyca zaatakowała po raz drugi. Lipka krzyknął na psa, zsunął się z drzewa i chwycił Ritę, zanim zdążyła rozszarpać swoją ofiarę.

Znowu żandarmi i znowu powrót do wsi oddalił się nie wiadomo na jak długo. Nikt mu niczego nie wyjaśnił, a on o nic nie pytał. Potem dowiedział się, że stara kobieta, która przysła na polanę, była matką tamtego człowieka.

– Chodź! – Izabela podała mu ubranie, w którym przyjechał do klasztoru.

A potem świat rozciągnął się jak kolorowe płótno, a daleki horyzont zgęstniał w jeden punkt. Szadova Huta Lipkę zaskoczyła. Miasto w tym czasie zmałało, żałośnie zapadło się pomiędzy lasy.

Oczy chłopca, które błądziły po bezbrzeżnej przestrzeni, widziały czarno-niebieską szachownicę. Trwało to krótką chwilę, ale było to dziwne uczucie – jakby przez pomyłkę wrócił gdzieś indziej.

Szli w milczeniu piaszczystą drogą i po dziesięciu minutach zahaczała do nich rzeka. Lipka przyspieszył kroku, siostra ledwie za nim nadążała. Pożądliwie chłonały znane zapachy, oczyma wspinał się po zboczach.

Tam gdzieś Helenka pasie kozę.

Bał się spotkania. Czuł się poniżony i czymś naznaczony.

Najpierw zaszli do kościoła, potem do Michała. Chłopak w zakłopotanym starcu nie rozpoznawał swojego surowego stryja. Michał się jąkał, gorliwie zapraszał gości do środka, a jednocześnie błagał wzrokiem, żeby nie wchodzili. Klepał Lipkę po ramieniu, miał to być poufały, przyjacielski gest, ale ręka mu drżała, bo przenikliwy wzrok siostry Izabeli obnażał teatralność tej sceny.

Na szczęście wizyta trwała nie dłużej, niż potrzeba, by wypowiedzieć parę słów. A były to słowa, przy których starzec przepocił koszulę.

– Będę tu do was zaglądać – padło na koniec.

Michał się zachwiał.

Lipka znowu poczuł istnienie tej nici, rozpiętej między nim a siostrą, którą spotkał po raz pierwszy w życiu, i to przypadkiem.

Po jej odejściu stryj posłał chłopca do karczmy, nawet nie pomyślawszy, że może trzeba go nakarmić. Lipka zrozumiał, że rzeczy wracają na swoje miejsce. Ani myślał iść po rum – do tego na krechę – wziął z pieca piętękę suchego chleba i zniknął.

Zanim doszedł do kładki, piętękę już miał w żołądku. Zatrzymał się przy źródelku, żeby ugasić pragnienie. Po drodze złapał jaszczurkę z oczkami jak koraliki, pomyślał, co zrobiłaby z nią Helenka – i wypuścił ją z rąk.

Idzie po grani, wypatruje kozy Bojarów. Kiedy ją w końcu dostrzegł, ogarnął go strach. Zaczął się cofać.

Ale kamienie, spadające spod jego stóp, narobiły hałasu, koza podniosła głowę, Helenka krzyknęła.

Już się stało.

Lipce ścisnęło się serce. Dziewczynka Bojarów jest jeszcze bardziej mizerna, tylko jej głos zachował te same chrapliwe rejestry. Ciemne, nastroszone kędziory powiększają jej głowę.

Lipka musi udawać, że nie ucieka, ale że się przybliża.

– Gdzie byłeś?

– W klasztorze.

– Już tam nie wrócisz? – upewnia się mała.

– Nie.

Teraz powinien zacząć opowiadać. O siostrach, o bójce, o strzale w bok, o martwym dziecku. Ale nie może wydobyć z siebie jednego sensownego zdania. Helenka pyta, a on odpowiada. Szaro, nudno, sucho.

– Dużo tam było chłopców?

– Dużo.

– Co robili?

– Różne rzeczy... Po południu spali... a w niedzielę dostawali czekoladę.

– A wielki ten klasztor?

– Wielki.

– Jak wygląda?

Gdyby mógł powiedzieć, jak wygląda! A przy tym wciąż go ma przed oczyma. Widzi go w najmniejszych szczegółach. Mógłby go narysować, ale tego Helenka nie chce.

– Stała na górze... dookoła były pola... i łąki... a w środku korytarze.

– A ciemno tam było?

– Gdzie?

– W tych korytarzach.

No właśnie. Helenka wytrzeszcza oczy w pełnym strachu oczekiwaniu.

– Tak, gdzieś tam, ale tam nie wolno chodzić.

– Nawet tam nie zajrzałeś?

– Zajrzałem.

– No i co tam było?

– Figury.

– Jakie figury?

– Świętych.

Jest zawiedziona. Bardziej by się jej spodobał diabeł. Lipka ma wrażenie, że ją oszukał.

A jakie niezwykle rzeczy działy się w tym czasie w Żelarach! Helenka dwa razy widziała boginkę, raz nad rzeką, a potem przy drodze. Od pani Maniasovej dostała małą kacuzkę, bo z dziewięciu jajek wylęła się tylko jedna. Nazywa się Puńcia. Widziała, jak chłopaki zburzyły Svojsikom płot, a stara Svojsikova naderwała Venckovi ucho. Pobiła się z Vendą z leśniczówki, a proboszcz kupił jej za to piłkę. Ma ją w domu.

Przyczyna tego daru jakoś się Lipce nie widzi. Helenka czyta z jego twarzy.

– Bo mi wykręcił palec.

– Pokaż.

Helenka dumnie pokazuje spuchnięty palec. – I jeszcze Marka Gorczika zasypało w kamieniołomie. Lipce na chwilę zatrzymało się serce. Dobrze, że Helenka na niego nie patrzy. Jej spojrzenie i wyciągnięta ręka wskazują rzekę.

– Pokażę ci, jak pływa.

– Kto?

– No jak to kto, Puńcia.

Dopiero teraz zobaczył w koszyku Helenki jasnożóty kłębuszek.

– Możesz go nieść.

Przyjął wyróżnienie i podniósł koszyk, ale kłębuszek się już obudził i zaczął gramolić się na zewnątrz.

– Zostaw ją, pójdzie za nami.

Podnieśli się, a kacuzka rozkołysała się na boki i zaczęła pospiesznie dreptać, a ponieważ szli za szybko, przeraźliwie zapiszczała. Helenka poczekała na nią i włożyła ją do fartuszka.

– Zobaczysz, co będzie wyprawiać w wodzie – powiedziała dumnie.

Puńcia nurkowała na mieliźnie i łowiła nieistniejące łupy, a oni obserwowali trójkątny kuperek. Kiedy płynęła, wyglądała jak rozplaszczony kurczak.

– Widzisz? – promieniała Helenka.

Lipka nawet nie próbował się roześmiać. Gwizdnął z uznaniem.

Czuł, jak zalewa go fala gorąca, i uświadamiał sobie, jak bardzo brakowało mu dziewczynki od Bojarów.

Była to jego jedyna krewna (Michała nie liczył), mleczna siostra (już dawno przestał się tego wstydzić) – z nikim nigdy nie będzie się czuł tak swobodnie. Teraz słucha, tak jak zawsze słuchał. I milczy. Ona wie, że oznacza to zgodę i zainteresowanie. Znów opowiada o swojej kłótni z Vendą.

– Parszywe trofeo z niego!

Patrzy, jakie wrażenie zrobiło na Lipce to wyzwisko. Zawdzięcza je szkolnej wycieczce do zamku niedaleko Szadovej Huty.

– Była tam wielka sala, a na ścianach wisiały czaszki saren i jeleni... i... zwierząt. Pod tymi czaszkami były tabliczki z nazwiskami tego łajdaka, który je zabił.

Helenka pobladła i musiała przerwać. Waha się, czy ma opowiadać dalej. Jak z tego wszystkiego zrobiło jej się niedobrze i że zwymiotowała.

– Ale dopiero na dworze. Wyszedł ze mną ksiądz proboszcz. Powiedział, że to są trofea.

Spróbował jej wyjaśnić, dlaczego pan na zamku zbierał trofea, ale nie mogła uwierzyć w takie wynaturzenie. Jeszcze tego samego dnia w jakiejś kłótni wrzasnęła: Jesteś głupi jak trofeo! To ostre wyzwisko w niedługim czasie zaowocowało kilkoma rozbitymi nosami.

– Venda powiedział, że jestem zarzygana gęś, więc mu rozkwaślam kinol. Kamieniem. A on mi wykręcił palec. Ksiądz proboszcz zaprowadził mnie potem do straganu, gdzie sprzedawali wodę sodową, obrazki i różne rzeczy, kupił mi soku, cukierków i dmuchaną piłkę.

Spojrzała z pewnością siebie na wielkiego chłopa, który był jej tak oddany, że uśmiechał się do niej z uznaniem.

Tymczasem kaczuszka wdrapała się na brzeg, umościła się Lipce w nogawce i usnęła. Helenka podniosła ją i włożyła do koszyka.

– Joza od kowala przepiłował Azorowi łańcuch – przypomniała sobie. – Wróś mu w mięso.

O tym wiedział.

Przez kilka minut relacjonowała przebieg operacji. Jak Azor starego Manka leżał koło budy i tylko tak smutno patrzył, jak Joza piłował żelazną obręcz, którą pies miał na szyi zamiast obroży, jak przymierzał się do tego w kilku miejscach, jak Azor charczał, ale się nie bronił, bo wiedział, że to dla jego dobra.

Spod usuniętego żelaza sączyła się ropa i krew. Azor trzął się i kaszłał. Zaprowadzili go do kuźni, obmyli na podwórku przy pompie, a poraniony kark zalali sadłem.

Joza zatrzymał sobie Azora, chociaż w kuźni już mają Sultana. Ale Sułtan należy do Madlenki.

Azor śpi z Jozą w komórce.

Lipka wiedział, że to mała namówiła Jozę do całej akcji. Poskarżyła się, że Joza nie chciał stłuc starego Manka. Tylko w wyobraźni mogła się cieszyć widokiem ukaranego starucha, widziała go przywiązanego do budy, z mnóstwem pcheł i ran pokrytych strupami, w deszczu, ze skórą popękaną od mrozu.

Stary Manek nie był złym człowiekiem. Po śmierci żony pomieszało mu się w głowie, chodził od domu do domu i ciągle pytał, która godzina, bo Staza czeka na niego z obiadem. Mieszkał sam. Jego syn zwany Mankiem-z-Brzuchem wstydził się ojca. Sąsiedzi, na których łaskę był zdany, odnosili się do niego życzliwie, wiedzieli, że następnej wiosny już nie dożyje.

Joza z kuźni miał dwa przezwiska. Żelazna Łapa i Krzywonos. Miał kiedyś złamany nos, który potem zrósł mu się krzywo.

Helenka zaprzyjaźniła się z nim zaraz po tym, jak Lipka odszedł ze wsi. Szwendowała się po wsi, gnębiona złością i żalem, dąsała się na cały świat i z niesłychaną bezczelnością nikogo nie pozdrawiała. Dochodziła do kościoła, obchodziła pomnik ku czci poległym i wracała drogą koło karczmy. Tam siadywała na zwalonym świerku i słuchała pijackich przechwałek.

Widziała, jak po drugiej stronie drogi Joza wali w kowadło. Zaciekawiły ją iskry. Stanęła mu za plecami i zapytała, czy może popatrzeć.

– Możesz – pozwolił Joza, niewiarygodnie dobry człowiek, którego wszyscy mieli za głupca.

Potem dzień w dzień wysiadywała w kuźni na starym zydłu, który znalazła w kącie i starannie wyczyściła. Interesowało ją wszystko. Sprawdzała ostrza pługów, sierpów, siekier i kos, a kiedy Joza jej tego zabronił, grzebała w narzędziach, ważyła w ręce nieobrobione jeszcze kawałki żelaza – o ile mogła je unieść, ale najchętniej gapiła się na końskie kopyta, oparta o kolano Jozy.

Kowalka – parszywe trofeo – przeganiała ją stamtąd, że niby przeszkadza Jozie w pracy.

– Gada i gada, a robota w lesie.

– Rękoma nie gada – odpaliła Helenka beczelnie.
– Wyrzucę go, i to będzie twoja wina – piekliło się babsko.
– Wyrzucicie?! – włączyła się kaleka Madlenka. Mówili na nią Kuternoga, ale przy Jozie nikt by się na to nie powazył. – Tym się ojcu nie przysłużycie. Będzie musiał robić sam.

Kowalka splunęła.

Pod wieczór Helenka widziała, jak Joza wnosi Madlenkę do domu. Kiedy wrócił, poprosiła, żeby ją także trochę ponosił. Więc posadził ją sobie na ramiona i biegł z nią po drodze. Opoje przy stołach w karczmie stukali się w czoło.

Helenka poczuła się dotknięta tą obrazą, Joza ani trochę. Na próżno go podjudzała, żeby przynajmniej każdemu z nich dał po gębie.

Krzywonosy Żelazna Łapa był wdzięczny dziecku za zainteresowanie, którego do tej pory nikt mu nie okazał. Zwierzał się Helence z tego, co zataił przed ludźmi. Wspominał swoje dzieciństwo, które spędził w majątku daleko stąd. Jego opowieść była czysta jak górskie źródło. Znajdował słowa, które Helenkę wprawiały w zadziwienie i którymi nie mogła się nasycić. Najchętniej mówił o matce. Mała Bojarka była oczarowana. Nigdy przedtem nie słyszała o tak pięknej istocie – piękniejszej nawet niż żelarska boginka. Matka Jozy miała wszystkie przymioty aniołów.

– Kiedy się uśmiechała – opowiadała Helenka Lipce – koło oczu robiły się jej wachlarzyki ze zmarszczek a w oczach miała światełka. A jej włosy mieniły się blaskiem.

W domu w ciemnej izbie przyglądała się włosom swojej matki, zlepionym od potu i nie rzucającym żadnych blasków.

– A ja słyszałam o jednej pani, której włosy mieniły się blaskiem – powiedziała.

– I moje też kiedyś błyszczały, jak byłam młoda.

Z przejściem powtórzyła to Jozie. Przez to ich przyjaźń pogłębiła się jeszcze bardziej.

Opowiadał, że spali na strychu nad oborą, słyszał, jak na dole oddychają krowy, a w zimie mama obkładała go całego sianem. Mówiła, że robi mu gniazdo. A zanim zasnął, opowiadała mu różne historie... no i tak.

Westchnęła. Zazdrościła Jozie jego szczęśliwego dzieciństwa. W jednej chwili swoją puchową pierzynkę (Bojarka hodowała gęsi) wymieniłaby na gniazdo, a usypiające terkotanie maszyny do szycia – na matczyne opowieści.

– Jestem trochę podobny do mamy – powiedział kiedyś Joza i zaczerwienił się. Uświadomił sobie, że dziewczynka patrzy na jego krzywy nos. – Nos złamali mi synowie gospodarza.

– Pobiliście się? – pytała z przejęciem.

– Nie. Ja byłem bardzo silny. Mama mówiła: jesteś taki silny... żebyś tylko nikogo nie ukrzywdził.

Tego Helenka nie rozumiała. W ogóle wiele z tego, co mówił Joza, nie mogła zrozumieć. Ale nie przeszkadzało jej to. Kochała tajemnice.

– Tę siłę dawały mi litry mleka i ziemniaki. Mama służyła tylko za jedzenie, bo musiała wyżywić także i mnie. Rano, kiedy skończyła dojenie, odlewała mi mleko do kanki. Wypijałem dwie takie kanki. A na pasanie wkładała mi do kieszeni ziemniaki. Piekleń je w ognisku. Najlepiej było jesienią. W alei na ziemi leżały gruszki, jabłka, śliwki. Tyle tego było, że nie mogłem wszystkiego wybierać. Mama uplotła mi koszyk. Wieczorem na strychu zjadaliśmy oboje te wszystkie owoce.

Opisywał jej miejsca, w których wyrastał. Okolicę płaską jak stół, z czarną, urodajną ziemią, z sadami, winnicami i wielkimi stodołami, w których bawili się w chowanego, z porębami, na które wyganiali krowy, z polami lucerny, buraków, kukurydzy.

– A zimą? – pytała przejęta.

– W zimie wyrzucałem gnój z obór, nosiłem siano i podściółkę, drewno i wodę, wyplatałem kosze, wiązałem miotły, strugałem z drewna łyżki.

– A umiesz jeszcze to wszystko?

– Tego się nie zapomina.

– Ale ziemniaków nie piekleń?

– Nie. Mama odkładała mi z tego, co nagotowała dla prosiąt. Wybierała te niepokaleczone przy kopaniu.

Helence napływa ślinka do ust.

– Chłopcy pana gospodarza cię bili? – powróciła do tematu, który nie wychodził jej z głowy.

– Więcej pan gospodarz. Złościło go, że jestem taki silny. Jego synowie byli chorowici i umierali jeden po drugim. Ja żyłem.

– To przecież nie twoja wina! – huknęła na niego. Irytowała ją jego pokora. Ona by sobie nie data bezkarnie złamać nosa.

Joza, który przywykł do tego, że krzywdy i poniżenia to jego los, nie potrafi jej wyjaśnić, dlaczego się wtedy nie bronił i co więcej – dlaczego za ten niezastudzony dar siły prześladowuje go do dziś poczucie winy.

– Chodziłeś do szkoły?

– Chodziłem, ale krótko. Przestałem, jak miałem dwanaście lat. Ale czytać i pisać umiem – zamilkł ze ściśniętym gardłem.

– Wybacz mi, synku – prosiła go matka, kiedy w czasie świniobicia zaniósł ją chorą na strych, owinął w końską derkę, obłożył sianem i poszedł zamiast niej na podwórze płukać świńskie jelita. To wspomnienie wbiło mu się w żywe mięso, pali bardziej niż kowalskie palenisko i nigdy nie przestanie parzyć.

– Co mam wam wybaczyć, mamó?

– Los, który ci zgotowałam.

– Ale ja bym innego nie chciał! – zdążył jej jeszcze powiedzieć. Wyrwało mu się to z głębi serca. Chyba mu uwierzyła, bo w jej oczach rozbłysły światelka.

Była to ich ostatnia rozmowa.

Miał dwanaście lat.

O tym nigdy nie mówił. Nawet z Helenką. Nie umiałby tego opowiedzieć.

Ten straszny dzień czasem wślizgiwał się podstępnie – w ciemności i w ciszy – do jego snu. Wtedy Joza budził się z płaczem. Słyszał jęk, który nie pochodził z jego piersi. W nogach łóżka siedział Azor, skomlał z podniesioną głową, piszczał i wył, dotknięty zgryzotą swojego ukochanego pana.

– Joza pożycz ci młotek – obiecuje Helenka Lipce i dodaje cierpko: – Mnie nigdy nie chciał go dać do ręki.

Wcale się nie dziwię, pomyślał Lipka. Dotknął boku, zakłuło go.

– Coś cię ugryzło?

– Nie, to od tego, jak mnie postrzelili.

– Pokaż! – Dokładnie zbadała bliznę. – To oni tam do was strzelali?

– Tylko do mnie.

– No to na nic im się to nie zdało!

Coś takiego, szepcze do wtóru rozjuszona rzeka, przewalając swoje szarozielone cielsko po skamieniałej dolinie.

Wieczorem Lipka podkraść się pod chałupę Gorczika. Domek jest ciemny, nigdzie znaku życia, ale chłopiec ma szósty zmysł, którym przyroda obdarza wybrańców. Jeden z cieni, które widać w pobliżu, należy do Zuzanki. Siedzi na ziemi i patrzy na góry.

Drugi – do głupiego Arnosztki.

Lipka czekał tak długo, aż Zuzanka podniosła się i weszła do chałupy. Potem ruszył w kierunku Arnosztki i wyrósł przed nim niespodzianie. Głuptas przestraszył się na śmierć.

- Ja nie, ja nie... – bełkocze.
- Co tu robisz?
- Nic. Ja nic.
- Chodź, pokażesz mi, gdzie zasypało Marka.
- Nie, nie!
- Dlaczego?
- Boję się!
- Czego?
- Ma-marka.
- Ze mną nie musisz się bać.

Lipka wie, że Arnosztek pójdzie tylko wtedy, jeśli go weźmie za rękę. Brzydzi się jego obślizgle spoconej skóry, ale nie ma wyboru.

Droga jest męcząca, Arnosztek co chwila staje i coś duka, im bliżej kamieniołomu, tym bardziej jest niespokojny.

- Tutaj?
- Kamień się obsunął.
- Byłeś przy tym?
- Nie! Ja nie!
- No to skąd wiesz?
- Ja nic nie wiem! Ja nie!

Ni stąd, ni zowąd wykrzyknął:

- On ją bił!
- Cicho! – krzyknął Lipka. Ścisnął wrywającą się rękę. Ogarnęła go nieodparta chęć, żeby Arnosztki zdzielić na odlew. Poczekał, aż mu się wyrówna oddech.

- Nikomu o tym ani słowa. Rozumiesz?
- Ja nie!

– Pytam, czy rozumiesz, że nikomu o tym ani dudu!

Arnosztek zaczął pochlipywać.

– Dlaczego jest teraz taka nieszczęśliwa?

– Bo jesteś głuptas – powiedział Lipka, już spokojnie. – Idź do domu.

Został sam. Siedział na skałach długo w noc.

Nie odkryją tego. Bo i czemu by to mogło posłużyć?

Jak długo musiał się męczyć ten podstępny idiota, zanim zdołał obruszyć kamień?

Jakże skutecznie.

Dlaczego jest taka nieszczęśliwa?

Chłopiec boleśnie rozumiał, dlaczego.

Zdecydował się na księżą stodołę. Po drodze spotkał Alana, łagodnego, wyrośniętego już nieco szczeniaka, a ponieważ nie chciał go tak zostawić, zakopał się razem z psem w kopie siana. Alan, zanim usnął, jeszcze mu oblizał ucho, a potem pochrapywał z cicha obok niego.

Już zasypiali, kiedy obok nich wyrosła Izabela. Ona też nie boi się ciemności. Wałęsała się po pustych zboczach, żeby dojść do siebie po wizycie u brata – w willi, przed którą kwitły róże w kolorze świec kościelnych.

Siedzieli naprzeciwko siebie w pokoju z dywanami o długim włosie, a służąca szykowała poczęstunek.

– Dziękuję, że do mnie zajrzałaś – powiedział z ironią.

– Odpłacam ci twoją wizytę.

Znał ten ton, a jednak poczuł na plecach jakby zimne smagnięcie bicia.

– Nic mi o niej nie wiadomo.

– Przyszedłeś do mnie do klasztoru. A raczej twoja hańba.

– Moja hańba?

– Twój syn.

Nagłym ruchem zdradził zaskoczenie. Poczzerwieniał.

– Pavlina urodziła syna?

Na odpowiedź musiał czekać.

– Nie.

– No to nie wiem, o czym mówisz.

Blade usta wykrzywił grymas. Wstała.

On też wstał. Nie zdołał opanować wściekłości.

– Siadaj. Musimy porozmawiać. Kucharka jest uprzedzona, że zostaniesz na kolacji.

– Poszczę.

– Za pokutę czy z kaprysu?

– Z pokory.

– Czyżbyś naprawdę odkryła u siebie tę niezwykłą cechę?

– Tak, bracie, i to właśnie teraz.

Odchodziła, szeleszcząc habitem. Dogonił ją w kilku krokach.

– Czego właściwie chcesz?

– Wiesz dobrze, czego chcę.

Westchnął głośno. Widział, że Izabela zamierza odejść i zagroził jej drogę.

– Pozwól mi porozmawiać z Pавлиną. Pięć minut. I przysięgam...

– Nie wiem, gdzie jest.

Tym kłamstwem, wypowiedzianym z zimną krwią, dotknęła go do żywego.

– Nie wiesz?! – Z trudem opanował się, żeby nie podnieść głosu. – Przecież ma syna!

– To nie jest syn Pавлиny.

– Nie mogę mieć innego syna! Do czego chcesz mnie sprowokować?

Nie kłamał. Nie pamiętał już tej lodowatej nocy, po której obudził się około południa, trzeźwy, ale z huczącą głową, więc połknął jakieś proszki i na wpeł przytomny zapadł znowu w ciężki sen.

Izabela ma w oczach pełen pogardy gniew. Nie wierzy mu.

Szelda nie rozumie, dlaczego.

– Bóg z tobą, bracie.

Chwycił ją za habit i wpatrywał się w nią wilgotnymi oczyma, jak zebrzące dziecko.

Wyrwała się.

Odeszła leśną ścieżką, nad rzeką wyjęła z zawiniątka złoty medalion i wrzuciła go do wody.

Reguły gry

1

– Dziewczynki i chłopcy – ksiądz cedzi słowa cicho i tkliwie.

– Nie chrońcie winnego przed karą, bo sami staniecie się winni.

Wpatrzona w niego dziecięce oczy są jak zamknięte muszle.

Czarodziejskie słowo, które mogłoby je otworzyć, nie zostało wypowiedziane. Na twarzach, zarumienionych z napięcia, maluje się uparte: nie powiemy.

Przewinienie nie jest wielkie. Ktoś wspiął się na kasztan i strzelił z procy w kierunku kościoła. Wybrał porę, kiedy ksiądz stał na ambonie, a za cel obrał sobie poruszający się księży biret. Wszyscy wiedzą, kto to zrobił. Wie ksiądz proboszcz, wie pan nauczyciel. Ale co z tego, że wiedzą. Sprawca nie został przyłapany na gorącym uczynku i winę trzeba mu udowodnić. Stąd to przydługie, nużące przesłuchanie.

Ksiądz mruga zaczerwienionymi powiekami, jest zmęczony, czuje się nieswojo, z dziecięcą złośliwością dawno już się pogodził – w końcu to nie jest żadna złośliwość, tylko przejaw buntu. Buntu skierowanego nie przeciw księdzu, lecz przeciw całemu światu.

Nie ma sobie nic do zarzucenia. Całe to dochodzenie jest sprawką skarżypyty. Skarżypyta siedzi w klasie, wszyscy go znają, ale nikt na niego nie patrzy. Nauczyciel zaciska dłonie, aż mu strzelają kostki.

– Vratislav Lipka!

Pada imię, którego wszystkie dzieci boją się bardziej niż ognia piekielnego.

Mięśnie się rozluźniły, westchnienie ulgi na ustach.

Krótkowzroczne oczy szukają winnego pomiędzy dziećmi i przysysają się do jednej twarzy. Nie ma w niej strachu. Tylko zbójcka bezczelność. Tylko prowokujący spokój.

Vratislav Lipka wchodzi na katedrę ze spuszczoną głową, na rozkaz podnosi ją i zatrzymuje wzrok na podskakującym jabłku Adama.

– Ty to zrobiłeś?

– Nie!

– Kto to powiedział?

Bojarova, Bojarova, Bojarova. Wielogłosy, wrogi szept.

– Bojarova, co nam powiesz?

Pan kierownik pomylił się i nawet sobie tego nie uświadomił. Bojarova – tak wszyscy mówią na Helenkę Halakovą. To znaczy, że jest do granic wyprowadzony z równowagi. Niepozorna dziewczynka patrzy mu prosto w oczy.

– Nic. A zresztą nikt nic nie wie.

– Nikt nic nie wie?!

Ksiądz przeraził się na widok nabrzmiałych żył na skroniach nauczyciela.

Dwa susy i szponiaste palce wbiły się dziewczynce we włosy. Włoką ją przez całą klasę, przeciągają pomiędzy ławkami.

Ksiądz modli się bezgłośnie.

Odczuwa większy ból, niż gdyby ten gwałt odbywał się na jego własnym ciele. Z przerażeniem rozpoznaje w dziecięcych twarzach radosną żądzę, wyostrowany wzrok drapieżników, które nie mogą się nasycić tym okrutnym widowiskiem. Nie zdobędzie się na to, by uwiesić się na prawicy furiata, nie może nawet wydobyć głosu. Pan kierownik odrzuca garść ciemnych włosów i ze zdumieniem patrzy na miejsce, w którym upadły. Bezmyślnie miota się po klasie. Zacharczało mu w gardle, musiał odkaslnąć, a słowa, które wypowiada, są jak poranione ptaki.

– Lipka, proszę ze mną do gabinetu.

Nie spojrzął na tego, do kogo się zwrócił. Wychodzi z klasy i zostawia za sobą otwarte drzwi. Lipka idzie za nim ze wzrokiem wbitym w brudną podłogę, jakby szukał śladów, na które ma nastąpić bosą stopą.

Księżdz zaszczypały oczy, na języku czuje sól.

– Helenko – mówi w kierunku potarganej głowy – dlaczego tak rozgniewałaś pana nauczyciela? Przecież wiedziałaś, kto strzelał.

– Wiedziałam – przyznaje Helenka hardo – nikt inny by tak dobrze nie trafił.

– Pan nauczyciel cię pytał, a ty skłamałaś.

– No przecież wytargał mnie za to za włosy.

Niepodważalność wyrównanych rachunków.

Dlaczego właśnie tych dwoje? Dlaczego zawsze tych dwoje?

Rozdzielić ich, zdecydował kiedyś kierownik i zmiażdżył zębami wypowiedane słowa. Księżdz jeszcze dziś pali wspomnienie tego niedorzecznego pomysłu.

Wezwali Vratislava Lipkę. Słuchaj, Lipka, wrywałeś Burdom sztachety z płotu. Wypieranie się na nic ci się nie zda. Halakova to potwierdziła.

Jak można nie wierzyć nauczycielowi? A jednak niespokojne oczy daremnie szukają w zdumionej twarzy chłopca oznak żądy zemsty.

Wezwali Helenkę. Że wrywała sztachety z płotu Burdów. Skąd to wiedzą? Teraz się zdziwi. Powiedział to jej fałszywy przyjaciel, Lipka.

– Nieprawda!

Ksiądz poczerwieniał na twarzy i przypadł do okna, jakby chciał przyjrzeć się drwalom, którzy ściągają ze zbocza kłody.

Nauczyciel poruszył zuchwą, zastygła w grymasie, który w innych okolicznościach byłby śmieszny.

Rozdzielić ich? Za tę próbę zapłacili wysoką cenę.

Na ziemi leżą zastygłe, ciemne pierścienie włosów Helenki.

Teraz nie będę o tym myśleć. Ksiądz złożył ręce i dał znak do modlitwy. W samym środku *Ojczy Nasz* dociera do niego, że przecież jeszcze nie chciał zaczynać modlitwy, że pragnął odsunąć początek lekcji, a kiedy wpatruje się w jasną plamę, która przed nim migocze, uświadamia sobie, że czeka na Vratislava Lipkę. Nasłuchuje, kiedy wreszcie dobiegną odgłosy bicia, niepokojąca cisza napina mu nerwy do granic wytrzymałości.

– Kto nam przypomni przypowieść o miłosiernym Samarytaninie?

Zawsze, kiedy wielebny jest czymś poruszony, chce słyszeć przypowieść o miłosiernym Samarytaninie. Wszystkie dzieci podnoszą ręce, te najmłodsze z przejęcia układają usta w dzióbek.

Helenka też się wrywa, aż jej błyszczą oczy.

Ksiądz jęknął w duchu. Mój Boże, Helenka też!

– Opowie nam Parzizek.

W ostatniej ławce podnosi się dryblas Parzizek – Kuruc. Ze zmarszczonym czołem duka kulawe zdania, przerywane refrenem „no nie”, lewą ręką przygładza włosy, jakby każde słowo łaskotało go za uchem, prawą ręką kręci guzikiem przy koszuli. W połowie opowiadania guzik się urywa i natychmiast pada łupem sąsiada, Varadi, który tylko czyhał na ten moment. Ksiądz chodzi pomiędzy ławkami, w których każde dziecko bez żenady oddaje się własnym zajęciom. Marinka Minarzikova robi sobie ze szmatek wiewiórkę i skrycie chichocze. Wszystko ją śmieszy. Trafiony biret, przesłuchanie – a najbardziej ze wszystkiego Helenka Bojarova. Siedzi i udaje, że uważa, ale wszyscy wiedzą, o czym myśli. Życzy jej cięgów. Bratislavovi Lipce też.

Tak samo jak wszyscy.

– Proszę księdza! – wykrzyknął Varadia z rękoma w górze. – Parzizek mnie kopnął!

Ksiądz stara się uciszyć rosnący hałas. Bezskutecznie. Pośród swoich uczniów jest tylko łaskawie tolerowanym obcym elementem. Próbuje zwrócić na siebie uwagę, stara się zainteresować ich historią, którą najbardziej lubią, walką Dawida z Goliatem.

Napotkał wzrok jednego z chłopców, który mógłby zapanować nad uczniami, gdyby tylko chciał. Gdyby tylko wstał.

Ale Vojta Juriga jakby wrósł w ławkę. Jednym spojrzeniem zgniótł księdza razem z całą klasą w kulkę jak strzęp papieru. W niedziecięcej twarzy nie drgnął jeden mięsień.

Ksiądz zatrzymał się w myślach przy tym dziecku, które rzadko kiedy wdaje się w bójki, ale mimo to cieszy się autorytetem, o jakim nauczyciel może tylko marzyć.

Mało kto odważyłby się wejść mu w drogę, choć Vojta rzadko używa siły.

Pomiędzy nim i Lipką trwa albo milcząca nienawiść, albo milczące przymierze. Ktoregós razu zmierzyli się ze sobą, ale żaden z nich nie zwyciężył. Powód sporu znają tylko oni dwaj.

Wrzawa w klasie opada wraz z powrotem Lipki. Dzieci wypatrują śladów bicia na jego półnagim ciele. Widzą stare, częściowo zagojone zadrapania, stare blizny i stare siniaki.

Lipka nie dostał!

Tajemnica tego niesłychanego zdarzenia opanowała dziecięce myśli. Nastąpiła chwila milczącego rozczarowania, tylko kroki księdza, który chodzi pomiędzy katedrą i oknem, wyciskają z podłogi nieprzyjemne skrzypienie.

Lipka nie dostał!

On sam nie potrafił powiedzieć, co się stało. Spędził w gabinecie prawie kwadrans. Zamknął drzwi i czekał. Jego uwagę przyciągnęła osa na szybie zamkniętego okna. Uśmiercała się sama uderzeniami o niepojętą niewidzialną przeszkodę. Gdyby nie było nauczyciela, Lipka by ją wypuścił.

Kierownik zachowywał się, jakby był w gabinecie sam. Patrzył przez okno, nie wiadomo na co. W ciągu piętnastu minut wypowiedział jedno słowo. W tym słowie było coś tak ciężkiego, że chłopca przejął strach. Włókł się potem korytarzem, a niewidzialny pancerz uciskał mu piersi.

Przed drzwiami do klasy naszła go chęć, żeby wrócić. Zrobiłby to, gdyby nie to jedno słowo, do tej pory unoszące się w pustej przestrzeni:

– Odejdź!

Zrozumiał, że nauczyciel mu nie przebaczył. Że tylko chce być sam i coś sobie przemyśleć.

Przemyśleć!

Żyłasta dłoń, swobodnie oparta o ramę okienną, wystukuje gorączkowe allegretto.

Złożę podanie o przeniesienie. Sam inspektor mi to proponował.

Tkwi tu pan już za długo, panie kolego, czas znaleźć sobie coś lepszego.

Co może wiedzieć inspektor o żelarskiej szkole! Co może wiedzieć o daremnej, przeklętej pracy w górskiej wiosce!

Ma pan tu wzorową dyscyplinę, panie kolego.

To jedyna rzecz, którą tutaj zaprowadził swoją ciężką harówką.

Przy drzwiach stoi Vratislav Lipka i czeka na bicie.

Może i byłbym zdolny zrozumieć ten jego nieustanny opór. Przed dziesięciu, przed dwudziestu laty.

– Odejdź!

Teraz ma w twarzy coś takiego, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Strach? Przed szkołą ci, którzy nie są katolikami, bawią się w zaklepywanie. Raz dwa trzy, Venca Potuczek, raz dwa trzy, dźwięczy mi w uszach, raz dwa trzy, Helenka Halakova.

To nazwisko zaklepał Vratislav Lipka.

Chuchro Helenka, rachityczny czart. Pyskata, nieznośna, uważna, genialna. Takich dzieci przez całe życie trafi mi się może kilkoro.

I o sześć lat starszy, o dwie głowy wyższy, chorobliwie nieśmiały Vratislav.

Do gabinetu dotarł z klasy zawodzący ton *Ojciec Nasz*, a po nim hałas skończonej lekcji. Plac przed szkołą staje się skrzyżowaniem dróg. Razem z pierwszą grupką dzieci wypadł ze szkoły Lipka. Ruszył prosto na zbrocze. Głośno pogwizduje. W ten sposób dziecko, dla którego wróżki u kołyski nie miały ani jednego dobrego daru, kpi ze szkoły, z kościoła, z rodzinnej wsi i z całego świata.

Helenka wychodzi w ostatniej grupie i nawet nie rozejrzy się za Lipką. Tornister na jej plecach porusza się jak skrzydełka żuka.

Dlaczego nie udało mi się jej pozyskać?

Moja chluba przed inspekcją państwową. Zachwycające wyniki, panie kolego.

Pan inspektor, sztywny jakby kij połknął, pochylił się i pogłaskał nastroszone kędziory. Zaszczycił ją pytaniem.

– Masz rodzeństwo?

– Tylko jednego brata – odpowiedziała z powagą i wskazała Lipkę. – Mama wykarmiła nas oboje.

Nauczyciel dostrzegł purpurę nie tylko na twarzy chłopca, ale i na suchych policzkach inspektora.

Wtedy zrozumiał, dlaczego Helenka wybrała Lipkę. Bo był sam. Tak jak ona.

Dziś już dobrze wiem, że nic ich nie rozdzieli. Bo mała Bojarova nigdy nie robi niczego połowicznie. Tak szaleńczo się staram, a mimo to, na miłość boską, przecież jak tak dalej pójdzie, to Lipka skończy w kryminale!

Porozmawiam z Halakovą. Jeśli to nic nie da, pójdę do starego Michała. Albo zrobi z chłopakiem porządek, albo go zatłucze.

Wchodzi ksiądz i szykuje się do przemowy.

Nauczyciel skrzywił się w duchu. Ziarno, które chce siać, nie mogłoby trafić na twardszą glebę.

– Panie kolego, odkryłem nad rzeką urocze miejsce.

Po co to owijanie w bawełnę? W ten sposób nie dotrzemy do istoty rzeczy nawet do wieczora.

– Proszę księdza, wątpię, żeby gdzieś na świecie znalazł się choćby jeden decymetr kwadratowy ziemi, nad którym nie szaleje huragan. Równie dobrze mógłby mi ksiądz wmawiać, że pomiędzy tymi dziećkami znajdę choćby jednego, który nie wygląda jak urodzony szubienicznik.

– No właśnie! – ksiądz promienieje, dumny ze swojej taktyki. Nawet nie wie, jak łatwa jest do przejrzenia. – Właśnie! Najczęściej mylimy się, kiedy chodzi o dzieci. Dziecięca dusza jest jak nierozwinięty kwiat.

Nauczyciel podchwycił z przekąsem: – Chciałbym wiedzieć, czym rozkwitnie Vratislav Lipka.

– Vratislav Lipka zasługuje raczej na nasze współczucie.

– Nie na lanie? Współczucie niech ksiądz zachowa sobie na później. Dzisiaj nie dostał ode mnie w skórę. Bo tego chciał się ksiądz dowiedzieć, prawda?

Ksiądz nie może wytrzymać ciężaru wzroku nauczyciela, zmieszany spuszcza oczy.

Kiedy tak cię widzę przed sobą, bezbronnego, wydanego na pastwę mojego nieprzebranego gniewu...

– Nie biłem go, do cholery!

Oczy księdza omiotły pokój, jakby szukały potwierdzenia.

– Wie pan co – powiedział w końcu pogodnie – Bóg nie mógł wydać na ztratę dziecka, które obdarzył anielskim głosem. Zauważył pan, jak on czysto intonuje?

– Niech go wielebny weźmie sobie do chóru, to od razu zmieni zdanie. Już on się postara tak łobuzować, że będą się księdzu trząść w kościele wszyscy święci.

Ksiądz udał, że nie zrozumiał prowokacji. Lekko się uśmiechnął.

– Dzieci nie rozumieją dostojęstwa należnego domowi Bożemu.

– Do diabła z Vratislavem Lipką! Żeby nie mała Bojarova, już dawno bym sobie z nim poradził. Niech mi ksiądz powie, co tych dwoje łączy!

– Przecież sam pan to wie. Dziewczynka znalazła sobie brata.

Oczywiście, że wiem.

– Postanowiłem rozmówić się z Halakovą.

– Po co? – w tym pytaniu była usilna prośba.

– Po co?! – nauczyciel wyciągnął w jego stronę drżące palce. – Niech ksiądz spróbuje uczyć z takimi nerwami!

Ksiądz patrzy na niego z życzliwym współczuciem.

– A jak to nie pomoże, to pójdę do Michała!

– Tylko nie to! Tego pan przecież nie zrobi!

– Zrobię! – unosi się nauczyciel. I wie, że znowu się cofnie. W jego oczach pojawia się gorączkowy blask.

– Michał go zabije! Lipka i bez tego ma dosyć! Pańskie sumienie...

– Skąd ksiądz wie, że ja w ogóle mam jakieś sumienie? – nauczyciel kpi sam z siebie.

– Niech pan spróbuje po dobroci – nalega niepoprawny samarytanin.

– Próbowałem już wszystkiego. I czuję, że zaraz nerwy rozerwą mi skórę i wyskoczą na zewnątrz.

– Panie kolego – ksiądz chwyta się słomki – przecież ze swoimi uczniami sam pan sobie poradzi!

Nauczyciel się zachnął i – jakby dopiero teraz się zdecydował – ruszył ku drzwiom.

– Nie poradzę sobie!

Wyszedł z gabinetu bez pożegnania. Wydawało mu się, że ksiądz coś za nim wymamrotał. Te słowa dotarły do niego po kilku sekundach.

Vade retro, satana.

2

Droga wzdłuż rzeki jest kręta i wąska. Łokciem zawadza się o skały, a ominąć ich nie można. Rzeka płynie, przedziera się z trudem przez kamienie, przy podmytych brzegach kłębią się wiry. Miejscami cicha, bezdenna, leniwa, gdzie indziej przewala się dziko przez skaliste pierzeje, gdzie woda sięga zaledwie po kostki, a mimo to nie da się przez nią przejść. Kiedy wzbierze podczas wiosennych powodzi, zrywa kładki, podmywa skały, zalewa strome poletka.

Nauczyciel czuje we włosach wiatr i wystawia czoło na uzdrawiający dotyk. Dokoła stroszą się rozproszone, pozlepiane w stadka chałupy. Przysiadły na ziemi jak kwoki z rozpostartymi skrzydłami, pod którymi kulą się zziębnięte pisklęta. Nie ma ulic, a jedyna wydeptana droga prowadzi do miasteczka. Z drugiej strony zagradzają kamienny kościół, postawiony ze zbożnej spuścizny żelarskiego krajana Matousza Szady. To nazwisko widnieje na marmurowej tablicy przy wejściu do zakrystii. Minione lata niemal je zatariły. W pamięci ludzi zatariło się bez reszty.

Kościółek nie mógł sobie wybrać lepszego miejsca. Gdzie indziej jego popękane ściany i przysadzista wieżyczka budziłyby śmiech i pogardę. Tutaj wygląda wspaniale.

Nauczyciel przecina drogę do kościoła i spieszy dalej. Stara się zebrać słowa, które wymierzy w Bojarową, ale nic mu nie przychodzi do głowy. Stuka do drzwi jej drewnianej chałupy i myśli, że wcale by się nie zmartwił, gdyby nie zastał jej w domu.

Ku jego rozczarowaniu drzwi się otwierają.

– Dzień dobry, panie kierowniku, niech pan wejdzie.

– Dzień dobry, pani Halakova.

W końcu jest tu służbowo.

Oczy przywykają do półmroku niskiej izby. Badają twarz kobiety. Kosmyk posiwiałych włosów wymknął się spod ściągniętej chustki i opada na czoło. Zastygłe kędziory Helenki – o pół wieku starsze.

– Pani Halakova, czy pani wie, że pani córka koleguje się z Vratislavem Lipką?

– Wiem, panie kierowniku, pewnie, że wiem, przecież cała wieś o tym wie.

– Pozwala jej pani na to?

– Nie zabraniam.

Nie wytrzymał jej spojrzenia. Uciekł wzrokiem w bok.

– To kolegowanie w niczym jej nie służy. Helenka to inteligentne dziecko, a Vratislav ledwie przechodzi z klasy do klasy. Oprócz tego to okropny łobuz, największy chuligan, niepoprawny nicpoń. To dziecko, które...

Wdowa po górniku patrzy tak srogo, że go to peszy. Przełknął imię Lenki Lipkovej, niezamężnej matki Vratislava, i mówi dalej zmieszany – ...które wyrosło bez ojca.

Nagle uświadomił sobie, że palnął głupstwo. Przecież Helenka też nie ma ojca. Pewnego szczęsnego dnia przewrócił się na niego wóz wyładowany drewnem. Nim zdążył wytrzeźwieć z wiecznego pijaństwa, już nie żył. Po jego śmierci szynkarz przedstawił Halakovej rachunek, a ona go zapłaciła, chociaż musiała zastawić chałupę. Od tej pory jej maszyna do szycia śpiewa na dobranoc całym Żelarom.

Nauczyciel nie widzi zaciśniętych, zziębłych palców, którymi drobna kobieta chce stłumić swój niepokój. Widzi tylko nieruchomo skrzyżowane ramiona. Ten spokój budzi w nim obawę. Czy ma prawo wymagać czegoś od tej kobiety, od której życie i śmierć wymusiły już tak wiele? Za każdym razem, kiedy zły rok wyrwał w cementarnej ziemi rządęk małych grobów, zawsze w jednym z nich leżało dziecko Halaków. Sześć razy ten sam ból próbował zaryglować się za zamkniętymi ustami. Za siódmym razem dał za wygraną. Helenka dostała dyfterytu, ale nie umarła. Kiedy pijany, zapłakany ojciec kazał dzwonić na pogrzeb, kiedy wszyscy już stracili wiarę, matka chwyciła swoje ostatnie dziecko na ręce i pobiegła do miasteczka.

Lekarze wzruszyli ramionami.

Jedyną osobą, która miała odwagę walczyć, była sama Helenka. Kurczowo uczepliła się cienkiej nitki, która wymykała jej się z rąk. Małe serce wygrało walkę. Ze szpitala wróciła sama skóra i kości, ale wszyscy wiedzieli, że właśnie urodziła się nowa Bojarova.

Nauczyciel mimo woli porównuje nieruchomą twarz matki z zaciętą twarzą dziecka.

– Pod wpływem Lipki Helenka staje się krnąbrna, nie trafia do niej dobre słowo.

W tym zdaniu jest coś śmiesznego i Bojarka uśmiechnęła się ledwie widocznie.

– Chyba raczej na odwrót, panie kierowniku.

– Niech sobie pani uświadomi, że z Lipki rośnie chuligan, awanturnik, nic dobrego... – przerwał. W jednej chwili wyrósł między nimi ocean. Przestali się widzieć.

– Kto z nich jest lepszy, panie kierowniku?

– Są jak wilki! To okropne! Słowo, bicie, wszystko jak groch o ścianę! Pani ich nie zna tak jak ja.

Bojarka znów się uśmiechnęła, a kiedy potem już od niej wyszedł, przypomniał sobie ten uśmiech i dostrzegł w nim wyrozumiałość.

– Znam, panie kierowniku, niech mi pan wierzy, że znam. Przecież to są moje dzieci.

Nauczyciel nie wie, dlaczego mu się nie udało.

Wraca wzdłuż rzeki i wydaje mu się, że wizyta u Halakovej odbyła się kiedyś dawno, przed laty. Pamięta ją niewyraźnie, w dziwnym bezruchu, razem z zapachem przywiędłej szafwii suszącej się w oknie.

Nie żałował niepowodzenia wyprawy. Może ta niepozorna kobieta zna jakąś cudowną tajemnicę, której on dotąd nie poznał, bo przecież nie mogłaby założyć rąk z takim spokojem, gdyby wiedziała, że o córkę musi się bać.

Skręcił w pierwszą ścieżkę w górę zbocza. Pod stopami wzmaga się wiatr, w oskrzelach mu gwizdże, serce bije jak wieczorny dzwon. Idzie dalej, przepełniony szyderstwem z własnej starości.

Śmiertelnie zmęczony siada w ostatniej ławce w pustej klasie, w której pachnie trochę lasem, a trochę rozkruszoną kredą, bez ruchu wpatruje się w poczerniały krzyż, ręce ma złożone jak do modlitwy.

Co Ty, Boże, wiesz o moich dzieciach!

3

W duszy pustka. Serce bije cicho, niemal ociężale, na mile wokół jest pusto i martwo.

Móc tak bez snów przedzierać życie, w słodkim omdleniu i wyczerpaniu, móc patrzeć i nie widzieć, słuchać i nie słyszeć, odczuwać świat tylko jednym zmysłem, któregośmy przedtem nie mieli, a który obudził się w nas wtedy, kiedy w głowie jest pustka, a w piersiach wciąż coś tyka...

Światło i ciemność ocierają się o moje ręce, pomieszczenie pełne jest siwych plam. Rzeczy tracą kształt, poruszają się i wirują, dębowe ławki, obrazy, piec. Kołyszące falowanie zataczających się ścian.

Zachodzące słońce dźgnęło nauczyciela w oczy. Przymknął powieki.

Przyszedł pan zakopać się tu żywcem, powiedział mi poprzedni kierownik, kiedy podawał mi rękę, a potem machnął nią w kierunku dziurawych chałup, w których za kominem siedziała bieda. Przeklinał wieś drętwym głosem, który już dawno zatracił miękkie rejestry i świszczął jak północny wiatr.

To jest miejsce zsyłki dla skazańców. Kiedyś spróbuje pan stąd uciec – i nie uda się panu. Rozkaszał się. To miał być śmiech.

*Żelary, Żelary,
dworze odumarty...
Siostry moje białe,
białe ręce miały
ach, białe ręce miały.*

Wiesz, której nie ma na żadnej mapie. Kiedy tu stał jakiś dwór?

Ta pieśń została przez kogoś ułożona, nie ma wątpliwości, ale nie pasuje do tej wsi, ani trochę nie pasuje, a jest to bardzo stara, długa ballada o miłości i o krwi, którą zapisał ten, kto tego wszystkiego nie przeżył.

Z chałupami na stromych zboczach łączy ją tylko nazwa. Nic więcej. Kiedy zbliżałem się do wsi drogą z miasteczka, nad okolicą wisiało sierpniowe słońce. Chałupa, kawałek lasu, chałupa. Psy i koty przebiegały mi drogę, meczały gdzieś niewidzialne kozy, ale człowieka nie dojrzałem. W poczerwieniałym, gorącym piasku nie było ludzkich śladów. Martwo, ale nie cicho. Nieprzerwany szum, szarpany przez wiatr. Zacząłem rozpoznawać w nim dwa głosy, które rozlegały się gdzieś wokół mnie. Jeden wysoki i bliski, drugi ciemny i daleki. Nie rozumiałem ich, ale nie miałem wątpliwości, że rozmawiają o mnie. W jakiejś proroczej chwili było mi objawione, że błądzę po cudzym królestwie, że za chwilę zacznę się potykać o korzenie, które jak żywe ręce wychyną z ziemi, żeby mnie chwycić i spętać.

Pierwsze głupstwo zrobiłem, kiedy na drzwiach umieściłem karteczkę z nazwiskiem. Przecież jeszcze zanim zapadł wieczór, każde dziecko wiedziało, że przybył nowy kierownik szkoły. Po co wmuszać wsi dwa zbędne słowa. Ale tabliczkę na drzwiach zostawiłem. Kiedy ją czytam, mam wrażenie, że przychodzę do obcego człowieka.

Nazywa się Zdeniek Tkacz.

Żelarskie dzieciaki powtarzają to nazwisko ze złośliwymi uśmieszkami, szturchają się, jakby odkryły jakiś mój sekret. Stary kierownik chmurzył się, kiedy mi o nich opowiadał. Niech pan będzie dla nich surowy. To jest moja pierwsza i ostatnia rada. Patrzył trochę obojętnie, trochę drwiąco. I znowu zaniósł się kaszlem. Pokazywał mi puste szkolne mieszkanie – chyba nigdy go nie urządził – i stukał kościstymi palcami w ścianę. Niech pan to każe naprawić. Mnie było wszystko jedno.

W kuchni stało żelazne łóżko z dwoma zielonymi wojskowymi kocami, parę krzeseł, wieszak, półka, stół.

Chce pan to zatrzymać? Przytaknąłem. Otworzyłem skrzypiące okno i wyrząłem na zarośnięte chwastami podwórko, za którym ciągnął się łysy pas ziemi, pewnie ogródek. Obserwował mnie.

Dlaczego pan wziął tę posadę?

Pytał, jakby mi w tym samym czasie proponowali urząd ministra.

– Trzy lata pracowałem jako agent ubezpieczeniowy.

– Ach tak!

On tu przyszedł za karę. Zapominał przed lekcjami odmawiać modlitwę.

Z tym nie będzie pan miał kłopotu, odpowiedział na moje spojrzenie. Zrozumie pan, jak pozna księdza. Żelary są katolickie, za to cała okolica to ewangelicy. I żadnych zatargów. Wiosną i jesienią niektórzy zatrzymują dzieci w domu, na to niech pan nie zważa. Kopiał jamy pod ziemniaki, zwożą siano i takie rzeczy. Tylko gdyby posłali dziesięcio-, dwunastoletniego dzieciaka gdzieś na służbę, niech pan to zgłosi żandarmom. Po jakimś czasie sam pan sobie z tym poradzi.

Usta ściągnęły mu się (drwiną?) jak suszona śliwka.

Kiedy się żegnaliśmy, powiedział mi stąd, ni zowąd: – Na pewno pana zdziwi, że byłem żonaty. Ale owdowiałem, i to był mój koniec. Życzę panu więcej szczęścia. – Z wahaniem dodał: – Niech pan uważa, żeby nie zacząć pić.

Wieczorem siedziałem na wojskowym łóżku i patrzyłem przez otwarte okno, z którego docierał do mnie wilgotny oddech lasu. Myślałem o tej, przez którą przyjąłem tę pracę. Nagle odezwały się organy. Melodia się zakołysała, razem z nią współbrzmiał dźwięk przypominający dalekie echo gromów. Słuchałem tak, jak ziarnko piasku nasłuchuje szeptu traw. Moje zapalczywe serce wypełniał kipiący spokój.

W taki sposób zetknąłem się z żelarskim księdzem.

Następnego dnia zobaczyłem szczupłą twarz i uśmiech, jakiego dotąd nie widziałem na twarzy mężczyzny. Unikałem jego wzroku, nie mogłem się z nim zmierzyć. Wypytywałem go o tę ziemię.

Piękna ziemia, panie kierowniku.

Pytałem o mieszkańców wsi.

Dobrzy ludzie.

Zirytowało mnie to i od tej chwili nim pogardzam.

Kiedy wszedłem do klasy, dzieci wstały, jak były nauczone.

Czyhają na każdy mój ruch.

– Co tam masz w ręce? Tak, ty!

– Nóż.

– Daj go tutaj.

Spojrzał na mnie wyzywająco. Wykręciłem mu rękę. Nie pozwolę się ośmieszyć. Będę zły.

Moje studenckie sny turlają się daleko ode mnie jak koraliki, których z tej zapuszczonej podłogi już nigdy nie pozbieram. Nie płaczę po nich. Jestem twardy, przebojowy, młody. Pragnę zadziwić świat, rzucić się do walki z wiatrem między niebem a ziemią.

Albo rozsiać swoje siły po jałowym polu jak szalony gospodarz. I wszystko przez to, że ta, na którą czekałem, nie przyszła.

Na początku wierzyłem w niekompletną wyprawę i chorą matkę. W banalnej sytuacji człowieka oszukanego zachowywałem się niezręcznie i niezgrabnie, jak nowicjusz. Miotalem się jak motyl, który nie wie, że już został przyszpilony.

W końcu powiedziała to jasno i wyraźnie. Zmusiłem ją do tego. Moje jedyne życiowe zadośćuczynienie.

Kochaś, na którego mnie wymieniła, miał sklep z galanterią i łysinę.

Nie, tego nie chcę. Ale moje uszy zmieniają się w muszle, w których dzwięczy huk dawnych fal.

Z wioską zaznajomiłem się poprzez serię groteskowych sytuacji. Najpierw poznałem Vilema Svojsika. Wyszedł z karczmy, na moich oczach zatoczył się na jakąś dziewczynkę i ściał ją z nóg. Upadła na ziemię. Zatrzymał się nad nią, jakby chciał ją kopnąć. Prześlizguje się po mnie ciężkimi oczyma, powoli, powolutku zaczyna rozumieć.

Gniew, który naprężył mi ramiona, mógł się rozładować jednym uściskiem. Ale mężczyzna się broni. Zmusza mnie do bójki. Nic nie widzę, nic nie słyszę, nie zważam na to, że zbiega się tu cała wioska. Okładam go jak szmacianą lalkę, aż w końcu upadł przy moich nogach.

Najlepszy sportowiec na roku, panie i panowie, w ćwiczeniach na drążku nie do pokonania. Żelary patrzą na upadek Svojsika obojętnym wzrokiem.

Ta szczypta uznania nie jest warta jednego słowa.

Potem zdarzyło się coś niewiarygodnego. Odrzucone, zapomniane dziecko przykuca przy leżącym ciele, próbuje je podnieść, ciągnie za rękę.

Pijak wstaje i wspiera się na niej. W twarz uderzyły go pokryte pyłem warkocze.

Następnego dnia Svojsik czeka na mnie przed szkołą. Jest wypucowany, ogolony, świąteczny i nienaturalny. Wszystko jest w nim wypożyczone, jakby z kiepskiej komedii, głos, ruchy, mowa.

– Niech się pan na mnie nie gniewa, panie kierowniku... Byłem pijany.

Siniaki na jego twarzy mają zielonkawę obrzeża.

– Mnie nic do tego, że się upijacie.

Spojrzał na mnie z wyrzutem. Zrozumiał, że nie chcę zgody.

– Głupio zrobiłem.

Porusza pokrytymi plamkami policzkami, śmieszy mnie to, a jednocześnie przyprawia o złość. Nienawidzę go i nic na świecie mnie z nim nie pogodzi. Lubuję się jego zakłopotaniem.

– Panie kierowniku, naprawdę. Niech mi pan wybaczy.

Patrzcie no, jak Żelary potrafią przepraszać. Ale we mnie wszystko się gotuje. Mam ochotę roztrzaskać mu gębę. Chciałbym go poniżyć, rozdeptać, zabić! Wszystko w nim wzbudza we mnie wstręt. Pochylone ramiona, zapadła klatka piersiowa, drobne ranki po tępej brzytwie, obrzydzeniem napawa mnie jego toporne uniesienie.

Kiedy pomyślę o dziecku, które wczepiło się w jego przepocony kołnierz, podczas kiedy ja, szalony rycerz i śmieszny bohater, stałem z boku i tylko gapilem się tępo... Nienawidzę go, nawet gdyby mi przyniósł w darze własne życie. Nigdy nie zapomnę jej: „Wujku Vilemie” i jego: „Lizo”!

Ja nie istniałem.

– Sprawa między nami jest załatwiona, panie Svojsik.

– Jeśli tak, to z Bogiem.

Odchodzi. Tego się nie spodziewałem. Dla mnie akt tej sztuki jeszcze się nie skończył. Odchodzi, wiatr mu wydyma koszulę i modeluje na plecach garb.

Po raz trzeci spotkałem się z Vilemem w karczmie. Stałem w drzwiach jak zagubione koźle, bo wszystkie stoły były zajęte.

Svojsik mnie zobaczył, podniósł się i oddał mi swoje krzesło. Wylał siedzenie czystą chustką do nosa.

Dla siebie przyniósł z kuchni stołek i przysiadł się z boku. Siedzieliśmy tak ciasno obok siebie, że dotykaliśmy się ramionami. Najpierw chciałem tylko zjeść kolację – parówki z musztardą i czarny chleb, ale w końcu siedziałem w tych duszących oparach aż do północy.

Patrzyłem na czarną głowę Vilema, na jego kształtne ręce z niezmywalnymi gwiazdkami górniczego pyłu na skórze, słuchałem jego suchotniczego głosu, który dźwięczał jak zużyta okaryna.

Vilem pił mało, nie chciał się przy mnie upić. Pozostali nie przejmowali się tak bardzo.

Leją w siebie przepalankę, hałasują, śmieją się krzykliwie. Na pewno będą mi schodzić z drogi, kiedy się jutro spotkamy. Powoli poznaję ten straszny spadek, który zostawił mi mój poprzednik – pełen nienawiści starzec, zawzięcie samotny i dumny.

Nie zamierzałem prowadzić jego walki – a przecież już zacząłem to robić.

Zażarta wrogość, którą poznałem u dzieci, była tu zjawiskiem powszechnym.

Zakładam cudzą kapotę, która jest na mnie za ciasna i wrasta mi w ciało. Zaskrzybiały drzwi i wzrok Vilema zaklinował się w szczelinie, z której powiało na nas chłodem.

– Kto to jest?

– Inżynier Szelda.

Nie kryłem zaskoczenia. Wyrobnik, pijus, hazardzista.

– Ojciec Lizy?

– Tak.

– Patrzy na nas. Pójdę się z nim poznać.

– Z Szeldą? – zrobił taki ruch, jakby chciał mnie powstrzymać.

Idę, zataczając się między stołami, najchętniej rozprostowałbym kości gdzieś na dworze.

– Jestem nowym kierownikiem szkoły. Tkacz.

Inżynier ścisnął moją rękę i zatrzymał na mnie wzrok, w którym widać było nietajoną ironię. Patrzył na mnie jak na psa, który służy na dwóch łapkach.

– Nazywam się Szelda.

Poczerwieniałem na twarzy. Szelda mierzył mnie obojętnym wzrokiem, nie ukrywał, że go nudzę, a ja dukałem puste frazy, które służą nawiązaniu znajomości. Byłem cały mokry, kiedy w końcu wybełkotałem: do widzenia.

Na korytarzu załomotała czymś sprzątaczką. Nauczyciel wstał i podszedł do tablicy. Jest zziębnięty, chociaż na zewnątrz jest duszno i gorąco. Na czole ma krople potu.

Spłoszony jak dziecko przyłapanie na jakimś wybryku, gorączkowo zastanawia się, czym usprawiedliwić swoją obecność w klasie przed babą, której to wcale nie obchodzi. Wyciągnął ze stołu parę starych zeszytów i udaje, że je poprawia.

Stara kobieta hałasuje na korytarzu, czasem jej kroki przybliżają się, czasem oddalają, nauczyciel zbliża się do końca udawanego zajęcia, ale nie ma cierpliwości zacząć jeszcze raz. Z całej siły ścisnął brzeg katedry, ból w ręce promieniował dziwną ulgą.

– Dobry wieczór, panie kierowniku.

– Dobry wieczór, pani Svojsikova. Już kończę.

Jakby był jej winien jakieś wyjaśnienia.

– Muszę jeszcze zajrzeć na plebanię.

Co ja wygaduję?

Jeszcze nie zdążył tego powiedzieć, a rzeczywiście zapragnął zobaczyć księdza, którego twarz przypominała mu, Bóg wie dlaczego, stary jedwab.

Svojsikova odstąpiła zęby w przymilnym uśmiechu.

Odwrocił się. Nie dlatego, że obrzydzeniem napawała go poźółkła cera, którą czas zmacerował na pergamin, by mogły się na niej odcisnąć różne dziwaczne rysunki. Odwrócił się od kłujących wspomnień. Pomieszczenie było aż po sufit przepełnione obecnością szwagra tej kobiety, po którym na żelarskim cmentarzu pozostał tylko zapadnięty grób.

Dawno temu patrzył prosto w światło gromnicy, która pochłaniała resztki wosku z policzków Vilema.

Wydawało mu się, że umiera zbyt ociężale.

4

Nad lasem pęcznieje słońce i niemal niezauważalnie przesuwa się pomiędzy gałęziami, które zdają się powstrzymywać je od upadku.

Parowy wydychają rozrzedzone wieczorne opary.

Żelary, Żelary,

popielate skały...

Białymi rękoma włosy rozplatały,

ach, włosy rozplatały.

Liza Szeldova umiała zaśpiewać tę piosenkę tak, jakby płynęła z samej duszy.

Kiedyś dawno – Liza Szeldova, dziś – Vratislav Lipka.

Oboje mają słuch absolutny.

Matousz Szada dał nazwę powstającej wsi. Od jego nazwiska miasteczko nazwano Szadową Hutą. Miasteczko ze słynną odlewnią stali, wybudowaną obok kopalni węgla. Przed milionami lat rosły tu dziewicze lasy.

Co było tu przed paroma wiekami? W miejscu, gdzie teraz stoi kościółek, wykopano ludzkie kości. Dawno, jeszcze przed górnikami, chodził tędy ktoś inny. Ludzie rozrzucili swoje siedziby na zboczach i nie zadawali pytań. Boją się demonów tak samo, jak ich ojcowie.

Mnie się te demony nie zjawiały. Zjawiały się inne. Wyczułem ich obecność, kiedy dotknąłem wilgotnej, zimnej ręki czarnego Vilema. Wierzył w moją przyjaźń i wmusił mi kawał swojego życia. Uczynił mnie świadkiem chwil, które należały tylko do niego.

I podszedł mnie swoją śmiercią.

Pozyskał mnie do roli przeznaczonej dla świętego.

Pewnego dnia posłał mi przez ucznia Kratochvila list, że zabije Lenkę. Obracałem w rękach ten świstek papieru jak otumaniony. Poszedłem do sklepiku Lenki Lipkovej, bo była to jedyna Lenka, jaką znałem.

Trzęsła mi się ręka, kiedy chwytałem za klamkę, z trudem otworzyłem drzwi. Już w sieni zobaczyłem leżące na ziemi ciało. Biała koszula, biała twarz, kruczoczarne włosy.

Vilem.

– Co się stało?

– Dostał krwotoku. Babcia pobiegła po Luckę.

Pochyłam się, biorę Vilema za rękę. Tętnica pulsuje. Ale powieki są niebieskie jak liście ziemowitów na jesiennych łąkach.

Potem dwa miesiące leżał na poddaszu, które przeciekało, a ja, po trzykroć szalony, przesiadywałem przy nim jak matka. W tym czasie Żelary już trzęsły się od plotek o Lence od Lipków. Powtórzyłem mu, co się o niej mówi.

– To będzie moje dziecko.

Namacał moją rękę, jakby się bał, że nie uwierzę. Uniósł się na skotłowanym barłogu, straszne, kościste monstrum.

– Niech ją pan przyprowadzi.

– Kogo? Lenkę?

– Proszę, na miłość boską!

Tego wieczora, który wydawał mi się tak duszny, jakby rodził się w nim strach całego świata, zapukałem do Lipków.

– Chce cię widzieć, Lenko. Umiera.

Prowadzę ją przez zmrok i trzymam za rękę. Ma dopiero siedemnaście lat. Otworzyłem drzwi od poddasza i zostałem na zewnątrz jak stróżujący pies.

– Vilemie.

Tylko to słowo usłyszałem wyraźnie, a potem już nic.

Za trzy tygodnie urodził się Vratislav Lipka, a Lenka umarła tego samego dnia. Była przy niej tylko Lucka Vojniczova. Ubrała ją w swoją białą sukienkę od komunii. Dziecko zawinięte w dwa ręczniki zaniosiła do Bojarovej, która jeszcze leżała po ciężkim porodzie, i położyła jej na piersiach.

Wchodzę po skrzypiących schodach na brudne poddasze. Nazywam je tak z przyzwyczajenia. Właściwie jest to kawałek strychu z okienkiem w dachu.

Ostatnio coś mi się wydaje, że Vilem wraca do zdrowia.

Nie wie o niczym. Dzięki Bogu.

– Panie kierowniku, ja bym chciał napisać ostatnią wolę.

– Po co? Nie jest z wami tak źle.

Uśmiecham się niemądrze.

– Ja wiem, że ze mną już koniec. Niech pan to napisze, bardzo pana proszę, bo nie będę miał spokoju. W garniturze, wisi tam na belce, mam srebrny zegarek. Niech pan sięgnie wyżej, jest tam książeczka oszczędnościowa. I pudełko z muszelek.

Znoszę mu jego majątek, układam na brudnym kocu. A potem piszę: na jedyną spadkobierczynię wyznaczam Lenkę Lipkovą.

Ręka mi zadrżała.

– Napisał pan?

– Tak.

– Ilu na to trzeba świadków?

– Dwóch.

– Muszą się podpisać?

– Tak. Znajdę kogoś, skoro chcecie, żeby to było jeszcze dziś.

Vilem nic takiego nie powiedział, ale poczułem, że brak mi powietrza. Zbiegam po schodach, jakby jeszcze mogło być na coś za późno. Testament Vilema może podpisać tylko dwoje ludzi, ja i babka od porodów, Lucka Vojniczova. Skinęła głową, kiedy powiedziałem, o co chodzi.

Z poddasza dobiegł krzyk. Svojsikova wpadła tam przed nami. Patrzy pożądlivym wzrokiem na skarby na kocu Vilema. Zawodzi i wyje.

Vilem milczy.

Popatrzył na Luckę. Mnie nie widział. Jakbym przestał istnieć w obecności tej drobnej kobieciny. Kiedy przy nim przysiadła, przytulił się do jej rąk i wybuchnął płaczem. Patrzyła ponad jego głowę kamiennym, niewidzącym wzrokiem.

– No tak, Vilemie.

Musiałem usiąść.

Normalnie nie miewam zawrotów głowy.

– Dlaczego ona, dlaczego właśnie ona? – Vilem uderza głową o rękę Lucki.

Svojsikova znowu zaczęła zawodzić.

Powtarzam sobie, że odczekam dwie minuty, a potem zrzucę ją ze schodów.

Vilem podniósł głowę. Odezwał się tylko do Lucki, jakby nie było tam nikogo oprócz niej.

– Dajcie to wszystko dziecku.

– Dobrze, Vilemie.

To znaczy, że syn Vilema dostanie, co mu się należy, nawet gdyby ta baba stanęła na głowie.

– Jak ma na imię?

– Bratislav.

– Bratislav?

Vilem posmutniał.

Spojrzałem na książeczkę oszczędnościową. Była warta osiem tysięcy – tyle co jedno ludzkie życie.

5

Nauczyciel dotarł do plebanii. Zaskoczyło go, że jest już u celu. Patrzy na popękane ściany, jakby tuż przed nim wyrosły z ziemi.

Nagle odniósł wrażenie, że znalazł się w samym środku legendy, którą uważał za kompletną bzdurę. Jakby teraz jemu, tak jak niegdyś brzuchatemu kowalowi, objawiła się kobieta-pokutnica, idąca w deszczowym całunnie przez spustoszoną dolinę. Wzdłuż dróg wznoszą się szubienice, a zwęglona belka jeszcze dymi. Dudnienie kopyt, które wzburzyło powietrze, nigdy nie ucichnie.

Powiada się, że kiedyś wszystkich mieszkańców Żelar wybito co do jednego. Przystępstwa, za które ponieśli karę, są omszałe: to historia zbójników, którzy za nic mieli pańskie rozkazy i boskie prawa, poważyli się naruszyć uswięcony porządek rzeczy, wzgardzili łaską i poszli na rzeź jak bydłota.

Pokutnica w szarym zawoju kroczy po zboczach, a widzi ją jedyny człowiek, któremu tusza nie pozwala paść na kolana. Patrzy jej w twarz i rozpoznaje ją. Maria Magdalena.

Kościół pod jej wezwaniem jest katolicką wysepką w tej kacerskiej ziemi.

Można wątpić w ten cud, który się stał przed wiekami. Ale nie można wątpić w cuda, których teraz siłą swojej pokory dokonuje tu samotny ksiądz.

Żelarskiego proboszcza szanują także niekatolicy.

Szóstego lipca, kiedy na skałach płoną ognie, zgromadzone tłumy śpiewają z rosnącym wzruszeniem:

*Stos już zapłonął hen na brzegu Renu,
tam dalekiego kraju ginie syn,
a wokół niego zastęp niecných mnichów
bluźnierczym śmiechem czci haniebną czyn.
Ten, kto umiem w ogniu, to Mistrz Jan,
jego śmierć Czechom wieczną chwałę da.*

Proboszcz siedzi w ogródku, patrzy w ciemność, biczowaną smagnięciami ognia, i nasłuchuje.

Czasem siada do organów i gra melodię tej bluźnierczej pieśni.

Nauczyciel postawił stopę na popękany schodku. Mignęła przed nim czarna spódnica.

– Ksiądz proboszcz jest w ogrodzie. Mam go zawołać?

– Nie, pójdę do niego.

Tego spotkania nie pragnął. Nie uprzedzał się do ludzi, ale obecność na plebanii Zuzanki Gorczykowej wprawiała go w rozdrażnienie. Irytował go już sam jej wygląd. Od śmierci męża nie zdjęła żałoby, nigdy nie widział jej inaczej niż w czerni. Wysoka, szczupła, ze ściągniętą twarzą – przypominała średniowieczne malowidło. Promieniowało z niej dostojeństwo królowych, idących na miejsce kaźni.

Przed kilkoma laty wzburzyła całą wieś. Przeprowadziła się tu z doliny za Markiem Gorczykiem, a za nią ciągnęło się ojcowe przekleństwo. Marek wkrótce się z nią ożenił, ale do pojednania nigdy nie doszło. Ślub bowiem odbył się nie w ewangelickiej świątyni ich przodków, ale w kościele katolickim. Była stracona dla wiary.

Kiedy po niespodziewanej śmierci Marka pojawiła się na plebanii jako gospodyni, wszyscy widzieli w tym następną nieprzyzwoitość. Zuzanka była wtedy w ciąży. Po kilku miesiącach jasnawłosej kobiecie urodził się pogrobowiec – dziewczynka o włosach czarnych jak smoła.

Zagadką jest, dlaczego tak to zbulwersowało wieś, choć przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie łączyłby Gorczykowej z księdzem – w końcu maluchy księży „wujków” były tu przyjmowane ze zrozumieniem.

Klucz do tej zagadki krył się w twarzy Zuzanki, zwłaszcza w jej wielkich niebieskich oczach. Były wyniosłe, harde, nie dopuszczały zbliżenia.

– Zostanie pan na kolacji, panie kierowniku?

Pokręcił głową. To wątpliwe zaproszenie wzbudziło w nim niechęć.

Idzie po ścieżce wysypanej cynamonowym piaskiem. Rozgląda się.

Nigdzie w okolicy nie ma takiego ogrodu. Ksiądz haruje tu jak wół od wiosny do jesieni. Plony zbierają bez cienia wyrzutów sumienia jego uczniowie. Plebania lśni czystością, ale jest to miejsce pozbawione ciepła. Wdowa mogłaby być jego źródłem równie dobrze jak figura nagrobna.

Jedyną osobą, która nic sobie z tego nie robi, jest mała Marketka. Podskakuje wokół księdza i płacze mu się pod nogami, przekonana, że to on ma uważać, żeby się nie potknąć. Zobaczyła nauczyciela i schowała się za krzakiem agrestu. To tylko dziecięca kokieteria i skłonność do zabawy, nie strach.

– Dzień dobry.

Marketka podeszła zawstydzona, przeginając się na jedną stronę. Złapała księdza za nogawkę. Wytarł ręce w chustkę do nosa i pogłaskał ją po włosach.

W nauczyciela bez żadnej przyczyny wezbrała żółć.

– Przyszedłem się wypowiadać – powiedział i sam zdziwił się swoim słowom.

Ksiądz nie roześmiał się ani nie rozgniewał. Patrzy spokojnie prosto w rozbiegane oczy, które zaczynają płonać.

– Pańskie serce nie jest dość pokorne, żeby mogło unieść pokutę. Ja nie jestem dla pana odpowiednim księdzem.

Tak otwarcie.

Jakby czytał w duszy choleryka i przewidywał jego reakcję.

– Znienawdziłby mnie pan, gdyby teraz powierzył mi choćby jeden ze swoich grzechów.

Słowa księdza brzmią łagodnie, są pełne miłości, niosą ukojenie.

Są też nieustępliwe.

Zdeniek Tkacz milczy. Oniemiał.

– Cokolwiek chciał mi pan powiedzieć, niech to poczeka do jutra.

Jutro, to znaczy nigdy.

A więc tak łatwo odkryć, że wcale nie chcę się spowiadać, że tylko chcę walić gdzie popadnie, bo inaczej strawi mnie niszcząca pogarda, jaką mam dla siebie?!

Ksiądz nie zamierza być moją tarczą. Z szacunku do mnie – czy do siebie samego? Nauczyciel czuje, że musi zrobić coś, za co mógłby siebie przeklinać. Musi się to stać w najbliższych sekundach, natychmiast. Walczy ze słowami, które cisną mu się na usta.

– Racja. Brakuje mi pokory. Moje przewinienia są jak wierne psy. Przywykłem do nich. – Teraz jeszcze splunąć. – Zazdroszczę księdzu tej czystej duszy.

Marketka gapi się z półotwartą buzią. Żywe źródło mojej zjadliwości.

– Myli się pan – mówi ksiądz cicho, nieporuszony, niedotknięty.

– Może i tak. Przecież nawet święci grzeszą codziennie. Zdaje się, że siedem razy.

– Nie to miałem na myśli.

Dziecko przysłuchuje się w skupieniu, przenosi wzrok z jednej twarzy na drugą. Jaki pojedynek prowadzimy tu ze sobą, księżo proboszczu? I co będzie wygraną?

Wokół pachną róże i najwyższy czas przestać.

Ale słowa już się usamodzielniały, niepowstrzymane rwą się dalej.

– Mimo to zazdroszczę księdzu. Modlitw, których Bóg wysłuchuje.

– Powtarzam panu, że pan się myli, kolego. – Kolego? Dlaczego nie synu? – Z nas dwóch ja jestem większym grzesznikiem.

Głupi żart? Czy może przejął batutę, żeby narzucić mi swoją melodię?

– Przeciwno któremu przykazaniu ksiądz zgrzeszył?

– Naprawdę chce pan wiedzieć?

– Tak.

Oczywiście, że nie chcę. Nie chcę tego wiedzieć za nic w świecie!

– Zgrzeszyłem przeciwko piątemu przykazaniu. Bez wahania.

To musi być żart. W końcu sam się o to prosiłem.

Wisielcze poczucie humoru.

Bo piąte przykazanie mówi: nie zabijaj.

6

Zapada zmrok. Z doliny unosi się puch i zmierza do nieba. Kilka kilometrów stąd pogwizduje kolejka. Skały bawią się tym dźwiękiem, echo go rozbija i powtarza.

Za horyzontem dymi Szadova Huta, czarna jak cygańskie dziecko.

Nogi nauczyciela same wybrały ścieżkę. Tę, po której najłatwiej iść. Prowadzi do starego młyna. Tak przynajmniej ludzie nazywają tę zawaloną budowlę, którą dawno temu ktoś postawił na mokradłach. Dzieło szaleńca, bo w tej okolicy nigdy nie było niczego do mielenia.

Stary młyn stoi pośród trzęsawiska na przegniłych fundamentach, ściany ma nasiąkłe wilgocią, porowaty dach porósł mchem. Niedostępna kombinacja moczarów, cegieł i roślin bagiennych.

Kiedyś ktoś mi powiedział, że nad starym młynem unosi się dym, ale zbyłem to uśmiechem. Chociaż nie mówili tego ludzie, którzy wierzą w duchy.

Wybrałem się, żeby to zbadać. Nie udało mi się podejść do młyna bliżej niż na cztery metry. Nawet to było ryzykowne. Naokoło mnie kołysała się woda, tylko czekałem, kiedy mi podetnie nogi. Usiadłem na pniu drzewa powalonego przez wichurę, siedziałem tam jak na koniu, a pode mną lśniło czyste lustro, mętniejące za każdym moim poruszeniem.

Bagnisko otaczało młyn ze wszystkich stron. Miałem pod ręką dwumetrową tyczkę, ale nie sięgnąłem dna. Podniosłem do oczu lornetkę. Ruina przybliżyła się, rozpoznawałem na wpół zawalone belki stropowe, które napierały na ścianę i niebezpiecznie ją wyginały. Z podłogi wyrastał jakiś młody pęd, a po nim piął się ku słońcu bluszcz.

Goniły się tam dwie wiewiórki. Dawały pokaz skoków. Przyszło mi do głowy, że obecność człowieka na pewno by je spłoszyła, a przecież z komina, który się cudem uchwycił, unosiło się cienkie pasmo dymu. Czasami wiatr zwracał je w moją stronę, czułem jego zapach.

Obszedłem ruinę – zajęło mi to półtorej godziny – i stwierdziłem, że nigdzie nie ma żadnej ścieżki ani też śladu przejścia, którym mógłby się posłużyć człowiek.

Stary młyn jest niedostępny. Ten, kto zamieszkuje jego wilgotne i niebezpieczne wnętrza (o ile je zamieszkuje), mógł się tam przedostać tylko zimą, kiedy bagnisko pokrywa się warstwą lodu. Teraz jest uwięziony.

Musiałby mieć jakieś zapasy, żeby przeżyć.

Ludzie gadają o Wojcie Zaleszaku, który wrócił z więzienia, po czym zniknął, zaszył się w lasach i od tej pory nikt o nim nie słyszał. Nie dał znaku życia nawet własnym siostram. W tym czasie gajowemu zginęła strzelba. Oparł ją o płot i zaszedł na chwilę do domu, trwało to parę sekund. Najbardziej zadziwiło go to, że pies, który wyrrywającym się głęboko z gardła warkotem zatrzymywał każdego na dziesięć kroków od gajówki, tym razem nawet nie pisnął. Siedział na ziemi i wygryzał sobie pchły.

Kiedy nad starym młynem znowu pokazał się dym, gajowy zgłosił to żandarmom. Patrolowali okolicę, ale do akcji przystąpili dopiero zimą. Nikogo nie złapali, nie znaleźli też w ruinie żadnego śladu ludzkiej obecności.

Patrolowali dalej, dopóki bagna nie rozmarzły. Kiedy się ociepliło, a mury pokryły się delikatną zielenią, do nieba wzniosł się szarobiały opar, komin przebudził się do życia, a wiatr przyniósł woń palonej żywicy i igliwia. Przyjechała komisja ekspertów i oznaczyła zjawisko jakimś łacińskim terminem. Tym samym cała sprawa została zamknięta.

Dymy nad starym młynem unoszą się już ładnych parę lat. Ludzie, którzy wyrosli na tej nasiąkłej przesadami ziemi, omijają to miejsce z daleka.

Na początku nie dawało mi to spokoju. O wszystkich porach roku obchodziłem trzęsawisko jak tropiący pies, próbowałem przebyć je po gałęziach, rzucałem w stary młyn kamieniami, a on połykał je z krótkim mlaśnięciem. Widziałem, jak z jego tajemniczego wnętrza wylatywały dzikie pszczoły, roiły się nad nim, potem obsiadały kłęby zieleni, by po chwili w nich zniknąć.

Wieczorem w starym młynie budzili się nocni łowcy i – mignawszy czernią nad moczarami – przepadali w lesie. Nietoperze wyglądały z daleka jak ptaki. Dochodziły stamtąd pohukiwania sów, głosy dzikich gołębi i turkawek – a kiedyś nawet dziwne wysokie tony, jakby ktoś pogwizdywał. Ten jeden ślad spędzał mi sen z powiek.

Wypytałem ludzi o Zaleszaka, nieujarzmionego syna dzikiego ojca.

Przyszedł i zniknął. Ale to nie wszystko. W czasie jednego dnia i jednej nocy, które po swoim powrocie spędził we wsi, ocalił człowieka, którego tak naprawdę zamierzał zabić.

Szczegóły tego niewiarygodnego zdarzenia zna Lucka Vojniczova.

Nie mam odwagi jej pytać.

Codziennie siadywałem w pobliżu ruiny, która mnie urzekła, obserwowałem wiewiórki, jak skaczą bezmyślnie tu i tam, jakby coś je przyciągało do młyna i jednocześnie od niego odstraszało.

Oprócz tego podejrzanego gwizdania nie zauważyłem niczego, co by mnie zaniepokoiło.

Lucka Vojniczova, wioskowa akuszerka, której ludzie bali się jak wiedźmy, zapuściła się tu kiedyś w poszukiwaniu ziół i przysiadła na chwilę koło mnie. Zalatywał od niej zapach jakichś traw i gorzałki. Na końcu języka miałem pytanie, ale zanim zebrałem się na odwagę, żeby w końcu pozbyć się niepewności, sama zaczęła mówić, nie zważając na to, czy jej słucham.

Mówiła o Pavle Juridze, niezwykle przystojnym mężczyźnie, dotąd jeszcze niezniszczonym harówką ani pijaństwem. Przyszedł na niego ciężki czas. Dzień w dzień tłucze żonę i dzieci i prawi im kazania na temat moralności. Jego małżeństwo, z którego ma pięciu synów, nie jest ważne przed prawem. Jurigova (nikt jej inaczej nie nazywa) jest żoną prostego robotnika Antonina Stacha, manewrowego na stacji w Szadovej Hucie. Od czasu do czasu Juriga uświadamia sobie ten bolesny fakt. Wtedy wyzywa żonę od dziwek, a dzieci nazywa bękartami.

Ni stąd, ni zowąd Lucka spojrzała na mnie swoimi pięknymi, pełnymi melancholii oczyma.

– Musiałam dać mu w pysk.

Wyglądała jak wiązka chrustu. Wyobraziłem sobie przy niej rosłego chłopca.

Mimo to mówiła prawdę.

Pewnie i ja stałbym jak wmurowany, gdyby odwinęła się tą swoją żylastą pięścią. Nie pytajcie, dlaczego.

To prawda, że wielu ludzi wyciągnęła grabarzowi spod łopaty. Wszyscy myślą, że za pomocą czarów. Zdarzało jej się skoczyć pomiędzy rozjuszonych awanturników i od razu był koniec całego przedstawienia. Ale zazwyczaj tylko obojętnie przyglądała się z boku. Ani krew, ani łamane kości nie robiły na niej wrażenia.

Wiele razy zastanawiałem się, czy nie poprosić jej o pomoc. Na przykład kiedy macocha Jindrziszki Judasovej z kijem w ręce goniła swoją pasierbicę naokoło chałupy.

– Panie kierowniku, przecież ten dzieciak całą noc się poci, a ja nic, tylko od samego rana suszę pierzyny!

To był argument.

Jindrziszka umarła na wadę serca.

Jej brat Lojza powtarza drugi raz tę samą klasę i rośnie na złodzieja. Ukradł Varadi nóż, zakopał go w ziemi, a kiedy Varadia, który widział to przez okno, przyprowadził go na miejsce, Lojza wszystkiego się wyparł i jeszcze mu naderwał ucho. W Szadovej Hucie ukradł kilka butelek piwa i bezczelnie poszedł je sprzedać w tej samej gospodzie. Przechytrzył nawet Cyganów, którzy w czasie odpustu rozbili za wsią obóz. Ukradł im jedyną rzecz, która była coś warta – miedziany kociołek na zupę.

Zrobiło się szaro. Nauczyciel dotarł do lasu nad rzeką. Trochę mu nieswojo. Wypatruje prześwitu między drzewami. Dawniej błędził, ale teraz już rozumie mowę wiernej rzeki. Huk się wzmógł, stoi więc nad pierzejami. Tutaj utopił się jego uczeń Marian Skoch.

Niebo nad głową jest ciemnofioletowe. Na polanie, oświetlonej przez księżyc, dostrzegł kilka plam. Nogi same znajdują drogę. Idzie pod górę. Z góry cała ta sceneria ze wschodzącym księżycem i rzeką wygląda jak kicz. Na niebie chmurki, jakby żywcem wzięte ze świętych obrazków.

Kamienną chałupę, dziś schludnie pobieloną, postawił Vaclav Jakubik, wbrew miejscowej tradycji. Dom ma świeżą niebieską podmurówkę.

Kiedyś go wezwałem, żeby się dowiedzieć, dlaczego nie posyła Rozarki do szkoły. Stawił się, ale tak sobie łyknął dla kurażu, że ledwie się trzymał na nogach. Nie bał się mnie, nie bał się też żandarmów, bał się o zarobek swojej dwunastoletniej córki, którą powstał gdzieś na służbę.

– Panie Jakubik, dziecko musi chodzić do szkoły.

– Wiem, przecież Tonda chodzi.

- Mówię o Rozarce.
- Rozarka jest chora.
- Co jej jest?
- Nie wiem, panie nauczycielu, Lucka do niej chodzi.

Lucka – to brzmiało jak zaklęcie.

- Lucka?
- Tak, panie nauczycielu – potwierdził z zadowoleniem. Odczekałem chwilę.
- Niech będzie. Zajrzę tam do was.

Na wykręt nie trzeba było czekać.

- Ale po co, panie nauczycielu?! Moja strasznie się zdenerwuje.

Napotkał mój wzrok i zrozumiał. Potykał się u mego boku i coś prosząco bełkotał.

- Jutro zajdę po pana, panie kierowniku. Jak Bóg na niebie.
- Nie róbcie sobie fatygi, przyjdę dzisiaj. Wiem, gdzie mieszkacie.

Dał za wygraną i poszedł do karczmy.

Nigdy jeszcze nie widziałem tak pustego domu. Piec, a na nim jeden garnek, ława, stół, na ścianie półka z kilkoma talerzami. Jakubikova schowała pod fartuchem ręce naznaczone ciemnymi siniakami. Niepotrzebnie. Takie same sińce miała na twarzy.

- Chcę zobaczyć Rozarkę.
- Jest u ciotki...
- Jakiej ciotki?

Odpowiedziała płaczem.

- No dobrze, pani Jakubikova. Byłoby dobrze, gdyby jutro przyszła do szkoły.
- Przyjdzie.

Rzeczywiście przyszła i chodziła mniej więcej regularnie, aż skończyła czternaście lat. Jeszcze jedno zdolne dziecko, pozbawione szansy.

Po szkole przez dwa lata zmywała talerze na stacji w Szadovej Hucie, a z tego, co udało się jej uratować przed ojcem, kupiła maszynę do szycia. Ojciec przepił ją w ciągu jednej nocy.

Wtedy miarka się przebrała. Obie z matką rzuciły się na Jakubika i zakłuły go widłami.

Jakubikova wzięła wszystko na siebie, a po pół roku umarła w więziennym szpitalu. Napisała stamtąd do córki, że właśnie przeżywa najszcześniejszy czas swojego życia.

Rozarka dobrze zapamiętała lekcję. Kiedy odchowała młodsze rodzeństwo, znalazło się wielu chętnych, żeby przyżenić się do jej chałupy. Przewinęło się paru konkurentów, ale każdego z nich Rozarka w końcu przegnała. Mówią na nią: kochanka, ale nie potępiają jej. Nigdy nie zadaje się z żonatymi.

Żyje sobie jak chce, wolna, zadowolona i według tutejszych pojęć – bogata. Wiele dziewcząt poszłoby w jej ślady, gdyby miały odwagę.

Jest wysoka, puciołowata, z szerokimi ustami w okrągłej twarzy, bujna w piersiach i szeroka w biodrach. Szycie zawiesiła na kołku, teraz ma lepsze zajęcie. Jeździ jako konduktorka w kolejce z Szadovej Huty. Rano zbiera robotników z dalekich zakątków gór, po południu rozwozi ich z powrotem do domów.

Kochanków dobiera sobie sama, przezornie i właściwie. Żaden chłop się jej nie oprze, kiedy uśmiechnie się do niego błyszczącymi oczyma, zanęci go głosem. Jest to głos wszystkich kurtyzan, głos, którym szepczą hurysy w mużułmańskim raj. Tylko kobiety zachodzą w głowę, na miłość boską, co w niej takiego jest.

– Dobry wieczór, panie kierowniku, niech pan wejdzie.

– Dziękuję, Rozarko, może innym razem.

Obok dziewczyny stoi rosty kawaler, robotnik sezonowy z tartaku.

– Frania przywiezie panu parę obrzyneków do palenia w piecu, prawda, Franiu?

Mężczyzna kiwa głową. Jest prostoduszny i życzliwy. Jak Rozarka.

Skosem przez zbocze biegnie łagodnie się wznosząca, piaszczysta ścieżka, utrzymywana w dobrym stanie przez Pavla Jurigę. Koło jego chałupy od rana do wieczora dokazuje stadko dzieci. Tylko dwoje z nich chodzi do szkoły: milczący, zamknięty w sobie Vojta, który nie jest Jurigi (Stachova przyprowadziła go ze sobą, kiedy odeszła od manewrowego) i dobroduszny wiercipięta Slavek.

– Niech pan wejdzie, panie kierowniku.

– Dziękuję, Pavle, może kiedy indziej.

Droga prowadzi dalej do chałupy Lucki Vojniczovej i do starej szopy, która po zadziwiającej przemianie stała się uroczym domem Ženi Liczygroszki, owdowiałej córki leśniczego.

Zapytał kiedyś Liczygroszkę, po co kupuje szopę na płaskiej, ale nieurodzajnej łące. Rozpromieniła się: No przecież dla tego widoku! Rzeczywiście widok stąd jest wspaniały, ale ta decyzja zupełnie nie pasowała do jej natury.

Nie było rzeczy, której Żenia nie umiałaby sprzedać. Miała niezwykły dar. Czego tylko dotknęła, rozkwitało jej w rękach. Nauczycielka prac ręcznych powiedziała kiedyś: – To nie ja uczę Żenię. Żenia uczy mnie. – A nie należała do osób skromnych.

Wydała się za Rostię Kulawca (przezwiseka bywają tu okrutne), któremu drzewo zmiażdżyło nogi, i który po pół roku dziwnego małżeństwa zostawił jej swoją dwuletnią Jirzinkę z rentą sierocą siedemdziesiąt koron miesięcznie. Mówią, że szło jej o tę rentę. Żeni Liczygroszce musi płacić nawet rodzona siostra, tak samo jak obcy ludzie. Kiedy rozchorował się jej dziadek i prosili ją, żeby na jakiś czas wzięła go do siebie, zdecydowanie odmówiła. A wszystkie swoje zdolności odziedziczyła właśnie po dziadku. Dziadek własną pracą wy dostał się z największej biedy i dorobił się bogactwa. Co prawda przyżenił się do młyna, ale młyn był obciążony hipoteką i gdyby nie jego starania, to wspaniałe wiano żony poszłoby na licytacji. Wykaraskał się z długów i zyskał powszechny szacunek. Był świetnym kompanem, słynącym z bystrogo, ciętego dowcipu. Kobiety do niego Ignęły, chociaż on miał je za nic. Przyciągał je nie tylko bogactwem, ale i wyglądem. Do tego nie upijał się, karczmę omijał z daleka. W końcu poszedł na wycug do najstarszej córki i z powodzeniem gospodarzył u zięcia. Wspaniale zajmował się wnukami.

Nauczyciel mało z kim rozmawiał tak chętnie, swobodnie, rozsądnie i wesoło, jak z tym człowiekiem.

Tylko Żenia jawnie okazywała dziadkowi brak szacunku. W dzieciństwie się jąkała i zdaje się, że jakieś dziadkowe nierozważne słowo mocno zapadło jej w pamięć.

Nie zbliżyła się do nikogo z rodziny, z wyjątkiem ciotki Andy, która nauczyła ją szyc.

Odmówiła pomocy nawet własnej matce, za to z poświęceniem opiekowała się chorą na astmę teściową. Chodzą słuchy o książeczkę oszczędnościowej, która po jej śmierci już się nie odnalazła.

Żenia była wdową już jakiś czas, ale nie rozglądała się za spodniami. Miłość jej życia – Pięknisia Miłę – sprzątnęła jej sprzed nosa młodsza siostra, pełna wdzięku i wesoła Jitka. Mają w dolinie tartak i dobrze z niego żyją.

Młody Valcharz przechwalał się kiedyś w karczmie przed kompanami, że zostanie u Żeni do rana. Wrócił jeszcze przed upływem godziny, z rozerwaną nogawką i poszarpaną łydką. Tak się z nim rozprawił Rafan Lucki Vojniczovej, kiedy Valcharz zamierzył się na niego kijem. Lucka, słysząc awanturę, otworzyła okno i krzyknęła w ciemność: – Masz, o co się prosieś, głupku! – Po czym zamknęła okno, nie czekając na odpowiedź.

Niedawno ktoś jej Rafana otruł. Ma teraz drugiego psa, też Rafana. Na razie to jeszcze łagodne szczenię.

Lucka upodobała sobie Liczygroszkę. Trudno dociec, co mogły mieć ze sobą wspólnego. Nie było dnia, żeby zielarka nie wstąpiła do Żeni posiedzieć w ogrodzie albo w dużym pokoju, ładnie urządzonego, z szerokimi miejskimi oknami, wychodzącymi na wschodnią i południową stronę. Pomieszczenie pełniło rolę pokoju gościnnego, kuchni i umywalni zarazem. Zmyślnie rozdzielone, jasne i przyjemne.

Na poddaszu był przytulny pokój służący jako sypialnia. Z nieprawdopodobnie urzekającym widokiem z okna.

Pokój wykrojony został ze strychu. Ogrzewał go piec z kaflami mlecznej barwy, harmonizującymi z ozdobną kratą.

Sam strych również przypominał pokój. Stały tam gustowne wyplatane fotele i stolik. Spadzisty sufit rozświetlały trzy okienka, pod którymi stała maszyna do szycia.

Prawie wszystko to zrobiła Żenia własnymi rękoma. Wyglądała niepozornie, ale miała siłę męzczyzny.

Robiła rzeczy z gliny, drewna, wikliny, materiału, słomy i żelaza.

Wymyślała wzorki na narzutach, szalach, zasłonach, tworzyła nowe modele garnków i wazonów, koszyków, plecionek, szkatulek, igielników.

W Szadovej Hucie jej wyroby szły jak woda.

Zarabiać umiała od dziecka. Zaczynała od dziesiątek, które dostawała za noszenie mleka na plebanię i do szkoły.

– Pieniądze będę trzymać u pana, panie nauczycielu. Odbiorę je sobie za rok. Da mi pan trzydzieści koron, a reszta będzie dla pana za przechowanie.

W jego ocenie ta wspaniałomyślność zasługiwała na lanie, ale jakoś się opanował. Żenia pochodziła z bogatej rodziny, lecz jej pazerność była trudna do zrozumienia. Tak mu się narzucała z różnymi pracami, że w końcu uległ i pozwolił jej posprzątać szkołę, kiedy zachorowała stara Svojsikova. Nie znał dziecka, które w pracy byłoby tak rzetelne. W szkole wszystko aż lśniło. W czasie wakacji razem ze starymi robotnicami odzierała pniaki z kory, sadziła drzewka, uprzątała gałęzie, zamiatała tartak. Jej konto szybko rosło. Nauczyciel jej nie wydał. Na to w końcu liczyła.

– Co z tym zrobisz?

– Kupię sobie szopę na łączce Pazdery. A naokoło urządzę ogród.

Nie wierzył własnym uszom.

– Ogród? Na piasku?

– Nawiozę gliny, darni i borowiny. I mułu z rzeki.

Śmiał się z tego.

Kiedy miała piętnaście lat, posłali ją do szkoły dla kur domowych – na pensję w Szadovej Hucie. To nie ona miała się uczyć, tę szansę oddała jej Jitka, która sama nie miała na to ochoty.

Ciułała przez cały czas nauki w tym kurniku i przynosiła mu wszystkie oszczędności.

– Co z szopą na siano? – przypomniał jej kiedyś.

– Kupię ją, panie nauczycielu.

– Nawet jak wyjdiesz za mąż?

– Tak. Pobierzemy się z Milą od Mosztków.

Łączka mu się podoba. – (Nie ma wątpliwości!)

Z Pięknisiem Milą, bogatym jedynakiem z tartaku, nie pobrali się, niestety.

Długo nie mogła dojść do siebie po największym ciosie, jaki ją w życiu spotkał.

Nauczyciel ani trochę jej nie żałował.

Ale w końcu wszystko się ułożyło. Wyszło jej z szopą na siano, z ogrodem, nawet i z Pięknisiem Milą – bo roztył się i wyłysiał. Zresztą nigdy nie był przystojny. Cały jego urok polegał na tym, że był młody. Kiedy iskra młodości zgasła, czar prysnął i pozostało tylko przezwisko oraz niepoahamowana pewność siebie.

– Niech pan z nami siądzie, panie nauczycielu.

Przy ogrodowym stoliku oprócz Żeni w wiklinowych fotelach siedzą jeszcze Lucka i doktor Beniczek.

Nie wypada odmówić.

Na kolację jest chrupiący placek z ziemniaków, jajek i pokrzywy, ozdobiony pośrodku górką pieczarek, prażonych na oleju z solą i kminkiem.

Rozmowę prowadzi Lucka, jak zawsze. Gości obsługuje Jirzinka z dwiema koleżankami, Buszą i Aninką.

Ręce Ženi są w ruchu, coś dziergają. Ona sama patrzy w przestrzeń. Słucha uważnie rozmowy, co można poznać po tym, jak czasem na jej twarzy drgnie uśmiech, a w policzkach robią się doteczki.

A więc tu mnie moje stare nogi zaniosły. Bóg wie dlaczego podświadomie tego chciałem.

W łączce Ženi jest coś, co mnie urzeka, a jednocześnie napawa strachem.

Czuję, że na wyciągnięcie dłoni czai się tu coś straszego, co na co dzień nie istnieje i nie ma nazwy. Ma to coś wspólnego z wieczornym niebem, wonią trawy i przytłumionym szumem lasu.

– Albo się zaharuje, albo zachleje na śmierć – powiedziała Lucka z naciskiem.

Mowa o Pavle Juridze. Odeszła od niego żona, i to do swojego oficjalnego męża. Kupił dom w Szadovej Hucie.

– Dlaczego nie chce jej oddać dzieci?

– Bo jeszcze nie upadł na głowę.

– Najmłodsze ma rok.

– Półtora – stara torpeduje naiwne protesty lekarza. – Myśli pan, że o co tej flądrze chodzi? Teraz, kiedy ten jej głupiec urządził się tak wygodnie. O bachory?

– Przecież nie może ich zostawić chłopu na głowie!

Lekarzowi widocznie strach pomyśleć, że mógłby się znaleźć w skórze Pavla.

– Może, może, doktorze, to nawet dla nich lepiej. Pavel znajdzie sobie dla nich gospodynie.

Nauczyciel siedział obok Beniczka i ze zdziwieniem spostrzegł, że ten na parę sekund zamarł. Jakby mu śmierć przeskoczyła po plecach.

– A Vojta? Vojta nie jest Jurigi.

Baba się zaśmiała.

– Niech mu pan to spróbuje przypomnieć. Pavel potrzebuje wołu do roboty – trajkocze dalej. – Wołu, co lubi dzieciaki. Takiej Juliszki Gorczikovej.

– Juliszki? – wykrzyknął lekarz.

– Juliszki.

– A to wszystko, co się o niej mówi?

Mówi się, że spała ze swoim szwagrem i że jej starsza siostra, która ją wychowała, wygnała ją za to z domu. Teraz jest kelnerką w Szadovej Hucie.

– Wielu ludziom w naszej okolicy przydałoby się obić pysk. – Zauważyła reakcję doktora i dodała pojednawczo: – Pana nie miałam na myśli.

– Przecież Juriga też słyszał te gadki.

– Nie jest głupi.

Tego nie uznała za nietakt i patrzyła lekarzowi prosto w oczy.

– Myślałem, że może Rozarka Jakubikova... że może by się ustatkowała.

Lucka z wesołym grymasem przyjęła podtekst tego zdania.

– Rozara? Rozara by go połknęła jak malinę, z Pavla ciągle jest jeszcze przystojny chłop. Tylko że dla Rozary jeden to za mało.

Po Buszę i Aninkę przyszła ich kulawa ciotka, Jirzinka poszła się umyć przed spaniem. Goście wstali i zaczęli się zbierać do wyjścia. Nauczyciel odprowadził lekarza aż do jego willi na skraju miasteczka. Stało tu sześć domów o różnym wyglądzie, sześć wspaniałych domostw otoczonych ogrodami. To należące do Beniczka było najlepiej utrzymane, to należące do Szeldy – najbardziej zapuszczone.

– I co pan powie, panie kierowniku?

– Ma pan na myśli Pavla? Wróci do niego.

– Na pewno nie wróci. A nawet gdyby, to Pavel ją przegoni... Nie wstąpi pan na szklaneczkę śliwownicy? *Ipse fecit.*

– To brzmi zachęcająco, ale... pańska żona...

– Moja żona jest u rodziców, dzieci też. Teść ma urodziny – wrzucił ramionami z udawanym żalem. – Posłałem mu telegram.

Jeszcze w przedpokoju nauczyciel znalazł ślady Ženi. A potem już wszędzie. Na ścianach, na stole, na sekretarzyku. Nawet kosz na papiery był jej dziełem. Z zegara ściennego w cennej obudowie dochodziły odgłosy, jakby ktoś w nim pobrzękiwał drutami do robótek. Z obrazu w złotej ramie życzliwie uśmiechała się piękna pani doktorowa.

Przyjemnie jest siedzieć na miękkich poduszkach, pociągać przedni napój ziemskich bogów i rozmawiać o niczym. W miłym spokoju upłynęła godzina, potem odezwał się życiowy wróg Tkacza: sceptycyzm. Jak wbita w ciało zadra. Czy aby naprawdę jestem tu mile widziany?

– Już pójdę, panie doktorze. Dziękuję panu.

– To ja panu dziękuję. Grywa pan w szachy?

– Kiedyś grywałem.

– Niech pan wpadnie kiedyś znowu, tak pod wieczór. Będzie mi przyjemnie. Do widzenia.

– Do widzenia.

Z czego wypływa to nieoczekiwane zaproszenie? Z uprzejmości? Czy może z litości?

Zdeniek Tkacz jest poirytowany.

Noc ziębi go w dłonie i policzki, ale nie zważa na to. Analizuje zdania, wypowiedziane ze wspaniałomyślną hojnością, które dopiero teraz nabierają właściwego sensu.

Tak, moja żona jest ładna i bardzo miła. Nie chciała mieszkać w Szadovej Hucie, gdzie mam praktykę, i dziś jestem jej za to wdzięczny.

Dzieci? Dwoje. Uczą się w Pradze.

Bez Lucki byłbym tu zgubiony.

O Żeni ani słowa, a przecież cały czas tam była.

Pamiętam początek tego ich dziwnego związku. Kiedyś – wtedy miała już za sobą kurnikową maturę – zaproponowała, że posprząta w szkole na strychu. Sto lat nikt tam nie wchodził.

Ledwie zdążyła otworzyć drzwi i przeciąg poruszył strzępami pajęczyn, zaczęła wietrzyć jak kuna.

– Trzeba będzie wywieźć te wszystkie rupiecie – powiedziałem. – Wstawiłbym tu parę regałów z gabinetu.

Żenia nie widziała tam żadnych rupieci. Gapiła się w zachwycie na mnóstwo różnych potrzebnych przedmiotów, na masę materiałów do wykorzystania, z których można zrobić fantastyczne rzeczy.

W dwa dni siostrzeniec Lucki, Prokop, wywiózł wszystkie graty do ciotki Andy, która przeznaczyła na to pusty chlew. Po tygodniu strych był wysprzątan. Śmieci wymiecione, belki pomalowane, na ceglanej podłodze pojawił się kolorowy papier.

Nauczyciel chciał Żeni zapłacić, ale nie wzięła pieniędzy. Sama przyniosła mu zadziwiający prezent – stylizowaną wiązanek kwiatów z drutu miedzianego, który walał się na strychu w spletanym kłębach.

Ta wiązanka wpadła w oko doktorowi, kiedy badał uczniów w czasie epidemii tyfusu. Zachwycił się nią. Nauczyciel oddał mu ją bez wahania. Od tej pory lekarz uważa Żenię za artystkę. Kupuje od niej wszystko, co mu przyniesie. Jest jej złotą żyłą.

Dzisiaj dowiedziałem się – ze smutkiem – czym ona jest dla niego.

Niebezpieczną iluzją.

W zeszłym roku Żenia złamała sobie nogę. Niefortunnie zawadziła o coś w inspektach. Doktor natychmiast ją przyjął. Zawiózł własnym samochodem do szpitala.

Jirzinkę zaprowadził do Lucki. Na drugi dzień zajrzał do zielarki i przeraził się, bo nie było tam małej.

– Co tu po niej, panie doktorze. Nie mogę jej ze sobą ciągnąć do porodów. – Ani do karczmy, pomyślał. – Zostawiłam ją u Jurigi.

– U Jurigi? – jęknął.

– Pewnie. Będzie miała z kim się bawić.

Z szóstką rozwyrzonych, nieobliczalnych, dzikich chłopaków!

Pędził do Jurigów z sercem ściśniętym ze strachu.

Nigdy nikomu nie poświęcił tyle uwagi.

Jirzinka grała w kiczki z Jakubem i Zdeńkiem, pozostali otaczali ich kołem, przypatrywali się, wykrzykiwali i otwarcie trzymali jej stronę.

Odetchnął z ulgą. Jutro wstąpi do szpitala z dobrą wiadomością. Obecność dziewczynki zrobiła z tych dzikusów prawdziwych kawalerów.

Z tym złudnym przekonaniem dał każdemu z nich po koronie, co dla urwisów oznaczało majątek.

Nigdy nie poznał prawdy.

– Vojto – zawołał Juriga najstarszego syna, który nie był jego dzieckiem. Od dawna wiedział, że nigdy nie zawładnie jego duszą. Mimo to pojawiła się między nimi przyjaźń, cokolwiek wstydliva, ale pewna. Bóg świadkiem, że więcej wstydu odczuwał Pavel.

– Vojto – powiedział – ciocia Żenia jest w szpitalu. Jirzinka zamieszka teraz z nami. Będziesz miał chłopaków na oku.

W ten sposób sprawa została załatwiona.

Vojta był w stanie nałożyć braciom wędzidło i ściągnąć lejce. Pozornie bez trudu.

Tam gdzie krzyki matki i ojcowe bicie nie odnosiły skutku, Wojcie wystarczyło parę ostrych słów. Bo z Wojtą nie było żartów. Bo u Wojty nikt sobie jeszcze niczego nie wypląkał. Bo Wojta nigdy nie cofał się ani o centymetr.

Bo Wojta w wieku lat dziesięciu był już mężczyzną.

Nauczyciel w odróżnieniu od Lucki, w odróżnieniu od Beniczka – choć niechętnie to przyznawał – instynktownie nienawidził Żeni. Od pierwszego dnia, kiedy zobaczył ją w klasie. Ta nienawiść miała źródło w podświadomości, była nielogiczna, ale kto by się zastanawiał nad logiką, kiedy do głosu dochodzą emocje.

Był to ten rodzaj nienawiści, którą w większym lub mniejszym stopniu (tylko, na miłość boską, nie wolno się do tego przyznać!) żywił do wszystkich kobiet. Miała swoje korzenie w niezagojonej ranie w sercu, a czasem zmieniała się w namiętność, której nie mógł opanować.

Nie umiał wybaczzać kobietom.

Dorosłą już Żenię traktował ciągle jak zająkujące się dziecko z wygłodniałymi oczyma, które tylko patrzy, skąd by się dało coś urwać, które z odrażającą pazernością rzuca się na byle wstążkę, na każdą kolorową nitkę.

Jej dzisiejszy uśmiech, raczej półuśmiech z dwoma dołeczkami w policzkach, jest doskonalszą postacią tamtego dziecięcego uśmiechu, którego organicznie nie znośli. Z tym uśmiechem liczyła szóstaki zarobione na mleku albo na drobnych usługach, był to uśmiech spekulanta giełdowego, któremu się powiodło, Żyda, któremu kwitnie lichwa, zadowolonego harpagona, uśmiech rzucający wyzwanie światu, przyćmiewający słońce.

Czuł obrzydzenie, patrząc na dziwaczne wytwory jej rąk, słomiane koszyczki, koronkowe chusteczki do nosa, osobliwe zwierzątka, za pomocą których prowadziła z dziećmi handel wymienny, zawsze za nowy materiał. Jej żyłka handlarska tak go irtowała, że często ostatkiem sił powstrzymywał się, żeby jej nie uderzyć.

Tłukł ją za to jej dziadek. I dobrze, miał rację.

Przez taką wnuczkę, która się jąka, która nie potrafi sklecić składnego zdania, a przy tym patrzy hardo, jakby ktoś inny był temu winny, przez taką wnuczkę sam bym zwariował.

– Mam ochotę zabić tego dzieciaka! – powiedział mu kiedyś stary Zouhar.

Jak dobrze go rozumiał!

Żenia swoim przygłupiastym wyrazem twarzy doprowadzała ich obu do szaleństwa do tego stopnia, że w jej obecności ten wspaniały gawędziarz, żartowniś i dusza towarzystwa tracił rezon. Wysysała jego energię obojętnymi oczyma, z których ziała jego niemoc.

Czasami nauczycielowi wydawało się, że nie znosi jej dlatego, że w jakiś zagadkowy sposób go onieśmiela. Ale nie umiał sobie uświadomić, czym.

Może za jej milczącą tępotą kryje się szyderstwo?

Zdecydowanie wołał otwarty bunt w stylu Lipki, przynajmniej miał powód do wymierzenia kary. Żenia nie dawała mu żadnego rozsądnego powodu. Nie mógł jej skarcić tylko za to, że głupio się gapi.

Zostawił ją na drugi rok w pierwszej klasie, bo nie nauczyła się pisać. (Była leworęczna, ale z zacięciem próbowała pisać prawą ręką.)

Decyzję o zimowaniu przyjął – był przekonany – z prowokującą obojętnością.

Dzięki temu znalazła się w jednej klasie ze swoją młodszą siostrą Jitką, bystrą dziewczynką, która we wszystkim była od niej lepsza. Pisać w końcu nauczył ją jej kuzyn Honza, a ponieważ się uparta – pisała obiema rękoma.

Wszyscy wiedzieli, że nauczyciel Żeni nie cierpi.

Wszyscy oprócz Żeni.

Ona widziała w nim gwarancję sprawiedliwości (co za ironia!), a później – swojego współnika w kombinacjach z pieniędzmi, które u niego trzymała i które, nie wiadomo dlaczego, ukrywała przed całym światem.

Wiele razy kusił go zdrada, wiele razy o oszczędnościach Żeni chciał powiedzieć jej dziadkowi, ale nigdy tego nie zrobił.

Żenia już dawno się nie jąka, ale poza tym ani trochę się nie zmieniła. Do dzisiaj świerzbą ją ręce, kiedy tylko zwietrzy jakiś podejrzany zysk.

Zamiast oczu ciągle ma dwie atramentowe plamy bez wyrazu.

Ale jedno w tym wszystkim nauczycielowi nie pasuje. Jak to możliwe, że tak do niej przyłgnęła bystra i nieprzekupna Lucka Vojniczova?

Myśli o Żeni przypominały nauczycielowi, że miał porozmawiać ze starym Zouharem, tym razem nie o jego wnuczce, ale o sobie.

Z tym wszystkim, co na niego spadło i zabrało mu spokój, nie poradzi sobie bez pomocy przyjaciela. Już tydzień wybiera się do gajówki, już tydzień to odkłada. Spojrzał na nocne niebo i westchnął z ulgą: dziś już na to za późno.

Zouhar zrozumie, tego jest pewny. Tylko się zebrać na odwagę, powiedzieć pierwsze słowo.

Problem nazywa się Bieta Latalova. Ładna, pracowita córka szynkarza, miejscowego bogacza. Dawna uczennica Tkacza.

Niestety dziwka.

Od kiedy pamięta, chodził do karczmy na obiady, ale nigdy specjalnie nie zwracał na nią uwagi. Nie zauważył, że dorosła i zaczęła wyręczać matkę przy gościach. Nie zwrócił uwagi na to, że pewnego dnia przyszła do szkoły usprawiedliwić swojego bratanka, który spadł z drzewa i obił sobie żebra.

Rzucił tylko, że przyjmuje to do wiadomości.

– Rety – powiedziała i szerokim gestem otoczyła kuchnie. – Trzeba tu trochę ogarnąć. Jutro do pana wpadnę – dodała.

Zignorowała jego protest i następnego dnia zjawiła się z koszem, którego zawartość – szmaty i szczotki – wzbudziła w nim strach.

Oświadczył, że jest zajęty. Poradziła mu z uśmiechem, żeby na godzinę poszedł do gabinetu. Rzecz jasna nie poszedł. Włóczył się po wsi aż do zmroku.

Kiedy wrócił i zapalił lampę naftową, stwierdził, że stoi na wyszorowanej podłodze, wciąż jeszcze mokrej, i że od drzwi narobił na niej śladów. Zdjął buty i został w dziurawych skarpetkach.

Na stole, którego blat odzyskał dawny kolor, ukryty pod warstwą wieloletniego lepkiego brudu, stał dzbanek z herbatą i talerz placków ziemniaczanych. Pokój był wywietrzony, w piecu napalone. Przez popękaną blachę przeświecał ogień.

Bezmyślnie usiadł przy zastawionym stole. Zauważył, że umywalka jest wymyta, a na kuchni stoi garnek z ciepłą wodą. Wstał, nalał wody do blaszanej miednicy i dokładnie umył ręce. Zrobił to z taką naturalnością, jak gdyby robił to codziennie.

Kiedy zjadł i poszedł do sypialni, przekonany, że Bieta już dawno odeszła, znalazł ją w swoim łóżku. Ogarnęła go panika, z nieopanowaną wściekłością wywłócił ją z niego za włosy i uderzył kilka razy, zanim uświadomił sobie, że okłada nagie ciało. Uciekł do kuchni, gdzie roztrzęsioną ręką nalał sobie herbaty.

Wyszedł w noc.

Dał Biecie czas, żeby zniknęła.

Wrócił niemal spokojny i znowu ją znalazł w łóżku. Żadnych płaczów i wyrzutów. Wyciągała do niego ręce. To go ujęło. Po raz drugi już nie mógł zachować się brutalnie. Został pokonany, zanim rozpoczęta się bitwa. Potem uświadomił sobie, że ta klęska była całkiem przyjemna.

Przez kilka dni nie dawało mu spokoju głupie pytanie, którym pożegnał Bietę.

– Czego ode mnie chcesz?

Odpowiedź brzmiała: Niczego.

W ogóle do niego nie dotarło, że zapłacił jej za placki i sprzątanie, i że rachunki mają wyrównane.

Kiedy wreszcie odważy się porozmawiać o tym z Zouharem, ten zrozumie natychmiast. Pytanie tylko, czy mu o tym powie.

Zza zakrętu wyłonił się inżynier Szelda. Przywitali się chłodno. Dziwkarz Szelda z nikim nie wdawał się w rozmowy. Raz czy dwa razy w tygodniu upijał się w milczeniu, ale zawsze przestawał pić, póki jeszcze nad sobą panował. Przezwiska doczekał się za swoją słabość do Pavliny, niegodnej żony Michała Lipki, która porzuciła męża i tak długo włóczyła się z jakimiś komediantami, póki nie została sprowadzona pod strażą z powrotem do wsi, z piętnem złodziejki i ladacznicy. Ujął się za nią karczmarz Latal i pozwolił, żeby mu za wikt i dach nad głową szorowała zaplute podłogi.

Pewnego dnia Szelda wprowadził ją do swojej willi jako gospodynię, co sprowadziło na niego kpiny i potępienie. Ten wyzywający gest wieś odebrała jako cios między oczy.

Po jakimś czasie Pavlina zniknęła z willi Szeldy. Nikt nie wie dokąd.

– Niech pan wskakuje na kozioł, panie kierowniku.

Manek-z-Brzuchem dogonił spóźnionego wędrowca i proponuje mu miejsce na koźle. Dwa silne, dobrze odżywione konie ciągną furę drewna. O konie Manek dba jak trzeba. Za to dla żony nie ma litości. Nawet w zaawansowanej ciąży nie dał jej wytchnąć, dopiero Lucka go zgromiła:

– Kto chodzi z brzuchem – ty czy Pepina?

Niemile przezwisko pojawiło się na świecie wcześniej niż dziecko.

– Dziękuję, Manku, trochę się przejdę.

Widać już rozpadający się domek Lipków, niszczący już wiele lat.

Kiedyś była to czysta, przytulna chałupka, wokół której trzepały się w piachu kury liliputki. Pomiędzy pelargoniami w oknach pojawiała się trzęsąca się głowa staruszki, stuletniej prababci Vratislava. Pozdrowiała każdego przechodnia.

Nauczyciel zatrzymał się i nasłuchuje. Potem przyspieszył kroku.

Nie myli się, coś się tam dzieje. Na ziemi leży stary Michał, nad nim stoi Vratislav Lipka i kopie go w bok. Starzec charczy, próbuje się podnieść, ale kolejne kopnięcia powalają go z powrotem na ziemię.

– Lipka!

Vratislav Lipka odskoczył – i zniknął we mgle.

– Panie kierowniku – bełkocze Michał. Nauczyciel podparł jego słabe ciało.

Patrzą na siebie i nic sobie nie mogą powiedzieć.

No więc tak. Kiedyś to się musiało stać.

Nadszedł dzień, kiedy okazało się, że chłopiec jest silniejszy.

Jak modraszek

1

Wiśnia w końcu rozkwitła. Piętnastoma białymi guzikami, zatopionymi w zieleni. Żenia patrzy na nią jak na ładny detal, harmonijnie skomponowany z otoczeniem.

Nie musi się koncentrować na pracy. Jej dłonie poruszają się automatycznie. Dziergają chustkę dla Jirzinki.

Za ogrodem i za doliną ciągnie się łańcuch zębatach skał, wbitych szczytami w niebo. Za nimi są niewidzialne rozpadliny i trawiaste zbocza.

W dole kłębi się rzeka. Wiatr przynosi jej wściekły huk, kiedy wałczy z kamieniami, które hamują jej pęd.

Niebo jest szaroniebieskie, przesuwiają się po nim kłęby puchu.

– Mamusiu, popatrz, co znalazłam.

Żenia ma podziwiać mieniący się kamyk.

– Bardzo ładny.

– Będziemy nim grać w klasy.

Żenia kiwa głową, że to mądre i ważne.

Jirzinka, Aninka, Busza. Dziecięcy jazgot jest jak balsam na duszę. Wszystko jest w porządku. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Za chwilę pojawi się Honza, a Jirzinka rzuci mu się na szyję.

Nie zna wstydu. Nie zna też strachu, który Żeni nie odstępował w dzieciństwie. Za to ją Żenia podziwiała.

Z drugiej strony, żeby popędzić do Honzy, nie trzeba mieć znowu tak dużo odwagi. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, zawsze będzie wyglądał jak chłopak, który właśnie coś zbroił.

Gdyby sama miała takiego wujka... Ale nie, nawet wtedy by się nie odważyła. Wujek Franci przecież wcale nie był inny.

Lada moment wróci z pracy Pavel. Włosy ma proste, gęste, metalicznie lśniące.

Kocham to jego piękno. Dokładnie tak samo, jak kochałam zdradliwe piękno Mili. To nie jest w porządku, ale nie chce mi się z tym walczyć, wyczerpałaby mnie daremność wysiłku.

Ta daremność.

Wysiaduję tu codziennie jak gipsowy krasnoludek, żeby nie przegapić, jak wraca do Juliszki, która wypatruje go przez okno, przepasana czystym fartuchem.

Kiedy wychodzi przed dom, czuję skryte ukłucie i jestem szczęśliwa.

Juliszka ma Pavla. Ja przez parę minut każdego dnia mam jego piękno.

Za chwilę zostanę z tym pięknem sama.

Zanim go zagarnie rodzina, zanim zaczną wrzeszczeć ósemka jego dzieci. Żenia pochyliła głowę, oślepiona przez palącą tarczę, która właśnie przebiła się przez łachman czarnej chmury.

Gwałtowna góraska burza jest tuż-tuż.

2

Droga pod górę była ciężka, Żenia szła chwiejnym krokiem. Przedzierała się przez srebrzyste powietrze, które się przed nią rozsnuwało. Każdy krzak pochylał się nad nią i złośliwie chichotał.

Nabrała tchu, oddech dodał jej sił. Teraz już szło się jej lżej – a cel był blisko. Tak bardzo się zapomniiała, że pozwoliła, by towarzyszyło jej wspomnienie.

– Jesteś na świecie jak trzmiel, Blaženko – powiedziała Cilka, jej o cały wiek starsza siostra. – Jesteś jak mech, jak stokrotka.

– Jak modlasek? – zapytała z przejęciem.

– Jak modraszek.

Zapamiętała tę chwilę pewnie z powodu tego wielkiego szczęścia, którym była przesycona. Nie przypuszczała, że może być podobna do czegoś tak delikatnie pięknego, jak błękitny motyl.

Teraz odczuwała podobne szczęście, które ścinało ją jak mróz.

Dotarła do szopy na łące Pazdery i ugięły się pod nią nogi. Zaczęła dygotać.

Nie ze strachu, tylko z dziwnego zmęczenia, strach już dawno minął. Minął w chwili, w której podjęła decyzję. Gdyby mogła to sobie uświadomić, pewnie by się zdziwiła. Jej strach miał tę cechę, że był wszechobecny.

Już widać przepaść. Skoczy – i spadnie prosto do nieba.

Po wakacjach ma pójść do trzeciej klasy – a jeszcze nie umie porządnie czytać. Ale wstyd to nic wobec poczucia winy. Zajmuje się nią Honza – i nic z tego nie wychodzi! Zniechęca go każdym swoim zająknięciem. W jej głowie wije się kłębowisko węży, co i rusz gwałtownie wystrzelają z niego lepkie języki. Za gardło dławia ją jakieś macki.

Mańkutka! Tępaczka i mańkutka!

Całe dwa lata się z nią męczą, żeby nauczyć ją pisać prawą ręką. Nauczyciel tylko dlatego nie zostawił jej po raz drugi w tej samej klasie, że jest córką leśniczego i szkoła dostaje za darmo drewno na opał.

Macki znów ściskają jej piersi, musi nabrać tchu.

Wyszło to na jaw, kiedy kroił chleb.

– Na miłość boską, jak ty trzymasz nóż!

Ciosy i krzyki.

Prawą ręką! Jezu Chryste, za co ta kara! Ten dzieciak to mańkut! Matka patrzy na nią ze złością, z wyrzutem w oczach. Bracia i siostry się śmieją. Z dziecięcym okrucieństwem pokazują, jak ma sobie radzić.

Ale z prawej ręki nóż jej wypada.

Przyglądają się jej, jakby była koślawa. Obłok niewidzialnego kurzu szczypie ją w nos i w oczy.

Dziwadło. Odrzucony przez stado jeleni albinos, który na pastwisko wychodzi w biały dzień.

– Ten dzieciak to diabelska sprawka – szczerzy zęby dziadek (zęby wilkołaka).

– W ogóle się nie liczy.

Żona leśniczego urodziła trzy dziewczynki i tylko dwóch chłopców.

Żenia stoi bez słowa z wytrzeszczonymi oczyma. Musiała zrobić coś strasznego, skoro matka tak się gniewa, a pozostali pękają ze śmiechu!

Wszyscy oprócz Cilki. Cilka zacisnęła zęby, jej twarz wyraża sprzeciw.

Milcz, Cilko, proszę cię, nie mów nic, żebyś przeze mnie nie dostała!

Od tego dnia coś się w Żeni załamało. Czego tylko się dotknęła, nic jej nie wychodziło. Choćby nie wiadomo jak się starała, zawsze nadchodził taki moment, kiedy uświadamiała sobie, że jest obserwowana, i wtedy – koniec.

Rozbiła dzbanek. Wiesz, ile kosztował?

Zamieć podwórko, wyczyść buty, skocz po drewno.

I żadnej pochwały. Nigdy żadnej pochwały. Najmniej prezentów pod choinką. Boże Narodzenie ją przeraża. Musi dziękować i całować ręce. Dziękować za rzeczy, które jej nie cieszą, i całować ręce, które je dają. I nie czuć wdzięczności. Kiedy nikt na nią nie patrzy, jest spokojna i potrafi to samo, co inni.

A jakże!

Sadzili drzewka, ojciec każdemu wyznaczył rząddek. Jej rząddek był równiutki jak pod sznurek. Drzewka tkwiły pewnie w ziemi, w równych odległościach – no i Żenia pierwsza była gotowa z robotą.

Usiadła na miedzy i plotła wianek z trawy.

– To jest według ciebie robota?

Początkowo nie docierało do niej, że ten zarzut dotyczy jej. Dopiero kiedy ojciec podniósł ją z ziemi jak królika i dowlókl do rządka, który wił się zygzakiem, a drzewka w nim pochylały się jak pijane, zrozumiała, że ma zapłacić za czyjeś niedbalstwo. Rodzeństwo zniknęło. Winowajca, ten tchórz i podlec, też.

Kto?

Nie próbowała protestować, wiedziała, że na nic się to nie zda, bo ojciec nie dałby się przekonać i rozjuszyłby się jeszcze bardziej.

– Zostaniesz tutaj, dopóki wszystkiego nie doprowadzisz do ładu! Bez obiadu!

Głos drżał mu ze złości.

Z płaczem zabrała się do pracy.

Jak będę duża, powtarzała sobie swoją śpiewkę, jak już będę zarabiać, to zaoszczędzę i kupię sobie domek. Będziemy w nim mieszkać obie z Cilką. W niedzielę zaprosimy ciotkę Anę i wujka Franciego. Będą się dziwić, jak mamy czysto i jakie z nas gospodynie.

Słodką wizją osuszyła jej łzy. Praca stała się lekka i przyjemna.

Nasz dom będzie miał wielkie, pańskie okna, sama do nich zrobię koronkowe zasłanki i wyszyję na nich gwiazdki... Nigdy nie będę taka, jak mówi dziadek! Nigdy nie będę taka jak Rycząca Tonka!

Nie dopuszczę do tego, żebym miała troje dzieci i nie wiedziała z kim, jak mówi mama. Chociaż Tonka może wie, tylko nikomu nie chce powiedzieć. Może wcale nie jest tak źle mieć dzieci. Tonka miele jęzorem tylko o nich, a kto nie ucieknie, ten pożałuje, bo po każdym zdaniu bryzga na niego ryczącym śmiechem.

Żenia poprawiła – wśród błogich rozmyślań – wszystkie rządki, usiadła na łączce, na której schło siano, i usnęła.

Ocknęła się cała zdrętwiała, słońce już było nisko. Dostanie się jej w domu. Nie dostało się. Mieli gościa. Przyjechała ciotka z Hradca.

Cilka wzięła Żenię do obory, tam umyła ją w beczce na kapustę i wystroiła.

Ciotka osłodziła szcękające powitanie Żeni szczyptą zdystansowanego uznania, przeznaczonego dla jej nowej sukienki, i podała jej koronę. Żenia pocałowała ją w rękę.

Ciotka była panią doktorową i była świadoma tego, jakim honorem dla wiejskich krewnych jest jej wizyta. Mimo że przyjechała pożyczyć od nich pieniędzy. Tylko dziadek rozmawiał z nią jakby nigdy nic. Chichotała z jego żartów i zasłaniała usta chusteczką.

Ale wszystko było postawione na głowie. Ojciec darzył krewnych wielkim szacunkiem i biada, gdyby coś nie grało!

Matka naprędce zarznęła kurczaka, a służąca już go skubała w sieni.

Żenia nadziała się na spojrzenie ciotki, które rozkrawało ją na żywca, i zaczęła dygotać. Cilka to dostrzegła.

– Wezmę Żenię i pójdziemy po wodę sodową.

Ojciec szybko skinął. Tak szybko, żeby dziadek nie zdążył zaprotestować, chociaż szykował sobie Żenię jako popisowy numer swojego programu.

Przez całą drogę Cilka ćwiczyła z młodszą siostrą podawanie do stołu i w nieskończoność uczyła ją jednego zdania: „Proszę się poczęstować, cioteczko!”.

Skończyło się dokładnie tak, jak Żenia przewidywała. Choć zdanie umiała jak pacierz, nie potrafiła go z siebie wydobyć. Jak zwykle nogi jej zeszywniały, ręce zaczęły drżeć, wokół ciała owinęły się macki. Dobrze, że jeszcze zdołała postawić na stole tacę z kołaczami. Obłoczek cukru osiadł na plisowanej spódnicy ciotki. W oczach błysnęła jej niechęć, ale usta złożyły się w słodką pochwałę.

– Dziękuję, Blażenko.

Matka wyprowadziła Żenię do kuchni i kazała jej dokładać do pieca.

Nie nadaje się między ludzi.

Będą ją wiecznie mieli na głowie.

Co to, to nie. Żenia przysięgała sobie, że nikt nigdy nie będzie jej miał na głowie.

Sama się utrzyma. Zdziwiał się, jak łatwo jej to przyjdzie.

Teraz jednak postanowiła zupełnie co innego. Bo zanim to się stanie, zanim dorosnie, czeka ją strasznie dużo niekończących się lat.

Jej postanowienie zrodziło się przy obiedzie.

– Dlaczego dłubiesz w talerzu?

– Boli mnie gardło.

– Jeżeli myślisz, że uda ci się wykręcić od roboty, to grubo się mylisz. W obejściu są okna do mycia.

– Przecież to nie moja kolejka.

– Nikt się ciebie o to nie pyta. A jak cię boli gardło, to wieczorem nie pójdiesz nad rzekę. – Żyłasta ręka dziadka zmiotła ją z ławy.

– Nie jesteś głodna, to nie jedz!... Dokąd to?

– Na dwór.

– Skoczysz po piwo.

Zawsze chodziła służąca.

Na ławie siedzi cała czwórka jej rodzeństwa, ale tylko Cilka uśmiechnęła się do niej z otuchą.

Odpowiedziała jej uśmiechem.

– Z kogo się podśmiewasz? – dziadek sięgnął po pas. – Idź do sieni.

Tam były wymierzone kary.

Potem przysunęła sobie stołek, zdjęła z szafki dzban i wyciągnęła rękę po pieniądze – wyliczone co do grosza.

Puściła się pędem po zboczu. Nie szkodzi, że niedzielne popołudnie spędzi na myciu okien w oborze. Ma niewiarygodną zdolność czerpania radości z każdej pracy. Na szczęście nikt jej o to nie podejrzewa.

Tyle lat, a każdy rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Macki zacisnęły się jeszcze mocniej, ich ucisk jest nie do wytrzymania.

– Poproś! – nieraz radziła jej młodsza siostra Jitka, która umiała wyłudzić od dziadka wszystko, co chciała.

Żenia nie umie prosić.

Kiedy wyszła z karczmy Latala, swój ostatni dzień miała już zaplanowany: przyniesie piwo, umyje okna i skoczy ze skały. Było to takie proste.

Teraz siedzi na skraju łączki Pazdery i wpatruje się w przestrzeń. Od decydującego momentu dzieli ją parę chwil tego niezwykłego stanu.

Z prawej strony doszło ją jakieś chrobotanie. Słyszała je, kiedy wychodziła z podwórka, potem tu i tam doleciało ją jeszcze po drodze. Nie obejrzała się, nie mogła się na to zdobyć.

Na łące kiedyś koszone trawę, teraz nikt się nią nie zajmował. Wiosną pasła się tu koza zielarki, dopóki łąka nie wyschła i nie zmieniła się w piaszczyste górkę i dołki, omiatane wiatrem.

Następny chrobot i na kolana Żeni wdrapał się popielaty kłębek.

Człapula!

Stara kura umościła się wygodnie. Zaczęła pomrukiwać z zadowolenia, kiedy ręka Żeni dotknęła jej łebka. Powietrze rozrzedziło się i straciło srebrną poświatę. Okolica wyłoniła się z mgły, nierzeczywistą ciszę zastąpiło bzyczenie owadów.

– Człapulka!

Kura wyczerpała resztkę sił i szykowała się do snu.

Mała jest zwariowana na punkcie starej, pokracznej kury. Dostała ją przed trzema laty od ciotki Andy – uratowała ją, kiedy odłączyła się od stada i zgubiła na wielkim podwórzu. Już od dawna się nie niesie. Ale nie wie, że nie ma z niej pożytku. Przyjaźń Żeni jest dla niej podstawą życia. Teraz śpi i nie przyjdzie jej do głowy, że dziecko mogłoby ją zrzucić z kolan. Że mogłoby ją opuścić.

Skok ze skały ukazał się Żeni w innym świetle.

Śmiercionośny pancerz nieuchronnie się rozpadł.

Żenia kołyszę wyliniała kure, macki zniknęły bez śladu, duszę ma jak wysprzątaną pokoik.

Cudem uniknęła największego głupstwa, jakie mogłaby zrobić w życiu. Topy się dziadek ucieszył. Uśmiechnęła się, upajając się swoją nienawiścią, która była cudownie szczerą i błyszcząca jak klejnot. Jasne, że pójdzie do piekła, ale nie stać jej na żaden wysiłek, żeby ją przemóc, odczuwa tylko głębokie uspokojenie.

Na niebie pojawiła się chmurka i ziemia pod nią ściemniała. Ten widok poruszył Żenię. Wie, że patrzy na najpiękniejsze miejsce na świecie.

Tutaj postawi sobie dom.

– Co tu robisz?

– Dzień dobry, kmoterko.

Lucka nie była kmotrą Żeni, ale tak zwracały się do niej wszystkie dzieci, którym pomogła przyjść na świat.

– Co to za wysypka?

– Coś mnie ugryzło.

– No jasne. Pokaż język.

Wprawna ręką obmacała jej szyję.

– Boli?

– Trochę.

– Masz szkarlatynę, moja mała. Pójdiesz do szpitala.

– Nie mogę, kmoterko – powiedziała Żenia zdecydowanie. – Co będzie z Człapulą?

– Z tym nietoperzem? Przecież ona ma sto lat!

– Tylko trzy. Kmoterko, nie mówcie nic u nas w domu.

– Jasne. Zostaniesz u mnie, dopóki nie przyjedzie karetka.

– Nie! Błagam, kmoterko!

– Poślemy kogoś po lekarza. Musi wypełnić papiery.

– Kmoterko!

– O tego nakrapianego zdechlaka nic się nie bój, zajmę się nim.

– Wy?!?

– A widzisz tu jakiegoś innego osła? – stara puściła do niej oko. We wzroku Żeni spostrzegła tyle wdzięczności, że się wzruszyła. Otrząsnęła się i wzięła dziecko za rękę.

– Chodź, dostaniesz mleka z miodem. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Żenia wyrwała spoconą dłoń.

– Co będzie, jak się ode mnie zarazicie?

– Ani mi to w głowie.

Pierwsza przybiegła matka i powiało od niej strachem.

– Umyła okna w oborze! – zaszlochała do Lucki, która nie wpuściła jej za próg. Otworzyła dopiero doktorowi Beniczkowi, młodziutkiemu lekarzowi, który dopiero co rozpoczął praktykę, a Luckę uważał za wyrocznie.

Matka wystawała przed chałupą, póki jej Lucka nie przegnała.

– Już cię tu nie widzę! I przygotuj się na to, że zrobią u was dezynfekcję.

Żenia od razu pożałowała, że ominie ją dezynfekcja. Nic jej nie bolało, tylko wydawało jej się, że unosi się w górę i opada, jak na huśtawce.

Przyjechała karetka i wysiadł z niej człowiek pachnący lekarstwami. Podeszła do niego.

– Poczekaj, zaniosę cię, księżniczko.

Do śmierci nie zapomniała tych kilku kroków, kiedy była niesiona przez człowieka, którego nigdy w życiu nie widziała, a do którego natychmiast się przytuliła, jak zawsze pragnęła przytulić się do ojca.

Szpital ją zachwyił. Pielęgniarkami były tam siostry zakonne i dwa razy dziennie wszyscy się razem modlili. Wydawało jej się, że trafiła do nieba.

Sześć tygodni z przejęciem poddawała się rygorom, z którymi inni mieli problemy. Kiedy trochę wydobrzała, siostry pozwoliły jej pomagać przy posiłkach. Była ich ulubienicą. Przyniosły jej koszyk pełen szmatek, a ona zaczęła robić z nich lalki, kwiatki, chusteczki, poduszki na igły, koronki...

Nie mogły wyjść z podziwu nad jej zręcznością i fantazją.

Rozdawała swoje małe dzieła i cieszyła się, że są przyjmowane.

Na stoliku przy sąsiednim łóżku czekało na nią coś, co zaważyło na całym jej życiu.

Książka należała do dziewczynki, nieco od Żeni starszej, która odgrywała panienkę i której nie można było dogodzić. Uskarżała się na wczesne wstawanie, tran, modlitwy i dużą salę z wieloma łóżkami. *Winnetou, czerwonoskóry gentleman*.

Książkę przynieśli jej rodzice, ale nawet do niej nie zajązła.

Żenia przeczytała ją trzy razy, a tekst wrył się jej w duszę. Porywały ją obrazy bardzo dalekich krain, szlachetni bohaterowie i ich czyny, знаła na wyrywki wszystkie postacie, ich ubiory, gesty. Żyła w napięciu, ale bez strachu, bo już w drugim rozdziale przejrzała zamysły autora. W końcu wymieniła na książkę sześć koronkowych chusteczek do nosa, które dla niej nie miały wartości, więc *Czerwonoskórego gentlemana* uważała za wspaniały dar, który spadł jej z nieba. Rozkaprysoną sąsiadkę krewni odwiedzali dwa razy w tygodniu, do Żeni matka zajrzała tylko raz. Wzięła ze sobą Cilkę. Powiedziała, że więcej nie przyjadą, bo w lesie zaczyna się wycinka i będą miały robotę.

Częściej pojawiały się ciotka Anda, a nawet Lucka Vojniczova. Stały za szybą, do środka ich nie wpuszczano. Ciotka przyniosła jej konfiturę z ostryżyn, Lucka słoik miodu – i wiadomości o Człapuli.

Do domu odwozili ją we trójkę: matka, Lucka i doktor Beniczek, który przyjechał własnym autem.

Żenia zżyła się ze szpitalem, po drodze do domu nie miała nastroju do rozmowy.

Wydawało jej się, że matka się postarzała i jest jakaś wystraszona, jakby chciała ją przygotować na coś okropnego. Przed willą Beniczka podziękowała za przysługę i powiedziała, że dalej pójdą piechotą, na co – jak przewidywała – lekarz się nie zgodził. Lucka dodała, że za przysługę należy mu się kolacja.

W domu zastali tylko Cilkę, pozostali byli w lesie.

Kolacja była uroczysta. Świeżo uwędzone kiełbasy.

Cilka podgrzewała je i płakała.

– Co ci się stało?

– Nic. Tylko... że jesteś taka chuda.

Żenia spojrzała do lustra. Wychudła twarz i ogromne oczy.

– Przytyję.

Zrobiła przegląd podwórka i wróciła przestraszona.

– Gdzie jest Człapulka?

– Jeszcze u mnie. – Lucka puściła do niej oko tak samo jak wtedy, przed sześcioma tygodniami.

– Odprowadzę was, kmotherko.

Żenia szykowała się do wyjścia, nie pytając o pozwolenie. Wiedziała, że nie dostałaby go. Matka przełknęła tę bezczelność w milczeniu. U kmotry Żenia dostała drugą kolację. Placki ziemniaczane z marmoladą malinową. Człapulkę trzymała na kolanach.

– Kmoterko, mogę sobie u was przechować książkę?

– Możesz.

– To bardzo ładna książka, przeczytajcie ją sobie.

– Hm – powiedziała Lucka i postawiła *Czerwonoskórego gentlemana* na półce. Kiedy Żenia wracała do domu z Człapulką w objęciach, przygotowała się na lanie. Kiedy zobaczyła matkę, postawiła kurę na ziemi i podeszła do niej z rezygnacją. Matka zarzuciła jej na ramiona wełnianą chustę.

– Nie wolno ci się przeziębić.

Nie do uwierzenia.

Jak mizernie musi wyglądać, skoro matka jest dla niej taka dobra. Podniosła kurę i naciągnęła na nią rąbek chusty.

Kuchnia była teraz pełna ludzi.

Przywitała ojca i dziadka, skrzywiła się w kierunku rodzeństwa, uśmiechnęła się do służącej Mandy. Cilka podsunęła jej talerz. Była tak przejedzona, że ledwie zdołała coś przełknąć, ale wmusiła w siebie jeszcze porcję kaszy jaglanej, żeby nie zrobić przykrości siostrze.

Dziadek udawał, że jej nie widzi, ale rzucał jej kąsę spojrzenia, a jej zabiedzony wygląd sprawiał mu satysfakcję.

Nie ma pojęcia o tym, co się z nią stało w szpitalu. Wyzdrowiało tam nie tylko jej ciało, ale również i dusza. Sama uprzedziła lekarkę, że jest mańkutką.

– I co z tego?

Cztery słowa, które wprawiły ją w ekstazę. Stały się jej tarczą – i jej bronią.

Jej wzrok padł na krzyż nad drzwiami. Diabeł wystawiają na próbę.

Nigdy nie zrobić niczego, co ucieszyłoby dziadka.

Obserwowała go spod oka, tak samo jak on ją, i z zimną krwią rozważała swoje możliwości.

Można go zranić. Wystarczy odmówić mu hołdu, którego oczekuje.

Wszyscy się przed nim płaszczą, ale ona mu pokaże, że jej niewolnictwo się skończyło.

Na jego spojrzenia odpowiadała z tak płomienną radością, że po chwili poczuł się niepewnie.

Po kolacji zmywała z Cilką naczynia i po cichu wszystko jej opowiadała. Nikogo innego to nie obchodziło.

Zauważyła, że z kuchni zniknął stary zegar z kukułką. Spadł i rozbił się, drewno było przeżarte przez korniki. Mimo to schowano go na strychu, był po babci.

Zaraz następnego dnia Żenia zaniósła zegar do ciotki Andy. Wuj Franci obejrzał mechanizm, stwierdził, że jeszcze się nadaje, a potem go oczyścił. Żenia wyszukała odpowiedni kawałek drewna i zaczęła strugać skrzynkę, dokładnie taką samą jak ta stara. Wycinała, wypalała, piłowała i polerowała.

Gotowe dzieło przyniosła do domu w czasie żelarskiego odpustu, kiedy w chałupie było pełno gości. Wyrazy podziwu przyjmowała z obłudną skromnością.

– Po kim ta dziewczyna ma takie zdolności? – rozplýwała się ciotka Marcza, która lubiła się podlizywać, ale zanim zdążyła stwierdzić, że po dziadku, Żenia rzuciła, że po ciotce Andzie. Dziadek zawsze powtarzał, że wdała się w ciotkę i była to prawda, tyle że nie miał na myśli zdolności.

Stary młynarz nienawidził swojej córki Andy. Żenia długo nie wiedziała, dlaczego. Aż kiedyś usłyszała o jakimś Jakubie, któremu dziadek, jeszcze kiedy był powszechnie szanowanym sołtysem, przetrącił kręgosłup. Zarzucił mu na plecy worek mąki, chociaż chłopak uprzedzał, że takiego ciężaru nie uradzi, i miał na to wielu świadków.

Pieniądze załatwiły wszystko, sprawę zatuszowano.

Anda, wtedy już dorosła, jako jedyna z całej rodziny miała to dziadkowi za złe.

Co więcej – odeszła z domu. Wyszła za mąż bez ojcowskiego błogosławieństwa.

Po kilku dniach od triumfu z kukułką Żenia zadała wrogowi kolejny cios.

Przyszła po nią wdowa Cisarzova, żeby pomogła jej wnuczce przy wyszywaniu. Nieoczekiwany entuzjazm Żeni tak zdezorientował dziadka, że wynalazł jej natychmiast różne niecierpiące zwłoki zadania, które ma jeszcze wykonać. Natychmiast poznał po jej błyszczących oczach, że zrobił błąd, ale nie mógł już cofnąć słowa. Obrażona wdowa odwróciła się na pięcie, a z sieni dobiegły jej utyskiwania:

– Co sobie ten stary cap wyobraża?

Żenia uśmiechnęła się przypochlebnie do dziadka i posłusznie poszła zamiatać podwórko.

Starala się udawać, że żadne prześladowania nie mogą jej dotknąć, i tak wzięła się w tę rolę, że naprawdę nie sprawiały jej bólu. Tym samym uwolniła się od dotkliwych kar.

Bracia i siostry czuli się oszukani. Przystawała być ofiarą, na której pokorny kark składali swoje przewinienia.

Największy cios ich spotkał, kiedy na ich oczach wyślizgnęła się ze swojej gorszości, jak wąż ze starej skóry. Ni stąd, ni zowąd okazało się, że umie czytać. Nie tylko czytać – każde zdanie wypowiada starannie i bez zająknięcia. Robiła tak, jak jej radził Honza: panowała nad oddechem, w zależności od potrzeby zwalniała lub przyspieszała. W odpowiednich miejscach robiła pauzę, na niektóre słowa kładła delikatny nacisk.

Bez trudu pisała prawą ręką.

Gdyby jeszcze nie traciła głowy przed publicznością, byłaby najlepszą aktorką w jego zespole. Ale z tremy nigdy nie udało się jej wyleczyć.

Przemianę Żeni najgorzej znosiła matka. Dziewczynka nie mogła tego zrozumieć, bo w czasie choroby i tuż po niej wszystko było inaczej.

– Przestań się wynosić nad innych! – huknęła na nią, kiedy podarowała służącej sześciokątne tekturowe pudełko, obciążone ciemnoczerwonym aksamitem, o brzegach wyszywanych złotą nitką i z guziczkiem na wieczku. Podarunkiem pochwaliła się sama Manda. Schowała do niego swoje skarby: sznurek zielonych koralików, blaszany pierścionek z niebieskim oczkiem, połączane kolczyki i ślubną fotografię rodziców.

Pudełko było tak ładne, że każdy chciał je wziąć do ręki.

W końcu Manda już go nie chciała pokazywać, żeby nie zniszczyło się od dotykania. Zawołała Żenię i Cilkę do swojej komórki pomiędzy chlewami i każdej z nich dała lizaka i pańską skórkę – wspaniałości z żelarskiej trafiki.

Trafikantka miała dryg do handlu. Kramik miała nabity słodyczami i świecidełkami, które kupowała za psi grosz, kiedy straganiarze zwijali budy po żelarskich odpustach.

Wtedy też Manda pokazała dziewczętom fotografię w złamanej ramce. Żenia wymierzyła ją dokładnie i za dwa dni przyniosła nową ramkę, wplecioną z grubej trawy. Zrobiła też kółeczko, na którym można ją było zawiesić.

Tym zyskała sobie Mandę do śmierci.

Tę przemianę Żenia zawdzięczała Luce Vojniczowej.

– Nie mam okularów, czytaj sama! – poleciła, kiedy dziecko nalegało, żeby przeczytała *Czerwonoskórego gentlemiana*.

Żenia zaczęła czytać, a kiedy dopiero po kilku stronicach zorientowała się, jak gładko jej to idzie, zaczęła się jąkać.

– Czego się jąkasz? – huknęła na nią Lucka. – Oddychaj porządnie i nie spiesz się.

Żenia nabrała powietrza i wróciła do czytania. Znow jej wychodziło, zwolniła tempo i robiła pauzy, z radości oblała się potem, i czytała, czytała, czytała.

– Na dzisiaj starczy – zarządziła Lucka – pomożesz mi przycinać zioła.

Żenia nikogo nie słuchała tak chętnie jak Lucki, która była dla niej ucieleśnieniem wszelkiej ludzkiej doskonałości.

Cięty zioła i szykowały je do suszenia.

Lucka obserwowała migające ręce Żeni. Rzadko kiedy coś budziło jej podziw.

– W tej książce są też obrazki. – Żenia wróciła do swojej krainy snów. – Na przykład góra stołowa. A to, co wygląda jak krowa, to bizon.

– Nie nabijasz się ze mnie czasem?

– Nie! – zaklinało się dziecko, zdruzgotane udawanym podejrzeniem Lucki. – Wam nigdy nie mogłabym skłamać.

Stara zrozumiała, że tego rodzaju żartów musi się wystrzegać. Przycinały dalej w milczeniu.

– Mogę wam coś powiedzieć?

– Czemu nie.

– Co powiedział Winnetou, kiedy Old Shatterhand uderzył jego ojca tak, że ten stracił przytomność. – Żenia nabrała powietrza i zmieniła głos: – Mogłeś go przecież zabić! – Oczy jej płonęły. – A Old Shatterhand powiedział – dziecięcy głos przybrał głęboki ton: – Nie zabijam nawet wrogów, jeżeli to nie jest konieczne. A tym bardziej człowieka, który jest ojcem Winnetou – starannie wymówiła oba n – przez co zasługuje na szacunek. – Dziecięcy głos zadrżał z przejęcia. – Masz! Tu jest jego broń! Sam oceń, czy zwyciężyłem!

Dziecko patrzyło na Luckę takim wzrokiem, że zielarka uznała, że trzeba troszkę rozładować napięcie.

– A Winnetou wziął tę broń i zdzielił go w łeb. Tak to bywa na tym świecie, moje dziecko.

– Ale skąd! – wykrzyknęła Żenia. W jej świecie takie rzeczy się nie zdarzały. Nabrała powietrza: – Wziął tomahawk, który mu podał Old Shatterhand, i długo się w niego wpatrywał. – Żenia także długo się w coś wpatrywała. – Jego napięty wzrok z wolna miękł i coraz bardziej tajał, aż w końcu pojawił się w nim podziw. Ze zdumieniem pokręcił głową. – Żenia też pokręciła głową. – I zawołał: Co za człowiek z tego Olda Shatterhanda! – Zająknęła się ze wzruszenia.

– To mnie całkiem rozkleiło, dziewczyno – rzuciła Lucka niemal szczerze. – Muszę na tę okoliczność tyknąć sliwowicy.

– Dalej jeszcze bardziej się wam spodoba! – wykrzyknęła Żenia. – A więc podajesz mi broń – wygłosiła z patosem – chociaż nie wiesz, czy dotrzymam słowa? Czy wiesz, że tym samym oddajesz się w moje ręce?!

– A wiedział o tym ten osioł?

– Wiedział! Wiedział, że Winnetou jest szlachetny!

Na tę okoliczność Lucka nalała sobie jeszcze raz.

Kiedy skończyły przycinać, dziecko odezwało się szeptem:

– Kmoterko, wzięlibyście mnie kiedyś na zioła?

– No pewnie. Właśnie miałam ci to zaproponować.

– I nie będzie wam przeszkadzać, że to jestem ja?

– Co ty bredzisz? Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? Przecież jesteśmy umówione, czy nie? Psiakość, Błażeno, coś mi się widzi, że przypadłyśmy sobie do gustu.

Taki honor sprawił Żenię w osłupienie. Lucka posyłała po Żenię coraz częściej, a dziecko nie mogło wyjść ze zdumienia, że dziadek nie ma nic przeciwko temu.

– Uratowała ci życie, musimy się jej odwdziaczyć – usprawiedliwiała jego niezrozumiałą przychylność matka. Dobrze wiedziała, że nie spełnić prośby (czy raczej rozkazu) Lucki oznaczałoby dla każdego z mieszkańców wsi katastrofę.

Matka stanowiła dla Żeni coraz większą zagadkę. Nie wiedziała – kocha ją, czy nienawidzi. Przy jej nieoczekiwanych wybuchach złości zadawała sobie pytanie: dlaczego?

Ze wszystkiego zwierzyła się Lucce, powiedziała też, że dziadek nagle stał się dobry.

– Nie daj się zabałamucić, w duchu aż się skręca ze złości.

– Wiem, ale pozwolił mi do was chodzić, chociaż... – zaczerwieniła się.

– Chociaż nie powie o mnie inaczej niż stara wiedźma – dokończyła Lucka spokojnie. – Schodzi mi z drogi, i tyle. Wie, że zawsze mogę przyjść po ciebie sama – a tego boi się jak diabeł święconej wody.

To mogła Żenia zrozumieć. Zielarka w pięć minut potrafiła zrujnować całą jego pewność siebie.

– Ale mama... – szepnęła.

– No tak, z tym się musisz pogodzić. Nigdy ci nie wybaczy, że urwałś się z łańcucha.

Pewność i trafność sądów Lucki była dla córki leśniczego twardym orzechem do zgryzienia. Nie wiedziała dokładnie, co zielarka ma na myśli, ale nie miała cienia wątpliwości, że każde jej słowo zawiera mądrość.

Pomiędzy dzieckiem i starą kobietą rodziła się niezniszczalna przyjaźń.

3

Żenia przygląda się rozczesanej szopie na głowie Honzy, która po obu stronach opada mu na czoło. Zastanawia się, co można by z tym zrobić. Ma raczej okrągłą twarz, jak ciotka Anda, ale ciotka Anda może się czesać w kok, a on nie.

A gdyby zapuścił brodę? To by wyglądało śmiesznie, broda nie pozbawiłaby go chłopięcego wyglądu.

Graj z Jirzinką w chińczyka. Jirzinka się śmieje i kogoś Żeni przypomina.

Cilkę.

Na wspomnienie zmarłej siostry Żeni ogarnęła taka czułość, że musiała coś z nią zrobić.

– Kolacja będzie za dziesięć minut.

Zabrzmiało to nazbyt ostro, więc wszyscy odeszli od gry i zaczęli nakrywać do stołu. Resztę niepotrzebnego wzruszenia Żenia wytchnęła nad parą przy kuchni. Jednak wspomnienie Cilki pozostało.

Zacząła wykładać knedliki z serem i dżemem truskawkowym na gliniane talerze w kolorze śmietany. Sama nadała im tę formę, jak niemal wszystkiemu, co było w tym domu.

Możesz być bogata!

Tak i w podobny sposób przekonywała ją kiedyś, dawno temu, właścicielka salonu mody w Szadovej Hucie, pani Buchlovicka, na którą za plecami wszyscy mówili stara Buchla. Ale zwracali się do niej „szanowna pani” i jeszcze dodawali „całuję rączki”.

Buchla za wszelką cenę chciała wyswatać Ženi swojego przyznanego syna Rendę. Nadskakiwał jej w niebywale odrażający sposób, przekonany, że Ženia marzy o jego obślinionych pocałunkach. Kiedy wypowiedziała posadę, jego malutkie oczka ze zdziwienia zwiększyły się do niemal normalnych rozmiarów.

Jako żona Rendy miałaby dwa domy, renomowany salon mody, pieniędzy jak lodu – i od rana do nocy nudę i frustrację.

Spokojnej na ogół Ženi nic tak nie irytowało, jak brak smaku. Na przykład pewna paniusia z ogromnym tyłkiem uparła się na sukienkę z mnóstwem falbanek. Ženia powiedziała jej prosto z mostu, że będzie w tym wyglądać, jakby owinęła się pierzyną. Zakład stracił jedną klientkę. Mądrzejsze damy zostawiały wszystko w rękach Ženi. Potem budziły podziw i zawiść, i prowadziły do starej Buchli zastępy nowych elegantek.

Nie tylko Buchla, również inne krawcowe, a nawet modystki i fryzjerzy proponowali Ženi złote góry.

W tym czasie miała już tego wszystkiego po uszy, wróciła do Želar i wyszła za Rostię Kulawca.

Mogłam być bogata!

I co bym z tego miała? Ženia, zanim najęła się u starej Buchli, pracowała w kawiarni u Irczy Mareniny. Odeszła z domu, bo dziadek nieopatrznie powiedział, że jest ich wszystkich w domu jak gawronów. Nie zapomniał przy tym dodać, jak to on sam za młodu musiał się naharować. Chciał tylko upokorzyć wnuczkę, nie chciał jej wygnać.

Ale Ženia wykorzystała okazję i zorganizowała wszystko tak szybko, że nie było sposobu, żeby ją zatrzymać. Wszyscy przeczuwali, jak bardzo będzie im jej brakować.

Ženi spełnił się sen jej życia.

Odeszła z plecioną torbą własnej roboty i w sukience od ciotki Andy, całą resztę zostawiła w domu, a mimo to wiedzieli, że odchodzi na zawsze.

Zatrzymała się u Irczy, przyjęta z otwartymi ramionami. Nie było takiego zadania, w którym by się nie sprawdziła. Gotowała, sprzątała, szyła, brukowała podwórko, malowała chlewy, postawiła wędzarnię, a po lokalu śmigąła jak wiatr. Skończyła pracę tego samego dnia, kiedy pacnęła jakiegoś nachalnego gościa po łapie.

Z Irczą rozstała się w gniewie.

Juliszce, która w kuchni zmywała talerze i z pokorą znosiła wyniosłe zachowanie Irczy, nie udało się pogodzić dawnych koleżanek.

Na początku Żeni podobało się u starej Buchli. Przede wszystkim cieszyło ją, że miała pełne ręce roboty – samodzielnej i ciekawej.

Dalej spotykała się z Juliszką. W niedzielę przed południem, kiedy obie miały wolne.

Wygląd przyjaciółki raził nieomylny smak Żeni, ale długo nie odważyła się zranić jej słowem krytyki.

W końcu nie wytrzymała.

– Musisz rozpuścić włosy – powiedziała i zabrała się do czynu.

Drobna buzia, wypukłe czoło i mocno ściągnięte w kitkę kosmyki słomianych włosów – wszystko to nadawało Juliszce wygląd brzydkiego dzieciaka. Żenia pobawiła się jej włosami, pozwoliła im spłynąć swobodnie wokół głowy, z tyłu zwinęła je w węzeł, a od spodu wsunęła zapinki, z których jedna wystawała i była podobna do grzebienia z metalową koronką.

Jeden z jej efektownych sukcesów.

Uszyła Juliszce odpowiednią sukienkę i odkryła jej urok.

Cierpliwie i długo ją uczyła, aż w końcu dziewczyna już sama umiała zadbać o siebie.

Pozostałe kelnerki patrzyły na to wszystko niechętnie, ale ich obawy, że przeobrażona Juliszka odbierze im klientów, nie spełniły się. Lgnęła nadal do swojego muru obronnego, do starej baby Johany.

– Uważaj, dziewczyno, raz się potkniesz i będzie po tobie – przestrzegła ją dawna rozpustnica. – Ja, wysłużona lafirynda, mogę ci to gwarantować.

Niewinnej Juliszce nie musiała tego powtarzać dwa razy.

Dziewczyny zaczęły zabiegać o przychylność Żeni, a ona ćwiczyła na nich swój kunszt. Wybrała tę, która wyglądała najlepiej, ale kiedy przyjrzała się jej policzkom, uróżowanym papierkiem od cykorii, wyskubanym brwiom, przedłużonym sadzą ze spalonej zapałki, nosowi omączonemu pudrem, natychmiast zapędziła elegantkę do łazienki.

– Wyglądasz jak kokota! – krzyczała na nią, a pozostałe nie kryły rozbawienia, bo pięknotka miała przezwisko Dawajka. Dziewczyna, którą z powodu wyglądu przezywano Makaron, głośno pisnęła, ale i tego sygnału Żenia nie zrozumiała. Rzuciła się na Dawajkę jak na zniszczony obraz, który należy odrestaurować. Efekt zapierał dech. Dama od siedmiu boleści tak się za siebie wzięła, że zadurzył się w niej młody piekarz. A potem nawet się z nią ożenił.

Więcej cudów Żenia nie zdołała dokonać, ale wieści o jej talentach rozniosły się po całej okolicy. Kiedy zmęczyło ją to wszystko, wróciła do rodzinnej wsi, wyszła za mąż i kupiła łączkę Pazdery – miejsce, do którego ciągnęło ją od dzieciństwa.

Po kolacji Jirzince wolno jeszcze chwilę bawić się z Aninką i Buszą. Grają w kiczki albo skaczą chłopka, odbijają o ścianę szmacianą piłkę, czasem też na starym kocu grają w ciupy.

Honza omawia z Żenią szczegóły scenografii nowej sztuki. Zapowiada się świetny spektakl, który na pewno będzie się cieszył powodzeniem.

Tym razem przygotował libretto opery Dvořáka *Diabeł i Kasia*.

Porywał się też na inne rzeczy, co do których Żenia była przekonana, że skończą się kląpą.

Na przykład epicki poemat Čecha *W cieniu lipy*.

Pierwsze próby wypadły tragicznie. Z czasem jednak aktorzy wczuli się w role i powstało fantastyczne przedstawienie.

Ludzie śmiali się i płakali, oczarowani poezją, którą przeżywali prawdziwie i głęboko.

Honza recytował zakończenie, kwestię młynarza. Najpierw rozpląkała się ciotka Anda. Usłyszał to i zadrżał mu głos. Potem rozpląkał się Joza od kowala. W końcu nikt już nie wstydził się łez.

Monachium było jeszcze daleko, gwarancje neutralności kraju wydawały się pewne, a jednak przedstawienie ujawniło stuletni strach – przeczucie nieszczęść, które mogą nadejść.

Honza jest świetnym aktorem i doskonałym reżyserem. W dzieciństwie miał przezwisko Błazen, a kiedy studiował pedagogikę, był filarem studenckiej grupy teatralnej. Po powrocie w rodzinne strony stworzył amatorski teatr, który ciągle się rozrasta, zwłaszcza odkąd w żelarskiej szkole utworzono jeszcze jedną klasę, a on sam został nauczycielem pomocniczym.

Honza umie rozpoznać talent i każdego z aktorów męczy tak długo, aż wydobędzie z niego wszystko, co się w nim kryje.

Żenia miała talent, więc dał jej kiedyś rolę Mahuleny. Jednak na scenie była tak stremowana, jakby miała się rozebrać przed publicznością. Harował z nią tak samo, jak wtedy, kiedy uczył ją pisać prawą ręką. Tłumaczył, pokazywał, namawiał. W końcu wydobyła z siebie coś możliwego do przyjęcia, ale dopiero wtedy, kiedy postanowił, że księcia Raduza zagra on sam. Wiedział, że przyjęła tę rolę z powodu żelarskiego pięknisia Mili i tylko dla niego.

Honza podtrzymywał ją na duchu także na scenie, wtedy mogła się rozluźnić i jej występ jakoś uszedł, ale już nigdy więcej nie zaryzykował w taki sposób.

Żenia stała się jego niezastąpioną asystentką do spraw artystycznych – projektowała scenografię, szyła kostiumy, charakteryzowała aktorów.

Dziś sama nie może uwierzyć, co przeżywała, kiedy Piękniś Miła odprowadzał ją do domu. Ani trochę nie przeszkadzały jej wymowne spojrzenia koleżanek, a przerażony wzrok Honzy ją śmieszył.

Jeśli teraz mogłaby sprawić, żeby nigdy nie zaistniał jakiś jeden dzień z jej życia, wybrałaby właśnie ten, kiedy była szczęśliwa bez reszty.

Miedziane falujące włosy, wielkie, szeroko otwarte, niebieskie oczy o długich rzęsach, postura Janosika.

Prześliczne pudełeczko, niestety w środku puste.

Żadna dziewczyna oprócz Żeni nie dała się mu zwieść. Góry, tak okrutne dla ludzi, silniej niż gdzie indziej rozwijały w nich instynkty, które hartowały się przez pokolenia.

Żenia takich instynktów nie miała.

Była wydana na pastwę uczuć, była wydana Mili jak owca rzeźnikowi.

Te natrętne umizgi wobec dziewczyny, o którą się nikt nie ubiegał, ta przejrzysta sztuczka tylko dla niej była tajemnicą – aż w końcu i jej spadły łuski z oczu. Piękniś znalazł sobie nową ofiarę. Jej siostrę – pełną wdzięku i wesołą Jitkę.

Taktyka się sprawdziła, zazdrość zrobiła swoje. Żenia chciała umrzeć.

– Chyba nie będziesz się zamartwiać przez tego głupca? – Lucka wypowiedziała jadowitą prawdę.

– Jestem głupia, kmoterko?

– Jak noga stołowa.

Lucka puściła oko.

– Ale nie przejmuj się. To się zdarza każdemu. Im wcześniej, tym lepiej –
zaśmiała się, a jej śmiech był jak balsam.

– Ja też kiedyś oddałabym życie za jednego łądaka, zanim go przejrzałam.
Surowe słowa Lucki Żenia piła jak gorzkie lekarstwo.

– Czas zmiecie do rowu twoje zmartwienie, i to już niedługo.

Ani trochę w to nie wierzyła. Nie umiała sobie wyobrazić życia bez Mili.

Kiedy zaręczył się z Jitką i przychodził do nich codziennie, musiała się bardzo starać, żeby nie zrobić jakiegoś głupstwa, którego żałowałyby do śmierci. Codziennie przychodziła do Lucki po swoją dawkę gorzkiego lekarstwa na duszę.

Dziś to wszystko jest daleko, tak daleko. Lucka mówiła świętą prawdę – jak
zawsze.

Za oknem poruszyły się gałęzie. Okolice omiata wieczorny wiatr.

Wiśnia się chwieje, otwiera się i zamyka.

– Dziewczynki, już czas.

Przybiegły od razu. Nie były zdyszane, więc mogły napić się soku z malin.

Poszli odprowadzić Aninkę i Buszę. W drodze powrotnej Jirzinka szła pomiędzy
Honzą i Żenia i cieszyła się, kiedy oboje podnosili ją do góry za ręce i przenosili przez
górkę i dołki.

– Możesz przyjść jutro na próbę?

– Jasne.

Dekoracje, kostiumy, maski. Kombinować, wyszukiwać, znosić stare pudła,
skrzynki, kawałki tektury, kolorowy papier, słomę, skrawki materiału, niepotrzebne
ubrania.

Entuzjastyczny zapach, którego nic nie ostudzi ani nie przyćmi.

Przypochlebne podziękowanie Honzy.

Potrafił dać góralom takie przedstawienie, w którym swoje role grały nawet
światła i cienie, zmieniające się tło, taniec, skrzypce i cymbały za kulisami, miejscowe
piosenki.

Poeci: Erben, Vrchlický, Wolker.

Autorzy dramatów: Tyl, Bozděch, Stroupežnický.

Miękki głos Manka-z-Brzuchem i Hedviczki Vlkoszovej.

Na Dzień Matki z powodzeniem włączył do programu poezję Březiny. Połowę tekstu recytował sam. Jego interpretacja była prosta, naturalna, pełna wewnętrznego napięcia, jakby te wiersze właśnie sam tworzył. Przypominały źródło, które po raz pierwszy przedarło się na świat z lodowatego wnętrza opornych skał.

Skończył recytować wiersz Vrchlickiego *Po źdźbło miłości*, a Lucka wyraziła ogólne wrażenie: – Ten drań mnie wzruszył.

Niegramotni, ale bardzo wrażliwi żelarscy górale znali swoich poetów lepiej niż uczniowie z Szadovej Huty.

Wiatr się uciszył, ściemnia się. Nadchodząca noc zmienia okolicę w znikającą zjawę, którą wkrótce pochłonie ciemność.

Tylko sterta pociętego drewna tchnie ciepłem.

Z chałupy Lucki rozwinął się dywanik światła.

Po zboczu przemieszcza się nikły cień.

Idzie do Severów, staruszka im zaniemogła. Jedna z ostatnich szkolnych koleżanek Lucki. Ženia uświadamia sobie, że Lucka jest już stara. Z jej życia nie zniknie nigdy, ale któregoś dnia już nie odpowie na jej wołanie.

Powietrze zgorzkniało, niebo się wyduło i pęka, przez szczeliny przedziera się szarość, byle tam nie patrzeć.

Skraje lasu płoną.

Ženia ścisnęła rękę Jirzinki, a Jirzinka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Podobna jest do Rosti? Nie. Jest podobna do matki.

Cień Lucki zlał się z innym cieniem. Jirzinka rozpoznała go od razu.

– Babcia!

Babcia to ciotka Anda. To znaczy, że wuj Franci ma ciąg. To znaczy, że dziś Ženia przygotowuje późną kolację, którą poczęstuje ciotkę. Jirzinka uśnie babci w ramionach, a ta zaniesie ją na górę do sypialni, ostrożnie jak skarb. Bo ciotka Anda kocha swoją cioteczną wnuczkę – bardziej niż pozostałe wnuczeta. Oprócz niej nie ma innej dziewczynki, wymarzyła ją sobie.

Ženia podgrzewa mleko od krów Juliszki, pasą się czasem na jej łące. Mleko codziennie przynosi któreś z dzieci Jurigi, starcza go na zsiadłe, twaróg, ser, masło i śmietanę.

– Nie rób sobie kłopotu – brzmi pierwsze zdanie rytuału.

– Nie mam z wami żadnego kłopotu, ciociu Ando.

Od czwartej klasy Żenia chodziła z Cilką do ciotki uczyć się szyć. Anda dorabiała szyciem, żeby pomóc swoim czterem uczącym się synom. Cilka, a później także Jitka, kiedy umiały już uszyć fartuch, bluzkę czy koszulę, dały sobie z tym spokój. Żenia wytrwała. Mogła pomagać, bo ciotka szyła też dla rodziny leśniczego. Za misę kiełbas ze świniobicia, za worek kartofli, za plecionkę grochu. Odpowiadało jej to.

Żenię zainteresowały ścinki materiałów. Wypłatała z nich kolorowe postronki, szyła sakiewki, chusteczki do nosa, lalki. Od Andy nauczyła się robić koronki i ażury, wyszywać, szydełkować.

Wymyślała wzory, a każdy był inny.

Przy sprzątaniu strychu znalazła koło garncarskie. Franci je naprawił i pokazał, jak go używać. Odkryła glinę i od razu nad nią zapanowała. Każdą wolną chwilę spędzała na ugniataniu masy garncarskiej, modelowaniu, suszeniu, wypalaniu, malowaniu. Miała na tym punkcie bzika.

Swoje hobby musiała ukrywać przed domownikami, nie miała złudzeń – zaraz by go jej zabroniono.

Wuj Franci miał dobrą posadę, był księgowym w tartaku. Ale kiedy złapał ciąg, przez kilka dni nie wychodził z szynku. Ciotka nie chodziła po niego. Wracał sam, zmarnowany, wystraszony i skruszony. Przepraszał żonę na kolanach.

Za tę słabość Żenia nim gardziła.

– Idź się położyć, Franci – mówiła ciotka łagodnie. Za to gardziła i ciotką.

Wuj się mył, golił, coś zjadł i szedł spać. Spać? Kiedyś weszła do jego pokoju po nożyczki, Franci miał oczy otwarte.

– Już taki jestem, Błażenko – powiedział półgłosem tak, jakby się usprawiedliwiał i przed nią.

Mówili na niego Niemczur, bo jego matka pochodziła z Wiednia. Jego ojciec przywiózł ją z wyprawy za chlebem, nigdy nie nauczyła się porządnie mówić po czesku. Ich warsztat stolarski prosperował, był jedyny w całej okolicy, a mimo wszystko musieli dorabiać handlem węglem. Wszystko odziedziczył najstarszy syn, głupiec bez charakteru, ale sprytny kupiec.

Franci był bystrym chłopcem, posłali go więc do szkoły.

Nikt nawet nie podejrzewał, że chodzi z Andą, dopóki nie przyszedł do młynarza prosić o jej rękę. (Stało się to właśnie wtedy, kiedy ojciec chciał ją wyrzucić z domu.) Hardy młynarz kipiał ze złości, że spotykali się bez jego pozwolenia, twierdził, że Anda nie ma posagu. To Franciemu nie przeszkadzało. Wtedy stary oznajmił, że przyrzekł ją szynkarzowi, który właśnie owdowiał. Franci, zazwyczaj spokojny, tym razem nie zdołał się opanować i rozmowa skończyła się awanturą.

Tym samym ucieczka młynarzówny została przypieczętowana.

Wesele mieli skromne, a posagu rzeczywiście nie dostała. Kiedy o tym mówiła, promieniała szczęściem.

Niczego mu nie zawdzięczam i nie będę go mieć na głowie. Żenia pomyślała: tak jak moja matka – tak jak biedna Emcza.

Potem wybuchła wojna i Franciego wzięli do wojska. W kołysce leżał najmłodszy, czwarty syn.

Przed wojną Franci nie brał wódki do ust, po wojnie został alkoholikiem. Czasem wspominał człowieka, którego nazywał markizem. Mówił, że markiz chciał go adoptować, ale na żadne dalsze pytania Żeni nie odpowiedział. Ciotka z niczym się przed Żenią nie zdradziła. Czasami wuj wygadywał takie bluźnierstwa, że dziewczynkę, wychowywaną w rodzinie i w szkole w duchu romantycznego patriotyzmu, raziło to i przerażało.

– Nie ma sławnych bitew i sławnych zwycięstw, Blaženko. Nie ma bohaterstwa na polu walki. Jest tylko próżna głupota dowódców.

Historia była ulubionym przedmiotem Żeni. Na lekcjach wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

– Na pomniku poległych jest napisane BOHATEROM – zaoponowała.

– Wiem, Blaženko – przymknął oczy z poczuciem winy.

– Ci wszyscy bohaterowie przecież istnieli.

– Nie wszyscy.

– Jak to?

Ociągał się z odpowiedzią.

– Bohater jest zawsze sam... Ale wszyscy byli ofiarami wojny, to prawda.

Pobiegła z tym do Lucki.

– Ma rację – podsumowała zielarka nieoczekiwanie i ostatecznie. – Bohater jest samotny. A wojna to jest takie gówno, w którym bohater zawsze przepadnie z kretesem.

– To znaczy, że bohaterstwa w ogóle nie ma? – pisnęło dziecko, któremu nagle zabrakło tchu.

– Jest go pełno – uspokoiła ją Lucka. Potem dostrzegła jej wyraz twarzy.

– Wiem, co ci robi zamęt w głowie. Umrzeć śmiercią bohatera jest stosunkowo łatwo. Trudno jest żyć po bohatersku. Zrozumiesz to, jak już nie będziesz mieć mleka pod nosem.

Żenia zapragnęła, żeby stało się to już jutro. Nie miała żadnych wątpliwości co do absolutnej – i na razie dla niej niedostępnej – mądrości Lucki.

Wuj Franci przywiózł z frontu włoskiego obraz – malowidło olejne na desce – przedstawiający człowieka w barwnym ubraniu, siedzącego na zydłu z lutnią na kolanach. Dał mu go markiz na pamiątkę.

Franci i Aninka. Tak mówili do siebie, jak za młodu. Ich dom w niczym nie przypominał jej własnego.

Od Mandy Żenia usłyszała, że ciotka chciała ją wziąć do siebie i wychowywać jak własne dziecko.

– Potrzebujesz służącej?! – rozdarła się na nią leśniczyna.

– Córki.

– To trzeba było sobie urodzić!

Dopiero potem Żenia zrozumiała, dlaczego ciotka wzięła ją w ramiona, kiedy się jej poskarżyła: Jestem tylko ciężarem. Nie liczę się. Jestem darmozjadem.

Spośród wszystkich dzieci do ojca najbardziej podobna była Żenia. Również z charakteru. Czego się chwyciła, nie popuściła. Leśniczy tego nie widział.

Duszę oddał lasowi. Wichury spędzały mu sen z powiek. Pędził robotników i rodzinę do zagrożonych miejsc, rzucał rozkazy, jakby strzelał z bata, nie jadł ani nie usiadł, dopóki katastrofa nie została zażegnana. Nawet dziewczęta musiały włączyć się do pracy, a potem po kryjomu pokazywały sobie krwawe odciski. Poza takimi sytuacjami córki dla niego nie istniały. Za swoje potomstwo uznawał tylko synów.

Rządy w chałupie oddał w ręce dziadka.

Stary młynarz gospodarzył dobrze. Wymuszał posłuszeństwo, był hojny, płacił ludziom za to, że ich poniżał. Wyśmiewał się ze wszystkich, ale sam nie ścierpiałby nawet lekkiego uśmiešku. Byłe podejrzenie wystarczyło, żeby się mścić.

Wszystko wokół siebie przygniatał do ziemi, sam tymczasem wznosił się ponad wszystkim jak obelisk.

Żenia dowiedziała się od Lucki, że kiedyś był jednym z najbiedniejszych kawalerów we wsi, a młyna nie odziedziczył, lecz się do niego przyżenił. Spyszniał, spaniał i zyskał władzę.

Jego okrutna bezwzględność nie natrafiała na przeszkody.

Zamęczył swoje poprzednie żony. Nie mógł im zapomnieć, że zawdzięcza im swoją pozycję.

Gdyby w leśniczówce wyszło na jaw, jakich to rzeczy dowiaduje się ich felerna, jękająca się córka!

Zielarka nie zataiła przed dzieckiem nawet tego, że starzec miał słabość do kobiet. Po śmierci drugiej żony żył z młodą służącą, która odplaciła mu pięknym za nadobne. Zawsze, ledwie wyszedł za próg, już ścigała do młyna matkę i dwa swoje nieślubne dzieciaki. Kradli ile wlezie, ale pewny swego młynarz nie podejrzewał ich ani trochę. Mile go łechtało, że dziewczucha jawnie do niego łgnie, że go obskakuje, że z radosnym chichotem przyjmuje jego niewybredne żarty, że czeka na jego skinienie i okazuje mu oddanie jak dobrze wytresowany pies.

Taki układ trwał długie lata. Jenufa Okaczova bez żenady brała sobie to, co słusnie jej się należało za znoszone upokorzenia. Zdradzała go nawet z młynarczykami, którzy zmieniali się we młynie jeden za drugim.

Jednego razu ją przyłapał. Z miejsca ją wyrzucił, ale rana w sercu już mu pozostała.

Nie mógł się uwolnić od niewiernej Jenufy i na wszystkich kolejnych kobietach mścił się za jej zdradę.

Żenia słuchała z niemożliwym do powstrzymania drżeniem, bo wyobrażała sobie, co by na to powiedziała matka.

– Był z niego przystojny mężczyzna, kobiety do niego łgnęły. Sama się z nim ciągałam jakiś czas, jeszcze był wtedy wolny – ukoronowała Lucka swoje wspomnienia.

– Wy, kmoterko?

– Była ze mnie szelma. Ale nie łajdaczka. – (Żenia nie za bardzo rozumiała różnicę). – Tę bliźnę na łbie ma ode mnie.

Wieczorem Żenia zerknęła na bliźnę dziadka, która ciekawiła dzieci od zawsze. Kojarzyły ją z jego siłą i zwycięskimi bójkami.

Rodzice nie domyślali się, jaką szkołę Żenia przechodzi u Lucki i jak bardzo do niej przyłgnęła.

- Jak będę duża, kmoterko, zbuduję sobie domek koło waszego, na łące Pazdery.
- No jasne – przytakiwała stara, chociaż nie wierzyła w to ani trochę.

Liczygroszka zaczęła składać pieniądze u pana nauczyciela.

Dostawała piątaką za roznoszenie mleka. Miała też inne źródła. Kiedy razem z ciotką Andą odnosiła szycie do Szadovej Huty, handlowała wytworami własnych rąk. Garnuszki, koszyki, plecione torby, chusteczki do nosa, lalki. Nie żądała wiele, więc jej wyroby miały wzięcie, a tajny majątek rósł.

Tak jak inne dzieci obskakiwała pachnący kramik trafikantki, ale mało kiedy coś kupiła. Nie chciała się zdradzić.

Na Boże Narodzenie przyniosła Luce ciemnobrązową kaszmirową chustę. Na jej obrzeżu widniały wzory w odcieniach tak delikatnych, jak oddech róży.

- Skąd to masz?
- Wymieniłam, kmoterko. Za talerzyki.

Handel wymienny odkryła dawno – już w szkole.

Stara chusta Lucki była pogryzioną przez mole szmatą, po prostu – do wyrzucenia. Żenia pocerowała ją drobniutkimi, wypracowanymi ściegami, dorobiła brakujące frędzle, przywróciła jej krasę.

- Dziewczyno, ty masz niesamowity talent!

Pokraśniała z radości, a w policzkach zrobiły się jej dołeczki. Tak bardzo pragnęła uznania.

Przygotowała też podarunek dla każdego członka rodziny. Poppełniła przy tym błąd, który stał się kamieniem obrazy. Mandzie i matce zrobiła na szydełku takie same ażurowe siatki na głowę, do przytrzymania włosów w wietrzne dni. Przy choince leśniczyna jakoś się opanowała, ale następnego dnia Żenia znalazła jej siatkę porzuconą w chlewie.

Żenia nie zwijała naleśników w rulonik. Położyła każdy na płaskim talerzu, posmarowała dżemem, ozdobiła bitą śmietaną i skropiła rumem. Honza zjadł dwie porcje, chociaż nie lubił słodkich dań. Uwielbiał ziemniaki. Żółte, smaczne ziemniaki z górskich pól. Twierdził, że mogłyby się stać ozdobą pańskich stołów, gdyby nie były tak łatwe do zdobycia dla biedoty. Żenia umiała je przygotować na sto sposobów. Pod postacią piure, sałatki, zapiekanki, placków i gulaszu, gotowane, pieczone, z różnymi sosami, z warzywami, z mlekiem...

Honza lubił kucharzyć, chętnie zastępował przy kuchni chorą matkę. Nie zdarzało się to często. Żenia, zawsze kiedy do nich zaglądała, próbowała potrawy, chwaliła ją, po czym mówiła: a teraz dodamy jeszcze trochę smaczku – i wychodziło z tego zupełnie coś innego.

Honza się nie wstydził. Uznawał Żenię za autorytet w tych sprawach. Lubiał sobie podjąć, a za sałatkami wręcz przepadał – nakładał je sobie nie na talerz, lecz do miski.

Po kolacji na stole rozłożyli projekty kostiumów i dekoracji.

Anda zeszła na paluszkach od śpiącej Jirzinki i przerwała im pracę. Siadła przy stole, złożyła ręce i zaczęła mówić o jedwabistych włoskach na poduszce, zaciśniętych piąstkach, wydymającej się oddechem buzi... Odłożyli zajęcie i uważnie słuchają, chociaż znają to już na pamięć. Dla kochającej babci jest to za każdym razem coś nowego i tak samo wzruszającego.

– Czoło ma zimne, nie poci się – kończyła relację ciotka Anda. Sprawdziła to pocałunkiem. W głębi duszy stale się boi o to blade dziecko. O mały włos byłyby się w życiu rozminęły.

Kiedy Żenia przyszła kupować łączkę Pazdery, w ogóle nie zwróciła uwagi na córkę Rosti. Za górkę z zawałoną szopą na siano zaproponowała niewiarygodną sumę ośmiuset koron.

Szawc Pazdera umierał na gruźlicę, a jego równie stara, zharowana żona – na zapalenie nerek.

Ku przerażeniu Żeni pokręcili głowami.

– Łączki nie możemy sprzedać. Należy do Jirzinki.

Dopiero teraz Żenia spojrzała na wychudzoną mizerotę, właścicielkę budy na jałowym ugorze. Jirzinka wstydliwie przegięła się na bok.

– Dam za nią tysiąc, jeszcze to sobie przemyślcie. Przyjdę się dowiedzieć. – Zrozumiała, że już tego nie przemyśla. Mimo to przyszła, zachmurzona i wściekła. Łączkę już dawno sobie przywłaszczyła, nie mogła się jej wyrzec. Jej marzenia waliły się w gruzy. Ogarniała ją rozpacz.

– No sami powiedzcie. Zapłacę za tę budę jak za chałupę. Będę wam to spłacać.

Nie skorzystali z królewskiej okazji, jaka im się nadarzała, spierali się, aż stary Pazdera zebrał się na odwagę:

– Nie wzięłabyś sobie Rosti?

Wyszło szydło z worka.

Nie obraziła się. Widziała, z jakim trudem to pytanie przedarło się przez chore gardło, jak jeszcze drży z poczuciem winy na jego zsiniałych wargach.

Spróbowali odsunąć jej *nie* o kilka sekund.

– Może wyzdrowieje – mówili bez szczypty przekonania. – Znowu pójdzie na operację. A gdyby nawet... Wypadek miał na służbie, Jirzinka będzie mieć rentę sierocą – podniósł głos (mówili razem). – Siedemdziesiąt koron miesięcznie.

Dwuletni dzieciak za siedemdziesiąt koron wybałuszał na Żenię oczy. A więc to o niego chodziło.

– Jutro wam powiem.

Poszła poradzić się Lucki, a następnego dnia powiedziała *tak*.

W strapionych oczach obojga błysnęła nadzieja. Nagle wypięknieli.

Zadziwionej Żeni przemknęło przez głowę: piękno ma duszę.

Rostia Kulawiec z podartym kocem na nieruchomych kolanach podczas tego swatania nie odezwał się ani słowem. Nie było mu w smak.

Kiedy wszystko było umówione, stary Pazdera odprowadził Żenię aż do miasteczka, gdzie wtedy mieszkała u starej Buchli.

– Coś ci musimy powiedzieć, Blaženko, matka i ja. Nic nie mów.

Nic nie powiedziała.

– Sprzedaliśmy szkielety.

– Jakie szkielety?

– Swoje. Żeby Rostia mógł studiować.

Z trudem opanowała jęk. Nabrała tchu, jej głos zabrzmiał naturalnie.

– I co z tego?

Zdobyła się na to, bo myślała intensywnie o lekarce z dziecięcego szpitala.

Jestem mańkutką, pani doktor. I co z tego?

– Rostia o tym nie wie. Nic mu nie mów.

Skinęła głową.

– Ludzie nam mają za złe, żeśmy się wywyższali. Ja jestem szewcem, matka wikliniarką... A Rostia został inżynierem. – Mimo całej biedy z jego słów biła duma. Żenia uświadomiła sobie, że będzie panią inżynierową i pohamowała wybuch bezsensownego śmiechu. – Ty jesteś człowiekiem wykształconym, ty to zrozumiesz. Myśmy z żoną czytali różne pouczające książki, a Rostia ma to po nas. Jirzinka będzie mądra.

– Na pewno – zgodziła się Żenia skwapliwie. W głowie już miała co innego. – A ciocia umiałaby wypleść... fotelik?

– Jasne, że by umiała.

– Taki bujany fotelik?

– Bujany też. Wypleciemy ci.

– Nie, wujku, ja nie chcę, żebyście coś dla mnie wyplatali, ja chcę, żebyście mnie tego nauczyli.

Pazdera zakłopotał się.

– To jest ciężka praca... to znaczy męcząca... chcę powiedzieć, że człowiek musi mieć do tego dryg...

Mówił dalej, ale już nie słuchała. Drżała z niecierpliwości. Jej serce zdobywała nowa pasja: wyplatane meble.

Dziwny ślub wzbudził ogólną niechęć. Ponieważ nikt nie znał prawdziwych motywów Żeni i nikt by w nie nie uwierzył, domysłem nie było końca. Siedemdziesiąt koron to niemało. Kto miał siedemdziesiąt koron i dach nad głową, nie mógł umrzeć z głodu.

Ale żeby córka leśniczego?!

Podejrzenia wyroiły się i opadły Żenię jak muchy porzuconą kość. Chodziły słuchy o spadku po dalekim wuju, o książeczkę oszczędnościowej z wieloma tysiącami.

Żenia wcale się tym nie przejmowała. Lucka oduczyla ją bycia niewolnikiem cudzych! osądów. Matka nie mogła wypowiedzieć imienia córki bez goryczy, dziadek triumfował, a ojcu było wszystko jedno, interesowali go tylko synowie.

Żenia okazała się synową bez zarzutu. Starym Pazderom zdrowie się poprawiło, a gdyby istniało coś, co mogłoby ich uratować, Żenia z pewnością by o to zadbała. Oboje przeżyli Rostię, który zmarł na zator płucny podczas kolejnej operacji. W tym czasie na łące w miejscu szopy stał już drewniany domek. Za poradą lekarzy Żenia zaraz się tam przeniósła razem z Jirzinką.

Wnuczce nie została odebrana miłość dziadków. Odwiedzały ich obie codziennie z jedzeniem i paczką wypranej bielizny. Pod koniec życia spotkało ich szczęście i towarzyszyło im aż do grobu. Jirzinka przyjęła Żenię jak matkę. Bez oporów ocierała delikatny nosek o jej policzki, zachowywała się naturalnie jak młode zwierzątko.

Żenia nie mogła się nadziwić temu, co się w niej przebudziło. Dokładnie to samo, co kiedyś dawno obserwowała z przejściem w psiej budzie, w królikami albo w oborze – a czego jej samej tak straszliwie brakowało.

Najsilniejszym uczuciem w jej dzieciństwie była nie miłość, lecz nienawiść. Żyła nią.

Każdego dnia coraz bardziej sobie uświadamiała, czym została obdarowana, każdego dnia coraz bardziej kochała dziecko Rosti.

Czuła ucisk w gardle, kiedy pomyślała, że wszystko to zawdzięcza młodej kobiecie, która umarła, ledwie tę dziewczynkę wydała na świat.

– Pisał Matia – ciotka Anda podała Honzie list. – Mianowali go majorem. Po odpuście przyjedzie z całą rodziną.

Honza był bardzo przywiązany do starszego brata. Żenia też go lubiła. Miała dla niego szacunek, bo był nieustraszony, sprawiedliwy i zawsze odnosił się do niej po rycersku. Za to nie znosiła dwóch średnich synów ciotki – Ludvy, a zwłaszcza Vincka. Kiedyś poskarżyła się Mati, że próbował ją obmacywać, i bezwstydnik dostał porządnie w skórę. Poskarżyła się matce, a dostała w skórę sama. Matia zawsze stawał w obronie tych, którzy potrzebowali pomocy. Miał to w swojej naturze.

– Przyjadą samochodem i w drodze powrotnej wezmą was na parę dni do Pragi. Pojedziesz ty z Żenią. Nie dla mnie już takie wyprawy.

Żenia aż poczerwieniała z radości. Wiedziała, jakie to wyrzeczenie dla ciotki. Pragę kochały obie tak samo.

– Jirzinkę wezmę do nas.

Tym razem poczerwieniała ciotka.

Ženia wiele razy była w Pradze, ale nigdy nie miała dosyć. Chodziła pieszo całymi godzinami, nogi jej drętwiały, bo nie była przyzwyczajona do twardych bruków, wspiniała się na Petryzn i na Vyszehrad, wpatrywała się w malownicze widoki, żeby potem móc je wywołać z pamięci.

Chodziła po średniowiecznych uliczkach, zaglądała w bramy, przystawała na nabrzeżu, zwiedzała pałace i galerie, chodziła do teatrów. Na własne oczy widziała dwóch podziwianych przez Honzę aktorów – Voskovca i Wericha, w Teatrze Narodowym obejrzała *Rusalkę*.

Była nawet na praskim balu. Matia zaprosił też Jitkę. Ženia pozostała niezauważona i nieporadnie tańczyła tylko z Honzą, Matią i z kilkoma jego uprzejmymi kolegami, za to Jitka przechodziła z jednych objęć w następne. Błyszczała w kreacji od starej Buchli, którą zaprojektowała Ženia, zachowywała się swobodnie, promieniała i czarowała.

Usunęła w cień nawet piękną żonę Mati.

Ženia z Honzą wracali z balu na piechotę – nie chcieli jechać taksówką. Miasto odśloniło przed nimi swoje drugie oblicze. Tak ciche, że sami powstrzymywali oddech, zatopione w marzeniach, nierzeczywiste, wypełnione długimi cieniami. Nad ich głowami wznosiły się wieże w ostrzejszych zarysach niż za dnia. Trzeba było zebrać się na odwagę, żeby zajrzeć w uliczki, które na końcu zamykała ciemność.

– Praga jest perłą Europy – powiedział Honza. Ženia milczała.

Anda i Honza szykują się już do wyjścia. Ženia zarzuciła na ramiona wełnianą chustę. Pójdzie z nimi kawałek. Potem siądzie w kucki przed chałupą i poczeka na Luckę. Będzie obserwować malejący księżyc, jak chowa się w chmurach i wynurza się z nich po chwili. Światło, cień – światło, cień.

Poczucie spokoju i ładu we wszechświecie.

Nadchodzi ktoś z późną wizytą.

– Jitko! Skąd się tu wzięłaś?!

– Dziadka zabrali do szpitala. Otworzyły mu się nogi.

Przyszła nie z powodu tej wiadomości. Ženia czeka.

– Mama jest tym załamana. Ma tyle pracy...

– Pójdę jej pomóc.

– Najbardziej byś jej pomogła, gdybyś na jakiś czas wzięła dziadka do siebie. Jak wróci, będzie potrzebował spokoju. U nas jest przez cały czas jak we młynie.

Jak mam powiedzieć: nie?

– Kiedy wraca?

– Jutro.

A więc nie mam czasu do namysłu.

– Honza ci wybrał rolę – Żenia zmienia temat. – Będziesz grać księżną piekieł.
Czerwony brokat łączony z czernią.

Rola niemal bez tekstu, będzie tylko sunąć po scenie długimi krokami, wspaniała szata, perlisty śmiech.

Ogromny sukces. Owacje.

Miejscowi chłopcy kupili sobie na spólkę lornetkę, żeby móc jej zaglądać w dekolt.

Mila znów zakocha się w niej namiętnie, jak zawsze. Ona go nigdy nie kochała, ale rolę oddanej małżonki potrafi odegrać przekonująco.

– Przywieźlibyśmy ci dziadka jutro koło południa – nalega Jitka niecierpliwie.
Szybko dodaje: – Nie za darmo. Zgadzasz się?

– Nie.

6

Żenia przystępowała do spowiedzi ostatnia, a jeszcze do tego zwlekała z wyznaniem banalnych grzechów. Byłam nieposłuszna, zazdrościłam, życzyłam chłopakom, żeby dostali lanie, wyśmiewałam się. Przy ostatnim grzechu się zatrzymała. Uświadomiła sobie, że ten grzech jest naprawdę ciężki.

– Wyśmiewałam się z Lizy Szeldovej, kiedy przyniosła z parowu podartą lalkę Alenki Svojsikovej. Było jej żal tej lalki... Alenka ją zniszczyła i wyrzuciła na śmieci i powiedziała, że ją zgubiła, żeby stryj jej kupił nową.

Żenia mówi tak, jak jej myśli przelatują przez głowę, nigdy nie mówiła więcej niż przy spowiedzi. Wielebny o nic nie pyta. I nigdy jej nie przerywa.

– Liza wyciągnęła ją z parowu i uszyła jej taką okropną sukienkę i wyprała ją w mydlinach i chodziła z nią po lesie i mówiła do niej a ja ją zobaczyłam i powiedziałam o tym w klasie a Alenka od razu chciała jej tę lalkę odebrać a Liza nawet jej nie wymyślała tylko tak patrzyła... (ten niemy krzyk w jej oczach Żenia będzie pamiętać do śmierci) i powiedziała, że tej lalki nie da nikomu... i wszyscy byli przeciwko niej, ja też... ale potem uszyłam jej dla tej lalki piękną sukienkę i jeszcze jej wystrugałam kijek do kiczek (Żenia podnosi głos, chce zakrzyczeć samą siebie, swoje wyrzuty sumienia, swoje nienaprawialne winy) ...my na nią mówimy Rzekotka, bo wygląda jak żaba w tych okularach... ale teraz już się z niej tak bardzo nie śmiejemy.

Książd milczy.

Straszny grzech. Wszystkie inne są niczym wobec tego jednego. Nie przesłoni go nawet ten ostatni, z powodu którego tu przyszła.

– I jeszcze nienawidzę dziadka.

– Nienawidzisz? – odezwał się wbrew swojemu zwyczajowi.

– Tak.

– Dlaczego?

Wyrzuciła to z siebie jednym tchem i skończyła zadyszana, rozgorączkowana. Opowiedziała, jak mocno bije, jaki jest niesprawiedliwy dla matki, jak się wyśmiewa ze słabej, przewrażliwionej Cilki. Zawahała się, lecz za chwilę wytrząsnęła z siebie zdarzenie przy kopaniu ziemniaków. Cilka usiadła z obiadem pomiędzy workami, tak robili wszyscy, worki służyły za stół. Prawie nic nie zjadła, tylko przyłożyła głowę do worka i natychmiast usnęła. Miała pecha, że dziadek to zauważył. Zakradł się do niej po cichu z dzbanem wody, w której myli ręce. Chlusnął na Cilkę lodowatymi popłuczynami.

Poderwała się i krzyknęła. Mokra sukienka bezwstydnie oblepiała jej ciało. Dziadek słychał ze swoich zarcików, jego kompani pękali ze śmiechu. Żenia, która od czasów choroby przestała się czymkolwiek przejmować, ściągnęła sukienkę i została w samych majtkach. Odciągnęła struchlałą Cilkę w krzaki, tam założyła jej swoje ubranie i zdziwiła się, że na nią pasuje. Mokra rzecz rozwiesiła na gałęziach.

Wracała pólnaga, ale nikt się z tego nie śmiał. Tylko matka syknęła na nią: ty bezwstydnico!

Potem Żenia wzięła porwany worek, wcisnęła w dziury głowę ręce, ściągnęła się w pasie sznurem i podkasała materiał tak, żeby się o niego nie potykać. W takim przebraniu pracowała aż do zmroku i nikt jej słowa nie powiedział. Nawet dziadek milczał.

– Nienawiść to grzeszne uczucie, Blaženko, to jest coś takiego jak choroba. Musisz się z niej wyleczyć.

– Wiem, ale mi nie wychodzi.

– Zauważyłaś kiedyś, jaki dziadek jest stary? Siwy? Zatroškany?

Zauważyła. Jest jej to obojętne.

– To mógłby mieć trochę uważania – powiedziała i nie było w tym arogancji.

– Jesteś mała, Blaženko, nie rozumiesz problemów dorosłych.

– On nie ma żadnych problemów. Tylko rozkazuje.

– Tak ci się wydaje. Troszczy się o was wszystkich. A dlaczego? Bo was kocha.

Żeni przeszedł skurcz po twarzy. Nie roześmiała się tylko ze względu na księdza. W ogóle nie zna dziadka, i nie wie, jak to wszystko wygląda.

– Nawet jeśli myślisz, że cię skrzywdził... – dotarło do niego, że nie mówiła przecież o sobie – ...albo innych, nie powinnaś myśleć o zemście.

– Nie myślę o zemście. To byłby następny grzech.

– Czyli będziesz posłuszna i grzeczna?

– Posłuszna tak, ale grzeczna nie będę.

– Dlaczego?

– Bo go nie lubię... Mimo że jest moim bliźnim.

Ksiądz widział, że dziecko ma w głowie jeszcze coś innego.

– Co cię jeszcze trapi, Blaženko?

– Szczery żal za grzechy.

Czekał, aż mu to wyjaśni.

– Nie umiem okazać skruchy. Spowiadam się, że nienawidzę dziadka, i odprowadzam pokutę, ale naprawdę wcale tego nie żałuję. Czy Bóg wie, że nie żałuję?

–Wie.

– No to go oszukuję.

– Boga nie możesz oszukać, Blaženko, oszukujesz samą siebie. Pozbawiasz się szansy odpuszczenia grzechu.

– Nawet jeśli modłę się i odprowadzam pokutę?

Książd nie zdobył się na odpowiedź. Przez całe stulecia ludzie grzeszą tym, że liczą na Boże miłosierdzie, próbują się wykręcić ze swoich win. Ale tylko nieliczna garstka gotowa jest przyznać się do tego tak, jak to dziecko.

– Nawet jeśli dostanę rozgrzeszenie?

– Przez to, że uświadamiasz sobie niedostateczną skruchę, że przyznajesz się do swojej ludzkiej słabości...

Zamilkł. Nie umiem rozmawiać z dziećmi. Są zbyt prostolinijne.

– ...stawiasz pierwsze kroczki na drodze ku poprawie... i kiedyś pozbędziesz się nienawiści.

– Ja myślę, że się nie pozbędę, wielbny ojcze.

– A martwi cię to?

– Tak.

– Więc czekaj. Czekaj, a przyjdzie dzień, kiedy Bóg da ci siły. Pokonasz sama siebie.

Słowa, słowa.

Tysiące lat.

Tysiące lat tej samej hipokryzji.

Puste słowa, chociaż są słowami modlitw. Ale tego ci już nie powiem, moje dziecko. Nawet nie potrafiłbym ci wyjaśnić różnicy między modlitwą, która płynie z ust, a tą, która pochodzi z serca.

Bo ty, jestem przekonany, umiesz modlić się tylko sercem.

– I przyjdzie taki dzień, wielbny ojcze?

– Przyjdzie, Błażenko.

– ...No to poczekam.

Powiedziała to z wahaniem, ale westchnienie, które przyszło z ostatnim słowem, chyba zdradzało ulgę.

Dziecko-niedziecko.

– To nie tylko twój bliźni. To twój dziadek.

O mało się nie zająknął. Nie potrafił wczuć się w sposób myślenia Żeni, i ciążyło mu to. Czuł, że jej argumenty są mocniejsze niż jego. Ten człowiek, który tak dobrze rozumiał dorosłych, nie mógł pojąć dziecięcej duszy. Tak jakby jego własne dzieciństwo zostało z jego życia wyrwane. Próbował skłonić impulsywną, nieposkromioną Żenię do tego, żeby stała się podobna do anemicznych aniołków z zieloną gałązką w ręku. Potem powiedział coś, co dziecko mogłoby przyjąć z drwiącym politowaniem, gdyby pozwoliło sobie na takie uczucie wobec księdza.

– Staraj się, a zobaczysz, że go pokochasz.

Żenia pomyślała, że to raczej dziadek powinien się starać.

– Z dziadków masz już tylko jego. On cię przecież kocha.

To ją dobiło. Ale przełknęła swoje wątpliwości. Ksiądz jest tak daleko od wszelkich niegodziwości, że nie da się z nim rozmawiać. Przybrała pokorną minę i poprosiła o rozgrzeszenie. Ksiądz zadał jej kilka ojczenaszów z upokarzającym poczuciem śmieszności swojego działania.

– Pomyśl o tym, Blaženko, a jak sobie z tym nie poradzisz, to przyjdź...

Nie spodziewał się, że przyjdzie zaraz następnego dnia, i to na plebanię. Przycinał drzewka w ogrodzie i zauważył ją, kiedy zaczęła znosić w jedno miejsce odcięte gałązki.

– Co się stało?

– Nic. Przyszłam zapytać, czy Bóg wie wszystko, co myślimy.

– Wszystko, Blaženko – ksiądz odetchnął z ulgą, ale tylko na chwilkę.

– To dobrze – odpowiedziała zadowolona. Roześmiała się. Po dziecięcemu, z dołeczkami w policzkach. Z niepokojem zastanowił się, o co właściwie pytała i w czym ją utwierdził.

– Te gałązki są do spalenia?

– Jak uschną.

– Gdzie je znosić?

Jej gorliwość sprawiała mu przykrość. Mimo to nie odesłał jej z powrotem i wskazał wyschnięty stosik.

– Czy to wszystko jedno, czy przeklinam w duchu czy na głos?

– Prawie wszystko jedno. Głośne przekleństwa są gorsze, bo budzą zgorszenie.

Żenia nie zna ani jednego człowieka, w którym budziłyby zgorszenie.

– Ktoś księdzu powyrwał kwiatki.

– Sam je przerwałem, Blaženko, rosły za gęsto.

– Co z nimi ksiądz zrobi?

W jej głosie zauważył pazerność.

– Chciałabyś je?

– Wyplewę księdzu za nie ogródek – zaproponowała szybko, żeby nie zdążył zaprotestować.

Kwiatki zaniosała na łąkę Pazderów, gdzie przekopała kawałek ziemi i tam je posadziła. W niedzielę po południu, w czasie przeznaczonym na zabawę, przybiegła na plebanie, wyplewiła zagonki i znowu zniknęła.

Po tygodniu oznajmiła księdzu, że kwiatki się przyjęły.

Wstydliwie zapytała, czy nie miałby dla niej jeszcze jakiejś pracy. Nie miał. Myślał, że ją tym ucieszy, ale w rzeczywistości ją zmartwił. Liczyła na następne roślinki.

Chociaż nie miała natury męczennicy, chociaż nie zgorzkniała, to doznane krzywdy nagromadziły się w niej jak pleśń. Opanowała ją jedna obsesja: łąka Pazderów. Powtarzała jak zaklęcie: jak już będę zarabiać.

Często w niedziele razem z robotnicami leśnymi wycinała trawę w szkółce leśnej. Inni za to dostawali zapłatę. Powiedziała: – Ja też wycinałam, tatusiu. – Zbył ją zniecierpliwiony: – No i dobra. – Została poniżona wobec robotnic, wstydziła się tego przypomnienia, jakby żebrała o coś, do czego nie ma prawa. Cilka wyczuła, że zaraz się rozplacze, i zawołała ją do zabawy. Żenia odszczeknęła jej niegrzecznie. Od razu tego pożałowała, ale nie zdobyła się na przeprosiny. Przez kilka dni doskwierało jej to, jak wbita drzazga.

Cilka nie robiła jej wyrzutów.

Gdyby nie jej mądra siostra, Żeni co chwila paliłaby się ziemia pod stopami.

Jak już będę zarabiać!

Jak już będę zarabiać!

7

Po prawej stronie – jarząca się perełka okna w chałupie Jurigów, po lewej – ostry cień domu Lucki.

Niektórzy ludzie nigdy nie znajdą czasu, żeby popatrzeć na księżyc.

Ręce nieruchomo spoczywają na kolanach obok niedokończonej robótki.

Nie mogłam wziąć dziadka do siebie. Wszystko by się tu zmieniło. Piekło jest zawsze o krok.

Mama będzie go miała na głowie. Zawsze mama. Jitka nie zrezygnuje z przyjemnej wygody swojego domu. Nikt się nie poświęci.

Mama.

Na krótko, póki nie dojdzie do siebie?! Już nigdy nie wy dostałabym się z tego potrzasku.

Nie będę o tym myśleć. Nie teraz.

Przyjedzie Matia i weźmie nas do Pragi. Wielkie, piękne mieszkanie. Urządzone przez architekta. W ogrodzie basen.

Sylva jest miła. Nie daje innym odczuć, kim jest. A jest córką generała. Nikt się nie dziwi, że wyszła za Matię z morawskich gór. Matia jest przystojny i ma maniery jak książę.

Rodzice Sylvy nigdy nas nie zapraszają, właściwie wcale ich nie znamy. Tak wyszło. To przez tę odległość.

Generała widziała Żenia raz w życiu, w Szadovej Hucie, kiedy wybrała się z Lucką namawiać Juliszkę, żeby wyszła za Pavla Jurigę.

Sprawiało jej radość, że tym razem pojawi się u Irczy Mareniny jako gość. Usiądzie przy oknie, żeby mieć widok na rynek, i zamówi kawę po turecku.

Przed kawiarnią straciła pewność siebie, trochę się zdenerwowała, ale nie pozostało jej nic innego, niż przestąpić próg razem z Lucką.

Dom, którego nie można było w miasteczku nie zauważyć, wyglądał bogato i solidnie. Po mieszczańsku rozrośnięty jak ciasto, przylegał do parku werandą ze wspaniałym ogrodzeniem, słonecznikami i marmurowymi stolikami. Ku przerażeniu Żeni wszystkie miejsca były zajęte, wewnątrz rozbrzmiewało na całe miasto blaszanymi tonami orkiestry, która grała do tańca. Na parkiecie wywijali odstrojeni kadeci, w przyległej sali z zachowaniem wszelkich form zalewały się szarże.

Szadova Huta szczyliła się swoim garnizonem.

Lucka skinęła na Irczę, która stała za ladą barową, spytała, gdzie obsługuje Juliszka, i zaczęła się do niej przepychać. W drzwiach zarezerwowanej sali spróbował ją zatrzymać jakiś podpity porucznik. Zagroził jej drogę ręką, w której trzymał kieliszek: – Strefa zabroniona! – i zatoczył się.

Gładko prześlizgnęła się obok niego i to nie była jej wina, że kieliszek wypadł mu z dłoni.

– Starych bab tu nie trzymamy na składzie!

Pozostałych perełek Lucka gościom oszczędziła. Zdzieliła porucznika wprawna pięścią pod oko. W żelarskiej gospodzie nie bała się skoczyć pomiędzy podpitych awanturników, nawet jeśli przy tym w robocie były noże. Tego jednak porucznik nie wiedział.

Spróbował załatwić sprawę ze starą tak, jak mu nakazywał honor, ale tylko zakwiczął z przerażenia, kiedy podcięła mu nogi.

Nim przedstawienie nabrało tempa, na arenie pojawił się generał. Żenia nie знаła się na dystynkcjach, rozmiaru afery domyśliła się po przygłupim wyrazie, zastygłym na twarzach kadetów.

– Poruczniku! – w jego głosie brzmiało oburzenie. – Co tu się dzieje?

– Tak jest, panie generale!

Porucznik z trudem usiłował stanąć na baczność.

– Usunąłem tę osobę z pomieszczenia, a ona...

– Jaką osobę?

Generał spojrział na porucznika wzrokiem wygłodniałego tygrysa. Dostrzegł niezapięty guzik w najmniej odpowiednim miejscu.

– Proszę się doprowadzić do porządku!

Zgromiony młodzieniec wycofał się do toalety, a pozostali nie odważyli się poruszyć.

– Słucham – generał skinął brodą w nieokreślonym kierunku. Po dwóch sekundach odezwał się kadet o najsłabszych nerwach.

– Tak jest, panie generale – wydukał. – Porucznik usunął...

– To już słyszałem. Interesuje mnie, dlaczego przy tym leżał na ziemi.

– Ona mu podcięła nogi.

– Kto? Ta dama? – wrzask przeszedł w pełen grozy szept.

Wszyscy patrzyli na Luckę. Zamiast rozwścieczonej baby stało tu ucieleśnienie skrzywdzonej niewinności i kobiecej delikatności. Żenia znała kilka wcieleń Lucki, ale mimo to ta przemiana przyprawiła ją o gęsią skórkę.

– Więc jeszcze raz.

– Chciałem powiedzieć, że porucznik się potknął...

– Bo ledwie się trzymał na nogach – syknął generał i rozejrzał się wokół. Wszystkie oczy gorliwie mu przytakiwały, lizusy kiwały głowami. Potem generał podał Luce ramię i rzeczy potoczyły się swoim naturalnym biegiem. Żenia po raz pierwszy piła szampana. Smakował jak lemoniada.

Nikt z obecnych nie był na tyle trzeźwy, żeby zainteresować się tym, co wlewała w siebie Lucka. Starucha w kierpcach stała się centrum zainteresowania, wszyscy prawili jej uprzejmości, a jej cyniczne uwagi były tu przyjmowane jako błyskotliwe spostrzeżenia. Od urodzonych królowych różniła się tylko brakiem paru drobiazgów, takich jak pierścienie albo naszyjniki z pereł. Kiedy w głównej sali zagrani walczyka, generał z ukłonem zapytał, czy spotka go ten honor, by z nim zatańczyła. Zgodziła się skinieniem głowy. W jego ramionach unosiła się jak rusałka, a pozostali panowie nie mogli doczekać się swojej kolejki. Koło północy nastały żywsze rytmy, Lucka wirowała jak bąk, a generał włączał do tańca różne karkołomne figury rodem z rodzinnego Vlcznova.

Mężczyźni zegnali Luckę pocałunkiem w dłoń.

Żenia siedziała sama na boku, czuła się jak część inwentarza.

– Kmoterko – przypomniała sobie. – Mielicie porozmawiać z Juliszka.

– To już załatwione. Za tydzień będą zapowiedzi.

Są umiejętności, których Żenia nigdy się nie nauczy.

Do Żelar wyruszyły o świcie, skrótem pomiędzy skałami. W mętym brzasku prawie nie było widać ścieżki.

– Daj mi rękę – powiedziała Lucka nagle – jestem pijana jak bela.

Żenia nie zazdrości Juliszce. Sama nie wysłaby za chłopa z szóstką dzieci. Ale jej łagodna koleżanka ze szkoły będzie je kochać, będzie ich niewolnicą – a one będą się nad nią znęcać. Jest do tego stworzona.

Tydzień po ślubie, który odbył się bez rozgłosu, Juriga zaszedł do Lucki.

– Co mam zrobić? Juliszka jeszcze nie miała chłopa!

Trzasnęła go z całej siły w ramię, aż zrobił mu się siniak, i zaczęła chichotać.

O dziwo, małżeństwo okazało się bardzo udane. Pavel przestał się interesować szynkiem, zniknęły mu worki pod oczyma, twarz odmłodziła. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał cenną rzeźbę. Po raz pierwszy w życiu trzymał w objęciach przyzwoitą kobietę. Odnosił się do niej z szacunkiem, wciąż rosnącym pod wpływem jej oddania. Jego była żona i matka jego dzieci nie znalazła u manewrowego Stacha tego, czego się spodziewała. Któregoś ranka Pavel przyłapał ją w kuchni, jak tuliła najmłodszego syna.

- Czego tu szukasz, dziwko?
- Chyba mogę odwiedzić własne dzieci.
- Wynos się, pókim dobry.

Znała Pavla dobrze. Nie było czasu na dyskusje. Zdobyła się tylko na to, żeby trzasnąć drzwiami tak, że o mało nie wyleciały z futryny. Po tym zdarzeniu przybiegła do niego zapłakana Juliszka, Pavel zrozumiał, co się stało.

– Ty tu jesteś panią, zapamiętaj to sobie!

Szlochała w jego ramionach, a kiedy się uspokoiła, pocałowała go w rękę.

Po rękach całowała go często, już się do tego przyzwyczaił. Na początku czuł się nieswojo i w drodze z pracy przeklinał jej zwyczaj wychodzenia przed dom na powitanie. Czysta, odszykowana, uśmiechnięta – całowała go w rękę na oczach całego świata, czyli jego sześciu zdębiałych chłopaków.

Mówiła: – Witaj w domu.

Z tą sytuacją godziła go wypieszczona kuchnia i zastawiony stół.

Że nie stała się niewolnicą, zawdzięcza najstarszemu synowi Pavla, Wojcie. Na początku nienawidził jej najbardziej z całej szóstki, a młodsze rodzeństwo wspierało go w tym, jak mogło. Ale zanim zdążyli zgotować jej piekło na ziemi, zaczęli do niej lgnąć. Miała naturalny dar postępowania z dziećmi. Cierpliwie wysłuchiwała ich codziennych przeżyć, opowiadanych jakby to były wielkie, czasem tajemnicze przygody, nie zapominała okazywać zdziwienia, chwalić i cieszyć się razem z nimi. Z najmłodszymi bez końca bawiła się w chowanego, chociaż widziała, jak z szafy albo spod łóżka wystają im nogi czy głowy, i za nic nie mogła ich znaleźć. Dopiero, kiedy do niej zawołali: Tutaj jesteśmy, mamusiu! – rzucała się na nich i podnosiła ich z ziemi, a oni śmiali się zwycięsko.

Chwaliła. Nie zrzedziła.

Nie wyzywała ich od pętek ani gnojek, jak ich własna matka, nie wymierzała im policzków, nie gnała do pracy, nie lamentowała, że spijają jej krew, nie skarżyła się ojcu.

Na początku jej życzliwość zbijała ich z pantalyku, a nawet obrażała, później już do niej tęsknili. Tylko Vojta nie mógł się z tym pogodzić. Nie patrzył na nią, nie odzywał się pierwszy, nie uśmiechał się.

Wszystko się zmieniło, kiedy spadł z drzewa, odbił sobie mięsień i naciągnął ścięgno. Dzień i noc okropny ból. Juliszka, kiedy tylko mogła, wysiadywała przy jego łóżku, ujmowała jego dłonie w swoje i ścisnęła je ze wszystkich sił.

Czuł, jak jego ból przelewa się w jej dłonie, nadchodzi ulga i zaciśnięte szczęki się rozluźniają. Po chwili mógł już nabrać tchu.

Kiedy wydobrzeał, wziął go ojciec na rozmowę.

– Mama spodziewa się dziecka, Vojto. Nie może nic dźwigać, i w ogóle. Kiedy nie będzie mnie w domu, będziesz miał na wszystko oko.

Na chłopaków Jurigi przyszły ciężkie czasy.

Vojta bez problemu zaprowadził porządek wśród rodzeństwa. Twardy orzech do zgryzienia stanowiła macocha. Juliszka protestowała, kiedy z nieoczekiwaną gorliwością wyrwali jej z rąk wiadra, nie mogła się nadziwić, że podwórko jest zawsze zamieciono, gnój wyrzucony, trawa pocięta, karma naszykowana, a obok pieca stoją niekończące się stopy drewna. Nie domyślała się, czyja ręka kieruje dziećmi, myślała, że ten żelazny rygor zaprowadził ojciec.

W porównaniu z Vojtą Pavel był mięczakiem.

Żenia przypadkowo odkryła prawdę, ale zachowała ją dla siebie. Zauważyła, że siedmioletni Jarouszek układa w kuchni gałazki na podpałkę, podczas gdy pozostali bawią się na podwórku.

– Dlaczego nie wyjdiesz na dwór, Jarouszku?

– Nie mogę, dopóki tego wszystkiego nie poukładam. Dopiero bym dostał wciry!

– Chyba was mama nie bije?!

– Mama nie – zachnął się Jarousz. – Vojta.

Juliszce urodziły się dwie dziewczynki. Pavel był pijany szczęściem. Chwytał Luckę na ręce, ledwie zdążyła umyć ręce, wyniósł ją przed chałupę i biegał z nią po zboczach.

Nareszcie ma ślubne dzieci!

Wyrzezał piękną kołyskę, Żenia naszyła poduszek i kupiła flanelowe kołderki.

Sześciu chłopaków Jurigi rozsadzała duma.

I to Voja potrafił wykorzystać. Kołysać wolno im było tylko w nagrodę.

8

Z nowej zabawy Żenia zwierzyła się tylko Cilce. Na każde zdanie wypowiedziane przez dziadka odpowiadała na dwa sposoby. Na głos i w duchu.

– Podaj mi młotek!

– Już idę, dziadku.

(Podaj sobie sam, głupi dziadu!)

– Potrzyj ten gwóźdź!

(Aha! Przyłożysz mi w palec i będziesz się śmiać, a ja znowu wyjdę na niezdare.)

– Jak to trzymasz, niedojdo!... Czego wrzeszczysz? Nie drzyj się!

Żenia sse zakrwawiony palec i wydziera się, jakby ją obdzierali ze skóry. Wszystką krew, którą zdołała wyssać, wypłuje matce pod nogi. Spojrzenie, jakim żona leśniczego zgromiła dziadka, było tego warte.

Bardzo szybko się zorientował. Obmyślał podstępny, ale Żenia cały czas miała się na bacności. Sprawy zaszyły tak daleko, że w jej obecności tracił chęć do swoich słynnych żarcików. Patrzyła na niego z takim wyrazem niezrozumienia, że sam sobie wydawał się błaznem.

Prowadzili ze sobą milczącą wojnę, podstępnie, z bronią schowaną za plecami.

Zastanawiał się, czy czasem nie zrobić z niej kaleki. Żenia wiedziała, że jest to walka na śmierć i życie, i uważała, żeby nie zostać z nim sam na sam. Zakres umiejętności, w których go przerosła, niebezpiecznie się powiększała.

Niszczyła jego pychę, a często także i pewność siebie. Opanowywał się resztkami sił. Na zewnątrz nie miał powodu do wściekłości.

Wszystkie złośliwości potrafiła obrócić przeciwko niemu.

Sypiała razem z Cilką za zasłoną w kuchni. Złośliwie wysiadywał do późna w nocy przy kuchennym stole, sprowadzał kolegów, którzy pili z nim śliwownicę, grali w karty, palili i hałasowali.

Żenia zaczęła chrapać.

– Kto tam śpi? – usłyszała głos starego Eliasza.

– Dzieci.

– Dzieci tak przecież nie chrapią!

Chłop z niedowierzaniem namacał ręką zasłonę i wsunął za nią głowę. Na ten moment Żenia tylko czekała. Podniosła wrzask.

Dziadek przyskoczył do niej i zasyczał jej do ucha: – Kiedyś cię zabiję, gówniaro!

Do kuchni wpadła matka.

– Co tu się dzieje?

– Ktoś tu chciał do nas wejść – powiedziała niewinna, nieświadoma podstępów Cilka.

– Rozum wam odjęło? – leśniczyna naskoczyła na dziadka. Po raz pierwszy, odkąd Żenia sięgała pamięcią, napadła na niego przed obcymi ludźmi.

– Zamknij gębę! – odpalił jej dziadek. – Urodziłaś wariatkę!

Goście przestali przychodzić.

Wiedziała, że nie ujdzie jej to płazem, i była podwójnie ostrożna. Kiedy sprzątała strych nad oborą, wyczuła niebezpieczeństwo, jeszcze zanim usłyszała hałas na stromych schodach. Chwyliła wiązkę słomy i zrzuciła ją intruzowi prosto na głowę. Dziadek kulał przez tydzień.

Na dole była bezpieczna. Krok w krok chodził za nią wierny pies.

W czasie przedświątecznej krzątania miała pomagać ciotce Andzie, która piekła ciasta dla całej rodziny – tak samo jak na odpust, w karnawale i na Wielkanoc.

Na Wigilię zjeżdżali się wszyscy synowie ciotki. Rosły Matia w galowym mundurze, na którym wciąż przybywało gwiazdek. Został w wojsku przez dziewczynę, córkę generała. Ludwa skończył studia teologiczne i chodziły słuchy, że dostanie mu się żelarskie probostwo. W czasie odpustów już pomagał księdzu. Jego pociągła twarz przybierała natchniony wyraz, zapuścił brodę, mówił głębokim głosem, przeciągając słowa, jak dostojny starzec, snuł się po wiosce zatopiony w lekturze książek, które na okładkach miały złote krzyże. Na pozdrowienia odpowiadał tak, jakby go właśnie wyrwano ze zbożnych medytacji. Niektóre staruszki całowały go w rękę. (Proboszcz nigdy na to nie pozwalał.)

Szerokim łukiem omijał Luckę Wojniczową.

Jego hobby to były grzyby. Na nich się znał. Wykładał o nich w szkole, podziwiany przez młode panny.

Palił fajkę, ale tylko po kryjomu.

Vincek wyuczył się u stryja w galanterii, zrobił się z niego obrotny kupiec. Obludnie uczciwy, żądny zysku. Z powodu tych przymiotów mimo młodego wieku zyskał szacunek klientów.

Sercu matki najbliższy był najmłodszy syn Honza. Może dlatego, że jego narodzin o mały włos nie przyplącała życiem. Od dziecka wymyślał zabawy, z grupą kolegów ze szkoły ćwiczył scenki, a kiedy powierzono mu teatr lalkowy, urządzał przedstawienia w jedną sobotę w miesiącu, najpierw w gospodzie Latala, a potem w szkole.

Teatr dostał przed Bożym Narodzeniem, kiedy był studentem pierwszego roku pedagogiki. Rodzice razem z Żenią cały miesiąc szykowali scenę, malowali kulisy, robili meble i szyli lalki.

Początkowo sztuki pisał sobie sam. Wymyślał ciekawe postaci. Na przykład Strachliwa Ciotka i Przygłuchy Kmotr. Dzieci chciały je widzieć w każdym przedstawieniu. Po spektaklu do zdumienia wykrzykiwały do siebie piskliwym głosem Strachliwej Ciotki: „Jeeej, ale się przelełam!”

Z czasem przybywało zapalonych współpracowników. Za sceną uwijał się Joza z kuźni: dzwonił łańcuchem, gwizdał i syczał.

W końcu Honza grał regularnie w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. I nie tylko dla dzieci. Z tyłu tłoczyli się dorośli, z których wielu przywoziło swoje pociechy z daleka, na wozach drabiniastych albo nawet w bryczkach.

Wozy tworzyły szpaler przed kuźnią, a Joza miał pełne ręce roboty nie tylko za sceną.

Praktyczna Żenia wpadła na pomysł, że mogliby pobierać za wstęp – ile kto zechce dać. Uzbierane pieniądze przeznaczali na herbatę, którą roznosili z Andą w papierowych kubeczkach. Te kubeczki były w górach taką rzadkością, że dzieci zabierały je ze sobą do domów.

Niektórzy dawali sporo, zwłaszcza żelarski ksiądz i doktor.

Po żniwach Honza wybrał się po raz pierwszy ze swoją publicznością do Brna na balet *Od bajki do bajki*. Potem odwiedziny w mieście stały się już tradycją.

Wiedział, że górskie dzikusy, które w życiu nie widziały tramwaju, wpadną w panikę na pierwszym skrzyżowaniu. Każde dziecko miało więc na szyi tabliczkę z nazwą rodzinnej wsi i godziną powrotu.

Za pierwszym razem zapomniał dzieciom przykazać, że w czasie przedstawienia nie wolno się odzywać. Po pierwszym głośnym pytaniu: Gdzie płynie ta woda, wujku? posłał im to polecenie przez głuchy telefon.

Kolejne zamieszanie powstało, kiedy dzieci próbowały usadowić się wygodnie w fotelach i zakładały nogi na ramiona ludziom, którzy siedzieli przed nimi.

Na trzecim roku studiów Honza odkrył dwoje wspaniałych śpiewaków i tancerzy: Hedviczkę Vlkoszovą i Manka-z-Brzuchem. Role kochanków najbardziej pasowały do Pięknisia Mili, a siostra Ženi, Jitka, nie miała sobie równych w rolach dostojnych księżnych. Przydał się i Joza z kuźni. Grał osilków, zbrojnych i sługi, zawsze bez tekstu. Tylko raz Honza dał mu scenkę mówioną, ale czym prędzej ją skreślił. „W lesie są bandy zbirów, musimy być cicho!” grzmiał czeladnik kowalski, cały spocony od tego, żeby wypowiedzieć tę kwestię jak najciszej. Na próbach mówił szeptem, w czasie przedstawienia miał taką tremę, że całkiem o tym zapomniał.

9

Kiedy człowiekowi ma się przytrafić coś złego, przeważnie nie jest na to gotowy. Dobrze, że tak jest.

Cilka dostała grypy, na którą każdy członek rodziny zapadał raz na pół roku. Banalna sprawa, wystarczyło się wypocić. Ale tym razem było inaczej.

– Ta dziewczyna nie walczy – powiedziała Lucka. Chodziła do niej codziennie, przychodził także doktor.

Pobladła, wymizerowana matka parzyła ziołowe herbatki od Lucki i wysiadywała przy chorej. Zdecydowanym ruchem ręki odsuwała od siebie jedzenie, a kiedy ją zmuszano, wybuchiała krzykiem. Zazwyczaj pokorna i cicha, zmieniła się nie do poznania – teraz napadała na dziadka i pyskowała mu.

Ženia długo nie rozumiała powagi sytuacji.

Opowiadała siostrze różne zdarzenia, a Cilka się z nich śmiała.

Po śmierci Cilki czuła się jak rozdeptany żuk. Była przekonana, że tego nie przeżyje. Ale instynkt samozachowawczy walczył w niej jak dzikie zwierzę, chociaż macki ledwie pozwalały jej złapać dech. Wyrzuty sumienia warczały na nią jak wściekły pies.

Była taka słaba – a rano szykowała nam wszystkim śniadanie, słała łóżka, żebyśmy nie mogli się w nich dłużej wylegiwać, czyściła nam zabłocone buty, kiedy wracaliśmy z mulistych ślizgawek – ja byłam silniejsza, a to, pod czym ona się ugiwała, dla mnie było zabawką!

Te winy, niemożliwe do odkupienia, pożerały ją żywcem. Wina jest jak wilkołak, który żywi się ludzkim mięsem, cierpienie fizyczne jest niczym wobec bólu duszy.

Wali głową o łóżko Cilki.

– Przestań, bo skończysz tak jak ona!

Wytrzeszczyła na matkę oczy. Matka ją podnosi i prowadzi do kuchni, żeby obmyła sobie zakrwawioną twarz. W rzeczywistości podpierają się nawzajem. Strach o matkę pomógł jej w końcu pokonać własną mękę.

Leśniczyna zachowywała się jak szalona.

– To jest ta, co wam była cierniem w oku? – rzuciła się na dziadka. – To jest ta, co się nie liczyła?

Schodził jej z drogi.

Był oswiały, wystraszony. Żenia mogła się z tego cieszyć, ale nawet jej to nie przyszło do głowy. Całkowicie pochłaniała ją własna wina, opieką ją na piekielnym rożnie, miażdżyła jej kości jak smok z bajki, a kiedy próbowała się opanować, syczała jej do ucha przekleństwa.

Nie odważyła się nikomu o tym powiedzieć, nawet Luce. Chociaż na początku nikt jej nie kontrolował i mogła chodzić, gdzie chciała, najczęściej siadywała na murku za gumnem, gdzie nikt jej nie szukał. Gapiła się na zagon kartofli – i nie widziała go.

Kiedy już nie mogła sobie poradzić z rozpaczą, wybrała się do księdza. Obeszła całą wieś, nie chciała nikogo spotkać po drodze.

Ksiądz pracował w ogródku, miał pochyloną głowę i nie widział jej. Jego obecność dodała jej sił. W duchu powtarzała sobie, co kiedyś powiedział z ambony, co poruszyło ją jak ważne przesłanie, co zapamiętała co do słowa.

Kiedy przestaniecie być niewolnikami świata, kiedy odkryjecie dobrodziejstwo pokory, kiedy będziecie zdolni do bezinteresownej miłości, kiedy wiara nie będzie dla was łańcuchem ciężących obowiązków, ale szczęściem i darem, którego nie jesteście godni, wtedy staniecie się chrześcijanami.

Nie wcześniej, choćbyście nawet trawili na modlitwach całe dni.

Przywitała się i od razu przeszła do rzeczy.

– Proszę księdza, mam grzech śmiertelny. Nie jestem zdolna do bezinteresownej miłości.

Ksiądz się wyprostował.

– Co przeskrobałaś?

Powiedział to zbyt lekko. Jej nadzieja na rozgrzeszenie się rozwiąła. Wolałaby mieć przed sobą ewangelickiego pastora z Wydrzy, który, jak mówią, nie oszczędza różgi. Włałby jej porządnie i jakże byłaby mu wdzięczna! Przyszło jej do głowy, że po walebnym nie może się spodziewać pomocy. Powtórzyła chmurnie:

– Mam grzech śmiertelny.

– Jaki?

Uświadomiła sobie, że jej grzech nie ma nazwy.

– ...Byłam niedobra dla Cilki.

– Jak to, byłaś niedobra?

– Pozwalałam, żeby robiła to, co mogłam zrobić sama.

– ...Miała ci to za złe?

– Nie, ona nie była taka. Była najstarsza i zawsze koło nas wszystkich chodziła...

Ale potem ja byłam silniejsza od niej.

Ksiądz ma w oczach kompletny brak zrozumienia. Żeni nie wychodzi z głowy pastor z Wydrzy. Wysłuchałby jej?

– Kochałaś ją?

Jest tępy czy co?

– Bardzo ją kochałam!

– Opowiedz mi jeszcze raz powoli, co ci leży na sercu, Blaženko. Chodź, usiądźmy tu. Wiem, że ci zmarła siostra. – Jak ma nie wiedzieć, skoro sam ją chował!

– Martwisz się tym i wydaje ci się...

– Nic mi się nie wydaje! To prawda! Mam grzech śmiertelny!

Nigdy w życiu nie zachowywała się wobec nikogo tak arogancko.

– Zastanów się, Blaženko. Przeciwko któremu przykazaniu zgrzeszyłaś?

– Ten grzech nie ma nazwy! – wydarła się.

– Każdy grzech ma nazwę.

Na to chce ją wziąć? Wyśmiewa się z niej? Tak, wyśmiewa się z niej, tak samo jak robili wszyscy inni, odkąd pamięta.

– Jeżeli się jakoś nazywa, to niech mi ksiądz powie, jak? – huknęła na niego. – Nie może ksiądz, bo nie ma o niczym pojęcia! Nic ksiądz nie wie o tym, jak ludzie potrafią być źli! – Przychodziły jej do głowy same za mocne słowa. Nigdy nie odzywała się w ten sposób do nikogo. – Opowiadał nam ksiądz o wyrzutach sumienia, a sam tych wyrzutów nie zna! Powiedziałam wszystko. Nie jestem zdolna do bezinteresownej miłości! To jeszcze mało?

Oddychała jak zaszcza.

Wyciągnął rękę, jakby chciał ująć jej dłoń, ale nie dokończył tego gestu. Patrzył na nią zaskoczony, a do świadomości przenikały mu wspomnienia męki, której sam kiedyś doświadczał, tak jak teraz doświadcza jej to biedne dziecko.

Mieć sumienie to znaczy cierpieć.

– Rozumiem cię, Blaženko, wierz mi. Wiem, co chcesz mi powiedzieć.

Pokręciła głową smutno i bez nadziei.

A ksiądz zwierzył się jej z tego, czego dotąd nie powiedział nikomu – oprócz matki.

– Kiedy miałem czternaście lat, bawiliśmy się z kolegami w taką grę: celuje się nożem pomiędzy palce dłoni. Znasz to? Kto szybciej. Mój najlepszy kolega potknął się i przewrócił na otwarty nóż, który trzymałem ostrzem do góry. Nadział się na mój nóż. Zabiłem go.

– Zabił go ksiądz? – Żenia powtórzyła nieprzytomnie.

– Tak.

– To nie księdza wina.

– Przeżyłem to samo, co ty. Może było to jeszcze gorsze.

Siedzą w milczeniu na ławce z białej brzozy. Żenia poczuła zapach rezedy. Stali się sobie niewiarygodnie bliscy. Przez wszystkie następne dni będzie jej towarzyszyło poczucie tragicznego pokrewieństwa.

– Bóg księdzu wybaczył – zapewnia go dziecko, bo mężczyzna, który siedzi obok niej, niesie cięższe brzemie niż ona.

– Bóg tak, Blaženko. Ale nie zaznamy spokoju, póki sami sobie nie wybaczymy.

Jak dobrze go rozumiała! – I wybaczył ksiądz sobie?

Wyczuł w jej głosie napięcie, zrozumiał, jak ważna jest odpowiedź, i świadomie skłamał.

– Tak, Blaženko. Po długim czasie.

Dopiero po upływie kilku dziesięcioleci Żenia zrozumiała tego człowieka, który jako wyrostek, w czasie zabawy i niechcący, zabił przyjaciela. Płacił za tę problematyczną winę, żyjąc jak święty pokutnik. Po tysiącokroć ułaskawiony przez Boga i ludzi, niósł pokornie krzyż, który sam sobie nałożył na barki.

Potem jeszcze długo rozmawiali, ale z tego, co mówili, ważna była tylko historia starej wierzy. Zwykła historia, ale dla obojga miała to samo znaczenie.

Wierzba stała nad potokiem, była prastara, spróchniała, wiatry obłamywały jej gałęzie, woda odzierała ją z kory. Była martwa.

Aż nagle stał się cud.

Z pokrytego bliznami boku wyrosła żywa gałązka. Zazieleniła się i zakwitła. Codziennie chodziły z Cilką, żeby na nią popatrzeć. Gałązkę było widać już z daleka jako barwną plamkę.

Któregoś dnia ktoś ją ułamał i rzucił na ziemię.

Płacz Cilki gdzieś tam jeszcze błądzi.

10

U matki jeszcze się świeci, nie jest tak późno. Żenia cieszy się ze swojej decyzji. Odmowa leżała jej na duszy jak kłoda. Zapukała do drzwi.

– To ty? Czego chcesz?

– Przyszłam powiedzieć, że wezmę dziadka do siebie – powiedziała Żenia radośnie.

– Po co?

– Jitka mi mówiła.

– Ja jej do ciebie nie posyłałam. Sama sobie poradzę.

Zamknęła drzwi. Nawet nie poczekała, aż córka się pożegna.

W drodze powrotnej – chwiała się i zataczała, bo ugiwały się pod nią kolana – Żenia spotkała Honzę. Mimowolnie się wyprostowała, a zaraz potem ogarnęła ją złość. Chciała być sama ze swoim poniżeniem.

– Wiedziałem, jak się to skończy. Dlatego wróciłem.

Zawsze wie o niej wszystko. Dla niego zawsze będzie tylko dzieckiem, które nie umie pisać prawą ręką. Nienawidzi go.

Położył jej rękę na ramieniu.

A gdyby tak wbić mu paznokcie w policzek i zedrzeć mu ten obraźliwie współczujący wyraz twarzy?!

Chciała się odezwać, ale tylko wydała z siebie chrapliwy bełkot.

– Wypłacz się! – powiedział.

– Nie chcę!

– No, wypłacz się.

Daj mi spokój, dajcie mi wszyscy święty spokój! Nie może opanować łez.

– Mama mnie wyrzuciła!

– Wiem. Nie myśl teraz o tym. Wypłacz się.

Wie wszystko. Wie o mackach, wie absolutnie wszystko. I o Cilce. Walczę ze swoją słabością, ale jest silniejsza ode mnie, Honza też jest silniejszy. Sama uczepiłam się jego ramion i łkam mu w twarz.

I dlaczego tak lamentuję, powinnam się cieszyć, że dziadek nie rozwali mi w puch mojego wypieszczanego domu, który budowałam wbrew wszystkim i z takim wysiłkiem... Boże, jest mi dobrze, jak to możliwe, że nagle jest mi tak dobrze?! Dlaczego mnie wyrzuciła? Bo na nic innego jej nie stać. Ledwie dorosła, a wydali ją za starego chłopca, którego nie kochała i który w żonie widzi tylko wołu do roboty. Swojego wiana nie może tknąć. Dzieci kocha gorzką, niezrozumiałą miłością i nie kocha niczego oprócz nich. Mnie też kocha, wiem dobrze, mnie też.

– Wejdz, Honzo. Napijemy się jeszcze herbaty.

Nie zwróciła uwagi, że trzymają się za ręce jak dzieci.

– Dołóż do pieca, tylko spojrzę, czy Jirzinka się nie obudziła.

Honza ściągnął koszulę, mokrą od łez Ženi, przewiesił ją przez drążek wiszący nad kuchnią i dorzucił chrustu do pieca. Ženia patrzy przez okno w czarną noc.

– Gdybyś nie wrócił, nie wiem, co by się ze mną stało. – Jej uwagę przyciągnęła szczecina na nieogolonej brodzie Honzy. Ten obraz rozproszył jej myśli.

Usiadł i położył ręce na kolanach. Drżały.

Wróciła i usiadła obok niego.

Przecież ja go znam tak samo dobrze, jak on mnie.

– No powiedz mi, Honzo.

Nie podniósł na nią oczu.

– Kocham Hedviczkę Vlkoszovą.

Hedviczka jest żoną Jury Machali.

Minuta ma sześćdziesiąt niewiarygodnie długich sekund. Lucka weszła do izby, jakby na zawołanie.

Mieć brata

1

Vratislav Lipka dochodzi do siebie po furiackim biciu, które staremu Michałowi pomaga zagłuszyć ból spapranego życia. Nigdy nie wie, kiedy stryj wróci z szynku, gdzie przepija chałupę, którą chłopiec odziedziczył po prababci. W przekonaniu, że ma do tego prawo, skoro chłopaka przygarnął po jej śmierci.

Dziś za późno usłyszał kroki (Michał potrafi być bardzo podstępny i ostrożny), akurat szykował sobie śniadanie: herbatę z mięty i cztery jajka z księżego kurnika, pogwizdywał przy tym i miał wrażenie, że dzień zaczyna się dobrze.

Kiedy drzwi w sieni otwarły się z trzaskiem, było już za późno. Stryj stał na progu, w rękę miał stare lejce.

Lipka rzucił w niego łyżeczką, celował w oko, ale tylko rozciął mu krzaczastą brew. Za to lejce zatoczyły w powietrzu celnym wymierzony łuk i podcięły mu nogi.

Teraz Michał przeżuwa jedzenie chłopca, rozgląda się, czym by je zapić, herbaty z mięty nie uważa za napój.

Ma oberwany rękaw, a pod nim krwawiącą ranę, sam nie wie, jak się jej nabawił, nie czuje bólu, tylko pieczenie w oczach, obrzmiałe powieki ciężą mu i opadają, ledwie zebrał siły, żeby przestąpić próg i oddać mocz – ucierpiały na tym obie nogawki, obraca się chwiejnie i zwala jak kłoda na siennik, z rozrzuconymi rękoma, i natychmiast zaczyna chrapać.

Lipka ostrożnie stawia bosc stopy, w oczach płoną mu złe ognie. Idzie wyprostowany, chociaż każdy krok sprawia mu ból. Nie może sobie pozwolić na słabość, wszędzie mogą czaić się oczy prześmiewcy. Dawniej w podobnych sytuacjach dławiała go nienawiść, która ciążyła mu w trzewiach jak kamień. Wiedział, że kiedyś ten kamień wykrztusi w krwawej zemście. Wizja odwetu pojawiała się we wszystkich jego snach.

Teraz te rozdzierające, bezsilne sny już go nie trapią. Wynurzył się z nich i kroczy po pewnym gruncie, głowę ma nad wodą, która powoli opada mu aż do stóp.

Opanował drżenie warg i wymusił z nich melodię.

Motyw, trylek, barwny dźwięk. Coś, co odnalazł w sobie i czego nikt na świecie mu nie przepije.

Zdrój tajemnej radości.

Shmerze w nim jakieś źródło i wszystko wokół zaczyna śpiewać razem z nim. To jest ten cud, to jest ta tajemnica: świat cały czas dźwięczy. Inaczej byłby nie do zniesienia.

Zagwizdał jak drozd, za chwilę ptak mu odpowiedział.

Uśmiechnął się.

Zeszłej jesieni o mało nie stracił w ten sposób życia. Razem z jeleniami ryczał na rykowisku. Jeden z nich przyszedł z nim walczyć. W ostatniej chwili poderwał się na równe nogi. Do dziś nie daje mu to spokoju: jestem przecież niewiele większy od niego. Skąd wiedział, że nie jestem jeleniem? W jednej chwili przypomniał sobie ten strach, zaprawiony zachwytem, kiedy parę metrów nad nim rozpostarło się poroże, potężne jak korona drzewa.

Szedł w kierunku rzeki. Na zboczu jest źródelko, przy którym ma zamiar odpocząć. Schowa się tam pod gałęzi czarnego bzu, wyciągnie się na suchej trawie i będzie patrzeć w górę, w błękit ocieniony drgającymi liśćmi, długo, całe przedpołudnie.

Zaburczało mu w brzuchu i zaczął myśleć o jedzeniu. O pieczonych ślizach, a potem o jagodach.

To wszystko wymaga za dużo wysiłku, przed południem nie będzie się niczym zajmował, a potem się zobaczy.

Może uśnie.

Gwałtownie zateśnił do źródelka, do lodowatej wody, do cienia i do rozkoszy nagrzaney ziemi.

Kiedy minął zakole, spostrzegł nieoczekiwaną przeszkodę. Przy kładce jest zbiegowisko. Zaczął się skradać przez krzaki i stanął o parę kroków od tłumu, w ostatnich zaroślach młodnika, w których mógł się schować.

Wyciągają z wody starego Judasa. (To jego przezwisko, naprawdę nazywa się Kudliczka.) Obsunął się do rzeki po gliniastej zjeżdżalni, wyślizganej przez dzieci. Dygocze, szczęka zębami, przeklina swoich wybawców i bez przerwy okłada po twarzy swoją dziesięcioletnią córkę Fanczę, bo musi się na kimś wyładować. Fancza w czasie wakacji pracuje na ojca pijaka jako robotnica leśna. Jest wymizerowana, ma gruźlicę i podkrążone, rozgorączkowane oczy. Oszukuje gajowego, jak się da, całe naręcza sadzonek leśnych drzewek zakopuje w ziemi, żeby móc zgłosić wykonanie zadania i więcej zarobić. Za to, co uda jej się schować dla siebie, kupuje potem u trafikantki lizaki.

Nie ona jedna.

Michał uważa, że i Lipka powinien zarabiać, chałupa tonie w długach.

Niedoczekanie.

Scena przy kładce się przeciąga. Lipka oparł się o kamień. Zsunął się na jedną stronę, sam nie wie jak. Skurczył się tak, żeby jak najmniej bolało.

Obserwuje wodę, która pędzi w stronę jazu. Jest gładka, jakby ją ktoś wyprasował, zanim rozbije się o pierwszy kamień.

Chłopiec patrzy, jak patrzył już tysiące razy. Umie cierpliwie obserwować przyrodę, przywykł do samotności, nie może wyjść z ukrycia i tak po prostu przejść obok rozkrzyczanych ludzi. Nie dlatego, że wstydzi się własnej nędzy, ukryłby się nawet wtedy, gdyby nie miał na ciele opuchniętych pręg. Odwykł od ludzi, jest mu z nimi coraz gorzej.

Tych kilku kolegów z wczesnego dzieciństwa stracił, jeszcze zanim zdołał do nich na trwałe przylgnąć. Nie może mieć do nich pretensji, winien jest on sam, jego pycha.

Był wtedy przywódcą grupy. Jego pewność siebie rosła razem z siłą.

Wszystko zmieniło się w ciągu jednego dnia. Obcy chłopak – jakiś przybłąda – wygrał z nim w kulki. Stosował różne sztuczki i łączył je z rytuałem, przy którym wszystkim oczy wyłaziły z orbit, tyle znał różnych czarodziejskich słówek, gestów i trików – słowem tajemnic.

Lipka stoczył z nim daremną, krwawą walkę – i został wygnańcem.

Trwało to kilka miesięcy, cały jeden etap dzieciństwa.

W tym czasie przepaść pomiędzy nim a światem tak się pogłębiła, że już jej nie mógł przeskoczyć.

Znalazł swoje miejsce gdzie indziej. Nauczył się porozumiewać ze zwierzętami. Wyrastał z nimi na tym samym podwórku pod okiem stuletniej staruszki, włóczył się z nimi po górach i dzielił z nimi wszystko, co im się przydarzało.

Zwierzęta wszczepiły mu płochliwość i cierpliwość. Nauczyły go też, że najważniejsza w życiu jest wolność.

Przejął od nich wytrwałość i odwagę posuniętą do granic samozniszczenia. Zrozumiał, że musi polegać tylko na sobie – w tym zatłoczonym świecie, gdzie każdy jest zarazem myśliwym i ofiarą i gdzie najbardziej niewinnie wyglądają pułapki.

Ze zwierzętami zbratał go los.

Tak samo jak one nie miał nadziei na sprawiedliwe traktowanie. Między dziećmi na początku miał gorszą pozycję niż jednoręki Vena, który umiał się podlizywać i wysługiwać silniejszym. Lipka umiał tylko walczyć.

Najgorsze bicie dostawał właśnie od Veny.

Kiedyś chłopcy wykręcili mu rękę tak, że zemdlął z bólu. Tręcali go potem z lekka nogami jak padlinę. Nie dał po sobie poznać, że odzyskuje świadomość. Wtedy pomyśleli, że załatwili go na amen, i uciekli.

Długo leżał bez ruchu, oddychał z trudem.

Skądś pojawiła się Łapajda z gajówki i zaczęła go oblizywać. Razem z nią dowłókł się do psiej budy, przeleżał w niej dzień i noc, pił z psiej miski. Suka go pilnowała i grzała swoim wielkim, ciepłym ciałem.

Po tym zdarzeniu zaszła w nim zmiana.

Dzieciakom, które się z niego wyśmiewały, spodobało się, że od nich stroni. Odnajdywały w tym dreszczyk nowej zabawy. Próbowaly szyderczymi wyzwiskami wywabić go z ukrycia.

Bezskutecznie.

Prześladowcy wściekali się i krzyczeli za nim: trzęsidupa! Nie dał się sprowokować. Tylko kiedy spotkał któregoś na osobności, mścił się za wszystkie niepowetowane krzywdy. Z czasem zaczęli się go bać.

Obszar jego samotności wciąż się powiększał, chociaż wielu próbowało zawrzeć z nim rozejm.

Nie dostrzegał ich.

Było za późno.

Wyrzekł się wielu rzeczy, które innym były niezbędne, za to dostało mu się to, o czym tamci nie mieli pojęcia. Poznał nagość żelarskiej doliny, nic jej nie zdobiło ani nie szpeciło. Kamieniste zbocza, potoki, lasy, wszystko to należało do niego bez reszty, tak samo jak należało do ptaków, owadów i innych zwierząt. Babcia Lipków niedomagała i wszystko jej się mieszało. Nie wiedziała, że jej prawnuczek włóczy się po nocach, że zasypia, kiedy go najdzie ochota, że poznał wszystkie strychy i szopy, wszystkie ogrody i podwórka. Cieszyła się, że już się na niego nie skarżą, a przypisywała to temu, że wziął sobie do serca jej reprimendy.

Tłumek rzędnie, przy kładce zostało tylko kilku smarkaczy. Włazą do rzeki i chlapią się w wodzie. Najpierw Lipka pomyślał, że bawią się w starego Judasa, potem zrozumiał, że zabawa polega zupełnie na czym innym. Znaleźli gniazdo jeży, uwiązali je na sznurkach i teraz uczą je pływać. Jeden z tych szczeniaków wyraźnie ma coś przeciwko temu.

Mała Bojarova.

Lipka słyszy grad wyzwisk, z których najśmieszniej brzmi: „gnoje zasmarkane”, bo ogarnięte furią dziecko sięga pozostałym ledwie do ramion.

W końcu mają tego dosyć i wrzucają ją do wody.

Wdrapała się z powrotem na brzeg i znów zaczęła wrzeszczeć. Biega pomiędzy dzieciakami, wymyka się im z rąk, nie mogą jej złapać. Udało jej się porozrywać sznurki, na których uwiązali jeże. Przytopione zwierzęta odrzuciła w zarośla.

Miota się jak zmijka, teraz ugryzła kóregoś w rękę, aż wrzasnął, wybiegła na zbocze i ciska stamtąd kamieniami. Cały czas ich wyzywa. Zacieśniają wokół niej krąg, nie spieszą się, od samego patrzenia, jak się wścieka, można pęknąć ze śmiechu. Lipka mimo woli patrzył na to z zaciekawieniem.

Sam był taki. Kiedyś, strasznie dawno temu.

– Co tu się dzieje?

Właśnie stał się cud, który uchronił Helenkę przed dotkliwym pobiciem. Po Pavle Juridze nie należy się spodziewać, że oceni rzecz według reguł obowiązujących w świecie dzieci. Jeden przez drugiego znikają mu z oczu.

Tylko Helenka zdaje się nie zauważać dorosłego.

– Gnoje! Smarki!

Żeby ich jeszcze bardziej poniżyć, wypina na nich opaloną pupę.

Juriga się śmieje.

Lipka sięgnął do kieszeni po procę. Potrafi z niej trafić ptaka w locie, zestrzelić wiewiórkę z drzewa, może wcelować nawet w liść. Podniósł z ziemi kamyczek. Helenka pisnęła i złapała się za pośladek.

– Co ci się stało? – zainteresował się Juriga.

– Coś mnie ugryzło.

– Łap! – rzucił jej torebkę kwaskowych cukierków, które kupił dla swoich dzieciaków.

Lipka poczuł ucisk w gardle. Przypomnił sobie turecki chlebek, który Juriga kupił mu kiedyś na jarmarku, tak po prostu. Ojciec, o którym desperacko marzył, kiedy był mały, miał postać Jurigi.

Helenka zorientowała się, że nie ma już kogo wyzywać, niepewnie rozejrzała się dokoła i ruszyła w stronę Lipki. Przeszła, nawet go nie zauważywszy. Na śniadej skórze wiła się strużka krwi.

Minęło parę minut, zanim Lipka postanowił iść dalej. Pierwsze kroki były nie do wytrzymania. Przez ten czas cały zdrętwiał, a każdy mięsień, kiedy docierał do niego rozkaz, że ma się poruszyć, przeszywał inny ból. Wlecze się do gliniastej ślizgawki, bezmyślnie rzuca na nią okiem, nawet jej nie zauważa. Kiedy indziej zjechałby po niej, ale teraz nie, wchodzi na kładkę i patrzy w kierunku przeciwnym niż płynie rzeka.

Widzi, że Helenka siedzi na mieliznie i chłodzi sobie zranione miejsce. Stąpnięt na przegniłą deskę. Zachwiała się. W zeszłym roku był tu mostek z metalową poręczą, ale zerwał się w czasie letniej burzy.

Metalowa poręcz przypomina mu zdarzenie, które nie daje mu spokoju. Ślizgał się wtedy po zamrożonej rzece, była noc, ani żywej duszy. Nagle na mostku pojawili się dwaj zataczający się mężczyźni. Nieprzyjemnie go to zaskoczyło.

Tonia Bartek i Jano Zaleszak.

Nie były to wioskowe opoje, pewnie tylko coś razem świętowali. Pośrodku mostku podali sobie ręce i rozeszli się, bo mieszkali po przeciwnych stronach rzeki. Bartek odszedł, Zaleszak jeszcze został, oparł się o poręcz i patrzył na rzekę. Nagle się osunął. Przytknął twarz do poręczy, język i wargi przylgnęły mu do żelaza.

Spróbował je oderwać, ale daremnie, musiałby wyrwać sobie żywcem kawał policzka. Na to człowiek się nie zdobędzie. To potrafi tylko zwierzę chwyczone we wnyki. Współczucie dla pijaków dawno wytuflął z Lipki jego stryj Michał. Mimo to chłopiec pobiegł za Bartkiem i powiedział mu, co widział.

Tonio rozcierał sobie czoło śniegiem, żeby wytrzeźwieć. Ale jego ruchy były udawane, ten człowiek nie był pijany.

Lipka poszedł spać do księżej szopy, bo z tym wydarzeniem nie chciał mieć więcej nic wspólnego. Rozmyślał o nim po drodze. Potem wdrapał się na górę, zakopał się w sianie i usnął.

Stało się to, czego się spodziewał. Bartek zostawił Zaleszaka na mostku. Pozwolił, żeby zamarzł. Świeży śnieg przysypał ślady.

– Nikt tędy nie przechodził – powiedziała Lucka Vojniczova, kiedy sprowadzili ją do skostniałego ciała.

Lipka wie swoje. Zachowuje to dla siebie. Nie wnika w przyczyny. Człowiek jest takim samym stworzeniem jak wszystkie inne, które – teraz czy kiedyś – pochłonęła zima. Chłopiec zna sto obliczy śmierci i nie boi się jej. Sam był jej bliski – o krok. Z dwóch możliwości zdarzyła się ta lepsza, ktoś dorzucił jeszcze dzień, a może rok, na jego kupkę.

Ale nigdy nie zapomni tego, o co się otarł.

Zaczęło się od bólu gardła, potem przyszło osłabienie, po paru godzinach już go choroba dusiła, wprawiała w drżenie członki, płożyła się po ciele, paliła wnętrzości i huczała w głowie. Leżał na klepisku otulony gunią Michała i tylko czasem napił się wody. Czuł się po niej jeszcze gorzej. Nocą wokół niego krążyły nietoperze, za dnia szkliły się nad nim pajęczyny, wszystko oddychało i żyło, nikt nie przejmował się tym, że Lipka umiera.

Zamykał oczy, chciał przespać chorobę, ale sen, który zwykle przychodził jak na zawołanie, zamienił się w niespokojne majaczenia. Zamglone, złowieszcze wizje pojawiały się w szarości izby i usadawiały się w jej kątach pod postacią chybotliwych cieni.

Zapragnął uciec od przegnitej guni, pajęczyn i gonitw myszy, które nic sobie z niego nie robiły. Wyszedł na zewnątrz i ogarnęła go kłująca w oczy jasność. Wybrał wszystkie jajka z sąsiedniego kurnika, zmusił się, żeby je wypić na surowo, opanował mdłości i ruszył przez las do starego młyna. Do dzisiaj nie wie, jak przedostał się do środka.

Jasno pamięta tylko to, że leżał obok zimnego pieca, a potem już tylko ten ranek, kiedy się obudził i poczuł, że wyzdrowiał.

Coś jednak było z nim nie tak. Jego ciało zmieniło się w galarete.

Przyczołgał się na brzuchu do belki, na której uwiązany był blaszany garnek. Opuścił go na dół, nabrał trochę wody i z wielkim trudem wyciągnął go na górę. Wypił wodę i natychmiast ją zwrócił. Zaczął mu doskwierać głód.

Zrobił sobie procę, na leżąco czatował na ptaki, kilka nawet trafił, ale spadły w miejsca, do których nie odważył się dotrzeć. Przeszedł się tu i tam, znalazł kilka suchych żołądździ, nie dały się rozgryźć, więc połknął je w całości. Nie poczuł, żeby coś zjadł.

Lataly mu mroczki przed oczyma i chciało się mu spać.

Wiedział, co to znaczy.

Przepelniała go gorycz. Czuł się skrzywdzony, na języku miał sól. Nic nie prowadzi szybciej do zguby niż właśnie to: kto nie walczy, ten nie przeżyje. Tak już jest.

Od świtu znów czyhał z procą w rękę. Czasem napił się mętnej wody, po czym natychmiast oblewał się potem. Był zdecydowany walczyć do utraty sił.

Koło południa dowłókł się do gałęzi, tych samych, które wcześniej przeniosły go ponad bagnistą głębiną na pewny grunt. Początek ścieżki, znanej tylko jemu. Chwytał się jednej z gałęzi, ale obsunął się po niej, nie dał rady przeskoczyć topieli. Jego kryjówka była nie do zdobycia. Teraz stała się pułapką.

Zobaczył wiewiórkę. Czekał wytrwale i bacznie. Przechytrzył ją, już skakała mu przed samym nosem. Strzelił. Drgnęła i spadła do wody. Zawiedziony przymknął oczy. Kiedy je otworzył, jego ofiara wdrapywała się na sąsiednią belkę. Ruszyła chwiejnymi krokami, by skryć się w bezpiecznym miejscu. Strzelił po raz drugi.

Rozniecił ogień, upiekł żylaste zwierzątko, obrał je z mięsa, dokładnie przeżuł każdy kęs. Było mu niedobrze, męczyły go skurcze, ale kiedy przeszły, usnął.

Drugiego dnia przeskoczył przez bagienną topiel.

Było to niesamowite, dotąd nieznanе uczucie – kiedy w locie starał się przedłużyć skok, żeby wylądować na pewnym gruncie. Wstał i zachwiał się. Wyprostował się i ostrożnie zrobił parę kroków. Pot lał się z niego ciurkiem. Przebiegł przez młodnik, w którym kryła się ścieżka, z radością wskoczył na porośniętym mchem kamieniu, rozglądał się wokół i nagle wszystko wydało mu się nowe. Tak nowe, że kiedy wybiegł z mokradeł, zapomniał się schować przed Lucką Wojniczową. Siedziała na polance i przyglądała mu się.

– Ależ ty wyglądasz – przypomniała mu jego przejścia. Jej jaszczurczy wzrok zostawił na nim ślad jak rozpalone żelazo.

Odbiegł – przynajmniej starał się ruszyć biegiem – w stronę rzeki, nad jej powierzchnią próbował czytać własną twarz.

Z zemsty włożył przez okno do drewnianej chałupy Lucki, wyjadł cały cukier z glinianego naczynia, z miski Rafana wyciągnął kawałek suchego placka, opłukał go przy studni, odłamywał kawałek po kawałku i połykał. Pies Lucki nie miał nic do roboty, więc położył się obok niego.

Wieczorem odwiedził księży ogród, objadł się niedojrzałymi owocami i wspiał się na strych ze świeżym sianem. Był słodko zmęczony i po raz pierwszy od długiego czasu zupełnie syty.

Dla Lipki choroba okazała się cennym doświadczeniem. Na własnej skórze poznał desperacką determinację głodnego zwierzęcia, które ledwie żywe zdobywa się na to, czego nie zrobiłoby w pełni sił.

Poznał też samobójczą pokusę, żeby zapaść w sen.

To wszystko jest już w nim i przyjdzie mu z pomocą, kiedy zajdzie potrzeba.

Lipka podchodzi do jednego ze źródełek, które uważa za swoją własność. Mimowolnie sięga do kieszeni. Ma w niej dziurę, trzeba ją będzie zaszyć albo spiąć agrafką.

Przypomniał sobie Michała i zawrzał w nim morderczy gniew. Nie z powodu dzisiejszego ranka. Tylko przez to, że nie poznał się na nim od razu. Hałaśliwy, wesoły stryj, wszędzie go było pełno – a naiwny Lipka otworzył przed nim swoje serce na oścież.

Zatrzymał się i wstrzymał oddech. Przy źródle kłęczą dziewczyna. Nabiera wody, ale robi to inaczej niż inne kobiety ze wsi. Poznaje ją. Przyprowadził ją niedawno Marek Gorczik. Widział, jak przyszli, z jednym zawiniątkiem, które on niósł na plecach. Od razu pomyślał, że zapuszczony dom wreszcie ożyje, stał pusty cały rok i niszczał szybciej niż większość chałup w okolicy. Marek od czasu do czasu coś w nim naprawiał, ale tylko tyle o ile, byle mu się nie łało na głowę.

Lipka był wtedy przekonany, że zatrzymają się tu na parę dni, a potem pójdą dalej. Tamtego wieczora zaglądał przez okno do środka, patrzył, czy się urządzają. A oni siedzieli na wprost siebie z rękoma na blacie stołu i nie robili nic. Następnego dnia na podwórku już powiewały ubrania, a dziewczyna krzątała się koło nich. Sprzątała w komórce, na podwórzu i w piwnicy. Chcą tu zostać, to było pewne.

Jezu Chryste, kobieto, odejść już wreszcie z tą wodą!

Kobieta się pochyła, jakby wiadra były zbyt ciężkie, stawia stopy tak niezręcznie, jakby zaraz miała się potknąć i upaść.

Nie może się podnieść, widocznie upadek nie był taki niewinny. Wiadra potoczyły się w dół, podrzucane przez kamienie, mokre od rozlanej wody.

Lipka opanował złość, potem nieśmiałość, i podszedł bliżej.

Dziewczyna ma twarz pokrytą drobnymi kropelkami.

– Chłopcze – odezwała się do niego. Stanął jak wryty. – Zawołaj Marka, jest w kamieniołomie.

Mówiła coś jeszcze, ale on już biegł. Zapomniał o wszystkim, o bólu i zmęczeniu, skupił się na jednym zdaniu, które musi wypowiedzieć, zbierał słowa i od razu je zmieniał, przytłaczał go strach, że Marek nie zrozumie i że będzie musiał wszystko długo tłumaczyć.

Gorczyk nie potrzebował żadnych wyjaśnień, rozumiał szybciej, niż powinien. Lipka już wiele razy widział oblicza, które przerażenie pozbawiło krwi, ale jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś tak się zmienił na twarzy, jak Marek.

Nie odezwał się ani słowem. Pędził tak, że chłopiec ledwie za nim nadązał.

Przy źródle nikogo nie było.

– Tutaj up-upadła. – Lipka chyba po raz pierwszy w życiu się zająknął.

Poszli do chałupy, dziewczyna leżała w sieni.

– Słuchaj – chrząkał Gorczyk, jakby mu gdzieś uwiązł głos. – Biegnij po doktora.

Nieśmiałość Lipki została wystawiona na ciężką próbę. Nie odmówił. Już biegł, kiedy Marek wnosił żonę do izby.

Dla chłopca doktorem była Lucka Vojniczova. Kiedy przyprowadził ją prosto z szynku i spojrzął na Marka, rozumiał, że zrobił głupstwo. Baba kazała Lipce przynieść wody, a Markowi rozpalić w piecu. Wydawała polecenia i, nie zważając na to, czy zostaną wykonane, zajęła się dziewczyną.

Chłopiec poszedł najpierw do studni na podwórku, nabrał rdzawej zawiesiny i zrozumiał, dlaczego dziewczynę znalazł przy swoim źródle. Wylał brudną wodę i zszedł między skały. Wrócił szybko, sam się zdziwił, że brzemię jest tak lekkie.

Już na podwórku usłyszał napastliwy głos Lucki.

– Pójdziesz siedzieć! – krzyczała.

– Upadła koło źródła... – bronił się mężczyzna bez przekonania. Pewnie chciał otworzyć drzwi od izby, bo stara wrzasnęła:

– Dokąd?!

– Ja tylko...

– Dokąd?!

Chociaż Marek mógłby jednym palcem zmieść Luckę z drogi, nawet nie drgnął.

– Powiedźcie mi chociaż, co jej jest – prosił pokornie.

– Że niby nie wiesz?

Żyłastą dłonią wymierzyła mu policzek. Lipka spodziewał się, że za to zostanie rozerwana na strzępy, ale Marek ciągle stał jak wmurowany.

– Ty nie wiesz, kto jej połamał żebra?! – wiedźma podniosła głos. – Leć po doktora, zanim będzie za późno!

Marek bezgłośnie porusza ustami.

– Ona... – udało mu się powiedzieć.

– Co ona?!

– Upadła.

– Myślisz, że mi to wmówisz? – zapytała z odrazą. – Leć!

Marek staniał się w drzwiach jak stryj Michał, kiedy był pijany.

– Rusz się – huknęła stara. – A ty będziesz pilnować ognia – oznajmiła Lipce i przysiadła. Lipkę roznosiła wściekłość.

– Zróbcie coś przeciw!

– Niby co?

Boże, ona się śmieje!

– Nie ma tu czego do picia?

Lipka czuł, jak zaciskają mu się wilgotne dłonie.

– Przyniosłem wody – wyszczał i zdusił własny głos, bo nie miał odwagi udusić Lucki. Zaczął dygotać.

Twarz Lucki zmarszczyła się radośnie.

– Masz. Skoczysz do Latała.

Nie sięgnął po pieniądze. Patrzył jej prosto w oczy i rozważał, czy dałby jej radę.

– Coś ty za jeden? – okazała zainteresowanie. Zmrużyła oczy.

– Ty jesteś mały Lenki Lipkovej!

Jakby mu splunęła w twarz.

Chociaż widziała jego wyraz twarzy, wskazała talerz z plackami ziemniaczanymi.

– Weź sobie.

– Nie są wasze!

Znowu wyszczerzyła zęby.

Walnąć ją tym plackiem prosto w tę żarłoczną gębę!

Chyba jednak nie dałby jej rady.

Wyszedł bez pożegnania.

Za chałupą spotkał głupiego Arnosztką. Szpiczasta głowa kiwała mu się na boki, trójkątna twarz błyszczała jak wysmarowana tuszczem. Mrugał do Lipki porozumiewawczo. Miał nadzieję, że się do niego odezwie, że nawiąże kontakt jakąś ordynarną zaczepką, do czego już przywykł. Ma już trzydziestkę z okładem, ale żeby nie matka, doświadczaliby piekła na ziemi.

Lipce nie zależy na tym, żeby wyżyć się na Arnosztku, chce go minąć jak jakieś pokrzywione drzewo, ale Arnoszek złapał go za rękę.

– Ona m-mnie pytała, gdzie jest woda... rozmawiałem z nią, z-z-Zuzanką.

Oblizwał wargi.

Lipce nie przeszkadza, że jest głupi i bełkocze. Irytuje go, że mu zawraca głowę.

– J-j-jest ładna – ciągnie żelarski głupek. Wysunął zuchwę i przechylił głowę na bok, wygląda jak kura, która nad czymś rozmyśla. – P-p-powiedziałem jej, że tam jest źródelko. – Z dumą smakuje dowód swojej ważności, wytrzeszcza przy tym oczy. Dziewczyna rozmawiała z nim tak jak z każdym innym.

Lipki to nie interesuje.

– Przy-przyszła do nich Lucka – głupek nie daje się zbyć.

– Jest chora, Marek jej połamał żebra – wygarnął Lipka jednym tchem, żeby mieć już to z głowy.

Arnosztek gapi się gdzieś ponad jego głowę, otworzył usta, ale już o nic nie pyta.

Nareszcie Lipka może się położyć pod czarnym bzem. W półśnie usłyszał motor. Marek nadjeżdża z doktorem.

2

Helenka Bojarova buduje zamek z kamyków, gałązek i mchu. Opodal pasie się koza, obgryza kępki rachitycznej trawy, wypluwa piasek i niespokojnie parska.

To miejsce jest do niczego.

Patrzy na dziecko i mruży żółte oczy, oczekuje, że ludzkie młode uświadomi sobie swój błąd – rusza w stronę rzeki, staje, oblizuje się, wraca, przez chwilę obserwuje budowlę Helenki, meczy i powtarza swój manewr jeszcze raz.

Nic z tego, także tym razem dziecko nie zwraca na nią uwagi. Koza meczy przeciągle i butnie, daje znać, że jak odejdzie po raz trzeci, to już na serio, i że naprawdę zostawi to powierzone koziej opiece ludzkie szczenię całkiem samo.

– No poczekaj jeszcze chwilę – namawia ją Helenka. – Jeszcze tylko wieża i zamek będzie gotowy.

Dajże spokój z tym zamkiem, odpowiadają kozie oczy.

– Tylko małą wieżyczkę – targuje się dziecko.

Koza jest o cały rok starsza od małej Bojarovej. Oprócz tego ta mała została wykarmiona jej mlekiem. Tylko dlatego koza nie spełnia swojej pogroźki i zamiast odejść, meczy zawzięcie i bez przerwy.

– Z tobą nie można się bawić.

Helenka patrzy w oczy opornego zwierzęcia, w których miga jej malutkie odbicie, obejmuje jej szorstką szyję i przytula się do niej, a stara koza, która śmiertelnie kocha jej delikatne ręce, ociera się o nie z rozkoszą.

Ni stąd, ni zowąd dziewczynka ze wszystkich sił zaciska ręce na koziej szyi. To przez dziewczynę, która przechodzi w pobliżu.

– Widzisz?

Ściemniło się, zarośla wychnęły głęboko i uniósł się nad nimi przezroczysty welon.

– Widzisz?

Koza niespokojnie trąca Helenkę głową. Nic nie widzi.

– Złotowłaska! – szepcze z przejęciem dziecko prosto w brudne ucho.

Meczenie kozy obudziło Vratislava Lipkę, który leżał pod czarnym bzem. Podniósł się.

Helenka patrzy na niego jak na kamień, który ożył. Dopiero kiedy zrobił krok, przestraszył ją jej twarzą.

– Uwaga na zamek – mówi ostro.

Z mizernej twarzy patrzą na Lipkę oczy, w których każdy odblask załamuje się dwa razy jak błyskawica. Ominąby jej nędzną budowlę, ale ten ton nie pozwala mu na to. Zamek tylko zachrząścił pod jego stopą, jak świeży śnieg.

Idzie dalej, ciekawy, co też ten zuchwały dzieciak będzie za nim wykrzykiwać.

Zamiast tego poczuł uderzenie.

Odwrócił się i w osłupieniu stanął twarzą w twarz z nieoczekiwanym napastnikiem. Jeszcze nigdy nie porwał się na niego ktoś tak słaby.

Po raz pierwszy w życiu boi się uderzyć, zasłania się tylko dłońmi przed ciosami, które nie boją. Przestraszył się tej wychudzonej buzi, na której wykwitły dwa płomienie, widzi czoło, na którym przez skórę prześwituje sina siatka żył... Rzucą się do ucieczki.

Dziewczynka ciężko oddycha. W przytomniejącej głowie rodzi się obawa, że drogo za to zapłaci.

Ciągnie kozę w stronę rzeki i ucieka przed własnym strachem.

Vratislav Lipka jeszcze czuje dotyk wątlej ręki Helenki.

Szczeniak, który z samobójczą prostodusznością rzuca się na dorosłego psa. I zawsze mu to uchodzi na sucho. To Lipka wie z doświadczenia.

Teraz to do niego dotarło.

Jest zawstydzony, czuje się głupio. Ułamał gałązkę i smaga nią niewidzialnego dręczyciela.

Helenka w tym czasie przeszła przez kładkę i ruszyła w stronę ostrężyn. Nie wie, że wyjdzie prosto na Lipkę, który przeszedł na drugą stronę brodem przez zakole.

Kiedy spotkali się znowu, stanęli na wprost siebie, oboje przestraszeni.

Mała rzuciła się do ucieczki w zarośla. Kolczaste gałęzie zagrządzają jej drogę, przedziera się coraz wolniej, chaszcze wokół niej gęstnieją. W końcu wlaźła na jakiś kamień, z ostrężyn wystaje jej tylko głowa.

– Lipko! – zawołała głośniejszym głosem niż potrzeba. Na swój wiek ma głęboki i nieco chrapliwy głos.

Chłopak drgnął.

– Jeśli chcesz mi wlać – podsuwa mu praktyczne rozwiązanie – to musisz mnie wyciągnąć z tych krzaków.

Lipka rozgarnia kłujące gałązki i przybliży się do niej powoli. Helenka przygląda się jego rękom, pokrytym zielonkawymi plamami, jego obszarpanej, brudnej koszuli z oberwanym rękawem.

Lipka patrzy na jej mokry nos.

– Nie becz.

Daje do zrozumienia, że nie zamierza jej zbić.

– Ja nie beczę – odcięła się ze złością. – Ale dzisiaj jest niedziela!

Nie rozumiał związku.

Idzie przodem i odgarnia przed nią gałęzie, za plecami czuje jej obecność, ale nie ogląda się, nawet nie wie, jak bardzo mała musi się starać, żeby za nim nadążyć.

Nad rzeką dzieciak pokazał mu obolałą pupę.

– Zobacz, co tam mam.

Rana była dość głęboka, ciągle jeszcze tkwił w niej kamyczek w otoczce brudu. Lipka wydrapał kamyk patyczkiem, znów pociekła krew. Z przestachem patrzy na czerwoną nitkę na opalonej nóżce.

Helenka nie podziela jego strachu. Ciągle się wierci, a przy każdym poruszeniu z ranki wypływa czerwony koralik.

– To mi zrobiły chłopaki. Chcieli potopić jeże, ale ich przepędziłam.

Powiedziała to bez emocji, jak zwykłą informację, ale szybko przypomniała sobie zwycięską bójkę i ugodziła przeciwników wyzwiskiem: – Smarki!

Spojrzała pewnie na Lipkę.

– Wujek Juriga dał mi za to cukierków.

Dodała ze szczerym smutkiem: – Już je zjadłam.

Zmieszany Lipka, który o tym zdarzeniu wie swoje, wyciągnął z kieszeni korzonek paproci. Wyjęła mu go z ręki.

– Gdzie go znalazłeś?

– Przy starym młynie.

– To strasznie daleko.

– Nie tak bardzo.

– To prawda, że tam straszy?

– Nie.

Helenka wie dobrze, że tam straszy. Jest tego pewna. Przełamała korzeń i połowę oddała Lipce. Natychmiast zaczęła ssać swoją część.

– Napisz słonia! – rozkazała, wypluwając z buzi przeżutą masę.

Odłamał gałązkę i narysował w piasku zwierzę z trąbą, najlepiej jak umiał. Zaskoczyło go, że Helenka się rozgniewała. Rysunek nie odpowiadał jej wyobrażeniom. Chciała, żeby słonia napisał, nie narysował.

– To jest obrazek – krzyczała zawiedziona. – Napisz słoń!

Dziwił się, co ją tak irytuje i w ogóle na co sobie pozwala – jakby nie dzieliły ich kontynenty, jakby przepastna różnica sił i wieku nie miała żadnego znaczenia. Mógłby ją podnieść jedną ręką i odrzucić jak mysz. Bóg jeden wie, dlaczego jeszcze tego nie zrobił!

– Napisz słonia! – domagała się natarczywie.

– Masz tu słonia!

– Nie! Słoń ma rogi!

Zdaje się, że słoń pomylił się jej z jeleniem. Chciał ją przekonać, ale zakrzyczała go. Z niczym jej się słoń nie pomylił. Ciotka Burdova powiedziała przy niej o starym Burdzie, że chodzi jak słoń. Zaciekało ją to i ciotka wszystko jej dokładnie wyjaśniła. Słoń stał przed nią jak żywy. Zakręcone kły sterczały mu nad głową jak ogromne rogi. Znowu wziął patyk. Sam nie wie, dlaczego to robi. Może przez tę wijącą się dróżkę zakrzepłej krwi na chudej nodze, może przez tę chwilę, kiedy zamarł ze strachu, że dziecko wykrwawi się na śmierć.

Napisał SŁOŃ, a Helenka aż podskoczyła z radości.

S-ł-o-ń rozdzielała literki, choć nikt jej tego nie uczył, wzięła patyczek i sama zaczęła skrobać po ziemi. Napisała pięć koślawych słoni, potem dziesięć, piętnaście. Nie mogła się nasycić.

Lipka cierpliwie ostrzył jej patyki, ledwie nastarczał z tym ostrzeniem, bo ciągle je łamała z przejęcia.

Na kładce pojawiła się Lucka Vojniczova z koszem w ręce.

– Ciocia! – wykrzyknęła Helenka i rzuciła się do niej. Wryła przed nią w tyle nazwę egzotycznego zwierzęcia.

– Słoń – przeczytała Lucka.

Helenka pokraśniała z wrażenia, oczy się jej powiększyły i nie mogła wydusić z siebie słowa.

Lucka wytargała ją w nagrodę za włosy.

Dzieciak obejrzał się za Lipką, który miał swój udział w tym triumfie, ale chłopak gdzieś zniknął. Wystraszona podbiegła do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą siedział.

– Lipko! – płakała i głos jej się rwał. – Lipko!

Wychylił się z ukrycia o parę kroków od niej. Nie mógł nie wstać.

– Gdzie byłeś? – wypytywała go z wyrzutem.

– Tutaj – wskazał zagłębienie pomiędzy kamieniami. Dokładnie obejrzała to miejsce.

– Bo ja pomyślałam... – zająknęła się i pociągnęła nosem.

Nagle wyglądała tak nędznie, że wbrew woli zaczął jej współczuć. Jak garść kości na zupę. Chyba długo nie żyje. Nikt by jej nie dał pięciu lat.

Svojsikova powiedziała o niej: będzie głupia, ma ojca alkoholika. Może i jest głupia, ale inaczej niż Arnoszteł.

– A ja byłam w Szadovej Hucie.

Powinien nie posiadać się ze zdziwienia. Nawet nie poruszył brwią, ale ona domyśliła sobie jego zdumienie.

Ten dzieciak wyraźnie czymś się różni nie tylko od wszystkich innych dzieci, ale w ogóle od wszystkich znanych mu ludzi. Obserwuje ją jak rzadki okaz przyrodniczy.

– Wiesz, co tam widziałam? – naciska. Guzik mnie to obchodzi.

– Łabędzia! – wyrzuciła z siebie przejęta. Opisuje, jak łabędź płynął, cicho i lekko, tak że woda ledwie się marszczyła. Zamachał skrzydłami, a pod jednym z nich miał złote piórko. Potem schował się w trzcinach, zamienił w rybkę, przyplłynął znowu i potykał okruszki, które mu sypała.

Naprawdę jest głupia, skonstatował Lipka. Przy tym poczyna sobie tak śmiało, jakby należał do niej cały świat. Najbardziej się dziwi, jak to się stało, że jeszcze się uchowała.

– Lipko, jak to się stało, że jesteś sierotą?

Poczerwieniał.

– Ksiądz proboszcz rozmawiał o tobie z panią Burdową. I mówił, że to nie twoja wina.

Powiniennem odejść. Już dawno powiniennem być odejść. Co mnie tu, Jezu Chryste, trzyma!

Z przeciwnego brzegu nadleciały ze świstem kamienie. Helenka podniosła otoczaka, w którym błysnęło srebrne oczko, i dorzuciła nim na środek rzeki.

Drugi kamień wytrącił jej z dłoni.

Lipka ma sekundę na to, by zniknąć. Uskoczył w młodnik.

Mała stawia czoło zastępowi, który wali do niej po rozhuśtanej kładce i już się z niej wylewa.

Lipka wyskoczył z zarośli. Włączył się do walki, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru, postąpił głupio, wbrew swoim zasadom. Bez trudu rozpedził grupę gówniarzy, może o pół głowy większych niż Helenka.

– Smarki! – zanosí się szlochom poobijane dziecko. – Gnoje!

Wsunęła skaleczoną piąstkę Lipce w dłoń. Gest, którym pokazała całemu światu, kto za nią stoi i z kim będą mieli od dzisiaj do czynienia.

Lipka nie odrzucił jej wilgotnej ręki i tym samym zaprzepaścił swoją ostatnią szansę. Jeszcze nie wiedział, że właśnie w tej chwili stał się częścią krajobrazu jej duszy, gdzie pod świetlistym niebem szalał dziki wiatr.

Tak zrodziła się niewiarygodna przyjaźń.

Powstała zupełnie z niczego, jak wszystkie wielkie rzeczy.

Gojące pragnienie Helenki nagle się zmaterializowało.

Znalazła sobie brata.

– Boją się nas! – powiedziała dumnie. A zaraz potem ni stąd, ni zowąd: – Pokażę ci wielkie mrowisko.

Lipka to jej mrowisko dobrze znał, wcale nie jest największe. Mrowisko żyło i z daleka aksamitnie falowało.

– Zobacz, jak ciągną patyk. Jakby miał nóżki.

– Znam taki patyk, co też sam chodzi, ale nie niosą go mrówki.

– Sam chodzi?

Wiedział, że to ją zainteresuje.

– Sam. Bo w środku jest robak.

Mała natychmiast chce zobaczyć patyk z robakiem. Chłopak prowadzi ją do zakola. Do spokojnie rozlewającej się wody.

– Złapałeś kiedyś motyla? – pyta go po drodze.

– Nie. Ale raz mi usiadł na ręce żałobnik.

– Sam?

– Sam. Wiosną motyle łatwo złapać, jeszcze nie umięją dobrze latać. I trzmiele też. Jak się pokażą, możesz je wziąć do ręki.

– A trzmiel ma nogi?

– Ma.

Odszedł kawałek dalej od mokrej ziemi.

– Tutaj masz ten patyk.

Przełamał go i wyszedł z niego robak.

Helenka jest zachwycona sprytnym robakiem. Aż nagle ogarnia ją wściekłość.

– Złamałeś mu patyk! Co teraz zrobi?

– Znajdzie sobie inny.

Dostrzegł, że podniosła rękę. Naprawdę chciała go uderzyć? Zapomniała o robaku, bo nad ich głowami rozległ się rzadki odgłos samolotu.

– Eroplan! – oświadczyła z odchyloną do tyłu głową. – Ale gdzie?

– Leci w chmurze. Zaraz się pokaże.

– A ja słyszałam o jednym panu, co właśnie tak się zgubił. – Nabrała powietrza. – Najgorzej jest, jak eroplan trafi na lód. Lód jest jeszcze wyżej niż chmury. Kiedy się przybliży do słońka, to się topi i wtedy pada deszcz. – Wyjaśniła mu to zjawisko przyrody i powróciła do historii. – I temu panu samolot się rozbił o lód, i spadł na dół, prosto do gniazda takiego wielkiego ptaka. A ten ptak miał młode i pomyślał, że ten pan to jedno z nich, i karmił go razem z nimi.

Lipka się roześmiał.

– To prawda – poczuła się dotknięta. – I ten pan oswoił sobie jednego ptaka, a potem na nim latał. Bałbyś się latać?

– Nie.

– Ja też nie – zapewniła go pospiesznie.

Zostali na skraju mokrej łąchy, wybudowali tunel, którym płynęła woda, wykopali jezioro i wyłożyli je ńtem, a ponieważ Helenka chciała mieć na nim łódkę, Lipka wystrugał ją z kory. Bawił się po raz pierwszy od wielu lat.

Helenka przez chwilę obserwowała jego ręce, potem wzięła od niego scyzoryk i natychmiast zacięła się w palec.

Kto wie, co jeszcze czeka w życiu to chuchro, myślał chłopak. Nic dobrego. Lipka pod jednym względem jest do niej podobny. Doskonale zna tę groźną falę wściekłości, która człowieka zalewa tak gwałtownie, że już nic nie słyszy i nie widzi na milimetr przed sobą.

Wtedy, w chorobie, to nie instynkt samozachowawczy uratował go przed śmiercią. Wmawia to sobie tylko. Ku życiu pchnęło go coś, czego to dziecko, zdaje się, w ogóle nie zna. Strach. Pojawił się niespodziewanie, podciął mu nogi i złał go potem.

Przedtem z resztą chłopców żył w burzliwej przyjaźni. W miarę tego, jak rósł i stawał się coraz silniejszy, zbliżał się do królewskiego tronu.

Dotopki do Żelar nie sprowadzili się Varzechowie z synem Dolfą.

Dolfą z wąskimi oczkami w twarzy, która wyglądała tak poczciwie – tchórzliwy prostak bez jednej godnej podziwu cechy. Mimo to potrafił skupić wokół siebie pokazną grupę – każdy z nich z osobna wart był tyle, co kocia bździna, ale razem stanowili siłę.

Vratislav Lipka jej uległ.

Nie mógł w to uwierzyć.

Dotąd nie znał strachu.

Ale przynajmniej nie pozwolił, żeby strach zmienił go w błoto, w którym odcisnie się cudza stopa.

Nigdy im się nie podporządkował, nauczył się ukrywać i wymyślać fortele. Sztuka ucieczki zajęczymi zakosami – to mu weszło w krew.

Jego dobrowolne wygnanie nie trwało długo, ale kiedy przyszedł czas powrotu, nie potrafił zrobić kroku.

Po dwóch latach Dolfa zachorował na heinemedinę, powykrecało go, zaczął kuleć i miał drgawki. Wkrótce potem rodzina Varzechów wyjechała ze wsi.

Tego ranka, kiedy się zbierali, a Dolfa siedział zapomniany przy kupie tobołów, przybiegł do niego Lipka. Skakał, fikał w powietrze koziołki, chodził na rękach. Dolfa patrzył na niego uparcie morderczym wzrokiem, z oczu płynęły mu łzy, których nie był świadomy. Na wargach pojawiło mu się jak biała piana słowo: bękart.

Lipka dobrze wiedział, że jego zemsta była godna politowania, ale nigdy nie uwolniłby się od Dolfy, gdyby nie zrobił mu tej podłości.

Koza okazuje niezadowolenie z wybranego miejsca, chłopak to spostrzegł i pobiegł nałamać jej gałązek akacji i bzu.

– Spadniesz! – napomina go Helenka, widząc, jak balansuje nad wodą. – Złaz natychmiast!

Wyciągnęła się ku niemu i złapała go za nogawkę, kiedy już był prawie na ziemi. Wyobraziła sobie, że ściągnęła go z drzewa. Koza przeżuwa smakołyki, jej morda z wprawą odrzuca zdrewniałe kawałki i zręcznie omija ciernie.

– Z nią nie ma żadnej zabawy – skarży się Helenka. – Ciągle by tylko żarła.

Chłopiec milczy, pochłonięty pracą, którą wynajduje mu mała. Chce, żeby się cieszyła, żeby pokrzykiwała z radości, sam nie wie, skąd się w nim bierze tyle pomysłów i ile rzeczy umie.

– Wracamy do domu – mówi mała nagle. Patrzy na niebo, na którym słońce zanurza się między skały.

Najbardziej ujmuje go ten spokojny, wyważony ton. Zaprowadziła kozę do komórki, opłukała buzię i ręce, założyła w sieni kaptcie i weszła do kuchni.

– Ja się przyjaźnię z Lipką – ogłosiła od progu.

Matka pogłaskała ją po włosach, wzięła ze stolika łyżeczkę i nalala na nią tranu.

– To twój mleczny brat.

Powoli i spokojnie opowiedziała jej całą historię. Następnego dnia dziecko Bojarów szwendało się cały dzień nad rzeką. Lipka pokazał się dopiero pod wieczór. Rzuciła się do niego z głośną wymówką.

– Gdzie byłeś?

Nie mógł jej powiedzieć, że cały dzień był w pobliżu, że cały dzień patrzył, jak go rozpaczliwie szuka – i że w końcu się poddał.

Tego dnia postanowiła pokazać mu swoje skarby.

Zaprowadziła go na strych, wspinali się tam po drabinie przystawionej do okienka w szczycie domu. Kiedy weszli w szarość pod skośnym dachem, chłopiec wyczuł, że Helenka się boi. Prowadziła go za rękę i stąpała cichutko, jakby ze strachu, żeby nie obudzić kogoś czy czegoś ze snu.

Skarbem był czarna waliza, którą Bojar przyniósł z wojny.

Pomógł jej otworzyć wieko.

Błyszczące otoczaki, muszelki, suche żółędzie, pokręcone gałązki, kolorowe piórka, zasuszone liście. Jeden po drugim układała wszystkie skarby na podłodze.

Skończyła i stała, wstrzymując oddech i wytrzeszczając oczy.

Bardziej niż zaprezentowane cacka napawało go zdumieniem to, jak bardzo była przejęta. Klęknął, pochylił głowę i dotykał przedmiotów z udawanym zainteresowaniem, żeby nie mogła wyczytać z jego twarzy, co naprawdę myśli o tej zbieraninie.

– Nikomu jeszcze tego nie pokazywałam – głos jej drży z przejęcia.

Podniósł kamyk z lśniącą plamką w kształcie groszku i położył go sobie na dłoni. Kamienne oczko mrugnęło do niego porozumiewawczo.

Takich samych może jej naznosić całe kieszenie.

W tej chwili dotarło do niego, że nawet gdyby to zrobił, to nie będą warte tyle, co ten jeden. Tego niespodziewanego odkrycia nie ubrał w żadną myśl, zrozumiał, że wartość rzeczy nie kryje się w nich, tylko w nas.

Wstał, a mała cudotwórczyni zyskała pewność, że tym razem ktoś jeszcze podzielił jej oczarowanie.

Wrześniowa noc jest jasna i bezbrzeżna. Cięty wiatr zaostrza jej smak. Vratislav Lipka chłonie ją wszystkimi zmysłami. Odgłos kroków od strony rzeki, płacz niemowlęcia, pijackie śpiewy, urywany kobiecy śmiech. Zapach wieczornych fiołków, drżące światła w oknach, cienie w ogrodach.

Tylko w ciasnych izbach w oddechach śpiących postępuje cuchnąca ciemność.

Zatrzymał się przy księżym ogrodzie. Zastanawia się. Przychodzi tu raczej z obowiązku niż z chęci. Pilnuje zagonów i drzew, a jednocześnie je ogołaca. To jest jego zemsta na wielebny, który kroczy po drodze cnoty i któremu nic tak dobrze nie służy, jak miłosierne uczynki. Lipka jest jedną z jego ofiar. Za wszelką cenę chce go wysłać do sierocińca, ciągle mu o tym opowiada, jakby nie mógł zrozumieć, czym jest swoboda, bez której nie można żyć, swoboda ptaków pod bezkresnym niebem.

Poza tym właściwie lubi proboszcza.

Czasami nawet bardzo.

Kiedy letnią nocą leży na zbocz z rękoma pod głową, a z kościoła dobiega dźwięk organów, usypia upojony muzyką, która pachnie jak igliwie i drga jak gwiazdy.

Przeskoczył płytki rów ograniczający księżę włości, pokrzywy smagnęły go po tydkach. Głową zawadził o wielką gruszkę. Zerwał ją.

– Lipko!

Przyłgnął do pnia drzewa. Uświadomił sobie, że pogwizdywał. W oświetlonym oknie widzi głowę proboszcza.

– Lipko! Chodź tu!

Kto kogo przetrzyma.

– Chodź, wiem, że tam jesteś.

Nie dzisiaj, proszę księdza, dzisiaj nie jest dzień miłosiernych uczynków. Chłopiec skrada się z powrotem. Przejdzie się do gajówki. Tam też jest siano na strychu. Z góry od strony kościoła widzi Żelary pogrążone w szarofioletowych oparach. Na dachach kładzie się blady odbłask, jakby były oproszone śniegiem. Od rzeki ciągnie chłodem. Mija szynk, doleciał go stamtąd smród skwaśniałego piwa. Z otwartego okna dobiegły go ludzkie głosy. Skrzypią w nocy i pluskają w ciemności jak w głębokiej wodzie.

Zajrzał do środka jak do jamy, w której ułożono trupy po zarazie morowej. Przy ladzie siedzi Tonia Bartek z oczyma okolonymi sinymi cieniami.

Chrapliwe krzyki. Trzask wyfuszonych kart.

Życie zakute w dyby.

Kiedyś ciągnęło Lipkę do szynku. Wystawał pod oknem godzinami. Na własne oczy widział, jak kuflem piwa zabili Matię Porzizka. Ale żal mu go było akurat tyle, co rozdeptanego robaka.

W niedzielę rano widywał przed karczmą połamane, zakrwawione krzesła. Kiedy robiło się gorąco, posyłali po Luckę.

Za szynkiem jest szopa, do której Bieta Latalova chadza z kochankami. Szynkarz córkę przykładnie tłucze, chłopów przegania, ale wszystkiego nie może dopilnować. Te sprawy też kiedyś Lipkę interesowały. Nawet wywiercił sobie dziurę w tylnej ścianie szopy.

Niedaleko za szynkiem wszystkie dźwięki giną w huk kamienistego jazu. Chłopiec schodzi skosem ku kładce, za plecami ma czarny pas lasu. Zatrzymał się nad wodą pełną światła. Lecą gdzieś nie wiadomo dokąd, a przy tym nie ruszają się z miejsca.

Chałupa Gorczików znów się trochę zmieniła. Marek naprawił dach.

W otoczeniu domu też jest więcej ładu. Dzień w dzień Gorczik kopał bez chwili przerwy, jakby z piaszczystej ziemi chciał wydobyć skarb. Wyrzebił chaszczę i założył zagonki, a żeby nie buszowały po nich zające, ogrodził je kamiennym murkiem, który łączył się z domem.

Lipka nie pojmuje, co miałby ten murek chronić. Na stoku zawsze rodziła się tylko karłowata, wiecznie spragniona trawa, którą latem wypalało słońce.

Chłopiec zna sposoby, jakimi ludzie odkupują swoje winy. Nie dziwi go gorliwość Marka. Zdumiewa go tylko ewidentna zbyteczność tej gorączkowej harówki.

Kiedy Zuzanka wróciła ze szpitala, przesiadywała na słońcu, owinięta starą gunią, i jak skamieniała patrzyła w przestrzeń. Odwiedzał ją tylko głupi Arnosztek.

Czasem wstała, zajęła się jakąś pracą – wtedy Lipka walczył z pokusą, ale nigdy nie znalazł odwagi, żeby zaproponować jej swoją bezużyteczną siłę, której miał w nadmiarze.

Gorczikowie go przyciągali. Związało go z nimi tych kilka chwil, kiedy ich losy o siebie zawadziły.

Sam niewidziany, kładł się na ziemi tuż za ich plecami i patrzył.

Kiedyś do Zuzanki przyjechała babcia i namawiała ją, żeby wróciła z nią do domu. Słyszał całą rozmowę, ale nie wszystko zrozumiał.

- Co chcesz osiągnąć tym uporem, dziewczyno?
- Mam to, co chciałam, babciu. Zapłaciłam za to.
- Daj Boże, żebyś nie żałowała.

Zuzanka uśmiechnęła się tak po swojemu. Ten uśmiech dobrze znał. Nie chce się uwolnić od okrutnika, nie chce zerwać więzów – niewolnica z własnej woli. Wiele góralek wybierało ten, dla Lipki niepojęty, los.

- Zaparłaś się wiary.

Znowu ten uśmiech, tylko trochę naznaczony zmęczeniem. Słyszała to już ze sto razy.

- Kiedyś cię zabije.
- Gdzie tam, babciu.

Chłopcu wydało się, że w jej głosie było szyderstwo.

– Powiedźcie ojcu, że teraz bym wam dużo nie pomogła, do niczego się nie nadaję.

- Nie po to mnie posłał.

– I jeszcze mu powiedźcie, że gdybym miała drugi raz wybierać, albo i trzeci, wybrałabym tak samo.

- Tego pachółka papieskiego?
- Tego pachółka papieskiego.

Staruszka wstała i przesłoniła niebo.

- Wyrzekasz się ojcowego błogosławieństwa?

Gorczikova ledwie widocznie wzruszyła ramionami. W tym ruchu, czy też zachwianiu, nie było jawnego buntu, tylko obojętność, jakby słowa starej nie odnosiły się do niej.

- Nie masz sumienia.

To było zbyteczne, stara zaraz to zrozumiała. Między nimi otwarła się przepaść, a wnuczka oddalała się od niej razem z ostatnią piędzią ziemi pod stopami. Lipka nie umiał sobie wyjaśnić zachowania Zuzanki. Wiedział, że świadomie upokorzyła swoją babkę.

Rozpacz czasem przybiera i taką postać.

Tyle że na twarzy Zuzanki rysował się wyraźnie spokój i tajemnicze szczęście.

Teraz chałupa Gorczików sterczała na zboczu jak czarno-biała kostka do gry. Z komina się lekko dymiło, w oknach pobłyskiwało światelko.

Lipka podszedł do kamiennego ogrodzenia, spróbował się połapać, co jest za nim nasadzone. Były to pędy malin.

Pośrodku ogródka stał stolik, pachnący świeżym drewnem, przy nim dwa stołki.

Przeskoczył murek. Ledwie dotknął ziemi, natknął się na psa. W życiu nie zrobił większego głupstwa. Bronił się przed atakującym zwierzęciem, chciał tylko, żeby nie szczekało. Z chałupy wybiegł mężczyzna.

– Kto tam jest?

Lipka nie odpowiedział, próbował wydostać się za płot, nie zważając na to, że rozwścieczony pies rwie mu ubranie na strzępy. Gorczik porządnie się namęczył, zanim go uwiązał.

– Mamy go dopiero dwa dni.

Dowlókl chłopca do chałupy i nakłonił go, żeby przemył sobie ugryzienia.

– Nazywa się Dona i jest zła. Atakuje bez ostrzeżenia. Chcieli ją zabić, więc wzięłem ją dla siebie.

Lipka pomyślał, że takich rzeczy mu nie musi opowiadać. Dona była po to, żeby nikt nie zbliżał się do domu.

Na pewno nie Vratislav Lipka.

Zuzanka wyszła z izby, właśnie szykowała się do snu. Rozpuszczone włosy opadały jej na plecy i piersi, twarz ginęła w rudozłoty pasmach.

Gwałtownie odwrócił wzrok. Po żebrach spłynęła mu strużka potu. Żona Marka miała w sobie to piękno, które wzrusza mężczyzn.

Lipka bronił się przed tym ze wszystkich sił, ale nagle poczuł, że pali go pragnienie, które mogą ugasić tylko spojrzenia. Marek nie byłby dla niego tak życzliwy, gdyby mógł mu zająrzeć w duszę.

Opamiętał się. Uświadomił sobie sytuację. Pogryziony, na wpół nagi.

Zależć pod piec jak karaluch.

Do tego wszystkiego jeszcze wpadła do środka Dona i przewróciła szaflik, w którym się mył. Gorczik chwycił ją za przegryziony sznur.

Była to wielka, brzydka suka, cała pokryta parchami.

– Dona – odezwał się do niej Lipka i popatrzył jej w oczy. Postawiła uszy.

– Dona – powtórzył. Wyciągnął do niej rękę. Obwąchała ją i warknęła cicho.

– Dona – położył dłoń na zjeżonej sierści. Drgnęła pod tym dotykiem.

– Dona – szepnęła całkiem cicho. Nie wytrzymała. Zamachała ogonem.

Dobra sunia. Gdybym wiedział, że tu jesteś!

Przenocował u Gorczików pod pierzyną, która go dusiła. Właściwie nie zmrużył oka przez całą nieskończenie długą noc i za każdym razem, kiedy spojrzął na jasną smugę pod drzwiami, oblewał go pot.

W kuchni Gorczikova łatała mu spodnie.

4

Helenka jeszcze nigdy nie była w lesie w nocy. Trzęsa się ze strachu, kiedy weszli na skalną ścieżkę, a pod nimi rzeka lśniła jak metalowy pręt. Trzymała Lipkę za rękę, ścisła ją mocniej lub słabiej, w zależności od tego, czy strach się wzmagał, czy ustępował.

Odwróciła głowę w stronę księżycy, który wisiał prosto nad nimi. Popatrzyła na okrągłe okno z mlecznego szkła.

– Kto tam jest?

– Nikt.

– Patrzy się na nas.

– To jest księżycowy ludek – wymyślił na poczekaniu uspokajającą bzdurę.

– A tam? – wskazała palcem pomiędzy kamienie. Wyraźnie widać tam było cień olbrzyma.

– Nie bój się, tam nikogo nie ma. Będę siedł przed tobą, trzymaj się mojej koszuli.

Lipka nigdy nie poznał takiej grozy. Noc czy dzień, to dla niego bez różnicy. Idą obok siebie, każde z nich w innym świecie.

– Coś piszczy.

– To wiatr.

– Wiatr nie piszczy.

Przed nimi wzleciała trupia główka, aksamitny nocny motyl. Helenka krzyknęła. Zwinął jej rączkę w piąstkę i schował we własnej dłoni.

– Nie bój się, oprócz nas nie ma tu nikogo.

Właśnie że jest. I to nie jeden. Dziesiątki oczu przysysają się do jej skóry. Daleko za wsią, w nieznanym lesie, w środku nocy. Drzewa wzdychają, ciemność drży, nogi zapadają się w mech, który jest miękki i ciepły jak sierść kudłatego psa.

Ziemia wydycha obcą woń.

– Jeszcze kawałek i będziemy na polanie – dodaje jej otuchy chłopak, widząc, że ledwie idzie.

Helenka z przejęcia zapomniała o przeżywanej grozie. Za chwilę zobaczy, jak się pasą sarny.

– Usiądziemy tutaj.

Zjął kurtkę i rozłożył ją na wilgotnej trawie. Mała wyteża wzrok – polana jest pusta.

– No i gdzie są?

– Na drugim końcu. Jeszcze ich nie widzisz, ale już nadchodzą. Wiatr wieje z ich strony, nie poczują nas.

– Będą się paść?

– Będą.

Poręba świeci jak oczko w pierścieniu.

– No gdzie są?

– Jeszcze chwilę.

– Ale przyjdą?

– Przyjdą.

– Będą się paść – powiedziała ze szczęśliwym westchnieniem i usnęła.

– Widzisz? – szepnął, kiedy dostrzegł sarny na środku poręby. – Helenko! Widzisz je?

Nie słyszy, śpi jak kamień, z nosem wtulonym w kurtkę. Wziął ją na ręce, zanieśie ją do domu. Szedł ciężko, leciutkie brzemię ciążyło mu, jakby Żelary były na końcu świata. Zapukał do drzwi chałupy Bojarów. Matka o nic nie pytała. Wzięła od niego śpiącą Helenkę.

– Chciała zobaczyć sarny, jak się pasą na porębie.

Był bliski płaczu, że ich nie zobaczyła.

Następnego dnia słyszał, jak opowiadała o wędrownicy w środku nocy, chociaż odbyła się ona późnym wieczorem, o księżycowym ludku, o syczących krzakach, o wielkich motylach, o olbrzymach w skałach, a przede wszystkim o sarnach na leśnej polanie, które skubały trawę i były tak blisko, że Helenka mogła je pogłaskać.

Na ścianie szkoły pojawił się obraźliwy napis, koledzy Lipki uśmiechali się szyderczo i szepotali do siebie po kryjomu: narzeczeni!

Aż go skręcało ze wstydu, ale nie umiał się z tego wykręcić. Codziennie przed południem mała pasła kozę w tym samym miejscu i ufnie na niego czekała. Nie mógł nie przyjść.

Nie potrafił sprawić przykrości komuś, kto jest tak mały, tak niewydarzony, czyje dni i tak są policzone.

Helenka nie wiedziała, co nim kierowało, czuła się zdrowa i silna. Przecież to żaden wstyd kolegować się z chłopakiem. Na każdą zaczepkę umiała odpowiedzieć, i to tak, że zamykała wszystkim buzię. Często pojawiała się koło karczmy, skąd czerpała inspirację do pyskówek. Przyciągały ją odgłosy dobiegające z szynku.

Najbardziej podobały się jej wyzwiska, których nie rozumiała. Lipka mógłby jej to i owo wyjaśnić, ale powstrzymywała go wstydlivość, którą odziedziczył po nieznannej matce. Sam nigdy nie przeklinał. Nie znosił wulgarnych słów, choć u Helenki je tolerował. Uznał, że mała nie wie, co robi, więc nie może za to odpowiadać.

Prawdę mówiąc, niepokoiła go u niej tylko jedna rzecz. Że rzeczywistość miesza się jej ze światem fantazji, że co chwila przekracza granice bajki. On sam nigdy nie napił się wody z czarodziejskiego źródła, które w sposób magiczny odmieniało ten prawdziwy do bólu świat. Bał się, że dzieciak wyciąga swoje chude łapki do zdradliwej gry światła i cieni w magicznym zwierciadle.

Ile go kosztowało, żeby ją przekonać, że Liza Szeldova nie jest żadną zaklętą boginką, lecz studentką, która przyjeżdża do domu tylko na wakacje.

– Nie ma żadnych boginek! – powtarzał twardo, widząc, jak chucha sobie na zdrętwiałą piąstkę.

– Wiem.

I zaraz potem ciągnie go do lasu, żeby szukać złotych włosów, które boginka tam pogubiła. Zaprowadził ją do willi Szeldy.

– Tutaj mieszka.

Helenka wytrzeszczała oczy na pusty balkon i zardzewiałą barierkę. Kiedy dostrzegła służącą Bertę wracającą z zakupami, szepnęła mu do ucha:

– Czarownica!

Przedziwo z wolna się rozsnuwało, czarodziejski kołowrotek terkotał.

Vratislav Lipka zrozumiał, że nic nie wskóra.

Nie wyplewił chwastów, nie rozwiął płonnych strachów Helenki. Przyjdą dni – już teraz niespokojnie szarpia wędzidło i wrywają się do przodu – kiedy zbierze trujące plony.

Na początku wszystko wyglądało niewinnie. Helenka napatoczyła się akurat wtedy, kiedy stryj go bił. Kiedyś musiała się o tym dowiedzieć.

Skurczyła się, jakby ciosy padały na jej ciało.

Ale zaraz się wyprostowała, zaskoczenie minęło, zastąpiła je wściekłość. Już znalazła kamień, już rzuca się na stryja Lipki.

Uderzyła go kamieniem w kark, potem przypadła do jego łydki, wbiła zęby w żywe mięso.

Nie spodziewał się tego, upadł. Odrzucił ją kopniakiem.

Rozwścieczony przyklęknął chłopcu na plecach i wcisnął mu twarz w ziemię.

Ledwie Helenka stanęła na nogach, całą swoją siłę włożyła w krzyk. Wrzeszczy tak straszliwie, że już się zbiegają ludzie, wrzeszczy jeszcze wtedy, kiedy oswobodzony Lipka stoi obok niej i kładzie jej dłoń na ustach, wrzeszczy, aż z jej gardła wydobywa się już tylko ochrypy świst.

Helenka szarpie za spódnice wystraszone ciotki i nalega, żeby przytrzymały stryja, to przebiję go wielkim nożem.

Lipka ją odciąga, ale znowu mu się wrywa.

– Przecież on wam ucieknie! – rwie się ostatnia nitka zdartego głosu. Szuka najgorszego wyzwiska. – Pijanica!

Lipka idzie w stronę rzeki. Podtrzymuje Helenkę, która za nim nie nadąza i potyka się co chwila. Zanurzył w wodzie twarz, która puchnie w oczach.

Helenka dotknęła jego obrzmiewających powiek.

– Zejdzie ci to?

Powiedziała to albo nie powiedziała. Jej gardło jest jak wyskrobana miska.

Lipka siedzi na wilgotnym piasku, słyszy rzekę, ale nie widzi jej. Nie widzi powierzchni pociętej słońcem jak nożem. Nie widzi plamy na wodzie w zatoce. Jest za daleko, żeby dostrzec pułapkę.

– Czyja to łódka, Lipko?

Lipka nie może odczytać tych słów z ruchu jej ust. Znowu i znowu omywa sobie twarz. Helenka truchta do zakola.

Obejrzała się. Chciałaby zawołać Lipkę (gdyby miała głos), bo tu kiedyś z tatą złowili pstrąga.

Już-już chciała wrócić, ale spostrzegła, że idzie w ich stronę inżynier Szelda. Przywitała go. Uśmiechnął się do niej.

– Chciałabyś taką łódkę?

Czyta w jej myślach. Co prawda wygląda jak inżynier Szelda, ale kto wie... Zanim zdołała odpowiedzieć (nie zdołałaby), powiedział to, czego się spodziewała.

– Sprzedam ci ją.

Uśmiecha się tylko oczyma, a te oczy palą. A Helenka tak bardzo chce mieć łódkę, że nie ma czasu się bać.

– A co pan za nią chce?

– Dasz mi kozę.

– Nie mogę, koza nie jest moja.

Ciekawe, że znowu może mówić. Ale ma dziwnie wysoki głos, nie wiadomo, czy w ogóle należy do niej.

– Co to szkodzi, przynajmniej nic nie stracisz.

Popatrzyła na niego z odrazą.

Teraz to nastąpi, pomyślała. Ale milczeli. Milczeli oboje.

– Dam panu za nią coś innego – postanowiła.

– Co?

– No... Duszę.

Wyglądał na zmieszanego.

– Oddałabyś duszę?

– Tak.

Już ją porwał wir, gna ją prosto na skraj przepaści.

– Czyja jesteś?

Co mu do tego?

– Bojarów – odpowiedziała.

Teraz, kiedy rzecz jest postanowiona, nie ma co tracić czasu.

– Tę duszę będzie pan chciał od razu?

Krew, którą będzie musiała potwierdzić zapis, krzepnie jej w żyłach.

– Nie, na co mi. Ale możesz się jeszcze rozmyślić.

Pokręciła głową.

Wyciągnął rękę, chciał ją pogłaskać. Uchyliła się. Patrzył na nią, jakby mu było przykro.

Jej nie oszuka.

Stała bez ruchu, póki nie zniknął między drzewami.

Potem pobiegła do Lipki. Ale na miejscu, gdzie siedział, zostało tylko płytkie zagłębienie.

Zawołała kozę głosem, któremu nie należy się sprzeciwiać, i ruszyła do domu. Nie ogląda się. Wie, że za jej plecami z lasu wypełzają czarne węże.

W kuchni pachną ziemniaki. Matka je odcedza, przedramieniem odrzuca z czoła pasmo włosów.

– Mamusiu, kupiłam łódkę.

Matka nawet nie westchnęła. Może nawet nie słucha. Dlaczego nie spyta, po co?!

– Mogę się jeszcze rozmyślić – Helenka spiera się sama ze sobą i czuje ucisk w gardle.

Wieczorem jest pora na kąpiel. Szaflik jest wypełniony wodą, która sięga jej do pasa. Myje się sama. Najpierw twarz, potem ręce, na końcu nogi. Szczotką ryżową szoruje twarde stopy. Potem wyciąga ręce nad głowę, matka ją podnosi i owija ręcznikiem.

Lubi się myć. Szoruje się najstaranniej, kiedy ma iść do miasteczka do pana doktora. Od czasów dyfterytu jeszcze na nic poważnego nie zapadła, ale musi regularnie chodzić na kontrole, bo jest bardzo mizerna. Pan doktor wkłada sobie do uszu rurki i słucha, co Helenka ma w środku. Sama też chciałaby posłuchać, ale jeszcze nie odważyła się wypowiedzieć tego życzenia.

Pewnego razu przestraszyła lekarza nie na żarty. Przynieśli ją do niego rozpaloną gorączką i sinozieloną, co chwila wymiotowała. Dopięła po ojcu pół szklanki żytniówki. Pan doktor zorientował się od razu, wystarczyło, że na niego chuchnęła.

Historia z gorzałką jest jednym z jej najsilniejszych przeżyć.

Ojciec pojawia się w domu od wielkiego dzwonu. Podnosi małą pod paszki i podrzuca ją do sufitu. Helenka ciągnie go za uszy.

– Na rzece jest łódka, tatusiu.

– Łódka? Chciałabyś łódkę, Helenko? Zrobię ci.

Helenka zna jego obietnice. Zachmurzyła się.

Ojciec sadza ją sobie na kolana i zaczyna opowiadać bajkę, którą dziecko zna lepiej od niego, więc mu podpowiada. Jakub Halak, trzcina na wietrze, próbuje wyłgać się wyrzutom sumienia. Który to już tydzień wraca bez wypłaty. A przecież za każdym razem na stole jest ciepły posiłek. Rzuca nieśmiało spojrzenia na żonę, czeka, aż sama na niego spojrzy, wmawia sobie, że tym razem uwierzy w jego milczącą skruchę. Dziś musi ją przygotować na to, że trzeba będzie spłacić dług, bo bez tego szynkarz więcej mu nie należy. Pójdzie na to ostatni spłachetek pola z żoninego wiana. Z góry wie, co żona na to powie. Nic.

Boi się tego.

Helenka zeskakuje z ojcowych kolan i pomaga matce wycierać naczynia.

- My na tej łódce odpłyniemy.
- Dokąd? – spytała matka tak spokojnie, że aż powiało chłodem.
- Do morza.

Halakova zanurzyła palce w czuprynie Helenki i delikatnie przejechała po niej palcami. Potem sprzątnęła ze stołu i siadła do szycia. Nie rozumie natarczywego wzroku swojej anemicznej córki. Do późna w noc będzie szła dla bogatych elegantek z Szadovej Huty.

Dzisiaj tak samo, jak zawsze. Jeszcze tylko łyżka tranu i dobranoc.

W pomieszczeniu jest szaro. Lampa kreśli na stole świetlisty krąg. Pod nią głowa ojca, ścięta przez sen.

Maszyna terkocze swoją zwykłą kołysankę.

Helenka jeszcze nie zamyka oczu. Patrzy, jak nóżki ciem rzucają cienie na sufit i na ściany. Rano czekała na Lipkę przed szkołą.

– Mamy łódkę.

Wcale nie zabrzmiało to wesoło.

– Jaką łódkę? – zapytał zdezorientowany i odwrócił od niej obitą twarz. Zirytowało ją to.

– Tę samą, którą widzieliśmy na rzece – krzyknęła.

– To jest łódka doktora Beniczka. Pływał na niej.

– Skąd wiesz, że jest jego?!

Opowiada mu o wczorajszym spotkaniu z Szeldą.

– Oczy miał jak dwa węgielki i czytał mi w myślach.

Zdumienie jeszcze bardziej zniekształciło twarz chłopca. Rozległ się szkolny dzwonek.

– Idź, bo się spóźnisz.

– Dzisiaj nie pójde do szkoły.

Nie pytała, dlaczego. Prowadzi chłopca nad rzekę.

– Myślisz, że płynie do morza?

Nie odpowiedział. Wyciął kilka witek i splata z nich bicz.

– Ty będziesz łowić pstrągi, a ja będę zbierać maliny. I jeszcze będziemy opiekać na ognisku grzyby. Weźmiemy ze sobą psa. Będzie się nazywać Lew.

Lipka splata witki i milczy.

– Chyba się nie boisz!? – na policzki wystąpiła jej purpura.

– W zimie rzeka zamarźnie. Nie...

Po co to powiedział.

Nazwała go zasmarkanym trzęsidupą, wyrwała mu bicz i dwa razy go nim smagneła. Na rękach ma gęsią skórę, coś mówi, ale głos jej się łamie, tak, że nic nie można zrozumieć, ale chłopiec wszystko rozumie, a przez zmaltretowaną twarz przebiega mu skurcz. Oddała za niego duszę!

Dziewczynka nie może znieść jego obecności. Odchodzi chwiejnym krokiem, jakby ścieżka obsuwała jej się spod nóg.

Kiedy już zniknęła mu z oczu, Lipka rzucił się na ziemię, rozkrzyżował ramiona, wbił palce w trawę, usta ma pełne piasku, ale nie może opanować konwulsji płaczu.

Dziecko Bojarów daremnie biega wzdłuż rzeki. Lipka widzi je ze swoich różnych kryjówek. I słyszy. Boli go każdy dźwięk.

Przez tych kilka dni wychudła i powiększyły się jej oczy. Matka pochyliła się nad nią, zmartwiona.

– Co ci jest?

– Lipka zniknął.

– Znajdzie się, zobaczysz.

Helenka wyciągnęła do niej chuderlawe łapki. Matka jeszcze nigdy nie skłamała.

Zebrała siły, żeby zawalczyć o swoją duszę. Wyczekiwała koło willi Szeldy. Koza tymczasem obgryzała żywoplot.

Helenka straciła cierpliwość. Weszła do zapuszczonego ogrodu, chodziła po nim i gładziła gipsowe krasnoludki.

Inżyniera nie widziała.

Coś mignęło w oknie, ale nie mogła zajrzeć do pokoju, było za wysoko.

W końcu nacisnęła dzwonek.

Usłyszała kroki, ktoś uchylił drzwi – nie był to pan inżynier.

– Jazda stąd, bo zawołam pana – przywitała ją służąca Berta.

– I dobrze! – odpowiedziała Helenka hardo. Zrobiła najgroźniejszą minę, na jaką mogła się zdobyć. Babsko zebrało się w sobie, ale nie zdążyło odpowiedzieć.

– Co ty chciałaś, dziewczynko?

Nagle pojawiła się boginka, wzięła Helenkę za lodowatą rączkę i przeprowadziła koło baby, która oburzona coś sobie mamrotała pod nosem. Przeszły obie korytarzem do ogromnego pokoju. Na stole leżało pudełko czekoladek. Boginka dostrzegła spojrzenie dziecka.

– Poczęstuj się.

Helenka włożyła do buzi czekoladkę.

– I powiedz, po co przyszedłeś.

– Ja muszę rozmawiać... z panem inżynierem.

Było widać, że zaskoczyło to boginkę. Wygląda na to, że z inżynierem mało kto chce rozmawiać.

– Wiesz co, zapytam go. On teraz pracuje.

Helenka nie rozumie, o co ma go pytać, ale nic nie mówi, bogince nie może się sprzeciwić.

– Na razie sobie usiądź i jedz czekoladki.

Zanim boginka wróciła, upłynęło trochę czasu. Helenka spałaszowała całe pudełko.

– Chodź, zaprowadzę cię do niego.

– Czekoladki zjadłam – oświadczyła dumnie.

– Bardzo ładnie – powiedziała boginka nieco zdumiona. Wzięła ją za rękę i zaczęły wchodzić po schodach. Na ścianach wisiało mnóstwo obrazów. Helenka starała się wszystko dobrze zapamiętać. Inżynier siedział przy biurku i coś kreślił.

– To ty? – w jego głosie przyjaźnie zabrzmiało zaskoczenie.

Zanim zdążyła mu – w duchu – odpowiedzieć jak należy na jego podstępny ton, dostrzegła coś, na widok czego niemal stanęło jej serce. Na stole leżała biała ludzka głowa.

– Czyja to głowa? – powiedziała łamiącym się głosem.

– To? – inżynier postukał w głowę palcem. – To jest Sokrates, taki jeden mądry pan.

Chyba nie za bardzo mądry, skoro dał sobie odciąć głowę. Helenka jest cała złana potem. Boginka poczuła, że dłoń Helenki jest wilgotna.

– Nie bój się, ta głowa nie jest żywa.

Jeszcze tego brakuje, żeby była żywa!

– Siadaj – zachęca boginka – i mów, po co przyszedłeś.

– Nie usiądę.

Ścisnęła bogince rękę. – I sama tu nie zostanę.

– No więc? – uśmiechnął się inżynier. Przy tym oczy zwiężyły mu się na sposób diabelski.

– Ja już nie chcę tej łódki.

– Nie chcesz... no to dobrze.

Była na to przygotowana.

– I musi mi pan oddać duszę! – patrzyła mu zawzięcie prosto w oczy, żeby było jasne, że z nią nie ma żartów.

– Duszę? O duszę możesz być spokojna. Nigdy nie była moja.

Nie uciekł wzrokiem w bok, mówi prawdę. To wszystko było tylko walką o nią. W tej walce właśnie zwyciężyła.

Pokonała go. Nie dostał ani kropli jej krwi.

Boginka jest zdziwiona, do niej zło nie ma dostępu, nie może zrozumieć, o co chodzi.

Teraz już tylko odejść, jak najszybciej. Ale zamiast pożegnania wyrwało się jej:

– Mogę sobie popatrzeć z balkonu?

– Oczywiście.

Znalazła się między niebem i ziemią. Balkon chwiał się jej pod nogami, ale podeszła do samej barierki. Pochyliła się nad otchłanią i przez moment zakreśliła jej się w głowie.

Wracając, starała się nie patrzeć w stronę obciętej głowy.

Na schodach spotkała ich niespodzianka – z dołu patrzyła na nich koza, która nie mogła się doczekać swojej pani i weszła do środka przez niedomknięte drzwi.

Inżynier się roześmiał.

Podał Helenie rękę jak dorosłej.

Dotknęła jej przejęta strachem i ukradkiem spojrzała na swoją dłoń, czy nie odcisnęło się na niej diabelskie znamię. Zauważył to i powiedział coś bardzo dziwnego:

– Masz serce bohatera.

Bohater, powtarza Helenka. Podoba jej się to wyzwisko. W duchu odpowiada: Sam jesteś bohater, ty smarku, i to jeszcze większy niż ja!

Wyprowadziła kozę do ogrodu.

– Nie chcesz posiedzieć na ławeczce? – proponuje jej boginka. Od początku polubiła Helenkę, to widać. Usiadły i rozmawiały o kozie, o sarnach i o mrówkach.

W tym czasie Helenka zjadła dwie kromki chleba z masłem i miodem i wypila szklankę wody z sokiem malinowym. Strasznie chciało się jej siku, ale nie odważyła się wspomnieć o tym przy bogince. Nie była pewna, czy boginki chodzą do ubikacji.

Koza obgryzła żywołot również od drugiej strony. Zanim się pożegnali, boginka przyniosła wielką lalkę.

– Tę lalkę bardzo lubiłam. Weź ją sobie.

Helenka wstydziła się przyjąć taki prezent, była to najpiękniejsza lalka na świecie.

– No weź.

– Ja też będę ją bardzo lubić.

– Na pewno – powiedziała boginka z przekonaniem. Miała wilgotne oczy.

Wieczorem Halakova odniosła prezent z powrotem. Po raz pierwszy zwątpiła w uczciwość swojego dziecka. Po powrocie pogłaskała sztywne kędziory córki.

– Możesz ją sobie zostawić. Naprawdę.

– Ale muszę jeszcze o coś spytać – przypomniała sobie mała. Ten problem nie dałby jej spać. Popędziła znowu do willi Szeldów, postawiła na nogi służącą i nie dała się zbyć.

Boginka pakowała walizki. Przestraszyła się na widok zdyszanego dziecka.

– Co się stało, Helenko?

– Ja nie wiem, jak ta lalka ma na imię!

– Możesz ją nazywać Rzekotka.

Helenka odetchnęła głęboko. Dopiero się Lipka zdziwi.

Ale Lipka gdzieś zniknął.

Przestał chodzić do szkoły, włóczy się po lesie jak cień, przybity losem, który w tej dolinie przypadł tylko jemu. Nigdy by nie pomyślał, że można tak cierpieć. Ziemia ziębi go w pozbawione czucia stopy, kamienie kłują prosto w serce.

Boi się wszystkiego i wszystkich, nieustannie się ukrywa. Myśl o tym, że miałby się spotkać z Helenką, pozbawia go ostatnich sił. Czuje się jak przydeptany żuk, który leży na grzbiecie, ale jeszcze przebiera łapkami w śmiesznej walce.

Po raz pierwszy pomyślał bez odrazy o wielebnym i o jego namowach. Był zdecydowany. Przysiadł na schodkach plebanii. Przygotował się, tak jak ludzie sposobią się na śmierć. W jego zmasakrowanej twarzy nareszcie był spokój.

Bez słowa zjadł wszystko, co mu przejęty ksiądz naszykował. Jajecznicę i kaszę manną z konfiturą. Przełykał wielkie kęsy i czekał.

Ksiądz nie rozpoczynał tematu. Opiekał grzanki, wymyślał przysmaki dla prostackiego żołądka Lipki. Minęła godzina i nie padło ani jedno słowo. Więc chłopiec oznajmił to sam, jakby odpowiadał na pytanie.

– Pójdę do sierocińca.

Jakub Hałak zginął włóczony po ziemi końmi. Spłoszyły się, kiedy zwoził kłody ze zbocza.

Nie płacz, jest w niebie, powiedzieli Helence.

W izbie zeszyły się żelarskie kobiety. Potem wynosiły ojcowe ubrania. Wyniosły wszystko. Nawet podartą kapotę z sieni. W kościele Helenka po długim czasie zobaczyła Lipkę. Służył do mszy. Podbiegłaby do niego, gdyby matka nie trzymała jej mocno za rękę. Myślała, że na nią spojrzy, ale nie spojrział.

Głośno płakała, wszyscy myśleli, że za tatą.

Po wizycie u proboszcza Lipka znowu zaczął chodzić do szkoły. Mała chodziła tam z kozą, każdego dnia podchodziła coraz bliżej, aż kiedyś weszła do środka i usiadła w ostatniej ławce.

Pan nauczyciel jej nie widział, zasłaniały ją plecy chłopców, a gdyby mogła usiedzieć cicho, nie wydałoby się wcale, że tam jest. Ale Josefka Latalova miała powiedzieć, jakie zna zwierzęta, i nie mogła sobie żadnego przypomnieć.

Helenkę ponosiło w ławce. Nie wytrzymała i krzyknęła:

– Pchła!

Klasa zatrzęsała się od śmiechu, ale pan nauczyciel miał surową minę. Wyciągnął ją z ławki za ucho.

– Skąd się tu wzięłaś?

– I osa, i kret, i szczeniak, i dżdżownica!

– Czyja jesteś?

– Bojarów.

– Kto cię tu przyprowadził?

– Nikt. Ja już będę chodzić do szkoły.

– Jeszcze jesteś za mała.

– Nie szkodzi. Ja urosnę.

– Ile masz lat?

– Sześć.

– Nie kłam.

– Nie kłamię – nachmurzyła się. – Pięć mam skończone.

Wyprowadził ją z klasy, ale następnego dnia znowu przyszła.

– Podoba ci się tutaj?

Przytaknęła tak gorliwie i szczerze, że pociągnął ją lekko za ucho i powiedział: – Siedź tu grzecznie.

Miał nadzieję, że szybko jej się znudzi, i nie mylił się. Wytrzymała tylko do lekcji prac ręcznych. W klasie pociemniało, za oknem rozchwiały się drzewa, nadciągała burza. Helenka wstała.

– Chcesz iść do domu?

– Tak.

– To uciekaj.

Wybiegła z klasy. Vratislav Lipka popatrzył za nią przez okno i zobaczył, że biegnie w stronę lasu. Podniósł rękę.

– Idź.

Mógł iść do ubikacji.

Helenka pędzi, chce przegonić wiatr, za nią biegnie wystraszony chłopiec. Złapał ją za rękaw i zatrzymał.

– Spłoszone konie! – wyrzuciła z siebie. – Te same, co zabiły tatę!

Gałęzie drzew zamiatają ziemię.

– Zamknij oczy! – rzucił. Usłuchała. Pozwala się prowadzić do opuszczonej chaty. Pałają ją zamknięte powieki, ale ich nie otwiera, idzie w ciemności, bo wokół strzelają bity i terkoczą koła...

Wszystko się chwieje, jedyną pewną rzeczą jest ręka Lipki. Doszli do opuszczonej rudery, chłopak zamknął drzwi i huk wiatru ścichł. Helenka otworzyła oczy.

– Już ich nie ma – uspokaja ją Lipka. Mógł się tego spodziewać.

– Tato powoził i nagle konie poniosły.

To będzie ją męczyć w czasie każdej burzy.

– Konie się często płoszą, przecież wiesz! – mówi karcąco, ale bez przekonania. Patrzy w oczy, z których wyziera przerażenie. – No przecież wiesz! – powtarza, teraz już pewnie. – Wystarczy, że nagle trzaśnie gałązka pod kopytem, wystarczy, że przeleci ptak...

– Albo wiewiórka – przytaknęła i zaczęła płakać. Po dłuższej chwili wytarła oczy w fartuszek i wysmarkała nos. Utkwiła w Lipce ciężkie spojrzenie.

– Czy to przez to, że sprzedałam duszę?

– Nic nie sprzedałaś! – krzyknął na nią. – Przecież dobrze wiesz!

– Wiem – szepnęła, chwytając się nadziei.

Spróbował rozpałić ogień w rozwalonym piecu i, o dziwo, udało mu się. Dokładał, co mu wpadło w rękę, na początek poszła nietrzymająca się kupy ława. (Zapałki miał zawsze przy sobie.)

Dziecko garnie się do ciepła. Jej uwagę przyciągnął pajak, któremu zakłócili spokój i który z niesamowitą prędkością wspina się po ścianie.

Lipka wyjmuje z kieszeni świeczkę, zapala ją i stawia na jednej ze sterczących nóg przewróconego stołu.

– Skąd masz tę świeczkę?

– Po babci.

– Po jakiej babci?

Burza została zapomniana, małą zaciekała nowa, bardzo ważna rzecz.

– Miałem kiedyś babcię.

– A gdzie jest teraz?

– Umarła.

Musi opowiedzieć o babci i sklepiku, w którym razem sprzedawali. Helence trzeba dokładnie opisać wszystko. Jak ważyli na wielkiej i na małej wadze, że babcia słyszała tylko na jedno ucho i musiał jej mówić, że ktoś dzwoni, jak czasami stroił sobie z niej żarty i biegała do sklepu, a tam nikogo nie było, jak zawsze dawała się nabrać, jak mu cerowała skarpetki, a on specjalnie robił w nich dziury.

– Spuściła ci czasem manto?

– Nie.

– Dlaczego?

– Była bardzo dobra.

Lipka był Helence najbliższy na świecie, ale teraz ma ochotę czymś mu przyłożyć.

– I jeszcze dała ci świeczkę?! – złości się.

– Nie, sam ją sobie wzięłem ze sklepiku. Ale dała mi pudełko z muszelek.

– Pokaż!

– Nie mam go przy sobie. Kiedyś ci je przyniosę.

– A co w nim masz?

– Czerwone koraliki i dwa grzebyki.

– Ja bym ci nic nie dała!

Chłopiec patrzy na nią pokornie, ale bez żalu. Babcia – to dawno przebolewały rozdział.

Ale dla Helenki babcia jest jak najbardziej żywą terażniejszością. Wyobraza ją sobie przygarbioną, na wpół ślepą i tęskni do niej. Z całego serca chciałaby mieć ją w domu choćby przez jeden dzień.

Lipka musi opowiadać dalej. Jak hodowali kurki liliputki, jak jej siadały na podółku i na ramionach, jak jedna dziobnęła ją w oko, bo myślała, że jest do zjedzenia. Jak ją rozboleły nogi i powiedziała: Napal w piecu, Vrateńko, mnie się trzęsą ręce.

– Napaliłeś?

– Tak. Nie mieliśmy drzazg na rozpałkę, więc ukradłem trochę od Burdów, pan Burda to zobaczył i przyszedł na skargę, ale w końcu się nie poskarżył, a pani Burdova przyniosła babci zupy. Babcia nie miała na nią smaku, więc sam ją zjadłem.

– A jak już napaliłeś w piecu, to babci zrobiło się cieplej?

– Nic nie mówiła. Już była chora. Przyszła Lucka, potem pan doktor i przepisał jej lekarstwo. Co dwie godziny musiałem jej to dawać po łyżeczce, aż buteleczka się skończyła.

– Kiedy się skończyła?

– Po dwóch dniach.

– A duża była?

– Nie za bardzo. Potem przyniósł inną, jeszcze mniejszą.

– Kto przyniósł?

– Michał. Przychodził do nas codziennie. Pan doktor dał mu taki papierek. Michał udawał, że się babcią opiekuje.

Helenka rozumie tę nienawiść, która zżera jego słowa.

– Dawalesz babci lekarstwo i w nocy?

– Cały czas. Przy budziku trzymałem świeczkę.

– A spróbowałeś?

– Tak.

Obrzydliwe.

– Jak babcia mogła spać przy świetle?

– Ona nie spała. Cały czas miała otwarte oczy. Nawet nie wiedziała, czy jest dzień czy noc. Chciała wstać z łóżka i gotować. Więc przyniosłem ze sklepu sznurek i przywiązałem ją do łóżka.

– Gniewała się?

– Nie, było jej wszystko jedno.

– A potem umarła?

– Potem chciało jej się pić. Poszedłem po świeżą wodę do pompy. Wypiła strasznie dużo i chciała jeszcze, więc w końcu zabrałem jej to picie. Potem zasnęła, a kiedy chciałem jej dać lekarstwo, już nie żyła.

– Po czym to poznałeś?

– Była zimna i miała szpiczastą brodę.

– I co zrobiłeś?

– Zgasiłem świeczkę i poszedłem spać.

– A co zrobiłeś z lekarstwem?

– Lekarstwo zostało, ale Michał je wypił. Sprowadził się do nas. Obiecał babci, że się mną zajmie. Ale zajmował się głównie sobą. Wszystko przepił.

– Nie przepił pudełka z muszelek.

– Pudełka z muszelek nie. Nigdy mu go nie pokazałem... Babcia mówiła, że zostało po mojej matce.

Ostatnie zdanie wypowiedział z trudem.

– Ja też coś dostałam.

Bezsukutecznie czekała, żeby zapytał, co takiego.

– Wielką lalkę. Rzekotkę.

Zaczęła opowiadać o wizycie w willi Szeldów.

– Na stole miał ludzką głowę – wstrząsnął nią dreszcz.

– Nie miał tam żadnej ludzkiej głowy!

Już wiedział, jak ma z nią rozmawiać. – To było tylko coś podobnego do głowy.

Taką głowę ma też pan nauczyciel w gabinecie.

– Coś podobnego?

– Tak jakbym ulepił coś z gliny, na przykład psa.

– Umiałbyś ulepić psa?

– Umiałbym.

– Myślisz, że pan nauczyciel pokaże mi tę głowę?

– Na pewno. To dla niego nic nadzwyczajnego.

– ...A korale możemy dać na Boże Narodzenie boginie.

Ton głosu wskazuje, że to już zostało postanowione. Lipka milczy.

Mała oparła głowę o ciepłe kafle i natychmiast usnęła, tak samo jak przedtem na porębie.

– Złapię ci wiewiórkę – myśli Lipka na głos.

Ku jego zdziwieniu odpowiedziała: – Yhm... Ale czarną.

Gdyby to od niego zależało, jego skarb dostałaby inna kobieta. Ale nie wolno mu tego zrobić. Nie przeżyłby tego, gdyby przez cudze usta przechodziło to, co na zawsze musi pozostać tajemnicą.

Obserwuje śpiące dziecko, żywy kłębuszek, który ledwie zipie i który – Bóg wie dlaczego – Lipka kocha czystą miłością.

Chociaż w jego duszy jarzyły się też inne iskry.

Któregoś popołudnia nauczyciel posłał go do gabinetu po mapę Azji. Na stole leżała otwarta książka.

Nie był ciekawski, a jeszcze do tego wiersze – to już w ogóle go nie interesowało, ale pierwsze słowo odczuł jak uderzenie. Nie pasowało do niczego. Do map, do wypchanych ptaków, do gablot z motylami. Przede wszystkim zaś nie pasowało do nauczyciela.

Było przeznaczone dla jakiegoś innego człowieka.

Lipka był tak oszołomiony, że aż się cofnął.

*Pocałowałaś mnie w czoło czy w usta,
nie wiem...*

Już samo czytanie wydawało mu się grzechem, świętokradztwem – rozpustą. Przeczytał te wiersze jak pies surowe mięso.

I już w nim zostały – jak wyciosane w kamieniu.

Czekały na swoją chwilę.

*Pocałowałaś mnie w czoło czy w usta,
nie wiem,
– usłyszałam tylko słodki dźwięk
i mroku chusta
spadła na rzęs mych zdumienie i lęk.¹*

Już dawno nie był dzieckiem. Wiedział, co się dzieje w szopie u Latala, znał zaloty kocie i ludzkie, rozumiał odgłosy dochodzące z ciemnych zarośli.

¹ Jaroslav Seifert, *Rozmowa (ze zbioru Jabłko z podolka)*, tłum. Leszek Engelking.

Ale te wiersze były o czymś innym. O czymś zupełnie innym. A on, zwyczajny chłopak z Żelara, jakimś cudem to przeżywał. Czuł, że prędzej by się wyrzekł życia, niż tego niespodziewanego zachwytu, tego napięcia, które rozsadało mu piersi.

Wspiął się na buk koło chałupy Gorczików i zaczął śpiewać jak ptak.

Jak ptak, który, ogarnięty szczęściem, chce zwiastować całemu światu swoją najskrytszą tajemnicę. Z jego ust płynęły tryle i zaśpiewy, melodie grzeszne i święte, krzyczał z radości i zanosił się płaczem.

Wtulał się w burzę złotorudych włosów pięknej żony Marka.

6

Kiedy o wpół do ósmej rano nauczyciel otwierał szkołę, na schodku siedziała Helenka Bojarova.

– Dzień dobry – przywitała się i zanim zdołał jej przeszkodzić, wślizgnęła się do środka. Miała czysty fartuszek, włosy splecione w dwa grube warkocze, wyglądała odświętnie i dumnie. Zupełnie naturalnie – aż osłupiał – usiadła w pierwszej ławce, tuż pod katedrą.

Ze słomianego koszyczka wyjęła tabliczkę i dwa ogryzki kredy, drugie śniadanie zawinięte w białą ściereczkę i chusteczkę do nosa.

Zastanawiał się, jak się z nią rozprawić. Czuł, że ten dzieciak nie da się tak po prostu wyrzucić. Dwa tygodnie temu skończyła pięć lat, idzie jej na szósty rok, to według niej daje jej prawo dopominać się o miejsce w klasie.

Zanim zdążył coś wymyślić, zobaczył, że zgłasza się do odpowiedzi. W pustej klasie wyglądało to komicznie.

– Czego chcesz?

Podeszła do planszy przedstawiającej różne rasy psów i wskazała największego.

– Co to jest?

– Pies.

– Ma beczałkę – zauważyła.

Zaczął opowiadać o alpejskich bernardynach. W ciągu kwadransa wyciągnęła z niego wszystko, co wiedział o wysokich górach i turystyce zimowej. Potem poszedł z nią do gabinetu i pokazał jej popiersie Komenskigo. Dotknęła go, ale widać było, że robi to z obrzydzeniem. Kiedy zaczynał lekcję, był wykończony.

W klasie kilka razy zatrzymał się nad drobną buzią, na której z przejścia wykwitły rumieńce. Nikt inny nie słuchał go tak uważnie. Niechętnie przyznał się sam przed sobą, że przyprawia go to o treść.

Dzieciak ze wzrokiem zawieszonym na jego ustach mamrotał odpowiedzi na pytania i niestrudzenie (lecz daremnie) podnosił rękę.

Helenka zgłaszała się także w czasie przerwy.

– Czego chcesz?

Zapytała, czy mogłaby napisać coś na tablicy. Skinął głową bez entuzjazmu.

Ku powszechnemu zdumieniu wykaligrowała: SŁOŃ. Potem wyrecytowała czterowersze, które właśnie przerabiał z trzecią klasą, i bezbłędnie wymieniła wszystkie kontynenty. Chciała jeszcze zaśpiewać piosenkę *Przyjdzie wiosna, przyjdzie*, ale już jej na to nie pozwolił.

Wyrysował na tablicy kółeczko i laseczkę – w ten sposób miał ją z głowy na dwadzieścia minut. Do wieczora nauczył się trzech literek.

Każdego dnia wychodziło na jaw, jaki duch zamieszkuje to mizerne ciało. Liczyła w pamięci, kiedy inni ciągle jeszcze pomagali sobie palcami, znała na pamięć wszystko, co przeczytali. Jakby uczyła się jednocześnie we wszystkich klasach.

Dostawała specjalne zadania i zawsze wykonywała je niezwykle sumiennie. Jej zeszyty nauczyciel z dumą pokazywał wizytatorom.

Ona sama nie widziała w tym niczego szczególnego. Była przekonana, że inni mogliby osiągnąć to samo, gdyby tylko trochę przyłożyli się do pracy.

Nauczyciel, po raz pierwszy od wielu lat, zaczął znowu przygotowywać się do lekcji, co więcej – często odwiedzał bibliotekę w Szadovej Hucie. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko wezwać Halakovą i zapisać żadne wiedzy dziecko do szkoły. Do tego kroku namówił go ksiądz (nauczyciel nie posiadał się ze zdumienia, jaką aktywność potrafił wykrzesać z siebie ten z natury bierny człowiek).

Na Boże Narodzenie Helenka umiała już płynnie czytać i zaczęła wypożyczać książki ze szkolnej biblioteki. Nigdy ich nie usmarowała, tak jak inni. Jedyna z całej klasy myła ręce przy szkolnym kranie.

Najbardziej lubiła opowieści biblijne.

Przez uchylone okno do klasy wpadały słabe zapachy, myśli dzieci porozbiegały się na wszystkie strony, tylko ona trwała w poważnym skupieniu. Ksiądz zawsze miał w niej oddanego słuchacza.

Cud i objawienie rozsiewały wokół woń jak młoda trawa, wyrosła na skoszonej łące.

Dziecko Bojarów pozyskało sobie księdza od pierwszego dnia. Zgłosiła się do *Pater Noster* i, nie czekając na pozwolenie, zaczęła śpiewać. Kalczyła łacińskie słówka, ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, jak potraktowała melodię.

Żelarski proboszcz, który miał słuch absolutny, w życiu nie słyszał *Ojciec Nasz* w podobnym wykonaniu. Tylko dzięki sztuce opanowania, doprowadzonej do doskonałości wieloletnią praktyką, udało mu się zamaskować atak śmiechu dziwnym chrząknięciem. Nieco drżącą ręką pogłaskał Helenkę po kędziorach i wydukał pochwałę.

Podniosła na niego głębokie, ciemne oczy.

– Umieć całą mszę – oznajmiła.

Aż się spocił, starając się odłożyć to straszne przeżycie na później, co dla niecierplivej Helenki oznaczało wizytę na plebanii jeszcze tego samego dnia po lekcjach.

Przyszła w nowym fartuszk, starannie uczesana i ubrana, z tabliczką i kredą w koszyczku. Prosto z mostu poprosiła go, żeby ją uczył łaciny.

Wy tłumaczył jej – ku jej wielkiemu rozczarowaniu – że łacina nie służy do śpiewania, że to przywilej kościoła i księdza.

Tym stwierdzeniem obciął smokowi wszystkie dziewięć głów.

Nawet się nie obejrzał, a już swoją przebojową, upartą uczennicę nie tylko lubił, ale i darzył szacunkiem.

Nie tylko z powodu jej przenikliwej inteligencji. Chylił głowę przed jej fantazją, którą potrafiła omamić nawet kolegów z klasy.

Na przykład uwierzyli jej, że gwiazdy to są dziurki w niebie, przez które Bóg daje znać światu, jakim blaskiem jest otoczony. Gdyby czerń nocy przypadkiem się rozdarła (do czego, według przewidywań Helenki, wkrótce dojdzie z powodu nawału ludzkich grzechów), wszyscy ludzie by oślepli.

Zauważył, że wizje małej Bojarki działają na łobuziaków skuteczniej niż opisy piekielnych okropności, jakie głosili misjonarze w czasie żelarskich odpustów.

Objasnił jej, co to jest układ słoneczny. Przyjęła to z chłodnym zrozumieniem, lecz nie wydawało się, żeby zrezygnowała z własnych wyobrażeń na ten temat. Przecież nie miały one nic wspólnego z rzeczywistością, były rodem z innego świata. Oba światy były prawdziwe, nie było między nimi żadnych sprzeczności.

Pewnego dnia Helenka nie przyszła do szkoły – poszła popatrzeć, jak w Szadovej Hucie płonie zwałowisko węgla. Proboszcz posłał do Halaków Bedrziškę Vaniczkovą, żeby sprawdziła, czy mała nie jest chora. Kiedy okazało się, że Helenka rano wyszła do szkoły, przerażony ksiądz przerwał lekcje i poszedł jej szukać.

Znalazł ją tuż za wsią, umorusaną i zadowoloną. Obok niej szedł Vratislav Lipka, a wyraz jego twarzy mówił, że spodziewa się lania.

Mała w podskokach przybiegła do księdza i zaczęła drobiazgowo opisywać wielki ogień. Spróbował zetrzeć jej sadzę z buzi i tylko sam się przy tym ubrudził. Zaprowadził ją do domu, zdecydowany stanąć w jej obronie przed zagniewaną matką. Bojarka jednak nie zamierzała córki ukarać. Ledwie dopowiedział pierwsze zdanie, tak pokrętne, że sam nie wiedział, jaki jest jego sens, wskazała mu glinianą misę.

– Tam jest ciepła woda, księżę proboszczu.

W lusterku wiszącym na ścianie zobaczył, że wygląda, jakby się kiepsko ucharakteryzował na Murzyna. Umył się, a Halakova podała mu czysty ręcznik.

Helenka i Lipka myli się w szafliku. Szorowali jedno drugiemu stopy, rozchlapywali wodę naokoło, Helenka coś sobie pokrzykiwała.

Matka szykowała skibki chleba i garnuszki z mlekiem.

– Zje ksiądz z nami?

Nie odmówił.

Po jedzeniu jeszcze raz wysłuchał relacji o wielkim ogniu i zauważył, że mała opisuje go inaczej niż poprzednio. Czasami powoływała się na świadectwo Vratislava Lipki. To były miejsca, które się zgadzały. Ziarenka prawdy, osamotnione i miotające się we wspaniałym kłamstwie, za które ręczy tylko wyobraźnia małej dziewczynki, która – jedna jedyna – wierzy w nie do ostatniej litery.

Halakova wylała wodę, sprzątnęła szaflik i wytarła podłogę.

Ksiądz poczuł dla niej podziw. Zauważył, że w domu jest niezwykle czysto. Zwłaszcza jedna rzecz utkwiała mu w głowie: Helenka, zanim usiadła do stołu, założyła fartuszek i starannie uczesała włosy.

Następnego dnia proboszcz odszukał kierownika i wstawił się za winowajcami. Zwrócił tym jego uwagę na całe zajście. Helence tym razem się upiekło (ustalono, że to chłopak namówił ją do złego, chociaż było akurat na odwrót), Lipka zarobił trzy różgi.

Wkrótce dziwna przyjaźń Lipki z Helenką przestała być pośmiewiskiem. Wiele dzieci zaczęło się nawet ubiegać o względy dziewczynki. Venca Potuczek przyniósł jej kawałek czekolady. Nie przyjęła smakołyku, twierdząc, że jest wymemfany. Stało się to powodem awantury, do której stopniowo włączyła się cała klasa.

Pan nauczyciel zagiął parol tylko na Vencę i Lipkę. Venca wrzeszczał i dostało mu się o wiele mniej. Kiedy kara była wymierzana Lipce, Helenka nie mogła znieść takiej niesprawiedliwości.

– Już dosyć! – krzyknęła.

Pan nauczyciel tylko na nią spojrzął i – wbrew oczekiwaniom całej klasy – puścił Lipkę.

Cherlawe dziecko Bojarów zostało ważną postacią.

Helenka miała tylko jedno słabe miejsce: śpiew.

W dziecięcym chórze jej przenikliwy głos nie dał się poskromić. Okropnie fałszuje i myli pozostałych. Im bardziej stara się śpiewać ładnie i czysto, tym gorzej jej to wychodzi.

– Nie musisz śpiewać, Halakova – przekonuje ją pan nauczyciel. Ale dzieciak wyciąga chudą szyjkę, na czole ma krople potu.

W ogóle jej nie przeszkadza, że jest do przodu o całą sylabę albo że nabiera tchu w środku słowa.

Rozumie, że coś jest nie tak, ale nie umie sobie z tym poradzić. Każe Lipce śpiewać, dotyka jego gardła, stara się dotknąć tego jasnego tonu, którego sama nie umie wydobyć.

Chłopak chciałby podarować jej swój głos, on sam ma go gdzieś. Dzięki niemu trafiła mu się jedna najwyższa nota na świadectwie. Zwłaszcza ksiądz jest nim zachwycony.

Ten chłopiec ma słuch absolutny, powinien się uczyć w szkole muzycznej.

Lipka bimba na słuch absolutny. Ma w nosie wszystkie szkoły.

Kiedy Helenka odrabia lekcje, on ma zawsze inne zajęcie. Rzeźbi w drewnie i w korze sosnowej. Meble, narzędzia, zwierzęta, ludzi. Bojarova ma tego całą półkę.

Przygarnęła go na zimę. Zrobiła mu wąskie postanie na ławie przy piecu, z worka wypchanego sianem, poduszki i starego baraniego kozucha. Największy komfort, jakiego zaznał w życiu.

– I tak jesteś nasz – mówiła – wykarmiłam was oboje.

Lipka bał się podnieść wzrok. Wyobrażał sobie, jak ta kobieta podnosiła go nagiego i przystawiała do swojej chudej piersi. Helenka całą sprawę skomentowała:

– Ajda od Burdów wykarmiła kiedyś kociaka-sierotkę.

Tak się wstydził, że aż huczało mu w głowie. A Helenka nie posiadała się ze szczęścia. To, że z całego rodzeństwa ostała się tylko ona, uważała za niesprawiedliwość losu. Wybiegła z kuchni, w komórce dopadła kozę, objęła ją za szyję i, skrapiając ją łzami, krzyczała przejęta: – Mam brata, Mindo, mam brata!

Kozie było wszystko jedno.

Tymczasem Bojarka kazała Lipce nanosić drewna, więc miał czas się uspokoić.

Co prawda po dwóch dniach przyszedł po niego Michał, ale Halakova oświadczyła stanowczo, że chłopiec zostaje. Michał wyniósł się zaraz po tych słowach. Lipka, który go znał na wylot, poznał, że stryj się jej boi. Zachodził w głowę, jak to możliwe. Czym takiego awanturnika mogła zastraszyć drobna kobiecina, która ledwie sięgała mu do ramienia? Michał skulił się i poszedł jak przegnany pies.

Lipka cały wieczór ukradkiem obserwował swoją mleczną matkę.

Posadziła go na stole i nacierała łojem stare odmrożenia na nogach. Helenka przeglądała *Świeliki* – książkę dla dzieci, którą dostała od księdza. Lipka stwierdził, że jedynym człowiekiem, który nigdy nie będzie odczuwał strachu przed Bojarową, jest jej malutka córka.

– Jeszcze trzy kreski.

Trzy kreski narysowane kredą na drzwiach. Codziennie jedną się ściera, a jak zostanie ta ostatnia, nadejdzie Wigilia. Lipka się nie cieszy. Nie wie, co go czeka, chciałby mieć to już za sobą.

Na półce leży pudełko z muszelek, zawinięte w jedwabny papier i przewiązane złotą nitką. Pod nitką jest zatknięta świerkowa gałązka, która szybko usycha i trzeba ją codziennie wymieniać.

Spadek, który przewędrował przez całe Żelary – od Vilema do Lenki, od Lenki do Vratislava, od Vratislava do Helenki, od Helenki do ostatniej przystani u Lizy Szeldovej.

Zobaczyli ją na tydzień przed Bożym Narodzeniem, kiedy zjeżdżali z górki na starej miednicy.

Lipka zbadał dokładnie okna w willi Szeldów, dla pewności wydułbał dziurkę we framudze i przygotował kawałek żelaza, który posłuży mu do wyważenia ramy. Paczuszkę położył na okrągłym stoliku.

Wystarczy mu na to pięć minut, razem z zatarciem śladów.

Wielki dzień zbliża się nieubłaganie.

Chłopak przeżyje go w taki sposób po raz pierwszy, a radość, której doświadczy, nie będzie jego własną radością – użyczy mu jej Helenka.

7

Zimą Lipka zapomniał o obietnicy, którą dał księdzu, nawet nie znalazł czasu, żeby powiedzieć o tym Helence.

Ale posiane ziarno wzeszło.

Z klasztornego przytułku Douby nadeszła odpowiedź, że sierota Vratislav Lipka został przyjęty.

Ksiądz miał trudne zadanie.

– Wychowuję go jak swojego, ksiądz wie, co przeżyłem i jak mnie Pan doświadczał, jakie mi zsyłał ciosy. – Michał przewraca oczyma i przeczesuje sobie ręką niemyte włosy, które rosną mu na głowie jak mech na przegniłym pieńku. Odgrzebuje imię swojej żony Pavliny, która zniszczyła mu życie. Wyciera oczy brudną chustką, po czym przychodzi kolej na gruźlicę kości, która zrobiła z niego kalekę. Wyćwiczonym gestem prezentuje swoje nieszczęścia, jak wachlarz z samych asów.

Ksiądz, zamiast go zgromić, namawia go i prosi.

Łajdak wie, że nie pozostaje mu nic innego, niż pogodzić się z tym, co nieuniknione, ale czyni to tak, jakby ponosił ofiarę.

Chłopak się nie opierał, pomny swojej decyzji. Lecz w drodze do Szadovej Huty powiedział z oczyma wbitymi w ziemię: – I tak stamtąd ucieknę.

W drodze powrotnej księdza dopadła zdyszana Helenka.

– Gdzie jest Lipka?

– W klasztorze, Helenko, tam mu będzie dobrze.

– Kiedy wróci?

– Kiedyś się do niego wybierzemy.

Helence zachwiała się ziemia pod nogami. Oddycha, jakby się wspinała pod górę. Z każdym wdechem połyka gniew, aż nasiąkła nim jak gąbka.

– Mnie też niech ksiądz tam zawiezie.

– Tak nie można, Helenko. Wiem, że będzie ci smutno, ale znajdziesz sobie jakąś koleżankę.

Koleżankę niech sobie ksiądz znajdzie sam. Wywała na niego język i rzuca się do ucieczki. Ksiądz woła coś za nią smutnym głosem.

Helenka wspina się na skały, klęka, tłucze pięściami o ziemię. Ziemia ani drgnie.

Odezwały się wrony. Dziecko patrzy, jak lecą, i wypowiada zaklęcie:

*Wrono, wrono,
leć do nieba,
niech się znajdzie ten,
kto przepadł*

I nic. Vratislav Lipka jest gdzie indziej, nie tam, gdzie lecą wrony. Zielone góry, za nimi fioletowe, dalej niebo. Nagle wszystko jest jakieś inne. Dziwnie inne. Jakby zabłądziła.

Ponad horyzontem widnieje wąska, ognista rana.

Mała biegnie do domu i nie ogląda się za siebie. Słyszy za sobą świst zatrutej strzały.

Wpada przez drzwi, zatrzymuje się w pustej kuchni. Zegar tyka. Podchodzi do łóżka, wtula głowę w pierzynę. Przepastny strach paraliżuje jej ciało, serce bije w gardle.

Gdyby chociaż to wszystko nie stało się naraz!

Żelarski ksiądz klęczy pod Ukrzyżowanym i czuje ucisk w piersiach.

Jakże jesteśmy nieświadomi, Panie. Pragniemy czynić dobro, a dopuszczamy się zbrodni.

Mężczyzna z mgły

1

Wieczne mgły fascynowały Zuzankę od dzieciństwa. Nadpełzały od strony dalekiego lasu, gęstniały w szarobiałą pajęczynę, którą wiatr rozwiewał na wszystkie strony, bawiły się w chowanego w sadzie pomiędzy drzewami, pogrążając je w bezlitosnym zmroku nadchodzącej nocy.

Któregoś dnia, już nie pamięta kiedy, dostrzegła w nich zarys mężczyzny. O swoim odkryciu nie powiedziała nikomu. Należało tylko do niej i z roku na rok coraz bardziej ją niepokoiło.

Wyteęzała wzrok, lecz zawsze widziała tylko niewyraźną sylwetkę.

Ale wiedziała, że kiedyś ten mężczyzna wyjdzie z mgły, odsłoni twarz i padnie jej do nóg.

Nie miała cienia wątpliwości, że tak samo jak wszyscy inni, których zna, mężczyzna z mgły także jej pragnie.

Od pozostałych różni się tym, że Zuzanka czeka właśnie na niego.

Przez to oczekiwanie, które musiało się wypełnić, zdarzyło się to wszystko, co się zdarzyło i co było nie do uwierzenia, a jednak nieuniknione.

Monotonia dni Zuzanki nagle stanęła w ogniu jak watra, z krwawym grzebieniem, z hukiem i trzaskiem płomieni, a spustoszenie, które po niej zostało, piękna gospodarska córka z majątku o zatrważającej nazwie Na Popiele uznała za należną daninę. Została wyróżniona – przez krótki czas była królową świata.

Wszystko stało się zupełnie inaczej niż w bajkach, odegrało się na uboczu innych wydarzeń, ale istota rzeczy pozostała ta sama. Mężczyzna z mgły się zmaterializował i – jak mu było przeznaczone – trafił prosto w jej objęcia.

Do tego sprowadza się cała historia i nie ma nic do rzeczy, że jest całkiem zwyczajna.

– Ja? – usłyszała odpowiedź Marka, zbyt cichą i płynącą z oddali. Zamarła, bezwiednie poruszyła ręką. Minęły może trzy sekundy.

– Zuzanko – usłyszała Marka już z bliska – co ci przyszło do głowy?

Nie wiedział, że mówi do dwóch osób. Jedna, drżąca ze wstydu, nie jest w stanie przemówić. Ta druga spekuluje z zimną krwią: olśnię go, omamię. Pięć sekund.

– Zuzanko, na miłość Boską... A Adam?

– Nie chcę Adama!

– Możesz przebierać w chłopcach jak żadna inna.

– Już wybrałam. Ciebie.

– Proszę cię, Zuzanko...

– O co!?! – krzyknęła ta druga. – Nasi i tak mnie zmuszą! – Plecie bzdury, ale mężczyzna jest zbyt przejęty, żeby to zauważyć.

– Zmuszą mnie – jęczy ta pierwsza półgłosem, a jej słowa wypełnia taki ból, że Marek dopiero teraz postrzega je jako krzyk. Bezwiednie ściska jej ramiona.

Osunąć się... i już jest w jego objęciach. Wtula twarz w tkaninę cuchnącą oborą, a ponieważ od dawna wie, jakie cuda czyni płacz, zaczyna szlochać.

Mężczyzna ją uspokaja niezrozumiałymi magicznymi słówkami. Tym samym głosem przemawiał dziś w nocy do jabłkowitej kobyły.

– Zuzanko.

Spojrzały na niego zacerwienione oczy. Boże, na pewno wyglądam okropnie!

– Do Adama czuję wstręt! Nie mogłabym z nim żyć!

– Jestem katolikiem. Wy jesteście ewangelicy.

– To nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia.

– I jestem żebrakiem.

– A czym jestem ja? W gospodarstwie nic do mnie nie należy.

I nie będzie należeć, pomyślała ze złośliwą satysfakcją. Pokręcił głową. Jedyne gest, na jaki mógł się zdobyć. Oboje wiedzą, że po ślubie z Adamem, po ślubie z każdym oprócz Marka Gorczika, należałoby do niej wszystko.

Patrzą na siebie, mierzą się nawzajem wzrokiem jak w zapasach.

Wiatr rozwiął czarne włosy Marka.

Marek Gorczik, zwany Kurucem.

Wiem, że mnie kochasz, głupcze.

Ta pierwsza, ta księżniczka z bajki, ta jedyna, którą Marek widzi, w strzępach zdań sączy w niego czarodziejski napój.

– Marku, tobie byłoby ciężko, nie mnie.

Teraz musi powiedzieć to, co jest nie do wypowiedzenia.

– Jeśli naprawdę tego chcesz...

– Chcę.

W ciszy, która zapadła, Zuzanka dostrzegła, że po obu stronach ścieżki, na którą właśnie wstąpiła, są dwie przepaście.

– Ale ojciec, Marku... – kuła żelazo, póki gorące.

– Nie bój się – powiedział, bo nawet się nie domyślał, że właśnie przestała się bać.

Poproszę babcię, babcia przyjmie na siebie pierwszą, najgroźniejszą falę jego gniewu. Skłamię, że jestem w ciąży.

Daję głowę, że się przeżegna.

Wróciła do domu, który właśnie zmienił się dla niej nie do poznania. Wie dokładnie, co ją czeka.

Znalazła stare pudełko po cukrze, włożyła do niego swoje cenzurki, świadectwo chrztu i potwierdzenie zameldowania, wzięła do ręki złoty zegarek, prezent od ojca pod choinkę, ale w końcu odłożyła go na miejsce. Postanowiła odejść bez brzemienia.

Poczuła ogromne zmęczenie, które przyginało ją do ziemi, jakby wszystkie jej siły nagle się wyczerpały.

Usiadła na łóżku i splótła dłonie.

Wszystko zaczęło się tak bardzo zwyczajnie, w pierwszych chwilach nie miała żadnych przeczuc. Którejś dusznej nocy (przed burzą) nie mogła zasnąć i podeszła do okna. Zobaczyła, że w stajni jeszcze pali się światło. Wciągnęła spódnice i wybiegła zobaczyć, co się dzieje.

Drzwi od stajni były uchylone, z wnętrza dochodził głos Marka. Rozmawiał z koniem jak z człowiekiem.

Nagły wstyd nie pozwolił jej wejść do środka.

Serce zaczęło jej łomotać, bo ton, jakiego nie słyszała nigdy w życiu, niepokoił ją i zbijał z tropu.

– No tak, malutka, nie bój się... cicho... jestem przy tobie... stój...

Rozejrzała się wokół, podwórko wypełniała mgła, pojawiająca się przed świtem. Wdzierała się przez otwarte drzwi do stajni, jak gdyby chciała je zapełnić.

Wyszedł do pompy po wodę.

Ledwie go mogła dostrzec.

– Coś się stało, Marku?

– Nie. Łyska się zaraz ożrebi. Chce jej się pić.

– Nie spałeś całą noc?

Za winnicami rozdarto się niebo i wyciekło z niego trochę krwi.

– To nic takiego. Jest spokojniejsza, kiedy do niej mówię.

– Mam kogoś zawołać?

Zastanowił się.

– Ojca, jeżeli nie śpi.

Wracła do domu, nic tu po niej. Nie patrzyła pod nogi i potykała się co chwila.

Odprowadzał ją cień Marka.

A więc tak to ze mną jest, powiedziała sobie dwa dni później. Bez strachu, który byłby na miejscu. Ze spokojem, który nie miał podstaw.

Jestem taka sama jak Bieta. Ciągłe się za nim snuję, a gdyby mu przyszło do głowy rzucić mnie na siano, wcale bym się nie broniła. Tylko że Markowi nigdy to nie przyjdzie do głowy.

I co mi z tego, że absztyfikanci złażą się do mnie ze wszystkich stron, jak psy z wywieszonymi językami!

Jeszcze wczoraj szczyliłam się tym.

Ale czym jest moja pycha w porównaniu z twoją, ty parobku od koni!

Sypiasz w oborze na wiązce słomy! Wszystko, co masz, to dziurawa chałupa w żebraczej górskiej wiosce, w której pomarły twoje stuletnie ciotki!

W tajemnicy wybrała się obejrzeć tę chałupę.

Nad rzeką wpadła niespodzianie na Marka.

– Co tutaj robisz, tak daleko od domu? – zdziwił się.

– Zbieram grzyby – rzuciła ostro.

Nie był winny temu przypadkowi, a jednak miała mu to za złe. Zajrzał do koszyka, który miała przewieszony przez rękę. Nie było w nim ani jednego grzyba. Przez chwilę szli w milczeniu, potem zapytała go wprost.

– Masz chałupę. Teraz się będziesz żenił?

Pokręcił głową, ale nie spojrział na nią.

Myśli o tym samym, co ja?

Są sami, bez świadków, wyszła mu naprzeciw bardziej niż wypadało. Nawet nie spróbował jej dotknąć, nie padło żadne niebezpiecznie frywolne słówko, o które tak łatwo na tym odludziu, w lesie.

Może ma już głowę zajętą jakąś dziewczuchą, mój Boże, będę musiała ją zabić!

Jestem gotowa się poniżyć, ale tylko wtedy, jeśli będzie to miało jakiś sens.

Jestem Zuzanka z gospodarstwa Na Popiele, Zuzanka Popelova, najpiękniejsza dziewczyna na świecie.

Możliwe, że na to gwizdzesz.

Ale ty mnie jeszcze nie znasz. Szybko włamię się do tej skrzynki, w której trzymasz swoją tajemnicę.

Szli obok siebie i nudne uwagi o czystym niebie i huczącej rzece budowały między nimi mur. Zuzanka przeczesywała wzrokiem mech, od czasu do czasu wykręciła z niego maślaka albo prawdziwka. Marek robił to samo, więc gdy zeszli z gór, jej koszyk był prawie pełny.

Nie spojrzała na Marka wprost, mimo to jej wzrok ani na chwilę nie oderwał się od jego ciemnej urody.

W domu zauważyli zmianę. Wyglądała z dnia na dzień coraz piękniej.

Przypisywali temu inną przyczynę.

Szła z matką wyprawę.

Adam przychodził do nich co wieczór. Gawędził z gospodarzem, żartował z Biętą, popijał z Tondą.

Dawniej jego starania były jej miłe, tak samo jak jego prezenty, czasem dość drogie. Dawniej radośnie kręciła się po izbie, obsługiwała gością, przyjmowała niezgrabne hołdy.

Teraz budził w niej wstręt, ale rozsądek jej nakazywał, żeby się z tym przedwcześnie nie zdradzić.

Zabić to mało, powiedziała by ojciec, gdyby się domyślał, co się z nią dzieje.

Jeszcze niedawno sama nie wiedziała, że coś takiego jest możliwe.

Kiedy widzi, jak Adam siorbie zupę, jak poruszają mu się uszy, kiedy przeżuwa kołacz, musi się odwrócić.

Te jego cieniutkie wargi z rudawym wąsikiem! Gdzie miała oczy!

Do niedawna była ojcu bezgranicznie posłuszna, on miał prawo rządzić jej dniami, myślał za nią i odczuwał zamiast niej.

Był z niej dumny i kochał ją.

Wie, że lada moment będzie musiała zmierzyć się z jego straszliwym gniewem, ta myśl napawała ją strachem, ale pragnęła, żeby stało się to jak najszybciej, miała już zupełnie inne strapienia.

Oddzieliła się od rodziny, patrzyła na nią jak nigdy przedtem.

Gardziła ordynarną władczością ojca, która nie znosiła sprzeciwu, gardziła matką za jej cierpką uległość, Bietką za jej potajemne przygody miłosne, w myśl zasady, że co użyje przed ślubem... Tondą za jego niezdarność, nawet i babcią za jej fałszywą pobożność, którą pokazywała całemu światu i którą ostentacyjnie nosiła jak diadem.

Wszystkimi gardziła i wszystkich jej było żal – ona była wybrana i prawdziwie obdarowana. Od chłodnego ranka po późny wieczór harowała w gospodarstwie do ostatka sił, jak niewolnica, myślami gdzieś daleko, zatopiona sama w sobie.

Bo stał się cud, na który czekała, pojawił się nagle jak słońce nad horyzontem, był tu i płonął, bez niego nie było życia.

Adam położył na stole owłosione ręce, spróbował przejechać nimi Zuzance po ciele, ale nie udało mu się, wymiata językiem mięso spomiędzy zębów i cmyka...

Dziewczyna zmrużonymi oczyma widzi inne ręce i inne usta, widzi czarne włosy rozwiane na wietrze, falującą grzywę!

Gdyby nie to światło tamtej nocy, gdyby nie ten głos w stajni, nigdy nie przejrzałaby na oczy. Zadusiłaby się wiejskim dostatkiem, ze słodką pewnością, że to jest jedyna wartość w tym ciężkim życiu. Niczego by nie zrozumiała, gdyby nie ta niespodziewana i niepokonana – szalona miłość do Marka.

Czas ucieka. Teraz, po śmierci ciotek, Marek lada chwila może sobie przygruchać jakąś inną.

Bardziej już nie mogę mu się narzucać, od dawna myśli, że jestem dziwką. Bezsenne noce ciągną się bez końca, mam gorączkę, pocę się na całym ciele, wyglądam coraz gorzej i nic innego nie przychodzi mi do głowy, tylko te babskie sztuczki, żeby być jak najbliżej niego, sprzykrzę się mu i da mi to odczuć, a to będzie mój koniec.

Dajcie mi miesiąc, dajcie i tydzień, a dokonam cudu, już wpół do piątej, czas wstawać, mam cienie pod oczyma, Bietka jest świeża i dobrze wiem, gdzie była w nocy, co innego mnie czeka niż cierpienie i śmierć, wtedy może pożałuje, morderca mojej duszy, jedzie po siano, będę mu podawać, już to obmyślałam, dobrze, że jeszcze nikt się nie domyśla, tylko to dodaje mi sił, to będzie jak grom z jasnego nieba, będzie po wszystkim, ani się obejrzę.

Siano już załadowane. Usiadła na ziemi i patrzy, jak ziemia wokół oddycha.

– Jedziemy?

– Jeszcze chwilę.

– Co ci jest?

Zauważył.

– Nic.

– Jesteś chora.

Boi się?

– Nie.

Nie siada przy niej. Tylko jego cień przypelzł i otarł się o jej spódnicę. Podniosła głowę, w oczach ma łzy. Ciężkie, ołowiane łzy.

– Na miłość Boską, co ci się stało?

Mięknie.

– Nie pytaj, Marku.

Ten ton musi go omotać jak pajęczyna. Tego niedoświadczonego parobka od krów. Łzawe krople zwilżyły jej usta i zwisają na brodzie.

– Powiedz, co mam zrobić – dopytuje się, gamoń jeden. Teraz mogę go poprosić o wszystko, nie odważy się odmówić, ale to, czego naprawdę chcę, nie da się powiedzieć tak prosto z mostu. Przeciwno mnie zwróciły się lata dobrego wychowania, babcia, pan nauczyciel i katechizm.

Dla pewności zamknęła oczy, potem wstała i przycisnęła mokrą twarz do przepoconej koszuli.

– Zuzanko... przecież nie możemy... – wydusił.

Co nie możemy, ty koński parchu, możemy wszystko! Objęła go za szyję.

– Kochasz mnie? – rzuciła ostro.

– No przecież wiesz, że tak, ale...

Potem nie padło już żadne słowo.

W domu zaczęła przygotowywać matkę.

– Adam mi się nie podoba, mamó.

– Nie?

Jak dobrze znam ten ostry, nieczuły świst.

– Co ci się w nim nagle nie podoba?

– Działa mi na nerwy. Nie wyjdę za niego.

Mosty zostały spalone. I dobrze!

– Tak?! A za kogo zamierzasz wyjść?

Zuzanka czuje żar na policzkach. Dostała wypieków?

– Jeszcze nie chcę wychodzić za męż.

Wzruszyła ramionami.

– Co to ma znaczyć? Już najwyższy czas.

– Mam dwadzieścia lat!

– Ja w twoim wieku spodziewałam się drugiego dziecka.

Zuzanka zadrżała. Patrzy w bezlitosne oczy. Jakby napiła się z nich cykuty.

– Dosyć tego – ucięła matka. – Wyjdiesz za tego, kogo ci wybierzemy. I kiedy ci każemy.

Będzie trudniej, niż się spodziewała.

Babcię znalazła w jej izbie. Drzemała nad zaczęłą robótką.

– Babciu!

Niedosłyszysz. Wszystko trzeba jej powtarzać dwa razy.

– Babciu!

– Co?

– Muszę wyjść za męż.

– Co takiego?

– Muszę wyjść za męż.

To już usłyszała doskonale.

– Męko Chrystusowa! Adam już wie?

– To nie ma nic wspólnego z Adamem.

– Oszalałaś?

Ta lekkość, z którą Zuzanka po raz kolejny wzruszyła ramionami.

– Kto to jest, nieszczęśnico?

– Marek.

Druty wypadły babci z rąk. Brzęknęły o podłogę. Zuzankę zaskoczyło, że mogą wydać tak głośny dźwięk.

– Marek?... Jak ci nie wstyd?!

Nie mogę się wstydzić, babciu, nie ma na to czasu.

– Babciu, proszę, pomóżcie mi z ojcem.

Staruszka zacisnęła usta. Zwęziły się, niemal zniknęły.

– Proszę, rozmówcie się z nim.

– Zadajesz się z katolikiem?

– Babciu, proszę, wstawcie się za mną...

– A po co? – odcięła staruszka. – Popatrz no tylko przez okno.

Na środku podwórza dwaj mężczyźni stoją twarzą w twarz naprzeciwko siebie. Zuzanka zdążyła przekląć Marka dwa razy, zanim do nich dobiegła.

– Ten włóczęga prosi mnie o twoją rękę!

Spojrzenie żmii, które od dzieciństwa zmieniało ją w kamień.

– Tak... Muszę za niego wyjść.

– Co ty mówisz?

– Prawdę – wychrypiała.

Nawał wściekłości już tu jest, przybiera jakiś nienaturalny kolor.

– Jakubie! – odezwała się ostro babcia Zuzanki. Był to głos nie z tego świata.

Gospodarz poruszył zaciśniętymi pięściami. Jedna zawisła w powietrzu.

– Precz!

Dopiero teraz Zuzanka spojrzała na Marka, wyglądał jak obraz w płonącej ramie. Odważył się!

Odeszli bez pożegnania. Marek długim, pełnym bólu spojrzeniem omiótł tylko zamglone okna stajni.

Milczeli, nie było o czym mówić. Marek niósł tobołek z ubraniami, Zuzanka pudełko po cukrze, przewiązane cienkim sznurkiem.

Pierwsze, co Zuzanka ujrzała na nowym miejscu, to była wieżyczka żelarskiego kościółka.

– Pobierzemy się, najprędzej jak się da – odpowiedział Marek jej myślom. Zatrzymał się, wziął ją za rękę. – ...Już to mamy za sobą.

Nie mamy, chłopcze, ale nie chcę cię teraz zasmucać. Ojciec się zemści.

Zatrzymali się na plebanii. Zanim doszli do chałupy Marka, zapadł zmrok. Zapalili lampę naftową i wypłoszyli zastępy karaluchów. W dwóch rogach niskiej izby stały dwa przeżarte przez korniki łóżka z zapleśniałymi pierzynami.

Tej nocy żadnemu z nich nie było do snu. Siedzieli w małej kuchni przy piecu, palili próchnem, na zapuszczonych ścianach zbierała się wilgoć.

Zuzanka otworzyła okno.

Przez izbę przeleciał lodowaty wiatr.

Po chwili zamknęła okno. Popękana podłoga ugięła się jej pod stopami.

Usiadła przy Marku na ławie i oparła się o niego. Czuła, jak jest bezradny.

Dopiero teraz spadł na niego ciężar ich szalonego czynu.

Wspięła się na palce i zdjęła ze ściany zakurzony krzyż.

– Będę ci wierną żoną. Chcę być z tobą na dobre i na złe.

Widziała, jak do twarzy napływa mu krew. Odwiesiła krzyż, szybko podeszła do okna i znowu je otworzyła. Nie chciała go zmuszać do żadnej ceremonii. Lodowate bicze uderzyły ją po twarzy.

– Wieje, Marku.

– Tutaj zawsze wieje.

Zamknęła okno.

Odwróciła się do niego plecami i rozejrzała dokoła. Czuła się swobodniej niż Marek, mimo to bardzo niepewnie smakowała wolność. Wolność ptaka, który długo był więziony w klatce.

Swoją pierwszą noc przesiedzieli przy stole nad gorącą herbatą z róży w glinianych kubkach. Niedawne wydarzenia były tam razem z nimi, ale nie rozmawiali o nich. Mówili o tym, że Marek pójdzie do pracy w tartaku albo w kamieniołomie, o ogródku, który sobie urządzi na zachwaszczonym polu, rozmawiali z wiarą i przekonaniem, które czuła tylko Zuzanka.

Przyszłość rozpościerała się przed nią jak nakryty stół.

Marek miał wrażenie, że dla Zuzanki nędzna chałupa jest tylko nieprzyjemnym epizodem, który z czasem zniknie z powierzchni ziemi, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wiedział, że najwyższy czas odezwać się i usunąć to nieporozumienie, tak jak się wymiata z podwórza kawałki sznurka, żeby było czysto, ale nie znalazł słów, noc minęła, a sznurek pozostał tam, gdzie był.

Przez pierwsze dni Zuzanka nic, tylko sprzątała. Sprzedała kolczyki i z Szadovej Huty przyniosła parę niezbędnych rzeczy.

Pod wieczór wypatrywała Marka, a kiedy się pojawiał, biegła mu naprzeciw, przyciągała jego głowę do siebie, dotykała gładkiej, chłodnej skóry, grzeszną słodycz potęgował jeszcze głos matki, który syczał jej w plecy: dziwka! Stali jak dwa posągi, widoczne ze wszystkich stron świata.

Jestem dziwką, mruzczała z rozkoszą i wyobrażała sobie oczy matki, pełne jadu. Ona na jej miejscu zapadłaby się ze wstydu pod ziemię, między nią i ojcem nie było czułości, między nimi była góra lodowa, która nigdy nie roztaje, nie mogli wynieść na światło dzienne nagości swoich uczuć. Odkąd pamięta, nigdy nie widziała niczego, ani spojrzenia, ani słowa, które świadczyłoby o tym, że matka przeżyła coś takiego, jak ona z Markiem. W jej sypialni, za zaciągniętymi zasłonami, musiała być taka sama pustka.

Tylko z jedną rzeczą musiała się Zuzanka pogodzić. Marek nie umiał żartować i wszystko brał śmiertelnie poważnie. Przeszkadzało jej to na początku, bo sama miała duże poczucie humoru, ale męzowskie reakcje nauczyły ją ostrożności.

Kiedy wyprawiali się do Szadovej Huty po jakiś drobiazg, oglądała w sklepach towary tak, jakby mogła kupić całe miasteczko. Znow była bogatą córką z kwitnącego majątku, nie było po niej widać, że właśnie dodziera ostatnią porządną sukienkę.

Marek pił do ślubu, chciał, żeby ksiądz przyspieszył zapowiedzi, ale Zuzanka zaprotestowała. Ze spokojnym sumieniem przeszła na jego wiarę, nie zależało jej na tym, nie zależało jej nawet na sakramencie małżeństwa, ale miała się na baczności, bo Marek był innego zdania.

Nie mamy na ślub, cisnęło się jej na usta, ale stłumiła protest i pogodziła się z myślą, że na razie nie kupią wełnianych narzut i ceraty na stół kuchenny. Do gospodarowania Marek się nie mieszał. Omawiała z nim wszystkie innowacje, ale zazwyczaj wtedy, kiedy już zostały wprowadzone.

Nie spieszyła się.

Najpierw trzeba było naprawić dach. Przy okazji powiększyli okienko w szczycie, potem wystarczyło już tylko kilka desek, żeby powstała mała izdebka, w której na razie ziały dwie dziury – okno i drzwi, które kiedyś zostaną wstawione. Trzecią dziurę Marek przebił w kominie, na piec. W izdebce zmieszczą się akurat dwa łóżka i stolik na kwiatki.

Na razie okno zasłonili kocem, żeby nie wiało. Zuzanka nie martwiła się, skąd wziąć okno. Jedno przeniosą z dużej izby, drugie też stamtąd zniknie, za to w kuchni będą dwa, żeby było jasno, bo Zuzanka kocha słońce i wiatr, odkryła urok gór i chce je mieć jak najbliżej siebie.

Już-już miała kupować suknię do ślubu, ale zamiast tego pojawiły się na podwórku trzy kury. Marek zrobił dla nich drewniany kurnik, nie wiedział, że na wiosnę się go zburzy. Nie miał pojęcia o niczym, co zamyśliła Zuzanka – świadoma celu, praktyczna i działająca z rozmachem.

Nie wiedział na przykład, że spleśniałe pierze zostanie spalone i zamiast ciężkich piernatów obstaluje się lekkie kołdry.

Większości planów nie uzgadniała z Markiem. Nie było po co.

Są szczęśliwi i bez nowych łóżek w chałupie. Nie będą szczęśliwsi, kiedy w zasypanej studni znowu zaświeci lustro czystej wody.

Do ogromnych piwnic zносиła wszystko, co znalazła w lesie. Robiła przetwory z grzybów, ostrężyn i jagód. Napełniła kilka butelek sokiem z malin. Ich dom stał nad skalną jaskinią, a ten, kto go zbudował, umiał doskonale wykorzystać tę okoliczność. Piwnice były wielkie, latem chłodne, zimą ciepłe i suche.

A więc to jest szczęście, powtarzała sobie, siedząc w letnim słońcu na zboczach i patrząc na niebo, w które wrastały lasy.

3

Zamarła, kiedy wyrósł przed nią Joza.

– Słyszałem, że się tu sprowadziłaś, Zuzanko. Gdybyś czegoś potrzebowała...

Joza Janda. Niezdarny jak zawsze.

Nie odezwała się. Patrzyła na jego przetrącony nos. Gęste brązowe włosy sterczały mu na głowie na wszystkie strony, gdyby był szczuplejszy, przypominałby miotłę.

Był podobny do swojej matki.

Nie widzieli się ze sto lat.

Gdybyś czegoś potrzebowała.

Jej dawny niewolnik, chrumkający prosiak, którego dla zabawy smagała gałązką i zmuszała, żeby chodził na czworakach, proponuje jej pomoc. A ona stoi tu przed nim w pochłapanej sukience, z mokrą szmatką w ręku!

– Nie, niczego nie potrzebuję, Jozo.

Przez chwilę przestępował z nogi na nogę.

– No to idę. Z Bogiem.

– Z Bogiem.

To spotkanie nie da się tak łatwo przeskoczyć. Utkwiło jej w gardle, nie może go ani wypluć, ani przełknąć. Kiedy odchodził z ich gospodarstwa, miała siedem, może osiem lat. Długo odczuwała jego brak, bo nikt inny tak chętnie nie ulegał jej wybrykom. Jego dziecięca, rycerska wierność, którą miała za nic i uważała za rzecz, która jej się należy, nadawała smaczku ich zabawom i napelniała ją poczuciem własnej siły. Z przyjemnością wymyślała takie zadania, przy których musiał się ubrudzić albo pokaleczyć, i złośliwie cieszyła się z jego cierpienia.

Jeżeli kiedykolwiek gospodarskie dzieci raczyły go włączyć do swojej zabawy, zawsze był tym, kto je woził na grzbiecie, kogo poganiały, z kogo się wyśmiewały.

Okrucieństwo takich uciech smakowała całą duszą.

Nie była bez serca, potrafiła się rozplakać nad martwym pisklęciem. Ale Joza nie kwilił, nie ronił łez ani się nie skarżył.

I wyglądał okropnie. Sami się do tego przyczynili.

Przetnęli mu kamieniem nos. Kto to zrobił, nie wiadomo. Rzucali wszyscy.

Joza nie płakał. Jeszcze pocieszał matkę, Metodiejkę Jandową, na którą mówili Meta Mietła.

Meta bardzo kochała swojego niewydarzonego syna. Zuzanka zazdrościła mu tej miłości, a kiedy matka Jozy umarła, uznała to za sprawiedliwe.

Wtedy – cała we krwi syna – wyła jak zwierzę, tłukła głową o ścianę i krzyczała jak szalona: Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Gospodarz musiał wymierzyć sprawiedliwość. Dziewczynom darował, ale spuścił cięgi obu chłopakom. Jozie też, za to, że ich sprowokował.

Na tym sprawa została zakończona.

Nos zrósł się Jozie krzywo, a Zuzanka – jak wszyscy inni – była zdania, że w przypadku tak nędznego człowieka nie ma to żadnego znaczenia.

Dla Mety Jandovej dalej był piękny. Przyszła razem z nim z poprzedniej służby, gdzie trafiła jako sierota i skąd gospodyni wyrzuciła ją za to, że przyniosła niesławę – Joza był nazbyt podobny do jej własnych synów.

Nawet po historii ze złamanym nosem Joza pozostał Zuzance wierny. Znosił jej błyszczące kamyki, piórka, chował dla niej różne łakocie, które czasami dostawał za fatygę.

Pewnego razu, kiedy zrywał dla niej kwitnącą akację, złamała się pod nim gałąź i spadł prosto do stawu. Wygrzebał się na brzeg, poobijany i mokry jak żaba – o mało nie popękali ze śmiechu.

Wstał i uśmiechał się skruszony. Nikomu nie było go żal.

Dopiero kiedy umarła mu matka, można było pomyśleć, że wreszcie przeleje wszystkie nieprzelane łzy. Płakał po całych nocach, a rano tarł opuchnięte powieki.

Kiedy skończył szkołę, ojciec Zuzanki sprzedał go kowalowi na czeladnika.

Czasami go widywała, bo żelarski kowal miał zamówienia także w ich wsi. Robił różne narzędzia rolnicze. Za każdym razem Joza coś im przynosił. Zadowolony gospodarz czasem wcisnął mu piąta.

Przeważnie kupował za to zabawkę-niespodziankę i cieszył się, widząc, jak mała księżniczka niecierpliwie rozrywa papier. Wtedy gospodarz poklepywał Jozę po ramieniu i chwalił go, ale bez przesady. W rzeczywistości nienawidził Jozy. Zazdrościł mu tej siły, której jego synom nie dostawało.

Wtedy nienawidziła go też i Zuzanka. Śmiertelnie ją dotknął w czasie ostatniego odpustu, kiedy jeszcze żyła jego matka.

Za wszystkie swoje oszczędności kupił serce z piernika z zapieczonym lusterkiem i z napisem KOCHAM CIĘ. Zuzanka była przekonana, że serce dostanie się jej, ale Joza podarował je matce, uszczęśliwionej i zmieszanej Metodziejce.

Wściekłość zepsuła jej cały odpust.

Meta na stryszku powiesiła sobie prezent na belce, żeby mogła się widzieć w lusterku, kiedy kładła się spać. Zuzanka dostała kilka podobnych serc, ale żadne nie miało lusterka.

Wszystkie je rozdeptała na miazgę, żeby rozładować złość.

A teraz przychodzi do niej Joza – ten sam, co wtedy. Znalazł ją w tej nędznej chałupie i przyniósł ze sobą cierń niezapomnianej obrazu, zwielokrotnionej przez to, że oferuje pomoc córce swego dawnego pana. Uśmiechnięty, zadowolony, jego niebieskie spojrzenie, zasnute delikatną pajęczyną, jest nadal takie samo, jak wtedy.

Zboczem nadchodzi Marek, piękny mąż Zuzanki, i wita się z Jozą uściskiem dłoni.

Krzywonos został zaproszony do stołu jako przyjaciel i jako gość.

Czuła, jak ścina się w niej krew, ale nie odezwała się ani słowem.

Kiedy tak siedzieli obok siebie, Joza i Marek, tak różni i tak zgodni, całkiem straciła rozeznanie, na jakim świecie żyje. A mimo to nalewała im herbatę do glinianych kubków.

To był jej protest. Od zawsze przejawiał się w ten sposób. Już taka się urodziła.

Ślub odbył się szybko, ale nie bez problemów. Trochę się odwłókł z przyczyny dla Zuzanki dość bolesnej, choć udało jej się ukryć ją przed całą wsią, a nawet przed Markiem.

Upadła i potłukła się, kiedy wracała od źródła z ciężkim wiadrem po śliskich kamieniach – dwa tygodnie spędziła w szpitalu. Przynajmniej tak się mówiło.

W rzeczywistości było inaczej. Ojciec przysłał jej wiadomość, że ma natychmiast wracać do domu. Nie posłuchała, więc pojawił się sam – w czasie, kiedy Marek pracował w kamieniołomie. Miał ze sobą sękatą pałkę. Rozwalił nią drzwi, a potem skatował córkę.

Miała połamane żebra i gdyby przy źródelku nie znalazł jej chłopiec, nie wiadomo, jak by się to skończyło.

Kiedy wróciła ze szpitala, odwiedziła ją babcia. Spróbowała zmusić Zuzankę do powrotu, przywołując na pomoc czwarte przykazanie. Na myśl o tym ogarniał dziewczynę pusty śmiech, choć nie okazała tego babci.

– Co chcesz osiągnąć tym uporem?

– Mam to, co chciałam, babciu. Zapłaciłam za to.

– Daj Boże, żebyś nie żałowała. Do śmierci będziesz żyć jak żebraczka.

– I wy mi to mówicie? – Zuzanka przejęła jej własną broń. – Dla mamony mam wyrzec się samej siebie?

Staruszka nie odpowiedziała.

– Dlaczego nie chcecie mnie zrozumieć?

– Chcę... Ale nie mogę.

Patrzyły sobie w oczy, a wnuczka poczuła, że dotknęła tajemnicy kobiety, którą znała tak mało, chociaż widywały się codziennie.

Już za późno, żeby mogły wydeptać ścieżkę pomiędzy sobą.

Żelarski ksiądz nie dość, że udzielił im ślubu za darmo, to jeszcze zaproponował, wręcz wmusił Markowi pożyczkę, której zwrotu nigdy nie będzie się domagał. Jego dar młodzi małżonkowie odczuli tak, jakby sami okazali mu chrześcijańskie miłosierdzie.

Zuzanka dziwiła się, dlaczego czuje wzruszenie, a nie poniżenie.

Wiele razy zdarzyło się jej rozmyślać o proboszczu.

Otwarty dla całego świata – sam był tajemnicą. Nigdy nie odgadła, jak głęboko sięga jego człowieczeństwo. Nawet dużo później, kiedy miała go przed oczyma codziennie i kiedy wiele jego czynów ją drażniło.

Zanim nadeszła zima, w chałupie Marka dało się już mieszkać. Wiosną nagle zmarła babcia. Zuzance należał się spadek. Wybierała się do Szadovej Huty do adwokata.

– Mogłabyś zrzec się spadku.

Odrzuciła prośbę Marka. Nie odpowiedziała.

U adwokata spotkała się z ojcem. Wytrzeszczył na nią oczy, jakby Bóg wie jak bardzo się zmieniła. Odpowiedziała mu spojrzeniem mierzącym w pustkę, spojrzeniem, które nie chciało go widzieć. Był głęboko dotknięty tym niewidzialnym ciosem, bo ciągle swoje dziecko bezgranicznie kochał. Bicie, którym niemal zrobił z niej kalekę, uważał za sprawiedliwe. Powinna była uznać swoją winę, powinna była przeprosić. Najbardziej miał jej za złe to, że zmusiła go do surowości.

Zuzanka, zamiast się pokajać, usunęła go ze świata.

Z przerażeniem uświadamiał sobie, że stracił ją na zawsze. Serce waliło mu nierównym rytmem, musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby nie przyciskać do piersi zaciśniętej pięści.

W drodze powrotnej Zuzanka kupiła kupon popeliny, zamierzała uszyć Markowi odświętną koszulę. Czekał na nią w kawiarni na rynku. Nazywała się U Irczy Mareniny.

Szli przez las i długo milczeli.

– Nie miej mi tego za złe.

– Nie mam.

Ton odpowiedzi zabrzmiał inaczej, niż pragnęła. Nie chciała się rozplakać, ale tym razem łzy jej nie posłuchały. Przestraszył się, jak zawsze.

– Nie mam ci tego za złe, Zuzanko.

Tym razem zabrzmiało to tak, jak powinno.

Po raz drugi Zuzanka spotkała się ze swoją rodziną na żelarskim odpuszcie. Ojciec postarzał się i wychudł, pełne jadu oczy matki jeszcze bardziej się zapadły. Bietka przytęła w pasie, będzie wychodzić za męża. Tonda narobił im wstydu, zadał się ze służącą, ale wszystko udało się zatuszować za pomocą pieniędzy. Widziała też Adama i jego młodziutką żonę. Dopiero teraz naprawdę zrozumiała, czego uniknęła. Szła ze swoim pobożnym mężem do kościoła i żarliwą modlitwą dziękowała Bogu.

Ciekawska Bietka, która przyglądała się Markowi, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu (był ubrany po pańsku), potajemnie przysłała do nich w odwiedzinę. Obeszła całą chałupę od piwnic aż po strych, oprowadzana przez czarnowłosego, przystojnego młodzieńca, którego dotąd nie zauważała, a do warg przymarzył jej cierpki uśmiech, coś pośredniego między politowaniem i zawiścią.

Zuzanka w tym czasie szykowała poczęstunek. Bogaty i wymyślny, jak za dawnych lat.

Siedzieli w dużej izbie przy oknie, przez które napierała na nich cała okolica. Lasy i skały były częścią domku po ciotkach Marka, i słońce, i jasne niebo, wszystko otwierało się przed nimi na oścież.

Bietka miała poczucie, że chwyta mróz.

Wyciągnęła siostrę przed dom, usiadła na ławce z plecionym oparciem i całym zziębniętym ciałem chłoneła ciepło.

Początkowo chciała się pochwalić swoją bogatą wyprawą, ale teraz te stopy rzeczy, które zagracały jej izbę, wydały się jej słono przepełconą tandetą. W drodze do domu będzie ją prześladować wrażenie, że coś ją ominęło.

Widać, że Zuzanka jest szczęśliwa.

Zuzanka o nic Biety nie wypytywała. Wiedziała, za kogo wychodzi, i wiedziała też, za kogo chciałyby wyjść. Znała jej nieodwzajemnioną miłość do Błazna, Honzy od Rychterów z Żelar, który jeździł po całej okolicy ze swoim teatrem. Nawet w bogatych wsiach potrafił oczarować widzów. Kiedy zacierała się granica między sceną i widownią, wszyscy przez parę chwil mogli zakosztować innego życia, jakże odmiennego od tego, które tak dobrze znali.

Kiedyś Bietka zaciągnęła Zuzankę za kulis, gdzie pośród zamętu unosił się zapach potu, rozsypanego pudru i szminek.

Schowwały się w kącie i obserwowały pozornie beładną bieganinę. Wstrzymywały oddech. Wydawało im się, że zdradzić je może bicie serca.

Honza wyłonił się z kulis i zmierzał w ich kierunku. Teatralnym gestem rozłożył ręce i zaczął recytować:

*Choć tego szczęścia jam niegodzien,
lecz – dzięki wam, bogowie –
tę najpiękniejszą z wszystkich kobiet
w ramiona biorę swoje!*

Obie przeszedł dreszcz i żadna z nich nie zapomni tej chwili aż do śmierci. Przez kilka cudownych chwil słowa Honzy były przeznaczone dla nich.

Lecz kiedy spojrzały w ślad za wzrokiem Honzy, dostrzegły pomiędzy zasłonami Hedviczkę Vlkoszovą.

– Nie gniewaj się, Honzo, nie mogłam przyjść wcześniej.

– Nie szkodzi, najważniejsze, że jesteś.

Z przesadną dwornością pocałował ją w rękę, a ona roześmiała się, rozbawiona. Zuzanka zauważyła, że Bieta zaciska wargi tak samo, jak całe życie zaciskała je ich matka.

Domek na zboczu i Marek – to Zuzance wystarczyło do tego stopnia, że nie szukała przyjaźni z nikim w wiosce. Ale wkrótce wszyscy już ją znali. Młodzi pozdrawiali ją pierwsi, starszych pozdrawiała ona.

Oprócz Lucki Vojniczovej, o której powiadało się, że zna czary, nikt do niej nie zagadał.

– Ty jesteś ta dziewczyna Marka...

Zabrzmiało to jak pytanie, a Zuzanka nie odpowiedziała.

– Szukasz kogoś?

W Żelarach kobiety nie miały zwyczaju waleśać się tak bez celu.

– Nie. Wysłałam się trochę przejść. – Zuzanka skrzywiła się z niesmakiem, a odpowiedź skrywała podtekst: co cię to obchodzi, stara babo?

– No to pomożesz mi nieść ten kosz.

Rozkaz, wydany tak bezpardonowo, wytrącił dziewczynę z równowagi. Bez słowa wzięła kosz, który starucha wcisnęła jej do ręki, ciężki jak sto nieszczęść, chociaż było w nim tylko jakieś gorzkawo pachnące zielsko.

Stara wskazywała drogę swojej mimowolnej pomocnicy i w ogóle nie zauważyła, że ją uraziła. Zuzanka, cała w wypiekach od zniewagi, z lubością wyobrażała sobie, jak tym koszykiem zdzieli wiedźmę w łeb.

Chałupina, która wynurzyła się z zieleni, była czymś tak niezwykłym, jakby została tu przeniesiona z jakiejś bajki. Usadowała się na poduszce z mchu jak grzyb.

– Kosz zostaw w sieni. Dostaniesz obiad.

Zuzanka miała na końcu języka, że obiad ma gotowy, ale ciekawość była silniejsza niż niechęć, zwłaszcza że blacha na kuchni była zimna.

Lucka zdjęła zgrzebny fartuch i powiesiła go w sieni na gwoździu, ściągnęła z głowy chustkę, przeczesała włosy, gęste, lecz przyprószone siwizną. Została w niebieskiej spódnicy i białym kaftanie. Lamówki na spódnicy miała białe, na kaftanie niebieskie. Nieco przywiedła czarownica, szczupła i zgrabna, z wielkimi, jasnymi oczyma – wyglądała jak dziewczyna.

Gdyby była młodsza, nie chciałabym mieć jej za rywalkę!

– Chodź.

Nagle ogarnął ją nedorzeczny strach. Gdzie mnie zaprowadzi?! Zmierzały do drewnianego domu, stojącego na łagodnym, niemal płaskim zboczu. Drzwi były otwarte na oścież.

A Zuzanka stanęła twarzą w twarz z Żenią Zarubową, swoją dawną koleżanką z pensji.

– Zuzanko!

Żenia umiała cieszyć się ze wszystkiego na świecie. Robiły jej się przy tym dołeczki w policzkach. Zuzanka oniemiała.

– Co gotujesz? – zaciekawiła się Lucka i usiadła w jednym z wiklinowych foteli, które stały przed domem.

– Nadziewaną paprykę, zaraz będzie gotowa.

Wzięła od Lucki wiązanekę ziół, w której Zuzanka rozpoznała tylko tysiącznik. – Dziękuję, kmoterko.

Kmoterko?

– Dzień dobry...

Pojawiła się może trzyletnia dziewczynka. A więc Żenia ma męża.

– To jest moja Jirzinka.

Wyraz twarzy Żeni świadczył o tym, że Jirzinka jest ósmym cudem świata.

– Śliczna dziewczuszka – przemogła się Zuzanka. Jirzinka przyniosła wełnianą poduszkę i podłożyła ją Luce pod plecy. Przyciągnęła owalny stolik. Potem poszła do kuchni umyć ręce, przepasała się czystym fartuszkim i poprawiła włosy. Z niskiej szafki z szufladami wyjęła wyszywany obrus i nakryła stół dla gości. Zuzanka przyglądała się dziecięcej sukieneczce ozdobionej misternym haftem, który w krainie wzorów prostych i surowych był rzeczą rzadką.

– Masz śliczne ubranko – Jirzinka się zaczerwieniła. – To odświętna sukienka?

– Nie. Ale mam też odświętną – odpowiedziała mała, ucieszona zainteresowaniem. Co prawda nie robiły jej się przy tym dołeczki w policzkach, ale jeśli chodzi o okazywanie radości, było jasne, że niedaleko padło jabłko od jabłoni.

Żona Marka dopiero teraz rozejrzała się uważniej. Wydawało się, że pomieszczenie jest niemal puste, a jednak było w nim wszystko, co może być potrzebne. Była tu nawet artystycznie ułożona wiązanka z suchych traw. Pod oknem wiklinowy fotel na biegunach, na rzeźbionej półce talerze i garnki ulepione z gliny.

To wszystko ożywiło gorzkie, na wpół zapomniane poczucie, jak to jest, kiedy gra się drugie skrzypce. Piękna i dumna Popelova nigdy nie dorówna jękającej się Zarubovej.

Nikt jej nigdy nie dorównał.

Słaba pociecha.

– Masz tu wodociąg?

– Tak.

– Kto ci go założył?

– Pavel z Prokopem i Honzą. Z mojego własnego źródła. Zasila go spadająca woda.

– Pavla Jurigę pewnie znasz – wtrąciła się Lucka, bo Żenia była małomówna, ale Lucka wprost przeciwnie. – Ożenił się z Juliszką, twoją daleką kuzynką. Błazna Honzę znasz na pewno, wszyscy go znają (Zuzankę zmroziło wspomnienie), a Prokop to mój bratanek. Wozi piwo.

Obrus był obsyty drapowaną koronką.

Po zupie warzywnej z wyraźnym zapachem czosnku przyszła kolej na zapowiedzianą paprykę z ryżem, w którym Zuzanka dostrzegła kawałki prażonej cebuli. Do picia był musujący napój z kwiatów bzu, Lucka dostała szklaneczkę śliwowicy.

– Skąd masz paprykę?

– Z mojej szklarni.

– I dojrzała tutaj?

– Szklarnię można ogrzewać.

Zuzanka nie zapytała, kto ją dla niej zbudował. Pavel, Honza, Prokop. Po obiedzie Żenia oprowadziła ją po ogrodzie i po domu. Na poddaszu, gdzie była sypialnia z wiklinowymi meblami, jeszcze jednym bujanym fotelem, ogromnym kaktusem i bajecznym widokiem z okna, Zuzance oczy zaszyły mgłą.

Mimo woli porównywała przepiękne rzeczy, własnoręcznie zrobione przez Żenię, z topornymi, drogimi meblami, które kupiła za to, co zostawiła jej babcia.

Widoczna przewaga Żeni, gorzka lekcja, te wszystkie policzki, wymierzone jej bez złej woli przez jąkałę – to wszystko się w niej kotłowało, aż rozboleła ją głowa.

– Gdzie pracuje twój mąż?

Sama napraszała się o następny cios.

– Jestem wdową.

Metalowa obręcz ściskająca Zuzance głowę nagle się rozwarła.

Jesteś wdową, jąkało, a ja, ja mam Marka!

Wieczorem udawała chorą, a mąż przyniósł jej do łóżka herbatę. Ani Jozy, ani Żeni nie może wymazać ze swojego życia, tak jak wymazała ojca, mimo że są niepożądanymi tak samo jak on, ale za to ona ma *coś*, czego nie ma nikt inny.

Ma mężczyznę z mgły.

4

Zuzanka nie żyła się z rodziną wsią Marka z tej prostej przyczyny, że tutaj jej sytuacja była zupełnie inna niż w domu. W Żelarach piękna Popelova nic nie znaczyła. Jej uśmiech nie był oczekiwaną zapłatą za różne drobne usługi.

Nie była do tego przyzwyczajona.

Na przykład od staruchy, takiej jak Lucka, oczekiwała nieśmiałych pochlebstw. Ale zielarka ścięła ją już pierwszym słowem. Jednym spojrzeniem przenicowała jej duszę i nie znalazła w niej nic godnego podziwu.

I jeszcze jest tu Żenia z dziecięcymi dołeczkami w policzkach.

Przygłup Joza. Pavel, Honza, Prokop.

Marek zauważył, że Zuzanka jest jakaś zamysłona, przypisał to nasilającej się chorobie.

– Idź się położyć, odpocznij sobie. Powiedz, co jest do zrobienia.

Nie ma nic do zrobienia, a odpoczynek nie jest Zuzance potrzebny.

Dopiero kiedy mąż zanurza palce w jej włosy, w te słynne na całą okolicę włosy, kiedy ją bierze w objęcia i sadza sobie na kolanach, zapomina o wszystkim, oprócz niego.

Przytula głowę do jego ramienia, nie chce, żeby widział jej twarz.

– Powiedz mi coś o Lucce.

W rzeczywistości pyta: czy to naprawdę czarownica? Czy w tobie też budzi lęk?
Czy tak samo jak ja czujesz się przed nią mały?

– Lucka jest zielarką, Zuzanko, zna wszystkie zioła. Leczy ludzi. Ma taki dar.

– Wydaje mi się, że wszystkim tu rozkazuje i że wszyscy się jej słuchają.

– Tak, Lucki wszyscy słuchają.

– Nawet ty?

– Nawet ja.

– Dlaczego?

– Nie wiem... Tak już jest... Każdy jej coś zawdzięcza. Wielu ludziom tu w górach pomogła...

– Tobie też?

– Mnie też. Jak byłem mały, nastawiła mi zwichniętą rękę. Gdyby nie ona, byłbym kaleką na całe życie.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem.

– Było aż tak źle?

– Bardzo źle. Na szczęście straciłem przytomność.

– Dlaczego na szczęście?

– Bo kiedy się ocknąłem, rękę już miałem na swoim miejscu, a największy ból minął. Chłopcy mówili, że trwało to parę sekund, ale mnie się wydawało, że obudziłem się po długim śnie. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co się stało.

– A co się stało?

– Nic takiego. Popychaliśmy się z chłopakami i upadłem na powalone drzewo.

Zuzance przez ciało przemknęła lodowata fala. Zauważył to i przytulił ją do siebie.

Krzyżowy ogień pytań, do którego już przywykł, na tym się nie skończył.

– Lucka jest z Żelar?

– Tak. Mieli domek na dole nad rzeką, ale już się rozpadł. Taka mała chatka z jedną izbą, w której się gotowało, pracowało i spało. Jej ojciec robił guziki. Cała rodzina robiła guziki. Dzieci też, ledwie odrosły od ziemi. Lucka miała piętnaścioro rodzeństwa.

Zuzanka drgnęła.

– W jednej izbie?

– Latem spali w szopie i na strychu, zimą wyściełali podłogę słomą, rano zgarniali ją w jeden kąt. W tej izbie trzymali też kury i króliki.

Zuzance nie mieściło się to w głowie. Podniosła głowę, jakby chciała sprawdzić, czy Markowi można wierzyć.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Każdy to wie... Dawniej w niektórych chałupach była straszna bieda.

Myśl o takiej ilości dzieci Zuzanka zostawiła dla siebie.

– Więc Lucka musi mieć sporo krewnych.

– Właśnie że nie. Tylko siostrę w Vydrzy. Pozostali rozproszyli się po świecie, i jakoś tak...

I jakoś tak – znaczyło, że pomarli. Umrzeć to było najlepsze, co w takiej sytuacji mogli zrobić.

– Jest zimno, Marku. Zamknę okno, a ty dołóż do pieca.

Delikatnie zsadził ją na ławę, wziął pusty kosz i poszedł po drewno.

Zamknęła okno, stała przy nim i patrzyła na zewnątrz. W domu rodzinnym zawsze przez okno kogoś widziała. Tutaj nigdy.

Ogródek z paroma krzaczkami, a dalej pustkowie, które przecinał las.

Wydawało się, że las jest na wyciągnięcie ręki, ale to złudzenie.

Stała sama w bezgłosej ciszy, szerokiej jak ramiona, z których się właśnie uwolniła. Cisza ścisnęła ją tak samo jak te ramiona, lecz nie pieściła jej i nie tuliła, tak jak one. Przerwały ją kroki Marka, a odgłos łamanych gałązek definitywnie ją rozproszył.

Razem z mężczyzną do chałupy weszła też wynędzniała suka, ufnie położyła Zuzance łapy na ramiona i spróbowała ją polizać.

– Dona, na miejsce!

Posłusznie ułożyła się pod piecem.

Zuzanka postawiła przed nią miskę z resztką rosółu i kawałkami chleba. Dona podniosła głowę, zaczęła węszyć i rzuciła się na dwa, trzy kawałeczki mięsa, które zostały dla niej w zupie. Potem pochłonęła resztę.

– Kiedy wyzdrowiałem – ciągnął Marek, podczas gdy Zuzanka szykowała kolację – mama posyłała mnie z Lucką po zioła. Miałem jej nosić kosz i w ten sposób jej się odwdziżyć. Chodziłem, ale niechętnie. Był ze mnie dziki chłopak, tylko łobuzowanie było mi w głowie.

Zuzanka spojrzała na swojego dzikiego chłopaka i nagle poczuła się lekko i dobrze. Roześmiała się, chociaż Marek miał poważną minę, a kiedy spojrzeli sobie w oczy, zrozumiała, że to, co chce jej opowiedzieć, nie jest ani trochę śmieszne. Zamilkł, ale w końcu wydożyła z niego niesamowitą historię.

Lucka chodziła po zioła daleko, aż do Hornej Brtnicy – potoku płynącego w głębokim skalnym zaciosie. Tam zobaczyli dwoje dzieci, jak bawią się kamykami. Lucka kazała im pokazać język, obmacała im cienkie szyjki, potem wzięła je za rękę i odprowadziła do domu.

– Twoje dzieciaki mają anemię – powiedziała ojcu, który przed domem ciął dłużyć.

– Tak – odburknął. – Ich matka też miała.

– Kiedy umarła?

– W zeszłym roku.

Nowa mama w widocznej już ciąży wyjrzała przez okno i zawołała pasierbów do stołu. Lucka i Marek również zostali zaproszeni i nie odmówili. Może sześćioletnia dziewczynka i niewiele młodszy chłopczyk spałaszowali duże porcje.

Zielarka wyciągnęła z kosza dwie wiązki ziół.

– Ususzysz to i będziesz im parzyć codziennie przed śniadaniem.

Młoda kobieta skwapliwie skinęła głową i rozłożyła zioła na oknie na czystym papierze. Była to uśmiechnięta, puciołowata i zapewne chętna do pracy dziewczyna. Markowi od razu się spodobała. Widział, z jaką dumą patrzy na nią mąż.

Po kilku dniach znowu wybrali się nad Brtnicę, i to z samego rana. Marek miał wakacje i zepsuło mu to cały dzień.

– Chcecie zobaczyć, czy ziółka im pomagają – mruknął, chcąc okazać niezadowolony. Lucka tego nie zauważyła.

– Nie tylko – powiedziała i roześmiała się.

Nie znosił jej gardłowego śmiechu, który przychodził w najmniej spodziewanych momentach.

Gospodarz właśnie wyjeżdżał w pole, żona szła jakiś czas obok wozu, potem zawróciła w stronę domu.

– Poczekaj – Lucka powstrzymała Marka, który chciał się z nimi przywitać.

Popchnęła go w krzaki. Czekali dotąd, aż gospodarz zniknął z pola widzenia.

Potem podeszli pod okno.

– Tylko jedną, mamusiu, tylko jedną – usłyszeli płaczliwe dziecięce głosy, a Marek dostał gęsiej skórki.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale Lucka wyglądała strasznie, jeszcze jej takiej nie widział. Jej skóra straciła kolor, wargi zsiniały.

Nie wiedział, czy bardziej ma się bać Lucki, czy tych okropności, które odgrywiają się w domu.

Jeśli stara będzie go chciała zmusić, żeby wszedł z nią do środka, rzuci się do ucieczki. Nie zrobiła tego. Czekali.

W końcu zrozumiał, co miał na myśli nauczyciel, kiedy mówił, że ma nerwy napięte jak postronki. Gdyby mógł wybrać pomiędzy laniem i długimi minutami czekania, wybrałby najsurowsze lanie.

Dzieci wyszły z domu i usiadły na progu. Macochę słychać było gdzieś na podwórku.

Lucka zostawiła Marka, jakby wiedziała, że nie jest w stanie jej towarzyszyć, podeszła do dzieci, chwyciła je mocno za ręce i zmusiła do wstania. Potem siłą otworzyła im buzie.

– Gdzie jest tata?

Dziewczynka pokazała na prawo, a ręka jej drżała. Nie mogła mówić. Każde dziecko miało pod językiem dwie pijawki.

– Siedźcie tu i nie ruszajcie się ani na krok.

Markowi kazała ich pilnować. Podeszedł do dzieci i stanął obok nich na straży.

Czas zamarł, już myślał, że Lucka nie wróci, a on wrośnie w ziemię. Przyjechali wozem, gospodarz wziął do ręki siekiere.

– Nie siekierą – powiedziała kmotra spokojnie. – Batem!

Macocha podśpiewywała sobie na podwórku. Melodia nagle przeszła w krzyk.

– Starczy – Lucka obwieściła koniec kary. – Zostaw wszystko i jedź z dziećmi do szpitala. W drodze powrotnej wstąp po żandarmów.

Chłop w wojsku służył w dragonach, więc wyprzągnął konia i popędził do miasteczka na oklep. Jedną ręką trzymał dzieci, drugą wodze.

Pobita morderczyni ledwie trzymała się na nogach, ale było jasne, że zamierza uciec. Lucki nie uważała za przeszkodę.

– Weź ze sobą ciepły wełniak, porządne buty i trochę jedzenia – radziła jej zielarka. – Została ci jeszcze godzina. A jak cię spotka jakieś nieszczęście, to pomyśl sobie, za co.

Wiedziała, że kara, jaką szalona kobieta sama na siebie sprowadzi, będzie cięższa, niż ta nakazana przez sędziego. Do wieczora wiadomość o tym niesłychanym czynie rozejdzie się po całej okolicy i wszystkie drzwi będą przed nią zamknięte.

Dziewczynkę uratowano, chłopczyk zmarł.

– Ach Boże, Marku!

– Sam nigdy bym ci tego nie opowiedział.

– Wiem.

Siedzieli na ławie w milczeniu. Jedzenie powoli stygło. Zuzanka z podziwem spjrzała na Marka. Zastanawiała się, skąd w nim tyle siły, żeby wstać i dołożyć do pieca.

5

Zuzanka w czasie swoich samotnych wędrówek coraz częściej spotykała świeżo upieczonego kapłana, któremu złe języki dały przydomek Pobożny Ludva. Była przekonana, że to przypadek.

Któregoś razu napatoczyła się jeszcze zielarka.

– Witaj, Ludvo.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, kmoterko – zaciągnął kozim głosem Ludva i przyspieszył kroku. Udał, że dopiero teraz ją zauważył.

– Co robisz?

– Modlę się. Za siebie i za innych grzeszników – dodał znacząco.

Lucka zarechotała.

– To ci potrzebne jak sól, Ludvo. – Znieważała go każdym słowem. – Tylko żebyś się potem od tej świętości nie zeszał.

– Wybaczam wam waszą złośliwość. Oby i Bóg wam wybaczył – zwrócił oczy do nieba i ledwie widocznie się przeżegnał.

– Widzę, że Bóg jest u ciebie ciągle na drugim miejscu – stwierdziła stara. – Szkoda, że nie trafiłeś pomiędzy pogan – wołała w kierunku jego pleców, bo już jej znikał z oczu – do tej koziej bródki bardzo by ci pasowała korona męczennika.

Zuzanka odruchowo podniosła kosz, który Lucka postawiła na ziemi.

– Czego chciał od ciebie?

W pytaniu nie było cienia zainteresowania. Lucka nie była ciekawska, chociaż stale zadawała pytania. Jej uprzejmość znajdowała wyraz w pytaniach.

– Nic grzesznego – odpowiedziała Zuzanka lodowato. – Prosił, żebyśmy jutro pod wieczór poszli zrywać księdzu proboszczowi renklody.

– Jeśli chcesz sprawić Ludwie przyjemność, to przyjdź sama, i to wtedy, kiedy proboszcza nie będzie w domu.

Zuzanka rzuciła okiem na Luckę, ale potem się roześmiała. Cięta odpowiedź nie była potrzebna – obie czuły do Ludwy wstręt.

Zuzanka wiedziała, że Ludva jest młodszym bratem Honzy, żelarskiego Błazna, aktora, reżysera i twórcy słynnego wędrownego teatru.

– Drze koty z ojcem. Nie może mu darować, że go przejrzał – stara westchnęła. – Franci jest jednym z najlepszych chłopów, którzy się w tych górach urodzili.

– Słyszałam...

– Że pije... Wojna go złała.

– Marek mówił, że walczył w legionach i ma jakieś odznaczenia...

– O tym możesz zapomnieć.

– Dlaczego? Przecież jest bohaterem!

– Myślisz, że tak się czuje?

Zuzanka nie wytrzymała.

– Dla was nie ma nic świętego, prawda?

Natychmiast pożałowała, że wypowiedziała te słowa, ale już było za późno. Lucka śmiała się jasnym, serdecznym śmiechem, jak młoda dziewczyna.

– Nieprawda – powiedziała nagle pojednawczo.

– No to was w ogóle nie rozumiem.

– To i dobrze.

– Wierzycie w Boga?

Lucka przez chwilę patrzyła Zuzance prosto w jej płonące oczy. Krzyżowy ogień pytań był dla niej czymś nowym.

– Nie. Ale wychowałam się w ewangelickiej rodzinie.

– Ewangelickiej? – Zuzanka nie kryła zdumienia. Przecież na plebanii zielarka była zawsze mile widzianym gościem.

– Moi bracia byli katolikami – dodała stara. – Ojciec był katolikiem, ale matka nie zmieniła wiary. Nie przeszkadzało im to. Ale nam, dzieciom, tak. Chodziliśmy do różnych kościołów, często biliśmy się ze sobą z powodu wiary. Chłopcy nie chcieli się pogodzić z tym, że mają więcej obowiązków, musieli na przykład służyć do mszy, a my, dziewczyny, wyśmiewaliśmy się z nich.

Drzwi chałupy Żeni stały otworem, choć gospodyni nie było w domu. Srokata krowa Jurigów rozłożyła się w progu i spokojnie przeżuwała. Zwróciła na nadchodzące kobiety swoje piękne oczy.

– Trudna rada – rzuciła Lucka i przestąpiła spokojne zwierzę. – Umiesz usmażyć jajka?

– Chyba tak.

– A ja w tym czasie naleję sobie szklaneczkę śliwownicy.

Renklody w księżym sadzie zerwali oboje Gorczikowie tego samego wieczora. Marek spłacał swój dług.

Zaskoczony proboszcz, który nie miał pojęcia o inicjatywie Ludvy, przestraszył się na widok pełnych koszy.

Zuzanka zaproponowała, że zrobi mu parę słoików na zimę, i tak zaczęła u księdza gospodarzyć. Było to gospodarzenie w myśl zasady: głodnego nakarmić, którą wyznawała babcia Zuzanki – lecz której nigdy nie zaprowadziła w swoim domu.

Biorąc pod uwagę to, że proboszcz w ogóle nie pilnował swoich włości, okradany był stosunkowo rzadko. W rzeczywistości tylko przez chciwą żonę kościelnego, Lujzkę.

To, co dostawał za śluby, przy okazji odpustów i świniobicia, przepadało w czarnej dziurze.

Sam nie miał prawie żadnych potrzeb. Na plebanii, która mogła być źródłem zysków, żył jak najbiedniejszy z biednych. Odpowiadało mu to.

Zuzanka знаła tylko brzuchatych księży, innych dotąd nie potrafiła sobie wyobrazić. Od dzieciństwa łączyła godność księdza z dobrobytem.

Tu został naruszony odwieczny porządek.

Zadziwiająca była też przyjaźń proboszcza z zielarką. Spotykali się nie tylko przy łózkach chorych i umierających. Bezbożna wiedźma, której obce było chrześcijańskie miłosierdzie, na plebanii była chętnie widziana i szanowana. Żeby zyskać jej przychylność, kościelny pędził wysmienitą śliwownicę.

W czasie odpustu, który w miejscu, gdzie niegdyś objawiła się Maria Magdalena, trwał cały miesiąc, do Żelar zjeżdżali się dostojnicy kościoła i misjonarze. Odprawiano msze pełne przepychu, procesje jedna za drugą zapełniały rozległy plac wokół kościoła, za którym wznosił się na wysokość wieży kościelnej stuletni dąb. Całymi dniami rozbrzmiewały tu zawodzące pienia, mieszały się ze sobą i zlewały w jeden ton. Marek korzystał z okazji i razem z innymi pomagał, gdzie było trzeba.

Kiedy Zuzanka poznała się na kucharskich umiejętnościach Lujzki, sama zabrała się za prowadzenie kuchni.

Dobrze się czuła pomiędzy dostojnikami, którzy zachowywali się godnie, a przy tym podziwiali ją jawnie i skrycie.

Przepiękne kasztanowe włosy skryła pod srebrną siatką, która mieniła się na nich jak rosa.

Znów królowała, co prawda tylko nad góralkami, znowu rozdawała uśmiechy oczarowanym mężczyznom, nie szkodzi, że byli to księża. Tylko awanse Pobożnego Ludwy stały jej kością w gardle, ale to była kropla w morzu szczęśliwości.

Jeszcze naprędce poprawiła kwiaty w malowanych dzbanach, ustawione na długim stole w księżej jadalni. Pod oknami zahuczał tłum.

– Zdaje się, że cyrk się skończył – rzuciła wszechobecna Lucka i nalała sobie następny kieliszek.

Siedziała bokiem do drzwi i nie zauważyła wchodzących misjonarzy. Zatrzymali się w pół kroku, Lucka odwróciła się w ich stronę. Promieniała uprzejmym uśmiechem.

– Raczcie do środka, wyzerka zaraz się zacznie. Proszę, proszę... Ja zostanę tutaj, mnie wystarczy, że sobie gołnę.

Zuzanka uświadomiła sobie, że stara jest pijana. Żelarski ksiądz zbladł. Niepewnym gestem wskazał szacownym gościom miejsce przy stole.

– Kto to jest? – spytał jeden z nich zduszonym głosem. Zanim proboszcz wydobył z siebie słowo, Lucka przedstawiła się sama.

– Twoja siostra w Chrystusie, bracie.

Zuzanka wstrzymała oddech. Z przerażeniem spojrzała na księdza. Stała z otwartymi ustami jak ryba wyłowiona z wody. Wiedziała, że powinna szybko znaleźć Marka i powiedzieć mu o katastrofie, ale nie mogła ruszyć się z miejsca.

Dzięki temu stała się świadkiem straszliwego bluźnierstwa. Pamiętała tylko fragmenty monologu, wygłoszonego przez Luckę ponad pochylonymi głowami dostojników najpotężniejszego kościoła świata.

Kiedyś za to odpowie jak za własny grzech. Bo nie znalazła w sobie dość siły, żeby zamknąć przed tymi słowami swoje uszy i swoje serce.

– Pismo Święte głosi... – jeden z misjonarzy podniósł głos.

– Wiem, co głosi – przerwała mu Lucka. – Daruj sobie kazanie, już je odtrąkotełeś w kościele.

– Słyszeliście, o czym było kazanie? – głos mu drżał.

– Nie. Ale znam to na pamięć. Mówiłeś o ogniu piekielnym, który czeka ludzi za to, że łamią dziesięcioro przykazań i pływają się w grzechach, zwłaszcza w siedmiu głównych: obżarstwie, chciwości, lenistwie, rozpuście, pysze, zawiści i gniewie. Mówiłeś o tym, jak kościół święty stara się rękoma swoich duchownych wyciągnąć człowieka z tego gówna.

Lucka przerwała i zaniosła się śmiechem. To nie był śmiech, było to skrzeczenie złowieszczonego ptaka. Trująca para nad wrzącym kotłem.

Zuzanka spodziewała się, że pod Lucką zaraz rozstąpi się ziemia.

Z księży opadały szaty od celebry, stali tu nadzy jak w dzień narodzin. W ich nagości nie było grzechu – była niewidzialna.

– Bóg Ojciec słyszy wasz śmiech.

– No jasne – Lucka uśmiechnęła się do tego, który się odezwał. – Ale w odróżnieniu od ciebie wie, z czego się śmieję. – Jej oczy zatrzymywały się na każdym z nich po kolei, a na księżach znowu pojawiały się ornaty. – Powiadasz Bóg Ojciec?

– Bóg Ojciec – twarz księdza z wolna stawała się trupio biała. – Który stworzył człowieka na podobieństwo swoje.

Lucka skinęła głową.

– Na swoje podobieństwo duchowe, bracie. Pozwolił mu zbliżyć się do swojej istoty i połączyć się z nią w jedno. I to wszystko. W ten sposób strącił z tronu Złotego Cielca.

Znów rozejrzała się po wszystkich, nawlekała ich zamarłe twarze na sznurek długiego spojrzenia, jak korale. – Chociaż Złotego Cielca nie wykorzenił doszczętnie.

– Czy jesteś chrześcijanką, siostrze? – odezwał się inny, niepewny głos.

– Zostałam wychowana jako ewangeliczka.

Księża uznali, że odkryli źródło herezji. Przyniosło im to wyraźną ulgę.

Na niektórych twarzach już pojawiał się pobłażliwy, łagodnie karzący, podniosły i pełen współczucia uśmiech.

Lucka im przeszkodziła.

– Bóg Ojciec? – powtórzyła. Po czym wyłożyła istotę Pisma Świętego według swojego rozumienia. – Bóg Starego Testamentu ma przymioty srogiego, karzącego ojca, Bóg Nowego Testamentu jest Matką.

Gdyby któraś z gór za oknem nagle wybuchła jak obudzony wulkan, wywołałoby to mniejszą zgrozę.

– Bezmierna miłość do tego, czym jesteśmy, zdolność przebaczenia, poświęcenie i miłosierdzie, to jest istota Matki.

Słowa brzmiały podniośle i tak samo potem wiele razy powracały do Zuzanki.

– Bóg Matka jest domem, z którego odchodzimy, żeby zawojować świat. Szukamy go potem przez całe życie, wzywamy go, zranieni, pokonani, obciążeni winami. Boga Matkę zdradzamy w chwilach Pychy i wracamy do niego w czasie Klęsk, bo Bóg Matka przyjmuje nasze cierpienie. Tak to jest, bracia. Złoty Cielec, Bóg Ojciec i Bóg Matka walczą w nas ze sobą do końca naszych dni o rząd nad naszymi duszami. Towarzyszą nam w Drodze, tej jedynej, która była nam dana.

Tak bluźniła Lucka po pijanemu, zanim opuściła jadalnię, w której zapadła cisza. Odprowadził ją żelarski ksiądz. Szedł za nią z tyłu o krok, jakby był jej cieniem.

Zuzanka nigdy się nie dowie, o czym myślał. Z pewnością o czymś zupełnie innym, niż jego goście, którzy długo milczeli w swoim wzburzeniu, pogardzie i nienawiści. W swoim strachu.

Po tej scenie stosunki między księdzem i Lucką nie zmieniły się ani na jotę. Jakby się nigdy nie wydarzyła.

Dawniej, kiedy Marek opowiadał Zuzance o żelarskim księdzu, myślała, że taki człowiek nie może chodzić po świecie. Przekonała się, że może, ale nadal nie mieściło jej się to w głowie.

Był zupełnie bezbronny, na pozór wydany na pastwę świata, który nie zna litości. A przy tym ta bezbronność, która każdego innego doprowadziłaby do zguby, w tej surowej ziemi prowadziła go do zwycięstwa.

Ostatnio często po jego ogródku biegała chuderława dziewczynka. Zuzanka nie mogła uwierzyć, że już chodzi do szkoły. Towarzyszył jej starszy brat, którego znała, bo to właśnie on znalazł ją przy źródleku. Był nieśmiały i trzymał się od niej z daleka. Nazywał się Vratislav Lipka.

Dziewczynka była jego przeciwieństwem.

– Jak się nazywasz?

– Helenka Bojarova.

Zdziwiła się, dlaczego nie Lipkova, po czym dowiedziała się, że tak naprawdę nazywa się Halakova. Zuzanka musiała to rozwikłać sama.

– Co tutaj robisz?

– Uczę się łaciny.

Nie było to głupie kłamstwo. Była to czysta prawda. Chodziła z księdzem po ogrodzie i trąkotała łacińskie nazwy wszystkiego, co mijali po drodze. Tłumaczyła krótkie zdania, odmieniała różne słowa przez osoby i przez przypadki. Jej brat siedział na ziemi i coś sobie rzeźbił. Widocznie niepotrzebna uczoność miała dla niego taki sam urok, jak dla Zuzanki.

Był tak nieśmiały, że czerwieniał się nawet przy powitaniu. Nie wiedzieć dlaczego wprawiał tym Zuzankę w zakłopotanie.

Uśmiechała się do niego, uprzejmie go zagadywała – a on odwracał głowę. Nie chciał, żeby zobaczyła, że ma w oczach łzy.

Helenka zauważała Zuzankę, dopiero kiedy ta wołała ją do jedzenia.

Po odpuście Zuzanka już na stałe przejęła rządy na plebanii, nie mogła patrzeć na to, jak gospodaruje Lujzka. Irytowali ją nieproszeni stołownicy, ale nie dała tego po sobie poznać. Kosztowało ją to wiele wysiłku, gdyż nie była nawykła, by robić coś wbrew sobie.

– Nie przychodź tu ciągle – upomniała cicho Helenkę, podając jej nasmarowaną kromkę. – Ksiądz proboszcz jest zmęczony.

– Księżę proboszczu, bolą księdza nogi?

– Nie.

– Bo ja się najlepiej uczę, kiedy chodzę.

– Wiem.

Niestety, chleb nie zatkał jej buzi. A jakby tak ją trzepnąć w ucho? Nigdy nie potrafiłaby wyjaśnić tego księdzu. Obecność Helenki na coś się jednak przydała. Pobożny Ludva zniknął, ledwie dostrzegł ciekawskie dziecko.

– Po co ta mała uczy się łaciny? – dopytywała się Zuzanka z nieskrywaną niechęcią.

– Ciekawi ją.

– Na co jej się to przyda?

– Pójdzie na studia.

– Na studia?!

– Jest bardzo zdolna. A Halakova ma tylko ją.

– I Vratislava.

– Tak, i Vratislava.

- A co z nim?
- Chce się uczyć na kowala.
- Chłopak na kowala, dziewczyna na studia?!
- Tak. Tak sobie te dzieci wybrały. Mają do tego prawo.

Miała ochotę zapytać księdza, czy w ogóle kiedyś był dzieckiem.

- Gdzie się będzie uczyć Vratislav? W Żelarach?
- Tak. W żelarskiej kuźni.

Nawet proboszcza nie ominęły przesłuchania Zuzanki.

- U Jozy?
- Tak. Znasz Jozę?
- Znam.
- No to widzisz, że nie mógł lepiej trafić.

Może i nie mógł. Może dla tego nieśmiałego chłopaka nauka w szkole byłaby pasmem udręk. Mimo to nie mogła pogodzić się z niesprawiedliwym losem, który dawał rozgadanej Helence niezasłużoną pozycję. Uważała, że ten dzieciak wywraca plebanię do góry nogami. Jej czarne oczy pełne były ciekawości, zaczepiała też Zuzankę.

Pochylała się nad kipiącymi garnkami, niemal maczała w nich nos.

- Ciciu, dlaczego więcej bąbelków robi się po bokach niż pośrodku?

Zuzanka ostro odparła nadchodzący atak: – Nie wiem. – Prawdę mówiąc, nigdy nie zwróciła uwagi na tę osobliwość.

Dziecko przestraszone odkryciem, że kucharka nie wie tak podstawowej rzeczy, pobiegło do księdza. Na pewno jej to wyjaśnił.

Czasami po dzieci przychodziła matka, zharowana stara kobieta. W oczach błyszczała jej radość, jeszcze niezgaszona przez pełne zgryzot życie. Wstępowała na plebanię, kiedy musiała odnieść komuś z okolicy szycie, i zawsze miała dla dzieci jakieś łakocie, które dzieliła na dwie równe części.

- Vрати więcej – napominała ją Helenka, świadoma nierównych potrzeb.
- Helence więcej – protestował Lipka, ale ku zdziwieniu Zuzanki tylko rozdrażnił tym Helenkę. Mała przez jakiś czas piorunowała go wzrokiem.

W każdą niedzielę Vratislav Lipka pomagał w kuźni Jozie, za co dostawał od klientów napiwki. Kupował za nie parówkę i wodę sodową, za które to przysmaki Helenka dałaby się zabić.

Sklep rzeźnika i kuźnia pracowały także w niedzielę. Do gospody zjeżdżały bowiem wozy również w dni świąteczne.

Dwa razy w tygodniu toczył tam piwo spocony, niechlujny brat Latała, na którego widok Zuzance robiło się niedobrze. W końcu coraz rzadziej robiła tam zakupy. Woląła chodzić do miasteczka.

W szynku wysiadywał kowal, gnuśny pan Jozy. Siedział w kącie za piecem, żeby nie zobaczyła go kowalka. Skłamał jej, że wyjeżdża w interesach. W płacziwym monologu biadolił, że ma same kłopoty i moc roboty, chociaż nigdy nie przykładał ręki do pracy. Przeklinał podstępą konkurencję, która istniała tylko w jego wyobraźni. Następną kuźnia była dopiero w Wydrzy, a tamtejsi kowale nie umywali się do Jozy.

Mimo wrodzonego lenistwa kowal świetnie radził sobie w interesach. Lizusostwem i drobnymi łapówkami nakłonił administratora, żeby ustanowił go jedynym dostawcą podków, radeł, pługów i innych narzędzi rolniczych do wszystkich okolicznych majątków. Rozliczał się co kwartał, a do rachunków sprytnie dopisywał różne pozycje.

Nikt go nie kontrolował.

Zuzanka unikała kuźni. Spróbowała nawiązać stosunki towarzyskie z rodziną Paczajów, która, jak uważała, odpowiada jej poziomowi, ale nic z tego nie wyszło.

Całe Żelary na siostry Paczajowe mówiły „czarownice”, ale wszyscy zwracali się do nich per „pani kierownikowo” i „pani inspektorowo”. Nikt nie wiedział, czym ich zmarli mężowie kierowali ani co kontrolowali. Ale wszystkim był znany ich piękny ceglany domek, na tutejsze warunki – wręcz rezydencja, ich pieniądze oraz ich wyniosłość.

Wyglądały zupełnie identycznie. Obie rzadkie, siwe włosy czesały w koki i nosiły się z pańska. Ich oczy szpiclowały, co się u kogo dzieje. Mówiły szeptem, jakby zdradzały Bóg wie jakie tajemnice, a przy tym z przejęcia drgały im nosy.

Kiedy Zuzanka poznała je lepiej, uświadomiła sobie, jak nisko może człowiek upaść.

Zaczęły się nią interesować, kiedy miała przejąć spadek. Zaprosiły ją do siebie, gdzie w zatęchłym przepychu nigdy niewietrzonych pomieszczeń raczyły ją cienką herbata, lepkimi ciastkami, swoimi starymi dolegliwościami oraz sukcesami synów, wnuków oraz licznych dalszych krewnych, uwiecznionych w domowych albumach.

Nawet tytuły akademickie nie poprawiły Zuzance nastroju, zaczynała jej się robić niedobrze, więc wstała i wyszła, przecierpiawszy pożegnalne ceregiele.

Chociaż pochodziła z bogatej rodziny i od małego była przekonana o słuszności podziału na bogatych i biednych, chociaż zawsze miała w sobie dumę rodową, to ten rodzaj manii wielkości nigdy nie był jej udziałem.

Bogactwo w gospodarstwie Popelów było czymś naturalnym, a przez to nudnym, i nie dawało powodów do ekscytacji.

Za to od dzieciństwa przyciągała ją bieda. Dostrzegała w niej jakąś odmianę romantycznej wolności.

Mimo zakazu rodziców przyjaźniła się z Valczą z remizy, której ojciec zginął na wojnie i która razem ze starszymi siostrami i schorowaną matką była na utrzymaniu gminy. Dostały za darmo jeden pokój obok strażackiego składu i dopóki najstarsza Fanda nie znalazła sobie pracy, gmina regularnie je wspomagała, przeważnie w naturze.

Ich izba była ogromna. Zmieściły się tam trzy łóżka, szafa, ława, krzesła i stół – a jeszcze dzieci mogły się na środku bawić. Matka robiła im fantastyczną lemoniadę z wody, cukru, octu i sody spożywczej. Przewidująca Zuzanka nie pochwaliła się tym w domu. Po kryjomu wynosiła do remizy masło, jajka, resztki ze świniobicia, mąkę – wszystko, co jej wpadło w rękę. Z remizy do domu przynosiła wszy.

Potem czekały ją nieprzyjemne zabiegi. Babcia wyczesywała wszy gęstym grzebieniem i ciągnęła ją przy tym za włosy, a jeszcze do tego nacierała jej głowę naftą i zawijała ręcznikiem, co strasznie śmierdziało i swędziało.

Ale nie zraziło to Zuzanki do odwiedzin w remizie. Życie starej Lyskowej i jej córek miało dla niej nieodparty urok. Już samo to, że zamiast ubikacji używały wiadra, którego zawartość wylewały potem do potoku! Podziwiała średnią, Sefkę, która podarła na strzępy swoje ostatnie szkolne świadectwo, krzycząc na cały głos: Teraz mam szkołę gdzieś!

Zuzanka rozglądała się, co się będzie działo, ale nikt się nawet nie zatrzymał, mimo że Sefka wrzeszczała i podskakiwała jak opętana. Nie była to dziewczyna tuzinkowa. Co tydzień kąpała się w balii wystawionej przed remizą i nic sobie nie robiła z gapiów.

To swoje jedyne w tygodniu mycie celebrowała jak obrządek. Zuzanka była jednym z jej wdzięcznych widzów. Podziwiała jej piękne ciało i marzyła, żeby też tak kiedyś wyglądać. Nie mogła oderwać wzroku od krągłości Sefki i od tego, jak mydliny żłobiły białe dróżki na jej brudnej skórce. Wyrastała w purytańskim środowisku, w którym nagość była sprawą szatana, więc własna śmiałość i grzeszne oczarowanie przyprawiała ją o gęsią skórkę.

Podobnie fascynowała ją Fanda, najstarsza córka Lyskovej. Sprowadzała sobie do domu kochanków, a Valcza opowiadała potem Zuzance, że w nocy Fanda się z nimi bije.

Fanda pracowała w Szadovej Hucie w fabryce. Zuzance wydawało się wtedy, że jest piękna. Chodziła na wysokich obcasach (wyprzedaż u Baty po dziewiętnaście koron), wyskubane brwi pociągała na czarno (wypaloną zapalką), upudrowane policzki barwiła na czerwono papierkiem po cykorii. Mimo że troszkę sepleniała, stale coś sobie podśpiewywała przyjemnym głosem, którego dzieci nigdy nie miały dosyć, podobnie jak słów piosenek.

– Śpiewaj, Fando! – prosiły bez przerwy.

Nie dawała się prosić.

Potem w domu Zuzanka po kryjomu nuciła sobie *Boženko, Boooženkooo, W gaiiku potoczek, Całuję twoją dłoń, madame* – i inne szlagiery.

Nie wszystko rozumiała, wiele słów przekręcała.

Nie wytrzymała i poszła do babci pochwalić się swoimi umiejętnościami. Skończyło się awanturą. Doigrała się ścisłego dozoru.

Na znak protestu zamknęła się w stodole. Tam wyśpiewywała:

*Z fabryki dziewczynka – starczy czy nie starczy,
nie chce żołnierzyka – starczy czy nie starczy,
woli cywila, bo będzie z nim jadła i piła!*

Drugiej zwrotki już nie zdążyła zaśpiewać. Pojawił się ojciec i, o ile dobrze pamięta, po raz pierwszy w życiu spuścił jej lanie.

Jeszcze bardziej niż siostry Lyskove przyciągali Zuzankę Cyganie. Co roku na kilka dni stawali z taborem za wsią.

Zakradała się tam zaraz po szkole, zawsze dało się to jakoś usprawiedliwić. Potem razem z grupką innych ciekawskich dzieci przedzierała się do potoku, nad którym płuęta watra. Zazwyczaj czaili się, schowani w pobliskich krzakach. Czasami wyniuchały je małe cyganiaki, a potem okazywało się, że komuś zginął fartuszek albo jakaś inna część garderoby.

Tego im nie miała za złe. Sama mogłaby kraść, było to jedno z jej niespełnionych marzeń.

Żeby poznać, jak smakuje złodziejstwo, podkrađła babci odświętną chustę.

Ktoś z domowników zobaczył, jak się nią bawi. Wszyscy się z tego śmieli, czym zepsuli jej całą przyjemność.

Często widziała, jak Cyganie wyklócają się z żandarmami. Nie mogła się napatrzeć, jak zaklinają się na duszę i krzyczą jeden przez drugiego. Kiedy indziej znów trafiła na bójkę. Widziała, jak stary Cygan gonił Cygankę wokół ogniska, a pozostali jeszcze go podjudzali.

Stare Cyganki w tuste, niemyte włosy miały powplatanę pieniądze. Był to piękny widok, mimo brudu, wszy i przykrego zapachu.

Poprosiła matkę, żeby chociaż przy niedzieli wplotła jej we włosy złoty dukat, który dostała przy chrzcie. Matka, rzecz jasna, odmówiła.

Walcza i stara Lyskova umarły na suchoty. Sefka zniknęła ze wsi, tylko Fanda doczekała szczęścia. Źle nastawiona prasa zmiażdżyła jej palce. Do śmierci będzie dostawać rentę.

Jeśli Zuzanka miałaby kiedyś zajrzeć do rodzinnej wsi, poszłaby odwiedzić Fandę. Łączy je coś bardzo ważnego. Niezapomniany cud, który sepleniącą żebraczkę przemienił w piękność, a w jej trywialnych piosenkach odkrył powab.

Zuzanka idzie brzegiem rzeki do nowej, porządnej kładki. Zatrzymuje się na samym środku i patrzy na nurt. Woda pachnie.

Niebo ma kolor farbki do bielizny, w wietrze, który ją łagodnie uderza po twarzy, czuje wilgoć. Marek umiałby powiedzieć, czy pogoda się utrzyma.

Jeszcze nie całkiem się zadomowiła, ale kilkoma korzonkami już tkwi w tutejszej ziemi. Zrasta się z tą okolicą, gdzie nie ma kawałka płaskiego pola, tak różną od krainy dzieciństwa. Gdziekolwiek spojrzy, wzrok zawadza o skałę albo drzewo.

Ale tu jest jej własny świat, jej i Marka, świat zwinięty w spiralę, w której wraz z tykaniem zegara upływa bezpowrotny, ale prawdziwie piękny czas.

Dziś powie swojemu mężowi – tak sobie postanowiła – że za niecałe pół roku będzie piastować na kolanach małego Marka albo małą Marketkę. Cieszy się na pierwsze sekundy zaskoczenia. Marek będzie się bał uwierzyć, a potem przyjdzie ulga i pełna wzruszenia radość, która najpierw ściągnie mu usta, potem schowa się w oczach, skąd będzie jaśnieć przez wszystkie następne dni.

Zobaczyła, że z naprzeciwka nadchodzi śliniący się Arnoszteł, przemogła wstręt i uśmiechnęła się do niego. Zachęcony uśmiechem zatrzymał się obok niej. Zamiast do wody patrzy na nią.

– Ładnie jest, prawda, Arnosztku?

– Ładnie – zabelkotał.

– Jak się masz?

– Ja? – Ni stąd, ni zowąd zaniósł się rechem, jakby przejechał jej po skórze ostrzem noża.

Po raz pierwszy w życiu przestraszyła się Arnosztka – kiedy tak stał koło niej na rozstawionych nogach i pożerał ją wzrokiem.

– Już muszę iść.

Obeszła go łukiem, żeby się o niego nie otrzeć, i z trudem się opanowała, żeby nie przyspieszyć kroku.

– Do widzenia, Arnosztku.

Arnoszteł nie odpowiedział, tylko otworzył usta. Zanim zdążył się odwrócić, była już na drugim brzegu.

Co się ze mną dzieje, na miłość boską? Jej dobry nastrój ulotnił się bez śladu.

Wyjdę Markowi naprzeciw.

Chciała uczeplić się myślami swojego męża, chciała go zobaczyć, ale jego obraz pojawiał się jakiś rozedrgany, nie mogła go uchwycić i czuła, że zaraz się rozplacze.

Pobiegła w stronę kamieniołomu.

Z daleka zobaczyła gromadkę ludzi. Poczowała, że jej nogi zmieniają się w ołów.

Kiedy się zbliżała, ludzie rozsuwali się przed nią jak wachlarz. Znała prawdę, jeszcze zanim ujrzała na ziemi zmiażdżone ciało.

Jeden rok, tylko tyle było im dane.

Gotowa była znów oddać całe życie, może nawet za mniej niż ten rok. Uklękła przy Marku i ku przerażeniu zgromadzonych powiedziała półgłosem:

– Dzięki Ci, Boże.

Nie patrzyła na Marka. Patrzyła na dolinę, która napełniała się wieczorną mgłą.

Rzekotka

1

Szelda wchodził coraz głębiej w las, ale trzymał się rzeki, tak jak trzymamy się ręki, która nas prowadzi. Z autoironią, która prawie nigdy go nie opuszczała, pomyślał: moje szczęście – i kara.

Z przyjemnością obserwował kolory. Zieleń, fiolet, granat, szarość, biel. Nic, tylko znany krajobraz, o zarysach nieco zmiękczonej przez opary mgły, tak przejrzyste, że nie zdołały odebrać mu świeżości.

Kiedy dotarł do skał, rzucił okiem w górę i zobaczył ludzkie nogi. Wisiały nad przepaścią, nieruchome i białe, nogi bez ciała. Bose. Stwierdził, że należą do dziecka.

Obszedł skałę po zboczu.

Dziewczyna siedziała na skale, nogi zwisały jej w powietrzu. Głowę miała opuszczoną, jakby zapadała w sen.

Nie mogła sobie wybrać bardziej zdradliwego miejsca na drzemkę.

Kiedy wyczuła jego obecność, szybko się wyprostowała. Patrzyła na niego z takim samym przestachem, jak on na nią.

– Co tu robisz?

– Dzień dobry – odpowiedziała. Pewnie nawet nie była świadoma, że go pozdrawia, bo oczy zrobiły jej się ogromne, a na twarzy malowała się nienawiść, której źródła nie znał.

Ma mnie za intruza. Moje przewinienie polega na tym, że jej przeszkodziłem. W czym?

Musiał przymknąć powieki, żeby cokolwiek zobaczyć. Stał pod słońce. Widział, jak jej usta wykrzywiają się szyderczo. Z jakiegoś powodu śmiertelnie go nienawdził. Dość osobliwe, wzięwszy pod uwagę, że spotkali się po raz pierwszy w życiu.

Poruszyła się i zsunęła niżej nad przepaść.

Prowokuje.

Był jedynym człowiekiem jak okiem sięgnąć i miał prawo wymierzać kary. Spodziewała się, że powie coś w rodzaju: przestań się wiercić, bo spadniesz!

Nic nie powiedział.

Wszedł na skraj skały, stanął tuż przy dziewczynie. Wietrzny wężyk owinał się mu wokół kostek, niepozorna, mordercza pętla.

Cofnął się.

Wiatr szarpał mu włosy i ogłuszał go.

Usiadł obok dziewczyny. Obserwowali się bez wstydu – oboje znaleźli się w niereczywistości.

Ciemne, kasztanowe włosy, żywe oczy, delikatna twarz, w której była naiwność i złośliwość, spokój, mądrość i zdecydowanie.

Jej spojrzenie było dziecięce, a mimo to wyzywające.

Byli sobie tak obcy, że nie musieli niczego udawać. Zagarnął dłonią jej włosy, spodziewał się, że się uchyli. Przysunęła do niego twarz w spokojnym oczekiwaniu. Jeszcze zanim sobie uświadomił, co to znaczy, poczuł na szyi jej ręce. Uwiesiła się na nim, jej oczy się przybliżyły, teraz już nie było w nich spokoju, ale najczystsze przerażenie.

– Co ci jest?

– Nic. Jutro będą mnie wydawać.

Sens tych słów jakoś dziwnie go dotknął, wgrzył się w niego.

Spróbował go strząsnąć, co go to obchodzi! Próba się nie powiodła.

Przysunęła twarz do jego policzka i dotknęła go kącikiem ust. Odsunął się na długość ramion. Jeszcze nigdy nie widział bardziej wymownej twarzy. Zamknęła oczy i rozluźniła się. Trzymał ją w ramionach jak wielką lalkę.

– Wiesz, co chcesz zrobić?

– Wiem.

– Dlaczego?

– Bo jesteśmy obcy. Bo już nigdy się nie spotkamy.

Jakże się mylisz, biedaczko, jakże się mylisz! Ale już było za późno na to, żeby wstać i odejść. Znowu obejmowała go za szyję, a jej spojrzenie było władcze i twarde.

Na początku nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby przesiadywanie Szeldy w szynku u Latala łączyć z Pavliną Cigoszową, która szorowała tam zaplute podłogi. Nie żeby miejscowe plotkary nie mogły wyczuć pisma nosem, ale skupiły się na innej stronie życia pana inżyniera – na widocznej dysharmonii w jego małżeństwie. Temu również przypisywały jego opilstwo. Zachowywał się jak każdy chłop, który ma piękną, ale niezadowoloną i kapryśną żonę.

W Żelarach nie było mężczyzny, który by do niej nie wzdychał. Była delikatna, pachnąca, przypominała nimfę i umiała tak się uśmiechać, jakby ten, który ją właśnie pozdrowia, był tym jedynym, na którego czekają całe życie. Nic dziwnego, że chłopom drgały grdyki i łamał się głos. Poruszenie, jakie budziła, dało się niemal dotknąć, uderzało mężczyznom do głów, stopniowo, aż do upojenia, i było tylko kwestią czasu, kiedy inżynier skończy w jakimś parowie z majchrem wbitym między żebra.

Od oczekiwanego losu uchronił go fabrykant Każda, który powabną Aduszę wywiózł lśniącym autem nie wiadomo dokąd.

Inżynier, jakby się tego spodziewał, siedział tego dnia w szynku, a do domu wrócił nad ranem. Przywitały go wybebeszone szafy i kołyska pełna dziecięcego płaczu. Ada przez zapomnienie zostawiła mu roczną Lizinkę.

Wtedy Szelda zaproponował Pavlinie, żeby zgodziła się do niego za gospodynię. Był to policzek dla wszystkich cnotliwych żelarskich młódek. Bo Pavlina Jireszowa, przezywana Cigoszową, po mężu Lipkova, była dziwką, na której tutejsza opinia publiczna – w tych okolicach przecież dość tolerancyjna – nie zostawiła suchej nitki.

Nie dość, że zadawała się z mężczyznami przed ślubem (tym gorzej, że nikt o tym nie wiedział), to jeszcze zdeptała święty sakrament małżeński i uciekła z pierwszym, który jej się nawinał, a ściślej mówiąc – z kompanem jej męża od kart, Sztiepanem Grycem. Gryc teraz odsiaduje dożywocie za morderstwo. Wdał się w bójkę z włóczęgą Floryszkiem i w przeciwieństwie do niego miał to szczęście (czy nieszczęście, zależy jak na to spojrzeć), że uszedł z życiem. Pavlina, oskarżona o jakąś kradzież, spędziła w więzieniu parę tygodni, po czym odesłano ją pod strażą do rodzinnej wsi. Miejscowi włóczędzy znali każdy szczegół z jej życia. O to już zadbała towarzysza zabitego, stara, brudna łachmaniarka Sefka.

Jiresz, zwany Cigoszem, publicznie wyrzekł się córki, a swój gest przypieczętował pijatyką w szynku, w towarzystwie tak samo jak on myślących i tak samo urzęniętych kompanów.

Szynkarz, jej stryj, ulitował się nad nią i pozwolił, żeby za wikt i legowisko na spleśniałej słomie na strychu harowała u niego od rana do wieczora.

Jednak grzechy Pavliny nie były takie jednoznaczne. Wszyscy wiedzieli, że Sztiepan wygrał ją od Michała w karty. Wielu uważało to za dość istotny fakt.

Tak więc Szelda, inżynier z kopalni w Szadovej Hucie, wprowadził Pavlinę do swojego domu – nowiuteńkiej, luksusowej willi postawionej z posagu żony, z ogrodem zaprojektowanym przez architekta.

Ten czyn, uważany za desperacki, wyłączył go z grona osób, które jako tako dbały o swoją reputację.

Inżynier Szelda w ogóle się tym nie przejął.

Na całej aferze najbardziej skorzystała kilkumiesięczna Lizinka. Garnęła się do Pavliny i nie przeszkadzało jej, że to rozpustnica. Pavlina kochała ją miłością niewolniczą (do innej, jak sądził jej pan, nie była zdolna). Pozwalała, żeby wkładała jej paluszki do oczu i ciągnęła ją za włosy. Kiedy mała dostała kolki i płakała tak, że piastunce ścisnęło się serce, czuwała przy niej całą noc. Po kryjomu pobiegła do Lucki i przyniosła zioła, które małej od razu przyniosły ulgę.

– Widzę, że panienka zrobiła sobie z ciebie niewolnicę – strofował ją inżynier.

– Płacze – broniła się słabo.

– Zostaw ją, niech się wywrzeszczy. I nie patrz na mnie jak na wilkołaka.

Wszystko jak groch o ścianę. Przynajmniej rozwiązał jej z tyłu tasiemki od fartucha. Nie mogła ich zawiązać z małą na rękach, więc tylko zmieszana zamruwała powiekami i zaczerwieniła się.

Przyszło mu do głowy, że powinien się z nią ożenić. Jego pierwsze małżeństwo właśnie skończyło się rozwodem. W jego sytuacji nic by to nie zmieniło, ale w sytuacji Pavliny zmieniłoby wszystko.

Kiedy wspomniał o ślubie, ogarnęła ją panika. Odmówiła, zrozpaczona, że odmową go upokarza. Nie mógł patrzeć, jak cierpi, ale też nie potrafił temu zapobiec.

– Pan wie, kim jestem – powiedziała.

– Wiem.

Oboje mieli na myśli co innego, ale uświadamiał to sobie tylko Szelda. Miał rzadką zdolność: wiedział, co myśleć o ludziach, bez wysłuchiwania plotek. Co jeszcze ciekawsze, wiedział też, co myśleć o sobie samym.

Zwątpił w to, że Pavlina go zrozumie. Teraz mógł ją tylko wygnać. Albo jej wybaczyć. Wybrał to drugie.

Czasem pozwalał jej się wypłakać, chociaż najbardziej ze wszystkiego irytowały go łzy. Jedyną rzeczą, której pod żadnym pozorem nie mógł znieść, było niepotrzebne gadanie. Pavlina jednak odzywała się rzadko, przeważnie tylko wtedy, kiedy chciał jej słuchać.

Po tych odrzuconych oświadczeniach uznał, że powszechna pogarda jest dla Pavliny warunkiem egzystencji. Gdyby chciał ją zabić, wystarczyłoby, żeby powtarzał, że nie jest dziwką. Miał dość rozumu, żeby nie podejmować walki z demonami. W głębi duszy wierzył, że Pavlina sama przejrzy na oczy – była to jedna z niewielu pomyłek, które popełnił.

Do swojej kochanki odnosił się dobrze. Okazywał jej względy, na które sobie zasłużyła, a które byłyby dla niej źródłem cierpienia, gdyby mogła je zrozumieć.

– Pan jest niezwykle dobry – mawiała. Uważała go za świętego. Zazwyczaj zostawiał to bez komentarza. Tylko raz odważył się zaprotestować.

– Nie jestem dobry. Kocham cię.

Powiedział to zwyczajnie, jak każde inne zdanie. Zamarła.

– Nie! – krzyknęła zmienionym głosem. Na skroniach miała krople potu. Odeszła pod jakimś pozorem, żeby nie widział, jak dygocze.

Nie poddawał się łatwo emocjom, ale tym razem ukrył twarz w dłoniach. Przed oczyma mignęła mu Adusza z wyniosłym uśmiechem na pięknej twarzy. To go sprowadziło na ziemię. Wyobraził sobie, co by było, gdyby Pavlina miała dostęp do fryzjerów, salonów mody i perfumerii. I gdyby to wszystko, co tak sobie ceni, zaczęło się rozpyływać w bezbrzeżnej pustej gadaninie. Adusza należała do ludzi, którzy przez całe życie wyznają tylko jedną prawdę: tę swoją. I dlatego przez całe życie nie znajdują u innych zrozumienia. Uważają, że na tym polega ich wyższość.

Uważają też, że winę za to ponoszą ci inni.

Adusza nie wierzyła, że Szelda mógłby odrzucić, jak mówiła, takie uczucie. Musiałby być szaleńcem, żeby razem z tym uczuciem wzgardzić też pieniędzmi, pozycją społeczną, po prostu wszystkim, co miało jakąś wartość.

Szelda nie był szaleńcem.

– Czego jeszcze chcesz?

– Niczego.

Uznała to za bunt. Za przejaw niespotykanej pychy. Ale Szelda nie buntował się i nie cierpiał z powodu zranionej dumy. Nie odgrywał przed nią żadnej komedii.

Właśnie dlatego nie mogła mu uwierzyć.

– Nie kochasz mnie! – Ten zarzut sama uważała za absurdalny. Czekwała na pokajanie.

– Dlaczego nic nie mówisz? – wymusiła z gardła fałszywy dźwięk.

Milczał. Moja droga, my nie mówimy kobietom, że ich nie kochamy. Żeby zrozumiały, jak się sprawy mają, wystarczy nie mówić, że je kochamy. Kochać cię, to znaczy stać się twoim wasalem, a do tego nie zostałem stworzony. Chcesz mnie zamknąć w kręgu, w którym byłbym zgubiony. Na szczęście widzę jego granicę.

Kiedy go porzuciła, odetchnął z ulgą. Klótnie go wyczerpywały.

Znowu zaczął grać na fortepianie.

Dawniej grał całkiem nieźle.

Muzyka była źródłem pocieszenia i radości także dla Pavliny. Śpiewała cichym, trochę stłumionym głosem, ale czysto.

Na palcach podkraść się do drzwi od kuchni i lekko je uchylił.

Obawiał się, że Pavlina się przestraszy. Rzeczywiście się przestraszyła.

– Co śpiewasz?

– Taką piosenkę od koszenia trawy. Dziewczęta nawołują się nią przez góry.

– Śpiewaj dalej.

– Nie, już nie.

Przeleżała się, że będzie nalegał, nie nalegał więc.

Wiele jej piosenek przypadło mu do serca i próbował je zagrać na fortepianie. Wśród górskich melodii rozróżniał dwa rodzaje: zawodząco smutne oraz pulsujące dzikim rytmem.

Pavlina śpiewała tylko te melancholijne.

Lubiła przesiadywać w pokoju, kiedy grał. Nie wstydził się jej. Czasami, kiedy się pomylił, szczyrzył do niej zęby w uśmiechu, ale ona patrzyła na niego z podziwem. Przyszło mu do głowy, że słuchałaby go z takim samym przejęciem, gdyby walił rytmicznie kawałkiem drewna o pieńki.

– Proboszcz to jest dopiero genialny muzyk – westchnął. Pavlina jest zdania, że inżynier gra wcale nie gorzej niż proboszcz, a różnica wynika z tego, że grają na innych instrumentach.

W niedzielę chodziła do kościoła, w obie strony ze spuszczoną głową, ale przynosiło jej to ulgę. Zastanawiał się, jaki jest jej Bóg.

– Ciekaw jestem, jak z tobą rozmawia ksiądz.

– W ogóle ze mną nie rozmawia – odpowiedziała ze szczerym zdziwieniem. Przez oczy przemknął jej cień.

– To znaczy, przy spowiedzi.

Krew jej napłynęła do twarzy.

– Mówi, że Bóg jest miłosierny... i że da mi siłę...

– Do czego?

– Trwam w grzechu.

Zagryzła wargi.

– To ci mówi? – drażył. – Że trwasz w grzechu?

– Nie, on nie. Z tego się spowiadam.

– Za każdym razem tak samo?

– Tak.

– A on co? Za każdym razem mówi to samo?

– Tak.

Proboszcz jest mądrym, bardzo mądrym człowiekiem.

– Ja jestem bezbożnikiem, Pavlino. Nigdy się nie kajałem. Z całą pewnością będę zgubiony.

Pokręciła głową.

– Bóg jest miłosierny.

Policzki jej płonęły.

A więc rozmawia z księdzem i o mnie. Modli się też za mnie.

Ta myśl nie była mu nieprzyjemna.

Kochał ją, tego był pewien. Zależało mu na niej jak na żadnym innym człowieku na świecie. Myślał o niej wśród pobrzękiwania wózków na szychcie, myślał o niej w swoim biurze, słyszał jej głos, widział jej twarz.

Jego miłość przeżyła ciężką próbę – jedną histeryczną scenę.

Którejś nocy posłano po niego z kopalni, w „Annie Marii” zdarzył się wypadek. Szybko się ubrał, a kiedy schodził po schodach, wybiegła do niego Pavlina. Zagroziła mu drogę. Mówiła mu na ty. Zmieniła się nie do poznania.

– Nie wolno ci iść do „Anny Marii”! Ona cię zabije! To przeklęta kopalnia!

– Dziewczyno, opamiętaj się, nic mnie nie zabije! Nawet nie wiem, co się tam stało!

– To przeklęta kopalnia!

Nie wiadomo skąd wzięło się w niej tyle siły.

– Uspokój się! Muszę iść.

– Weź mnie ze sobą.

Takiej jej nie znał.

– Chodź – ustąpił. Czas naglił, nie miał wyboru. Nie zniósłby takiej sceny, gdyby wywołał ją ktoś inny. Na inną kobietę po czymś takim nie mógłby nawet spojrzeć.

Teraz czuł zakłopotanie, strach i zdumienie. Stworzenie, które mu łąkało w ramionach, nie budziło w nim wstrętu.

– Pavlino – powtarzał bezsilnie – ach, Pavlino!

– „Anna Maria” cię zniszczy!

– Nie zniszczy, jeżeli będziesz ze mną.

Wcale z niej nie drwił i ani trochę nie było mu do śmiechu.

Czekała na niego w ciemnościach kilka godzin. W kopalni nastąpił mały zawał. Kiedy zjechał pod ziemię, przypomniał sobie o niej i przez cały czas był niespokojny.

Kiedy wrócił z mokrymi włosami – najpierw wziął prysznic – była przemarznięta, ale już spokojna.

Bez słowa zapuścił silnik w swoim starym rzęchu. Dotknęła jego ręki. – Nic wielkiego się nie stało – odpowiedział. – Już po wszystkim. – A ponieważ w jej twarzy przeczytał jeszcze jedno pytanie, dodał: – Nikt nie został ranny.

Odetchnęła z ulgą.

Potem już nigdy nie mówiła mu na ty. Nakłaniał ją do tego, ale nie dała się przekonać.

Lubił się z nią drażnić. Rozwiązywał jej fartuch, wicherzył włosy, gryzł ją w ucho. Śmiała się z tego beztrąsko. Mogło się wydawać, że traktuje go jak dziecko. Ale kiedy luzował jej tasiemki przy bluzce – wiązała je tak mocno, że wrzynały się jej w szyję – oblewała się rumieńcem. Przestał, dopiero kiedy zobaczył łyzy. Potem tulił ją w ramionach, długo i w milczeniu. To było dla niej największym szczęściem.

Czasami wydawało jej się, że czymś go rozgniewała. Wtedy osuwała się na kolana, jak ich pierwszego dnia.

– Niech się pan nie gniewa.

Już wiedział, że w takiej sytuacji może zrobić jedno. Roześmiać się i powiedzieć:

– Dajże spokój!

Miał to sobie za złe, ale nie mógł się przemóc, żeby czasami nie zażartować z jej niewiarygodnego wstydu. W czasie letnich upałów chodzili nocą kapać się w rzece. On wchodził do wody nagi. Pavlina zakładała śmieszny ubiór, przypominający dwa połączone fartuchy. Obie części zapinały się na guziki, które on z upodobaniem rozpinął. Woda w rzece była zimna, parzyła w skórę i wypędzała ich z powrotem na nocne powietrze, które wydawało się ciepławe.

Lubił wynosić Pavlinę z wody na rękach, co było nie lada wyczynem, bo brzegi rzeki były strome i śliskie, w niektórych miejscach podmyte. Woda z jej fartuchów spływała mu po ciele. Pavlina wycierała się za krzakami, skąd wychodziła ubrana, z mocno zawiązaną tasiemką.

Potem szli się trochę powłóczyć, wędrowali po całych Żelarach, oświetlonych lodowatą poświatą. Przed oczyma mieli widoki jak ze snu. Pavlina na chwilę wyrwała się ze swojego życia, wychodziła z niego jak z rzeki, wolna i upojona pięknem świata, jakie stwarzała obecność ukochanego.

Sekundy gnały, a Jan Szelda, który miał władzę również nad swoim sercem, uświadamiał sobie, że każda z nich jest prawdziwa i nieuchwytna.

3

Niektórzy domyślali się, i całkiem słusznie, że Pavlina znalazła się w willi Szeldy tylko na próbę. Byli przekonani, że inżynier lada moment zacznie żałować swojej pochopnej decyzji.

Dlatego Michał Lipka nie zwlekał – miał nadzieję, że przy tej okazji uda mu się coś z inżyniera wycisnąć. Przyszedł niemal trzeźwy i ogolony, co nadawało mu dziwny wygląd, bo razem ze szczecinią usunął z połowy twarzy również i brud.

Szelda wysłuchał kilku bełkotliwych zdań o tym, że Pavlina jest jego prawowitą żoną, po czym ostro zakończył całą rozmowę.

– Wynos się, zanim cię spuszczę ze schodów.

Michał wziął sobie te słowa do serca. Zadowolił się tym, że ma wszystkie kości całe.

Stary Jiresz poczynał sobie ostrożniej, ale z równym niepowodzeniem. Nalegał na księdza, żeby wkroczył do akcji, ale ksiądz go zbył. Pavlina jest legalnie zatrudniona, a za swoją służbę dostaje zapłatę.

– Ale za jaką służbę! – użalał się Jiresz.

– Prowadzi dom i zajmuje się małą – twierdził niezłomnie ksiądz. Przypomniawszy czternastoletnią Cyganekę, której zawdzięcza swoje przezwisko, i zapytał, za co jej płacił, skoro w domu nie ruszyła nawet palcem.

Wszyscy myśleli, że Pavlina połknęła propozycję inżyniera jak ryba tłustego robaka. Ale prawda była inna. Przywiodło ją do niego współczucie i niezrozumiały żal, że przesiaduje w knajpie, śmierdzi wódką i zatacza się. Absurdalnie – jak to często zdarza się tym, którzy za bardzo się zżyli ze swoim poniżeniem – uważała, że to jej wina. Bo powiedział jej: Chodź ze mną, a ona nie poszła. Inżynier był wobec siebie szczerzy. Kiedy ją rozpoznał u Latala, przyznał przed sobą, że go do niej ciągnie. Pavlina nosiła swoje potępienie jak królewską koronę.

Zagadnął ją.

Ona też go poznała i przestraszyła się.

Jej obecność w cuchnącym szynku zaczęła go irytować. Nigdy przedtem nie słyszał głosów innych osób w gospodzie. Teraz je słyszy, wymierzają mu ciosy prosto w skronie. Pije i nie może się upić.

Pavlina wyciera stół, na którym przewrócił szklankę.

Opanowuje pokusę, żeby chwycić ją za nadgarstki, żeby coś się wreszcie stało.

Jest nad ranem, Pavlina jeszcze zmywa podłogę, Latal szczerzy rzadkie żółte zęby.

– Zamykamy, panie inżynierze.

Roztrzaskać mu głowę! Ale ruchy inżyniera są niemrawe, ledwie się może podnieść. Trzy kroki za progiem w ciemności natknął się na Pавлиnę.

– Marnujesz sobie życie! – szepnął z naciskiem. – Chodź ze mną.

Cofnęła się i zniknęła w mroku.

Idzie sam piaszczystą drogą, na której smaga go wiatr.

Po kilku dniach, znowu w ciemnościach, zadzwoniła do jego drzwi. Nie wiedział, co powiedzieć, więc wziął ją za rękę i przeprowadził przez próg. Bez jego pomocy nie mogłaby go przestąpić.

Zaprowadził ją do kuchni. Było tam napalone, a w dziecięcym łóżeczku spała Liza. Kiedy pochyliła się nad dzieckiem, objął ją za plecy. Jest chłodny, wyrachowany, dobrze wie, co robi, zachowuje się jak łajdak i tak ma być, to jest karta, na którą postawił i która wygra, bo Pavlina Cigoszova jest kiepskim graczem.

Pewnie za parę dni cię wyrzucę.

Pokoik dla służby był otwarty, zresztą w ogóle się nie zamykał. Przemknęło mu przez głowę, że żelazne łóżko jest wąskie i że pościel jest z innego materiału niż ta jego, na górze. Nigdy przedtem nie zwracał uwagi na takie rzeczy.

Zanurzył palce w jej włosy i wyczuł niezagojoną ranę. Jego zamiary wzięły w łeb.

– Kto ci to zrobił?

– Uderzyła mnie szczapa, jak rąbałam drewno.

Na pewno.

Mówiła z trudem, ale spokojnie, zupełnie jakby oznajmiała mu jakąś najzwyczajszą rzecz. Odwrócił jej twarz w swoją stronę.

Zobaczył ją taką, jaka była naprawdę. W jednej chwili zrozumiał, że wystarczy jedno słowo albo jeden ruch, a straci ją na zawsze.

– Jutro cię zawiozę do lekarza.

Wiedział, że nigdzie jej nie zawiezie.

– Nie. Już się goi.

– Pokaż. Trochę ci to przemyję.

Przyniósł z łazienki wodę utlenioną i gazę.

– Szczypie?

– Nie.

– Jeszcze ci to zasypię, żeby nie zaczęło się paskudzić.

Po raz pierwszy w życiu wypowiedział niepotrzebne słowa, tylko dla samego ich brzmienia, a może z powodu ukrytego znaczenia.

– Ile lat ma twój ojciec?

W ogóle go to nie interesowało.

– Pięćdziesiąt trzy.

– A ty?

– Dziewiętnaście.

Taka młoda!

– No już. Jutro założymy opatrunek.

Jego czuwający mózg wysyłał mu rozpaczliwe sygnały. Pleciesz bzdury! Skończone bzdury!

Mimo to mówił dalej. Przeżywał słodycz buntu.

Dopóki nie zaczął bywać w żelarskiej gospodzie, gadatliwość uważał za przywarę kobiecą. Chociaż kiedyś godzinami grywał z matką w szachy. Bez słowa. Matki jakoś nie zaliczał do kobiet.

W knajpie zauważył, że gadulstwo chłopów jest takie samo jak babskie. Niewielka różnica polega na tym, że kobiety przeważnie narzekają i powierzają sobie tajemnice, mężczyźni natomiast przechwalają się i naprawiają świat.

Dlatego upodobał sobie Vilema Svojsika, który siedział w kącie przy piecu, upijał się i nie odzywał się ani słowem.

Mówił i mówił, Pavlina odpowiadała, w ten sposób wychodzili sobie naprzeciw, każde z nich ze swojej samotności.

Rozmowa rzecz jasna była o niczym.

Nad ranem zakwiliła Liza, trzeba było zacząć nowy dzień.

Zanim poszedł na górę, żeby jeszcze na krótko przyłożyć głowę do poduszki, Pavlina szepnęła: – Niech pana Bóg błogosławi.

Po kilku dniach już wchodziła za nim po schodach. Przyjął to jako dar i nie żądał wyjaśnień.

Wkrótce tak się zbliżyli, że nie mógł wytrzymać u siebie na górze, przesiadywał z nią w kuchni, kiedy kapała małą, gotowała albo szyła, i odkrywała przed nim stopniowo całą swoją drogę krzyżową.

Była jedynym dzieckiem starego Jiresza, ściślej mówiąc – jedynym, które przeżyło wiek niemowlęcy. Kiedy miała piętnaście lat, umarła jej matka, a w rok później Jiresz oszalał na punkcie Cyganki. Spotkał ją nad potokiem, łowiła pstrągi. Było ciepło, więc stała w wodzie naga.

Zaproponował, że pokaże jej szałas myśliwski. Nie spotkał się z odmową.

Potem odwiedzali szałas codziennie. Jiresz znosił jej prezenty, na początku tanie, potem coraz droższe. Tego dnia, kiedy Cyganie zwijali obozowisko za wsią – gmina pozwalała im zatrzymać się tylko na krótko – zaskoczyła ich rozczochrana baba, podająca się za matkę Magdalenki. Uderzyła w lament, któremu towarzyszyły dramatyczne gesty. Jiresz zrozumiał, że Magdalenką ma być jego śniada pięknotka, która przedstawiła mu się jako Gita.

Jak złotego pieniążka jej pilnowałam, a teraz zejdzie na psy, dziecko piętnastoletnie!

Siwiejący kochanek nie mógł się zorientować, w co wdepnął, zabrakło mu rozumu. Zapłacił za Gitę jak za owcę.

Cyganie odeszli, a Gita-Magdalenka zamieszkała w jego domu. Spodobał się jej jego warsztat stolarski, duży dom, a także młody czeladnik Michał Lipka.

Urabiała starego, jak chciała. Ledwie się trzymał na nogach, ale był szczęśliwy. Dopiero gdy przyłgnęło do niego przezwisko Cigosz-Rogacz, zaczął coś podejrzewać, a że nie potrafił problemu rozwiązać inaczej, ożenił Michała ze swoją córką Pauliną, nawet nie pytając jej o zdanie.

Cyganeczka wytrzymała z Jireszem jeszcze jakiś czas, dwa razy od niego uciekała i dwa razy wracała, zawsze przyjmowana z otwartymi ramionami. W końcu zamiast niej pojawił się rostry Cygan, jedna wielka kupa mięśni, a z nim tak samo jak on wåsaci i umięśnieni towarzysze.

– Musisz się wypłacić, ojczulku, sypiałeś z moją żoną.

– Wynocha – rozkazał Jiresz, a Cyganie tylko się przyjaźnie uśmiechnęli, ukazując śnieżnobiałe zęby.

– Teraz sobie pogadamy jak chłop z chłopem.

Jiresz ocenił swoje szansę i zrezygnował z rozmowy. Wieś uznała, że uszło mu na sucho.

Wizyta już się nie powtórzyła.

Michał Lipka okazał się niespotykanym okrutnikiem. Do żony odnosił się tak, że miał mu to za złe nawet jego wierny przyjaciel Sztiepan Gryc, którego Michał przyjął pod swój dach tylko po to, żeby mieć kompana do kart.

Zmaltretowana Paulina w końcu od niego uciekła. Sztiepan odszedł razem z nią. Zamierzał się ustatkować, ale że był z niego awanturnik i miał trudny charakter, jego zamysły się nie powiodły. Oboje dołączyli do dwójki włóczęgów, którzy żyli gdzieś w górach, a po miesiącu upodobnili się do nich nie do rozeznania. To wszystko Szelda wiedział już wcześniej, z szynkarskich plotek.

O Michale Paulina nic nie mówiła, o Sztiepanie mało co. Był porywczy, ale dobry, orzekła. To właściwie określało jego naturę.

Inżynier nie był ciekaw ani Sztiepana, ani Floryszka, ani Sefki. Rozumiał, że Paulina musi się przed nim wypowiadać, skoro uważa, że jest mu to winna.

Wyłaniała się przed nim z mętnej wody.

Z całej trójki najczęściej wspominała Floryszka. Włóczęga, nieodgadnionego wieku i takiejż narodowości. Miał mnóstwo dokumentów na różne nazwiska. Spod jego nieustannych żarcików wyzierała niebezpieczna otchłań.

Do Sefki mówił „matko”, a Pavlina naiwnie spytała, czy naprawdę jest jego matką. Stara odparowała jej gburowato, że będzie trwało wieki, zanim zrozumie, że dwa i dwa jest cztery. Poza tym nie zdradziła jej nic.

Do Pavliny Floryszek odnosił się z takimi względami, jakich nie okazywał jej jeszcze nikt w życiu. Rozpieszczał ją na swój sposób. Przy nim czuła się bezpieczna, jakby miał władzę nad całym światem. Kiedy długo nie mogła usnąć, siadał koło niej.

– Dlaczego nie śpisz, owieczko?

Mówił do niej: pączusku, listeczku, za każdym razem inaczej.

– Boję się, stryжку.

– Nie ma czego, złotko.

Poczuła, że naprawdę nie ma czego.

Opowiadał jej o najzwyklejszych rzeczach, a wszystkie były ważne. Ale nie ściszał głosu, a Pavlina drżała, że obudzi Sztiepana albo Sefkę. Za dnia stary włóczęga był cały ciemny – miał ciemną twarz, włosy, nawet głos. Teraz ciemność starła ciemność i jego twarz jarzyła się dziwnym światłem.

Wiedziała, że po nim można się spodziewać wszystkiego.

Mówił świetnie po czesku, czasem tylko potknął się o jakieś obce słowo.

Nie upijał się. Co mógłby wygadać po pijanemu?

Jak się naprawdę nazywa?

Żadnego z tych pytań nigdy nie zadała.

Sztiepan boi się go i jednocześnie nienawidzi. Floryszek nim gardzi.

W każdym jego zdaniu jest tyle samo prawdy, co kłamstwa. Mam się go trzymać, czy raczej unikać?

To prawda, że jestem na jego łasce.

Za Szadovą Hutą koło karuzeli spotkali starego cyrkowca. Floryszek go poznał, rozmawiali w jakimś obcym języku.

Od cyrkowca zalatywało rozpustą, śmiał się obrzydliwie i pokazywał przy tym ruinę zębów. Chciał ich oboje zaprosić do swojego wozu, ale Floryszek odmówił. Dłoń, która już-już miała dotknąć biodra Pavliny, chwycił i przytrzymał w powietrzu.

Popatrzyli sobie w oczy, przeleciał między nimi grom.

Pavlinę takie spojrzenie powaliłoby na kolana. Cyrkowiec tylko wyrwał rękę z dłoni Floryszka i wzruszył ramionami. Porozmawiali jeszcze chwilę i chociaż tym razem mówili po czesku, Pavlina nic nie rozumiała.

– Pracowaliśmy kiedyś razem – wyjaśnił potem Floryszek.

– Wcale nie jesteście do niego podobni, stryжку.

– Naprawdę, Pavlinko?

Wyglądał na rozbawionego. To, co widziała przedtem w jego oczach, już nie było prawdą.

– Co robiliście w cyrku, stryжку?

– Byłem za klauna, pączuszku. Nic innego mnie tak nie bawiło.

Floryszek nie miał w sobie nic z błazna.

– Pobujamy się na huśtawkach, chciałybyś, pierścioneczku?

Chciała i nie chciała.

Huśtanie było, jak się tego obawiała, szaleńcze. Za każdym razem, kiedy głową wylatywała pod niebo, żołądek podchodził jej do gardła.

Aż nagle odkryła w tym upojenie.

Zabawę przerwał im właściciel huśtawek.

– Zwariowaliście, do cholery? Powypadacie i kto pójdzie siedzieć?!

Floryszek powiedział mu kilka słów w obcym języku, a mężczyzna skinął głową na znak, że rozumiał. Na ziemi Pavlinie ścisnęło się serce, już myślała, że zwymiotuje. Floryszek wziął ją za rękę. Jakby na rozkaz żołądek się uspokoił, ale rozedrgały jej się nogi.

– Usiądziemy sobie, kamyczku. Tam, przy tym stole.

Przyciągnął dla niej krzesło i zawołał kelnerkę.

– Dwa razy parówka z bułką, urodziwa pani.

Gruba kelnerka oblała się rumieńcem. Floryszek wiedział, jak kogoś oczarować, miał to we krwi.

– Żywił nas wszystkich – powiedziała Pavlina, której jeszcze teraz myśl o tym sprawiała ból. – Dwa miesiące nas żywił.

– Jak?

– Nie wiem – przyznała. – Nosił na szyi taki kramik, jak mają bośniaccy handlarze, ale zawsze wszystko porozdawał dzieciom.

Patrzyła na Szeldę zmieszana, jakby dopiero teraz zrozumiała tę sprzeczność. Inżynier się roześmiał.

– Kiedy w „Annie Marii” był strajk, Sztiepan zgłosił się na łamistrajka...

Szelda nie okazał, co o tym myśli.

– ...i to był koniec wszystkiego. Pobili się o to z Floryszkiem.

Inżynier spróbował ukryć przerażenie.

– Sztiepan ubliżał Floryszkowi, ten milczał. Coś mu odpowiedział, potem zamilkł i ręce opadły mu wzdłuż ciała.

Głos Pavliny jest bezbarwny, suchy, słowa wypowiada tak, jakby wypluwała piasek.

– Poruszył się dopiero wtedy, kiedy Sztiepan wyciągnął nóż. Powiedział: Szaleńcze!

– Nie musisz mi tego opowiadać – powiedział Szelda, widząc, że ma czoło mokre od potu.

– Chcę, żeby pan to wiedział. Jednym zamachem wytrącił Sztiepanowi nóż... potem ścisnął mu nadgarstki i powalił go na ziemię.

Pavlina krzyknęła, żeby nie robił mu krzywdy, i uwiesiła mu się u nóg. Sztiepan wykorzystał ten moment, kiedy Floryszek nie mógł się ruszyć. Zadał mu kilka ciosów. Floryszek jeszcze chwilę stał wyprostowany, potem pochylił się, jakby chciał coś podnieść.

Sefce skamieniało spojrzenie. Zrozumiała, co się stało.

Sztiepan stał na rozstawionych nogach, w rękę miał nóż, na twarzy malowała się ulga.

Po minucie czy dwóch zaczął dygotać ze strachu.

Floryszek usiadł na kamieniu. Krew ściekała mu po nogach.

Opuścił bezwładnie ręce, jakby był zmęczony.

– Zjeżdżaj – powiedział, nie patrząc na Sztiepana. Patrzył na góry. – Mówię ci, zjeżdżaj.

Pochylił głowę i zwałił się na ziemię.

– Nigdzie nie uciekniesz! – krzyknęła Sefka. – Nawet gdybyś się zarył pod ziemią jak kret, ja cię dopadnę!

Sztiepan nie zamierzał uciekać. Pozwolił zaprowadzić się na posterunek żandarmerii jak zbłąkane dziecko.

– Zabiłam ich obu.

– To nie twoja wina! – powiedział Szelda z największym przekonaniem, na jakie mógł się zdobyć, i zamknął jej dłonie w swoich.

Posłała mu uśmiech, w którym było przerażenie.

4

Pavlina Cigoszova zniknęła z Želar tak samo nagle i tajemniczo jak żona inżyniera Szeldy. Jej zniknięcie łączono z wizytą we wsi przeoryszy z pobliskiego klasztoru, ale może uległo się to tylko w głowach dwójki wystraszonych dzieci, bo nikt inny jej nie widział.

Lizinka nie pamiętała swojej niani. W pamięci utkwilo jej jakieś bardzo dawne Boże Narodzenie, kiedy dostała w prezencie haftowaną sukieneczkę – potem bardzo płakała, a tatuś płakał razem z nią. Nie za bardzo wierzyła temu wspomnieniu. Tatuś nigdy nie płakał.

Ale haftowana sukieneczka pozostała, pieczołowicie przechowywana i prawie nowa. Liza wiedziała, że nie wolno jej pobrudzić, że jest bardzo cenna. Czasem wyjmowała ją z szafy i nie mogła się nadziwić, że kiedyś była taka mała.

Wiedziała także, że kobieta, która ją dla niej wyhaftowała, nazywała się Pavlina. Nic jej to imię nie mówiło.

Nie mogło. Wtedy mówiła do niej mamó.

Boże Narodzenie zawsze kojarzyło jej się z niezrozumiałym strachem. Było najsmutniejszym świętem w roku. Mimo że mogła ubierać choinkę i szykować szopkę, mimo że dostawała dużo prezentów, śpiewały z Bertą kolędy, a tatuś grał na fortepianie.

Zapamiętała dziwny smutek ojca, nieporadnie przed nią ukrywany. Nie rozumiała go. Oddalał się od niej – cały wieczór czuła się przy nim obco.

Kiedy położyli ją spać, długo nie mogła zasnąć. Wiedziała, że Berta za chwilę pójdzie na pasterkę, a potem wyjdzie z domu także i tatuś. Zawsze tak było.

Nie bała się samotności. Zostawały przy niej znane, wierne rzeczy, którymi umiała się bawić. Wystarczy, że ich dotknie, a już się łaszą. Ciemne lakierowane meble, zasłony, obrazy, a najbardziej – dywan z gęstym włosiem.

Weźmie sobie lustro i będzie się w nim przeglądać, jak chodzi na bosaka po dywanie. Stopy zanurzają się w mchu, a w lustrze wszystko jest do góry nogami. Unosi się w powietrzu pośrodku pokoju...

– Lizo – szepnęła Berta przez uchylone drzwi. – Śpisz?

Liza ani drgnęła.

Otworzyły się drzwi od sieni, owionął ją zimny jęzor. Berta nie domknęła drzwi od jej pokoju. Spiesz się.

Liza czeka i wstrzymuje oddech. Napięcie ustąpi, dopiero kiedy usłyszysz w sieni długie kroki ojca. Trwało to całą wieczność.

Potem zawsze zasypiała.

Dziś nie może usnąć.

Oprócz chłodu przedziera się do niej jeszcze coś – przeciągły ton. Nocny strażnik przytknął do ust pasterską trąbkę.

Wstała i przycisnęła nos do szyby. Widzi, jak ojciec idzie w stronę furtki.

Co się z nią dzieje?

Melodia, której nie można się oprzeć, wabi ją na zewnątrz.

Ogarnia ją strach, który rośnie i rośnie, już jest taki wielki jak Liza, już ją przerasta, już wypełnia cały dom.

Siła zakazu pęka, pęta opadły. Dziewczynka otwiera drzwi i wystawia twarz na brudny wiatr. Cofnęła się, narzuciła na piżamę wełniany szal Berty, był długi, więc owinęła się nim dwa razy. Przystąpiła próg i weszła w śnieg, idzie w kierunku dalekich światełek – to nad śpiącymi zaspami świecą się okna. Nie tylko Liza, dzisiaj cała wieś czuwa.

Strażnik trąbi na placu przy studni, w samym środku trójkąta, który tworzą kościół, szkoła i szynk. Głęboka studnia śpiewa razem z nim. We wsi nikt go nie słucha. Skończył trąbić i śpiewa kolędy. Śpiewa sam dla siebie. Wie, że Wigilia potrzebuje jego śpiewu. Kiedy odśpiewa już wszystkie pieśni, które ostały się w jego starej głowie, ruszy w kierunku kościoła, ale nogi poniosą go do szynku.

– Przechodziłem obok, to i wstąpiłem.

– Znowu na krechę? – warknął szynkarz, który czytał mu w myślach.

– Już zapomniałeś, jak mi wyciągałeś z kieszeni szóstaki? Jak byłeś gówniarzem? Ty bezbożniku, idę się pomodlić przed krzyżem za twoje grzechy. Zahaczyłem o tę budę, bo stała mi na drodze. Nie pilno mi do tych twoich zlewek.

– Nie gadajcie tyle, dziadku.

Strażnik usiadł na ławie. Latal przyniósł mu szklaneczkę.

Naści, wszarzu. Kiedy indziej bym cię wyrzucił, ale dzisiaj z nieba mi spadłeś. Dziś gospoda należy do ciebie i do inżyniera. Nawet nie zauważyłeś, że tu siedzi i zalewa się w trupa, tobie jest wszystko jedno, ty nie masz nikogo, na ciebie nie czekają z kolacją, chłaj, wymyślaj, przeklinaj, tak jak ja przeklinam w duchu! Szelda tak boleje za Pavliną, za dziwką Pavliną, pamiętasz ją? Co mu ją przed laty ukradła przeorysza, a jeszcze wcześniej on ją ukradł mnie. Parszywe życie!

Latal wyciera szklanki, a ręce mu cierpną, jakby dotykał drutu pod napięciem. Mimo woli porusza suchymi wargami.

Stary patrzy w zamglone okno, za którym prószy śnieg.

Białe pierścienie miękko opadają na ziemię. Do rana znikną wszystkie ślady. Także ślady kapciuszków, już całkiem przemoczonych.

Liza dotarła do skupiska chałup pośrodku wsi i zagląda ludziom do okien. Staje się niewidzialnym świadkiem cudzych radości. Paczuski z zieloną gałązką już są rozpakowane.

Dostaną wielką lałę, chwaliła się Alenka Svojsikova.

I dostała ją, od stryja, który Lizę przyprawia o strach. Spotkała go kiedyś pod szkołą, wiatr rozwiewał mu czarne włosy, które opadały mu na twarz. Przywitała go, a Vilem spojrział na nią zaskoczony. Wiatr rozchylił mu koszulę, wyjrzała spod niej czerwona, jeszcze niezagojona rana. Tę krwawą szramę na zapadłych piersiach widziała jeszcze długo, kiedy zamykała oczy.

Liza szuka wzrokiem straszego stryja Alenki.

Znalazła go, nie wyglądał już tak strasznie. Miał na twarzy radość, dziecięcą, żywiołową i rozkrzyczaną. Radość na twarzy dorosłego przyciągnęła uwagę dziecka bardziej niż pobłyskująca świeatełkami choinka i cała ta świąteczna atmosfera. Być może właśnie to okno tak bardzo ją przyciągało, że zdobyła się na coś tak karygodnego, jak to, co zrobiła.

Utkwiła oczy w Vilemie Svojsiku. Ciemne rozczochrane włosy, wychudła twarz, broda z czarną szczecinią...

Alenka mówiła, że stryj wkrótce umrze.

Dostała gęsiej skórki.

Vilem zdejmuje palto z wieszaka na ścianie...

Kroki.

Odskoczyła od okna i stanęła twarzą w twarz z tym, kogo sama przywołała. Cienki płaszcz miał zapięty pod szyją, dłonie wciśnięte w szerokie kieszenie, wyglądał, jakby nie miał rąk.

– Co tu robisz?

Liza dygocze na całym ciele. Odpowiedź uwięzła jej w krtani. Odwróciła się i pędzi po marznącym śniegu.

Przed chałupą Lipków otrzepała sobie kapcie. Kiedy tak stała i trzymała się płotu, poczuła nagle falę gorąca. To osiołek Lipków patrzy na nią i chucha jej prosto w twarz. Zwierzę garnie się do ludzi, ma duszę przepelnioną wiarą w człowieka. Daje się prowadzić małej dziewczynce, która się do niego tuli. Przy studni trafili na ślady Vilema Svojsika. Prowadzą do karczmy.

– Panie inżynierze, widziałem na dworze pańskie dziecko.

Powieki Szeldy rozerwały się gwałtownie. Potrząsnął głową, jakby chciał z niej zrzucić jakiś ciężar.

Szynkarzowi zachwiała się w dłoniach na wpół wypełniona szklanka.

– Lize? Co by robiła na dworze?

– Nie wiem. Ale to była ona.

W głosie Vilema brzmiał nagły rozkaz. Szelda podniósł się z trudem.

– Dobrze, idę.

Starzec przy piecu zaczął śpiewać. Nad jego głową rozplywały się przeświecające na zielono kłaczki kurzu. Cień lampy przecinał na pół jego twarz.

Latał nabrał powietrza i poczerwieniał.

– Wy, dziadku, też. Wynocha.

Wyniósł go przez drzwi i rzucił w śnieg. Potem wytarł ręce w fartuch i zrobił krok w kierunku drzwi, za którymi wciąż jeszcze płonęły wigilijne świece. Zegar na ścianie pokazywał za dziesięć minut północ.

Vilem ruszył do kościoła i wmieszał się w tłum spóźnionych, którzy spieszyli na pasterkę.

Liza zakopała się w zimnej pościeli, poruszyła kilka razy zziębniętymi nogami, żeby ożywić w nich krew, naciągnęła na głowę pierzynę i chuchała ze wszystkich sił, żeby ogrzać łóżko. Pod palcami czuła miękkość oślej sierści. Uśmiechnęła się w ciemności, szczęśliwa, że mogła głaskać coś tak delikatnego, ciepłego i żywego, i że ten dotyk zabrała ze sobą.

Odprowadził ją do furtki. Oglądał się za nią, tak samo jak ona oglądała się za nim. Podbiegł do niej jeszcze raz, chciał, żeby go drapała za uszami. Ocierał się głową o jej ręce.

Gdyby należał do niej, wymościłaby mu legowisko na dywaniku koło łóżka, a pod głowę dałaby mu starą kołderkę.

Błogie wizje kołyszą ją do snu.

Coś brzęknęło. Poderwała się na łóżku. A jeśli zapomniała zamknąć drzwi?

Ciężkie kroki. Tatuś. Obudził ją zgrzyt klucza, zabrzmiał groźnie.

Kroki zatrzymują się przed jej drzwiami. Drzwi się otwierają. Liza z całej siły zaciska powieki.

Odkrył, że wychodziła?

Odchodzi. Nie odkrył.

Po raz drugi obudziła ją Berta. Ciemność pokoju przechodziła w szarość. Za oknem wciąż padał gęsty śnieg.

– Przynoszę kawę, proszę łaskawego pana.

– Precz, stara czarownico!

Hałas. Coś zrzucił.

– Jezu Chryste!

– Jezusa zostaw w spokoju, stara dewotko!

– Czarna kawa pomoże łaskawemu panu!

– Gównu mi pomoże! I jestem stary opój, a nie żaden łaskawy pan. Precz!

– Matko Boleściwa!

– Przestań wreszcie jęczeć, bo się porzygam!

Niedomknięte drzwi otworzyły się z hukiem. Berta uderzyła w nie łokciem. Liza opada na poduszki. Znowu pijany?

Śniadanie jedli koło południa, a kiedy ojciec zszedł do kuchni, dziecko aż się wzdrygnęło na jego widok. Miał worki pod oczyma i popielatą twarz.

– Tatusiu – pisnęła.

– Co znowu?

Na lewym policzku ojciec ma krwawą szramę. Liza wyciąga rękę, ciężką jak kamień. Szrama roztańczyła się migotliwie we łzach, które nie dały się powstrzymać.

– Płaczesz? Dlaczego? – powiedział ciężko. – Dziewczyno, powiedzże, o co chodzi?

– Tatusiu...

– Mów głośno!

– Tatusiu – mówi Liza jeszcze ciszej, chociaż chce jej się krzyczeć. – Skaleczyłeś się.

Przejechał dłonią po policzku.

– Nie skaleczyłem się. Pewnie na coś wpadłem. Nie patrz na to i jedz.

Liza z trudem przełyka kęsy. Dlaczego boi się tatusia? Nigdy jej nie uderzył. Żelarskie dzieci są bite, a nie boją się. Mogą wskoczyć ojcu na kolana, uwiesić mu się na szyi. Lizie nie przyszłoby do głowy zrobić coś tak świętokradczego. Jej tatuś jest zupełnie inny niż ci toporni mężczyźni ze wsi, którzy zamiast włosów mają jakieś wiechcie, jakby stworzone do tego, żeby targały za nie dziecięce ręce.

Za to Liza może być ze swojego tatusia dumna. Kiedy stanie się coś pod ziemią, wszyscy pytają: gdzie jest Szelda? Często zostaje na kilku zmianach, dopóki nie zrobi tego, co potrzeba.

Jego kopalnia „Anna Maria” przynosi największe zyski, ale też jest najbardziej zdradliwa. Tatuś walczy tam na dole ze złośliwymi kopalnianymi duchami, obcina jedną wyłazającą z ziemi mackę po drugiej. Kiedy Liza niesie mu cenzurkę do podpisu, robi to z pełną szacunku bojażnią. Ojciec przesuwając wzrokiem po wszystkich piątkach i z uznaniem leciutko targa ją za włosy. W takiej chwili pozwoliłaby się za niego pokroić na kawałeczki.

A może wcale nie o to chodzi.

Cenzurka to w końcu tylko kawałek papieru.

Spowiada się księdzu: grzeszyłam pychą.

– Czym się pyszniłaś?

– Cenzurką.

Zamiast nagany, pocieszenie.

Ksiądz nie zamiera ze zgrozy nad grzechami, które leżą jej na sercu.

Jest więcej niż łaskawy.

Może dlatego, że Liza jest dzieckiem Szeldy, jak kiedyś rzuciła jej w twarz Alenka Svojsikova, jej jedyna – i czasami obłudna – koleżanka.

Bawią się razem w sklep, grają w kiczki i w klasy, ale Liza najbardziej lubi czytać.

Zagłębia się w książkę tak, że nie może się od niej oderwać, czyta długo w nocy, aż literki zaczynają ją szczypać w oczy, a strony zachodzą mgłą. Nie może nie przeczytać do końca czegoś tak pasjonującego jak *Zamek i podzamcze* Nemčovej albo *Ćórka emigranta* Čečetki.

Zdarza się, że i w szkole widzi jak przez mgłę, zwłaszcza jeśli litery na tablicy są małe. Kiedyś pan nauczyciel wywołał ją do odpowiedzi, i to wtedy, kiedy akurat naścibolił coś drobnym maczkiem. Czytała z wypiekami na twarzy, źle, całkiem beznadziejnie, jąkała się jak Żenia Zarubova, wyęczała wzrok, żeby cokolwiek dojrzeć i zrozumieć, o co chodzi. Klasa wstrzymała oddech. Wszystkie oczy patrzyły na nauczyciela. Nawet chłopcy zaczęli uważać, chociaż do tej pory w ostatniej ławce bawili się nożem. Dostanie Liza łanie czy nie? Takie czytanie w jej wykonaniu to prawdziwe wydarzenie.

Jeszcze większym wydarzeniem było to, co zrobił nauczyciel.

Zamiast nakrzyczeć na Lizę, zamiast odwinąć się kościstą ręką, jak robił zawsze w takiej sytuacji, zwilżył gąbkę w umywalce, wytarł całą tablicę i zaczął pisać od nowa, dwa razy większymi literami. Liza się rozplakała. Płakała tak cichutko, że wcale nie było jej słyhać, ale pan nauczyciel odwrócił się, podszedł do jej ławki i powiedział: – Chodź ze mną, Lizo.

Wziął ją za rękę i wyprowadził z klasy. Widocznie posłał ją do domu, bo wrócił bardzo szybko, i dopiero wtedy się zaczęło. Jakby na cudzych grzbietach chciał wygarbować to, co winien był Lizie. Koścista ręka młóciła na wszystkie strony. Jej ciosy nie były jednak tak silne, żeby z rozczochranych głów wybić dzisiejszą sensację. Taka rzecz nie zdarzyła się jeszcze, jak szkoła szkołą. Liza Szeldova zapomniała, jak się czyta.

Może już jej tak zostanie?

Wszyscy jej tego życzą.

Niecierpliwie oczekiwany dzień jutrzejszy przyniósł rozczarowanie. Liza nie przyszła do szkoły. Pojawiła się dopiero po dwóch dniach. Klasa obserwowała ją z zaciekawieniem, a ona wyjęła czarny futerał, a z niego okulary.

Kiedy je założyła i rozejrzała się po klasie, wszyscy ryknęli śmiechem.

Wyglądała jak wystraszona żaba, kiedy tak siedziała skulona i cicha, schowana za okularami, w zielonej sukience. Nagle stała się tak samo godną pożałowania postacią, jak przygłupiasty włóczęga Brousek, za którym rzucali kamieniami.

Okulary!

Mieli ochotę ją wyszczyć, zemścić się za to, że pan nauczyciel ją wyróżnia, bo dobrze się uczy, jest ładnie ubrana i zawsze ma drugie śniadanie. Ktoś wrzasnął: Rzekotka!

W tej chwili do klasy wszedł pan nauczyciel, a jego oczy rozbłyły żądzą: stłuc wszystkich w klasie na kwaśne jabłko, jednego za drugim.

– Stało się coś śmiesznego? – zapytał głosem, od którego pot występował na skórę.

Odpowiedziało mu wyczekujące milczenie. Spojrzał na Lizę. Wypukłe szkła w ciemnej oprawce przydały jej twarzy nowych cieni smutku. Nauczyciel nie podzielał powszechnej wesołości, ale i jego spojrzenie mówiło: rzekotka. Okulary (we wsi nikt ich nie nosił, były pańską ekstrawagancją) wyłączyły Lizę z gromady dzieci. Nawet jeśli przywróciły jej dawne umiejętności, nawet jeśli koledzy z klasy nie mieli odwagi jawnie się z niej wyśmiewać.

Czuła się najszcześliwsza, kiedy wracała do domu. Wybierała najdłuższą drogę, pogrążona w przyjemnych marzeniach. Wyobrażała sobie, że jest królową Śnieżką, która gospodarzy w domku krasnoludków. Nie patrzyła pod nogi, często się potykała i upadała. Kiedy ból sprowadzał ją na ziemię, najpierw sięgała po okulary. Oglądała je dokładnie, czy się nie porysowały. Chociaż przez nie musiała znosić tyle przykrości, były dla niej niezwykle cenne i obchodziła się z nimi niemal z czułością.

Już się nie boi przezwiska Rzekotka. Tak mówi na nią czarnowłosy górnik, na którego codziennie czeka pod kopalnią w Szadovej Hucie i za którego oddałaby życie. Słyszał, jak ją dzieci przezywają, roześmiał się i powiedział:

– Rzekotka, piękne imię.

W jego ustach szumiało sympatycznie. Nie było tym samym słowem, które dzieci wykrzykiwały z ukrycia.

Liza dreptała koło niego, chroniona przez jego bliskość.

Jeden raz w jej krótkim życiu zaskoczyła ją szczodrość przypadku. Tego ranka, kiedy miała jechać do miasta do lekarza. Szykowała się pospiesznie, żeby tatuś nie musiał czekać. Naciągnęła jeden rękaw paletka, chwyciła torebkę, do której Berta włożyła drugie śniadanie. Usłyszała kroki i wybiegła do sieni. Zamiast tatusia stał tam Vilem Svojsik.

Tak ją to zaskoczyło, że nie mogła znaleźć drugiego rękawa. Pomógł jej założyć palto.

– Tatuś musiał zostać w kopalni – powiedział tak po prostu, jakby nie wiedział, że wywraca tym jej świat na nice. – Przyjechała komisja z ministerstwa. Nie będziesz się ze mną bać, prawda?

Liza chciałaaby odpowiedzieć, ale nie może wydusić z siebie słowa.

– Weź rękawiczki, na dworze jest zimno.

Dziecko wraca biegiem do swojego pokoju, przynosi rękawiczki i nawet nie myśląc o tym, co robi, podaje je Svojsikowi. Dopiero kiedy zaczął naciągać je na jej dłonie, zawstydziła się tak bardzo, że stanęły jej w oczach łzy.

Svojsik zachodzi w głowę, dlaczego mała ma takie wypieki i dlaczego, na miłość boską, płacze.

– Co się stało?

Zacisnęła zęby. Stara się szybko powstrzymać łzy, ale jest za późno. Vilem wyjmuje z jej torebki chusteczkę i wyciera jej nos.

Przy tym nowym upokorzeniu dziewczynka już cała dygocze. Ale prawdziwa męka dopiero ją czeka. Co prawda w drodze do Szadovej Huty troszkę się uspokoiła, opadł z niej śmiertelny strach i nawet zaczynała odpowiadać na pytania Vilema, aż tu nagle nowy cios – w pociągu zrobiło się jej niedobrze. Svojsik zaprowadził ją do toalety, tam zwymiotowała. Nic nie mówił, nieodwracał się, trzymał jej głowę i wytarł buzię. A Liza chciała umrzeć, zanim zobaczy w jego oczach obrzydzenie i wstręt.

– No i już – powiedział wesoło. – Co nam przeszkadzało, już sobie poszło.

Wytarł jej usta, poprowadził ją korytarzem i usadził obok siebie na ławce.

– Jadłaś śniadanie?

– Nie.

– Musisz coś zjeść, chociaż troszkę chleba.

Wyciąga z kieszeni zawiniątko, ale Liza już sięga po swoją torebkę. Wyjmuje kanapkę i od razu odgryza kawałek. Ręce jej drżą i jest tak przeświadczona o swojej winie, że najchętniej razem z chlebem rozgryzłaby samą siebie.

Vilem się uśmiecha.

– Lizo, z ciebie jest najgrzeczniejsze dziecko na świecie.

Jest oszołomiona tym, co usłyszała.

Koła pociągu powtarzają: Lizo, z ciebie jest najgrzeczniejsze dziecko na świecie. Chciałaby nim być. Chciałaby z całej duszy. Wyjęła termos.

– Herbatę też mam.

Za wszelką cenę musi się odwdziżyć.

– Może herbaty?

Napił się.

Koła pociągu nieustannie ją zapewniają: Lizo, z ciebie jest najgrzeczniejsze dziecko na świecie.

Dojechali do miasta. Vilem wziął Lizę za rękę i prowadził ją od witryny do witryny, aż doszli do pana doktora. Liza była zdjeta strachem, co się będzie działo. Ale pan doktor tylko się bawił kolorowymi krążkami, na których były litery. Kolory rozpoznawała dobrze, z literami było gorzej. Czytała fatalnie. Pan doktor marszczył czoło i kręcił głową. Gdyby nie było tam Vilema, który ciągle się do Lizy uśmiechał, na pewno by się rozpłakała.

Dostali karteczkę i było po wszystkim.

Potem kupili okulary, a Liza założyła je sobie na nos. Działy jak czarodziejska różdżka. Świat nabrał ostrości, dalekie przedmioty powiększyły się i przybliżyły.

Na ulicy było mnóstwo luster, a Vilem podnosił ją prawie przed każdym z nich. Widziała siebie pomiędzy kapeluszami, wśród bielizny, w otoczeniu klejnotów.

– Nawet nie wiesz, jak ci w nich ładnie!

Wiedziała.

Zaprowadził ją do sklepu z zabawkami.

– Wybierz sobie coś.

Sprzedawczyni, która sama wyglądała jak malowana lala, rozłożyła przed nią różne skarby: misia, lalkę w stroju Słowaczki, pieska...

Znosi różne rzeczy i zaczyna już się niecierpliwić.

Liza, która dotąd nie odezwała się ani słowem, złapała Vilema za palto.

– Wujku...

– Wybierz coś sobie!

Pokręciła głową.

– Nie chcesz żadnej zabawki?

Drżące usta Lizy skłaniają Vilema, żeby przestał nalegać. Przeprasza sprzedawczynię i wyprowadza dziwne dziecko ze sklepu.

Liza spuszcza oczy, czuje, że zrobiła mu przykrość, gotowa jest zapaść się pod ziemię z żalu, że nie umiała nic wybrać, że nawet nie odważyła się niczego dotknąć, że coś ją gnało precz od tych wszystkich wspaniałości, których było za dużo.

Czarny górnik chyba trochę ją zrozumiał.

– Nie przejmuj się, Lizo – powiedział pojednawczo. – Chciałabyś coś zjeść?

– Nie.

Vilem Svojsik, który zawsze radził sobie z dziećmi, teraz nie wie, co robić.

– Musisz coś zjeść, bo znowu zrobi ci się niedobrze.

– Zjem coś.

– Kupimy sobie kołacz i kakao, co ty na to?

– Dobrze.

Kiedy posilali się w barze mlecznym, Liza była tak rozgoryczona tym, że zawiodła Vilema, że odważyła się do niego odezwać.

– Gniewasz się na mnie, wujku?

– Dlaczego miałbym się na ciebie gniewać? Przestań się bać i uśmiechnij się.

Liza wkłada wszystkie siły w uśmiech, kąciki ust jeszcze jej drżą. Vilem uświadamia sobie, że ciągle do czegoś to dziecko zmusza. Idą obok siebie w milczeniu, oboje zatopieni w myślach. Ulice pogrążają się w mroku.

– Jesteś zmęczona, Lizo, ale zaraz będziemy na dworcu, a w pociągu możesz spać.

Lizie ani trochę nie chce się spać. Miasto, które rozświetla się neonami, wydaje się jej bajkowo piękne. Czyta półgłosem świetlne napisy, których nie rozumie: UNION, CHAPEAUX, CAFÉ ROYAL...

Pomyślała ze strachem, że znowu zrobi się jej niedobrze.

Tym razem żołądek ani drgnął.

Była to przyjemna podróż. Siedzieli z Vilemem na wprost siebie i opowiadali sobie, co widzieli w mieście. Wspominali każdy ważny szczegół.

Przy furtce Liza zebrała wszystkie swoje siły.

– Wujku, czy mogę kiedyś zaczekać na ciebie pod „Anną Marią”?

Wybałuszył oczy.

– No pewnie – wzruszony i przejęty pogłaskał ją po włosach. – Od dziś jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Zadzwoił na Bertę i zniknął w ciemności.

I dlatego okulary Lizy warte są wszystkich upokorzeń! Może jak wszyscy inni wchodzić się w tłum górników, którzy właśnie wyjechali na górę, może wyszukać jednego z nich i zawołać do niego.

Wszystko to mogłaby zrobić, ale tylko stoi na uboczu, tak, żeby Vilem nie mógł jej nie zauważyć.

– Lizo!

Bóg wie, po czym dzieci poznają matkę. Ale zawsze nieomylnie ją rozpoznają.

6

Vilem Svojsik przestał chodzić do pracy.

Alenka powiedziała w szkole, że umrze.

Mimo to Liza codziennie chodzi do „Anny Marii” i czeka na cud.

Nie zdarzył się.

Któregoś ranka Alenka powiedziała, że umarł.

Liza skuliła się w ławce jak chora mysz.

Wraca do domu z rozpalonym czołem i po drodze natyka się na swoje marzenia, martwe jak wuj Vilem, skamieniałe i białe.

Królewna Śnieżka leży w swojej trumnie, a wokół niej płaczą krasnoludki.

Zamiast do domu, idzie do lasu, wchodzi weń coraz głębiej. Chce zanieść gdzieś swoją niedolę, zostawić ją w jakimś kącie, w jakimś cieniu.

Doszła do jaru, gdzie wieśniaczki wnoszą dziurawe garnki, spleśniałe sienniki, rozbite skorupy. A tam wśród porzewiałych drutów i innych śmieci dostrzegła lalkę Aleny Svojsikovej. Leżała między rupieciami, brudna i złachmaniona. Pod Lizą ze wzruszenia ugięły się nogi. Zsunęła się do jaru, rzuciła się na umęczoną zabawkę, przytuliła do siebie jej zniekształconą buzię. Liza przez kilka dni chorowała. Berta robiła jej okłady i obwiązywała głowę. Przyszedł doktor, a potem jeszcze surowa Lucka Vojniczova. Dała Bercie zioła dla małej i kazała je parzyć.

Liza nie przejmowała się chorobą. W szafie pod poskładanym ubraniem miała schowaną obdartą lalkę i bawiła się nią zawsze, kiedy służącej nie było w pobliżu. Wykąpała ją w wodzie z mydlinami, przyszyła ręce i nogi, ubrała ją w kolorową sukienkę, którą pieczolowicie wykroiła ze swojego starego fartuszka.

Na szczęście Berta nie zajmowała się Lizą. Uważała, że jest wystarczająco duża i samodzielna.

Kiedy wstała z łóżka, sama sobie parzyła ziółka. Kiedyś zastała ją przy tym zielarka i jej surowa twarz się rozchmurzyła. Od tej pory Liza już się jej nie bała.

Doprowadzona do dawnej świetności lalka leżała sobie w pudełku po butach. Była to jej zasługa, że dziewczynka wyzdrowiała.

Na powitanie klasa huknęła: Rzekotka, ale Liza tylko się uśmiechnęła.

Dzieci przestały ją tak przezywać.

Lalka Vilema dodawała jej tyle sił, że była zdolna do walki, a w tej walce stacją było na bohaterstwo. Zdobyła się na to, żeby Alence Svojsikovej powiedzieć prosto w oczy, że nigdy jej wyrzuconej lalki nie odda.

Koleżanki odkryły lalkę u Lizy przez przypadek. Zobaczyły, jak bawiła się nią w lesie. Prowadziła szmacianą przyjaciółkę po drózkach i przemawiała do niej. Alenka już dawno zapomniała o tej zabawce, ale kiedy stwierdziła, że ktoś przywłaszczył sobie jej rzecz – i co z tego, że wyrzuconą – obudził się w niej dziecięcy egoizm. Rozgniewała się, zaczęła krzyczeć, że została okradziona. Brzydka zabawka niespodzianie nabrała wielkiej wartości.

Gdyby Liza wydeła wargi i lalkę odrzuciła, nie byłoby całej sprawy. Alenka nie podniosłaby jej, co najwyżej jeszcze by ją kopnęła. Ale Liza lalkę ścisnęła w objęciach i rzuciła się do ucieczki.

Dziecięce poczucie sprawiedliwości natychmiast zwróciło się przeciwko niej.

Złodziejka! Parszywa złodziejka!

Korzeń, o który się Alenka potknęła, dopomógł Lizie w ucieczce. Skoczyła w zarośla i siedziała tam schowana, aż rozeżłone koleżanki zaprzestały poszukiwań.

Następnego dnia Alenka znów wystąpiła ze swoim żądaniem.

Liza powiedziała: – Nigdy ci tej lalki nie oddam.

W klasie zahuczało.

Pan nauczyciel musiał rozgonić rozzłoszczoną gromadę, która zebrała się wokół ławki Lizy.

– Proszę pana! Szeldova ukradła Svojsikovej lalkę!

– Cicho! Wszyscy na miejsca.

Będzie śledztwo, tym razem Lizie nie ujdzie na sucho. Nauczyciel jaki był, taki był, ale na pewno był sprawiedliwy.

– Svojsikova, słucham.

– Szeldova ukradła mi lalkę. Widziałam, jak bawi się nią w lesie. I nie chce mi jej oddać.

– Szeldova – głos nauczyciela mimo woli mięknie – co ty na to?

– Ja tę lalkę znalazłam.

– Gdzie?

– W jarze.

– A więc: znalazłaś ją i nie wiedziałaś, do kogo należy?

– Wiedziałam, że jest Svojsikovej. Ona ją tam wyrzuciła.

– Svojsikova, co powiesz?

– Ja jej nie wyrzuciłam, ja ją zgubiłam. A potem jej szukałam. Niech mi ją Szeldova odda!

Alenka krzyczy, a cała klasa popiera ją tłumionym pomrukiem.

– Szeldova, masz w domu inną lalkę?

– Nie.

Nauczycielowi wydaje się, że coś zrozumiał.

– Po lekcjach przyjdź do gabinetu.

– Ja chcę swoją lalkę!

– Cicho. Jutro ci ją Szeldova odda. Jutro przyniesiesz tę lalkę do szkoły, Szeldova.

– Ja jej nie oddam.

Nauczyciel zamarł.

– Skoro nie jest twoja, musisz ją oddać. Chyba nie chcesz, żeby o tobie mówili, że jesteś złodziejką. Dostaniesz inną. Porozmawiamy o tym w gabinecie.

Alenka zamilkła. Zrozumiała, że Liza dostanie nową lalkę, a ona sama przyłożyła do tego rękę.

Ale Liza nie przejawia najmniejszego zainteresowania nową lalką. W gabinecie uparcie powtarza, że woli starą. Nauczyciela ogarnia wściekłość. Skąd się to w niej bierze? Największy żelarski rozrabiaka to przy niej rozigrany kociak!

– Powiedz mi, dlaczego tak ci zależy na tej szmatławej lalce?!

– Wcale nie jest szmatława.

– Pytam, dlaczego ci na niej zależy?

– Bo ją lubię.

To dopiero powód, do jasnej cholery!

– Chcesz być złodziejką? Chcesz, żeby cię wszyscy wytykali palcami?!

Pan nauczyciel ma rację i Liza oblewa się potem.

– Obniżę ci notę ze sprawowania. Wezwę do szkoły tatę!

Strach przed tatą Lizę przytłacza, niemal miażdży. Ale jest zdecydowana nie oddać lalki nawet jemu. Niech się dzieje, co chce!

Schowwała ją na strychu za drewnianym kufrem i przykryła szmatą pogryzioną przez mole. Ojciec nie musiał być nawet wzywany do szkoły. Berta przyniosła mu tę bombę do śniadania razem z kawą. Wieś roztrząsała dziecięce afery jak samo, jak sprawy dorosłych. Inżynier kazał zawołać swoje krnąbrne dziecko.

– Dziewczyno, podobno ukradłaś komuś jakąś lalkę.

Liza czuje się jak przyszpilony motyl. Chce się wyswobodzić, ale przy każdym szarpnięciu śmiertcionośne żelazo wbija się coraz głębiej.

– Mów. Masz jakąś lalkę?

– Mam.

– Przynieś ją tutaj.

Liza stoi jak wmurowana.

– Przynieś ją – powtarza ojciec z naciskiem.

– Ja jej nikomu nie oddam.

Powiedziała to. Teraz stanie się coś strasznego. Wujku Vilemie, modli się dziecko, wujku Vilemie!

Inżynier stanął przed Lizą, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

– Czyja to lalka?

– Alenki Svojsikovej. Ale ona ją wyrzuciła.

– Wyrzuciła?

– Tak. Znalazłam ją w parowie.

– I nie oddasz jej?

– Nie.

Inżynier Szelda się roześmiał.

– Dziewczyno, ty sobie na tę lalkę zasłużyłaś. Zatrzymaj ją sobie i nikomu nie dawaj, choćby przyszedł po nią cały regiment żandarmów.

Alenka Svojsikova dostała pięćdziesiąt koron. Największe pieniądze, jakie kiedykolwiek w życiu widziała. Jeszcze tego samego dnia ktoś jej je ukradł.

Gałązka dla miłego

1

– Babciu...

– Wołałaś mnie, Leniczko?

– Jakby coś upadło. Nie słyszeliście?

– Nic nie słyszałam, głucha baba ze mnie, ale może i coś spadło. Zaświeć.

Zanim dziewczyna zdołała namacać lampę naftową, coś ciężkiego z miauczeniem zważyło się na pierzynę.

– Murzyn!... To Murzyn, babciu! Co ty wyprawiasz, wstrętny kocurze, czego się tu miotasz?

Kocur szamoce się nerwowo pod jej ręką i bez przerwy miauczy.

– Babuniu, on coś chce. Co ty chcesz, Łapciu? Na dwór? On coś czuje za drzwiami.

– Pewnie Brok znowu przywłókł zdechłego zająca. Nie wstawaj, ja mu otworzę. Może jeszcze ożyje. Pamiętasz? – od łóżka przy piecu dobiegł skrzeczący śmiech. – Ty płakałaś, ja go wyrzuciłam, a Brok go przyniósł z powrotem i oblizał. A zając się poruszył. Zwierzęta rozumieją się nawzajem, Leniczko.

Dziewczyna zapaliła światło i wyskoczyła z łóżka. Otwiera drzwi. Kocur jeży sierść. Z zewnątrz dochodzi żałosny skowyt.

– Broczku, co ci jest?

Piesek toczy się do niej na krzywych nogach, ale zatrzymuje się w pół drogi, podnosi głowę i wyje.

Wróciła do izby, założyła filcowe kapcie, na plecy zarzuciła wełniak.

– Brok coś znalazł na dworze, babciu.

– Załóż pończochy, przeziębisz się. Nie wiadomo, co za głupotę znowu...

Dziewczyna już nie słyszy gderania babci. Wychodzi na dwór.

Jasna gwiazdzista noc.

Rozgląda się za przyczyną psiego zawodzenia. Znajduje ją za furtką. Leży tam ciemny tłumok, którego w tym miejscu nie powinno być. Podchodzi, długo mu się przypatruje, musi go dotknąć. Jej osiołek Baryk leży w kałuży krwi.

Przypada do niego w śniegu.

– Bary, proszę cię, nie umieraj!

Ciało osiołka jest już zimne. Lenka odpina mu skórzaną obrózkę z błyszczącymi blaszkami, jakby chciała go pozbawić wszelkiego ciężaru. Ścisła obrozę w dłoni, w niemym osłupieniu. Oczy ma suche. Jej na wpeł dziecięce ciało wstrząsa fala za falą.

Widzi na śniegu szeroki ślad, domyśla się, że Baryk dowlókł się skądś aż tutaj. RzUCA się biegiem tym śladem. Krzywonogi pies siedzi przy furtce i wyje rozdzierającą skargę, że zabili mu towarzysza.

Lenka Lipkova ma kaptcie pełne śniegu, ale nie czuje zimna. Cała płonie.

W gniewie jest straszna. Slavka od Bojarów pobiła niemal do nieprzytomności, kiedy zastrzelił jej z procy liliputkę. Trzeba ją było siłą od niego odrywać.

A potem stłuczonemu na kwaśne jabłko chłopakowi przyniosła kandyzu i grała z nim w wilka i owce. Od tej pory Slavek przesiaduje u Lipków częściej niż we własnym domu.

Ślad Baryka kończy się niedaleko – przy willi inżyniera Szeldy. Lenka przecina pędem ogródek i łomocze do drzwi. Chwila ciszy. Drzwi się otwierają. Stoi w nich inżynier, opiera się o ścianę. W ciemnej sieni widać tylko zarys jego sylwetki. Kiedy indziej nieśmiała Lenka pewnie z trudem zdobyłaby się na pozdrowienie. Teraz nie boi się niczego na świecie.

– Panie inżynierze... – głos jej się rwie, ale nie z onieśmienia. – Co tu robił nasz Baryk?!

Inżynier patrzy na nią tępo, kiwa głową na boki, jakby się zastanawiał nad jej pytaniem.

– Kto go zabił?! – krzyknęła i nagle dostrzegła w sieni okutą laskę. – Pan?... Dlaczego?... Co panu zrobił biedny Baryczek? – dygocze i głos jej więźnie w krtani.

Inżynier zszedł kilka stopni. Opiera się ciężko o poręcz. Poczowała jego oddech. Jest pijany.

– Nasz Baryczek! – chciała krzyknąć, ale tylko zachłysnęła się łzami. – Dlaczego pan go zabił?!

W końcu zrozumiał, o co chodzi.

– Tego p-psa?... Przyplątał się do mnie po drodze... Skoczył na mnie!

– Baryk?! Baryk to nie żaden pies, tylko osioł! I nigdy w życiu na nikogo by nie skoczył! – Już odzyskała głos, teraz krzyczy.

– Osioł? – zastanawia się inżynier, przewalając się bezwładnie przez poręcz. Nieco się uniósł i wzruszył ramionami.

Ten ruch pozbawił Lenkę resztki niepewności. Zmiała w rękę obrózkę i z całej siły cisnęła mu ją w twarz. Metalowe blaszki wbiły mu się w skórę. W mętym świetle nadchodzącego dnia dostrzegła strużki krwi, nie całkiem czarnej, ale też nie całkiem czerwonej.

– Wczoraj była Wigilia – mówi bez sensu ochrypłym głosem i wpatruje się w krew, która wycieka z niewidocznych skaleczeń.

Nieprzytomne, na wpół zamknięte oczy inżyniera nagle się rozszerzyły.

– Pavlino!

Ton jego głosu zbił ją z tropu bardziej niż to dziwne imię, którym się do niej zwrócił.

– Pavlino... – szeptał natarczywie. Podszedł do niej i objął ją mocno za ramiona.

– Ja nie jestem Pavlina! Niech pan mnie puści!

Przyciskał ją do siebie, jakby od tego zależało jego życie. Zobaczyła oczy, które wisiały nad nią złowieszczo, a jednocześnie przyjaźnie, jak światła odległych światów.

Szelda się zatoczył, jedną ręką dotknął ziemi, ale nie rozluźnił uścisku.

– Pavlino!

Podniósł ją, sparaliżowaną jego nienasyconym wzrokiem, i unosił nie wiadomo dokąd.

Potknął się o zmarzniętą grudę i upuścił dziewczynę w śnieg. Osunął się na nią i spróbował ją podnieść. Wsunął jej rękę pod plecy.

Pavlino!

Odwiał ją gorący oddech, na skroniach poczuła jego usta.

Pavlinko!

Na policzkach poczuła gorące krople, zrozumiała, że płacze.

To sen, pomyślała. To nie może być nic innego.

Sen, jaki nigdy przedtem jej się nie śnił.

W objęciach pijanego jak bela, szalonego mężczyzny, który płacze i rzezi, jakby umierał.

Sen, z którego – jak zawsze dotąd – kiedyś się przecież obudzi.

Lipkom przestały nieść się kury. To znaczy, że jeszcze długo utrzyma się zima, chociaż na rzece już pękają lody, a Slavek przyniósł Lence pierwsze śniegułki. Babcia wstawiła je do wazonu, który przywiozła z Velehradu. Postawiła je na oknie obok czereśniowych gałązek – lada dzień się rozwiną – i coś do nich przemawia, bo ma zwyczaj mówić do wszystkiego na świecie.

Ta dziewczyna zawsze bierze za dużo towaru, ciągle jej to powtarzam, Leniczko, oszczędzaj się, już tu powinna być, żeby tylko nie zaczął padać śnieg, czasami pada aż do maja, ale nie będzie padać, kury się nie trzepią, pszzik, aleś mnie przestraszył, pójdziesz, kocurze, a zupa już wrze, gdzie jest czosnek, ta dziewczyna mnie wpędzi do grobu.

Świat babci rozpada się, tak jak świat dziecka, na tysiąc drobiazgów. Stare oczy widzą już tylko na parę kroków, stare uszy słyszą tylko najbliższe dźwięki, ale życie dało jej rozważną mądrość, nauczyło ją, że są rzeczy, których nic nie naruszy.

Odstawiła zupę i spojrzała na zegar. Uspokoił ją. Usiadła na ławie obok starego kocura, który natychmiast skorzystał z okazji i umościł się jej na kolanach. Nałożyła okulary i otworzyła usmolony zeszyt z okropnym obrazkiem na stronie tytułowej. *Tajemnica hrabiego Adriana.*

Taką literaturę znosi jej Slavek. Zdobywa ją dla niej przekupstwem i obietnicami, częściej pięściami, od kolegów, którzy plądrują stare skrzynie i łupią skarby przechowywane na strychach od pokoleń.

Babcia z wielką radością czyta książki przyniesione przez Slavka. Bo całe jej życie, wszystko, co przeżyła, w ogóle wszystko, co tylko może sobie wyobrazić, przebiegają po stokroć te strony, na których akcja przewala się jak lawina po stromym zboczu.

Staruszka czasami przerywa czytanie i głębokim westchnieniem daje upust wzruszeniu: No coś podobnego!

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że odrażający Adrian jest czczym wymysłem żadnego zysku pismaka. Wierzy, że słowo drukowane jest szczerą prawdą. Inaczej po co by to mieli drukować?!

Oprócz broszur od Slavka na półce ma jeszcze kilka kalendarzy, które pomagają jej zgłębiać trudne problemy metafizyczne.

Slavek, który początkowo mylnie sobie wykladał tęsknotę babci do książek, próbował namówić ją na strzelanie z procy albo na rzucanie nożem. Doigrał się za to paru kuksańców, które chybiły celu, oraz kilku poważniejszych kar, które również przeszły bokiem. Nóż został mu odebrany i schowany tak przemyślnie, że po dziesięciu minutach znów znalazł się w jego bezdennej kieszeni.

Chłopak znalazł więc sobie inną zabawę z babcią Lipkową.

Przybiega do niej zadyszany.

– Co się stało? – pyta staruszka, wystraszona jego wyglądem.

– Babciu, spotkałem dwóch gangsterów!

– Boże, co za głupi chłopak! Skąd by się u nas wzięli jacyś gangsterzy!

– Jeden do mnie strzelał i wołał: Karamba!

– Kto wie, co widziałeś. To był na pewno gajowy. Chi chi chi! Leniczko, chodź tu, niech ci opowie, czego się przestraszył, Boziu, Boziczko, co to za głupi chłopak!

Babcia śmieje się do łez.

Nie ma dla niej nic śmiesznieszego, niż żelarska dolina, stara, codzienna, znajoma do znudzenia – zaludniona gangsterami, którzy wołają karamba. Śmieje się bez wytchnienia i nie może się nadziwić głupocie Slavka. Chłopak też chichocze. Są dla siebie nawzajem źródłem niewysłowionej radości.

Powiew egzotyki porusza babcię jeszcze z innego powodu. Budzi wspomnienia o Vratislavie Lipce, jej drugim synu, który wyprawił się za chlebem do Ameryki. Matce zostawił na pamiątkę malutką Lenkę.

Napisał do niej dwa razy, ostatni list przyszedł przed ośmiu laty.

U mnie wszystko w porządku, mamó.

Zna to dobrze – kiedy był mały, nie pozwolił jej użalić się nawet nad obitym palcem u nogi. Nie boli, mamó, nie boli.

Niedługo wrócę.

Nigdy nie wróci. Z jedenastki dzieci został jej tylko najmłodszy syn, Michał. Za każdym razem, kiedy zawadzi o niego myślą, zamiera. Bo Misza pije. Nikogo z rodziny to nie spotkało, tylko jego.

Ożenił się bogato, ale było to przeklęte małżeństwo. Przeklęte od samego początku. Bóg jeden wie, ilu miała kochanków.

Misza mimo to ją kochał. Był gotów jej wybaczyć.

Uciekła od niego ze Sztiepanem Grycem, robotnikiem ze stalowni.

Potem sprowadzili ją do domu pod strażą. Jakiś czas służyła w gospodzie, skąd ją, ku powszechnemu zgorszeniu, wziął do siebie za gospodynię ten dziwkarz Szelda.

Teraz podobno żyje w klasztorze.

Misza pije.

Przyjdzie i znowu będzie chciał pieniędzy. Skąd je brać? Nie mogę okradać Lenki, i tak to robię. Pokaraj, Boże, wszystkie cudzołżnice!

Zegar tyka. Babcia siedzi z założonymi rękoma, drzemie. Zaniepokoiłaby się, gdyby spojrzała na jego tarczę.

Lenka powinna już być z powrotem. Już dawno powinna być z powrotem.

Ktoś kopniakiem otworzył drzwi i do izby weszło czarne indywiduum z dziwnym ładunkiem przerzuconym przez ramię.

Staruszka krzyknęła. Tym razem to nie była literatura od Slavka, tym razem to była rzeczywistość, która właśnie działa się na jej oczach.

– Boże święty, Leniczko, co się stało?

– Nic, babuniu – odpowiada wnuczka, szcękając zębami. – Wpadłam do rzeki.

– Matko Przenajświętsza!...

Czarnowłosy chłop chwyta za klamkę.

– Vilemie! – Lenka objęła go w pasie. – Gdzie chcesz iść?

– To moja sprawa.

– Jeśli odejdziesz, pójdę za tobą!

– Leniczko, zostaw go...

– Nie zostawię!

– Przysuńcie się chociaż do pieca – babcia ciągnie ich za mokre ubrania.

– Vilemie, mówię ci, że pójdę za tobą! Mnie nic nie będzie, ale...

– Ale mnie tak?! Bo co? Bo mam suchoty?

Zamiast śmiechu rozległ się malaryczny szcękot. We włosach i brwiach Vilema topnieją lodowe nitki. Drży z zimna i zaciska zęby. Ale nie odważa się wyjść.

– Vilemie, miejże rozum – babcia ścisza jego rękę w swojej pomarszczonej dłoni. W wyblakłych oczach widać łzy. – Chodź!

Vilem puścił klamkę.

– Zmieńcie buty i ubranie. Oboje, i to zaraz. – Ciągnie Vilema do izby.

– On nie chce, babciu, on chce, żebyśmy oboje umarli.

– A róbcie ze mną, co chcecie!

Staruszka biega koło nich jak przepiórka koło piskląt. Ubrała Vilema w swoje spódnice i zasznurowała na nim kaftan, że wyglądał jak karnawałowy przebieraniec. Pozwolił sobie nawet zawiązać na głowie staromodny czepiec, jeszcze z jej wyprawy.

Lenka się śmiała, ale Vilema to nie irytowało. Cieszył się, że śmieje się z niego. Usiedli przy piecu, każde z miską zupy na kolanach.

– Leniczko, weźcie sobie pod nogi żelazko. Bierzesz za dużo towaru, ciągle ci to powtarzam. A może się poślizgnęłaś?

– Nie wiem, babciu, na kładce zakręciło mi się w głowie i ni stąd, ni zowąd znalazłam się w wodzie. Może się i poślizgnęłam, kładka jest cała oblodzona. Nie mogę sobie przypomnieć, jak to się stało. Ale cały towar poszedł do rzeki.

– Dzięki Bogu – staruszka złożyła ręce i było jasne, za co dziękuje. Lenka wzięta pustą miskę, którą Svojsik trzymał na kolanach, i postawiła ją na stole.

– Vilemie, opuściłeś dzisiaj szychcę.

– Nie szkodzi.

Patrzy na nią oczyma rozpalonymi gorączką.

– Jak przyjdzie Slavek, to pošlę go do was po suche ubranie.

Slavek Bojarki przychodzi codziennie po południu pomagać babci w sklepiku. Zaraz po szkole puka do drzwi. Je tu obiad i kolację, chałupa Lipków jest dla niego drugim domem.

– Trzymaj nogi na żelazku, dobrze ci to zrobi.

Ten proszący ton wprawia Vilema w zakłopotanie. Szybko sięga po gorące żelastwo, które parzy mu palce.

Kocur wskoczył Lence na kolana i zaczął mruścić.

Chałupa Lipków wydawała się Svojsikowi rajem. U nich w domu było podobnie. Wtedy był jeszcze mały. Rozglądał się w milczeniu dokoła, pod czarną szopą włosów płonęły mu oczy, oddychał z trudem, chrapliwie, ale czuł, że oprócz Lenki i śmiertelnego przeziębienia z lodowatej rzeki wyłowił coś jeszcze. Że przywołał coś, co właśnie nadchodzi i co jest warte wszystkich ofiar.

Wystrojony jak odmieniec, z żelazkiem pod zziębniętymi stopami, po raz pierwszy w życiu doświadczał cudu, który nigdy przedtem mu się nie zdarzył. Skok do wody i tonąca dziewczyna nadały sens jego życiu.

Głaszce czarnego kota, z sierści strzelają iskry.

– Lada dzień zakwitną ci czereśniowe gałązki – mówi. – Jedna będzie dla ciebie.

Nie chciał, żeby to powiedziała. Nie chciał jej sprowokować do wyznania. Zamilkł.

– Ile dostajesz za szychtę?

– Dlaczego pytasz?

– Tak tylko.

– Żebyś mi mogła zapłacić za ten jeden dzień?

– Leniczko, herbata się gotuje – wtrąca się babcia znacząco.

– Jedna herbata: korona pięćdziesiąt. Dlaczego tak o mnie myślisz?

– A co mam myśleć?

– Chciałam wiedzieć, ile straci twoja szwagierka. Przecież oddajesz jej każdy grosz – nie wytrzymała Lenka. Ciągłe jeszcze była dzieckiem.

– Darmo nikt mnie nie będzie żywić.

– Darmo? Przecież chałupa jest twoja.

– Leniczko, nie idzie już Slavek? – babcia próbuje po raz drugi. Jej płaczący ton podziałał na wnuczkę.

– Nie, babciu – odpowiada skruszona – to wiatr... Usiądź sobie, ja posprzątam. A w tym czasie Vilem cię będzie głaskać, Łapciu.

Podaje mu kocura. Jest to gest pojednania.

– Gdzie macie Baryka?

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie. Poczzerwieniała.

– Przecież wszyscy już wiedzą.

Babcia kładzie palec na ustach. Vilem nie rozumie.

– Przecież wszyscy już wiedzą, że ktoś nam go zabił.

– Zabił? Kto?

Lenka opada na babcine pierzyny.

– Leniczko, on ci tego nie chciał przypominać, on przecież nie wiedział.

– Nie wiedziałem – powtarza Vilem i czuje ucisk w gardle.

Lenka ze wszystkich sił zanosi się płaczem. Serce jej ściska nowy, dotąd nieznany ból. Zawodzi tak samo jak rzeka, na której pękają lody, jej lament jest jak złakniony, nieskończony rzeczny nurt.

Vilem się przeraził. Zrzucił kota i przysiadł się do niej na szerokim łóżku.

– Naprawdę nie wiedziałem.

Głowa Lenki oderwała się od pierzyn i uderzyła go w piersi.

– Ty?! Ty niczemu nie jesteś winien. Sam jesteś jak ten Baryczek!... Gdyby wszyscy byli tacy jak ty, Vilemie! Gdyby wszyscy byli tacy jak ty!

Ciągle płacze. Już dawno nie z powodu osiołka.

Slavek stanął w progu jak wryty. Napięcie w spojrzeniu Svojsika zmroziło jego wesołość, ale mimo to był przekonany, że na twarzy Lenki obsychają łzy śmiechu. Poszedł się chichrać do babci, do sklepu. W sieni zaplątał się w spodnie, które suszyły się na sznurze, a kiedy zauważył, że są mokre, domyślił się, co się stało nad rzeką i zrozumiał, dlaczego Vilem w swoim śmiesznym przebraniu przejawia tak marne poczucie humoru.

– Slavku, pójdziesz po suche ubranie dla Vilema – wita go babcia.

To jest ostatnia rzecz, o której marzył Slavek. Ma u Svojsikovej parę krech, człowiek nigdy nie wie, jak daleko sięga pamięć starej baby. Wlecze się z powrotem do izby z płonną nadzieją, że znajdzie tu przyjemniejsze zajęcie.

– Slavku, pójdziesz po suche ubranie dla Vilema – oznajmia mu Lenka.

Łobuziakowi już wcale nie jest do śmiechu.

Przedtem wpadł jeszcze do domu po kawałek chleba. Nie był głodny, chciał tylko odwlec nieprzyjemne zadanie. Dwa razy obszedł dokoła chałupę Svojsików, zanim zapukał do drzwi. Stara naburmuszyła się na jego widok, ale kiedy powiedział, po co przyszedł, lawina gniewu przeniosła się na inną głowę. Chłopak z satysfakcją obserwował jej wściekłość, kiedy zdejmowała z wieszaka ubranie Vilema i grzebała w skrzyni z bielizną. Nie uznał za stosowne powiedzieć jej, jak się rzeczy naprawdę mają i wymyślił bajeczkę, że Vilema wrzucili do wody koledzy, z którymi się pokłócił, ale nie wie, którzy. I że teraz Vilem siedzi w karczmie, a na pytanie, co tam robi, odpowiedział, rzecz jasna: pije.

Co prawda spalił tym wszystkie mosty, które być może jeszcze pozostały pomiędzy nim a starą Svojsikową, ale opłaciło się, bo baba posiniała na twarzy od tych wszystkich hiobowych wieści, a broda trzęsła się jej tak, że różne wyzwiska, którymi przerywała jego historyjkę, były jakby pogryzione na kawałki.

Od Svojsików Slavek wracał o wiele szybciej, niż było trzeba. Czuł przez skórę, że baba lada chwila zwietrzy prawdę.

Oddał Vilemowi suche ubranie i w skrócie przekazał mu treść monologu jego szwagierki. Vilem nie odezwał się na to ani słowem, więc chłopak wyniósł się do sklepika.

W sklepiku Slavek układał mydło, ważył cukier, odkurzał towary, rozochocony w swojej roli kupca. Odgrywał ją bez żadnych ograniczeń, gdyż babcia nie była w stanie okiełznać jego kipiącej pomysłowości i tylko z uznaniem kiwała głową, kiedy nakładał powidła do kilogramowych torebek albo przeliczał ogórki w słoju, bawiąc się przy tym setnie.

Od czasu do czasu zadzwonił klient. Do dorosłych Slavek wołał babcię, dzieci obsługiwał sam.

– Gdzie masz pieniądze? – zadawał protekcyjnalnie pytanie wstępne, jak dobry wujaszek. Dziecko gmerało w kieszonce i kładło na ladzie zaciśniętą piastkę.

– Pokaż!... – w mgnieniu oka ocenił sumę. – Ale jesteś dzielna, nic nie zgubiłaś. Co byś chciała? Zapałki? Bardzo proszę, zapałki raz! Powiedz mamie, żeby ci dała koszyczkowe i potem przyjdź po cukierki. Przyszły miódówki. Dałbym ci spróbować, ale babcia gdzieś je schowała, muszę zapytać, gdzie. Z Bogiem, i przyjdź jeszcze kiedy.

Obłudny sprzedawca dobrze wiedział, gdzie są cukierki. Sam je schował przed babcią za workiem z ziemniakami, żeby staruszka nie porozdawała ich dzieciakom za fatygę. Slavek był kupcem, który nigdy nie stosował taryfy ulgowej. Miódówki miał policzone co do sztuki – siedemset osiemdziesiąt trzy – i pilnował ich jak chomik. Dziecięce łakomstwo rozwinęło w nim taką samodyscyplinę, że sam też nie ważył się ich tknąć.

Kiedy za ladą stała babcia, wodził za nią wzrokiem, oczy miał na szypułkach i sam jej podawał towar, odważony co do miligrama. Dawniej u Lipków każdy obsługiwał się sam. Brał papierową torebkę, ważył, co chciał i wrzucał do koszyka.

Mam pięć kilo ziemniaków, dwa ogórki, kilo kaszy manny.

Staruszka tylko kiwała głową.

Slavek cierpiał męki.

Do czasu, kiedy karczmarzowa dołożyła sobie niemal pół kilo bydlęcej soli. Slavek nie wytrzymał i rozdarł się na całe gardło: – Przecież ona dołożyła sobie cały cetnar!

Karczmarzowa rozprawiła się z nim na miejscu. Wtedy w obolałej głowie zaświtał mu pomysł, żeby towary rozważać wcześniej. Babcia dała się namówić na wszystko. Sklepik od dawna nie przynosił żadnego dochodu, a jedynym źródłem utrzymania były hodowane przez Lenkę rasowe kurki liliputki, sławne w całej okolicy. W szopie na podwórku stała stara wylegarnia ogrzewana naftą, która znosiła pieniądze, a za ladą w sklepiku bawiło się dwoje dzieci.

Vilem przebrał się w swoje ubranie, które przywróciło mu dawny wygląd.

Niewesoły, czarny, górniczy.

Lenka przemyśla sobie opuchniętą twarz.

Ponieważ nikt nie dzwonił i w sklepie nie było nic do roboty, Slavek wrócił do izby i zaczął bawić się z kotem. Machał mu przed nosem kawałkiem papieru, nadzianym na patyczek. Spod oka obserwował gościa, który siedział na ławce, zamyślony i przygnębiony. Sam czuł się tu jak w domu.

Kiedy zobaczył, że babcia parzy kolejną porcję ziołowej herbaty, przyszykował natychmiast cztery gliniane kubki, postawił je na stole, a na środku położył słomianą plecionkę z pokrojonym chlebem. Dla porządku przyniósł jeszcze długi nóż, który niedawno naostrzył. Staruszka podziękowała mu za pomoc, a Slavek się zaczerwienił, chociaż spodziewał się tej pochwały.

– Od razu widać, że chodzisz do szkoły – powiedziała.

Akurat z tym chodzeniem do szkoły trafiła jak kulą w płot, pan nauczyciel mógłby ją wyprowadzić z błędu. Zwłaszcza ten nowy – istny rakarz, nie wiadomo dlaczego uwziął się akurat na Slavka. Może przez te śmierdzące kulki, które chłopak z trudem zdobył od kolegi Vańka, zwanego Utyłłańcem, i przemyślnie ukrył w różnych zakamarkach katedry.

Ale Slavek nie przejmuje się takimi rzeczami.

Vilem mógł już bez przeszkód odejść, ale mimo to siedział dalej. Miał takie samo wrażenie, jak Slavek. Że jest tu u siebie, że to jego miejsce.

Przez chwilę walczył z tym poczuciem, czuł się jak natręt, który nie ma prawa do ciepła pieca kaflowego ani do zapachu świeżo parzonej herbaty, ale w izbie wszystko było takie swojskie, oleodrukowa madonna nad łóżkiem spoglądała na niego łagodnym wzrokiem, czereśniowa gałązka na stole wyglądała tak, jakby ciągle ktoś tu coś świętował, czarny kocur mruczał, że życie najlepiej wypełnić słodkim półsnem i że zawsze starczy na to czasu.

Vilemowi krew gotuje się w żyłach, stara się opanować te gorące fale, próbuje nie myśleć o tym, że razem z nim chwije się też cała ta czysta izba, wypełniona macierzyńską atmosferą dawno minionych dni.

Zwaliło się na niego ogromne zmęczenie, u nóg ciąży mu ołowiane kule.

Gdyby nie to, jakże piękne byłoby życie!

– Vilemie, ty się rozchorujesz!

Lenka przytyka mu gorący napój do samych ust.

– To moja sprawa – zbył ją i odstawił kubek, nawet go nie tknąwszy.

– Zakuta pała!

Nie zabrzmiało to jak obelga, pogłaskała go tym słowem. Tak bywał karcony Baryk, tak się strofuje kocura albo sikorki, które na dworze odziorają królicze skórki.

Vilem spuścił czarne oczy. W głowie nagle rozdzwieczał mu się budzik.

– Już pójde. Dziękuję za wszystko... i z Bogiem.

Podniósł się wolno, ołowiany ciężar podcinał mu nogi.

– Z Bogiem – szepnęła babcia i niespokojnie spojrzała na Lenkę. Vilem wyszedł na podwórze. Oślepił go świeży śnieg, nad którym sklepiało się najczystsze niebo.

Obok niego idzie Lenka, otulona w babciną chustę. Zatrzymał się.

– Gdzie idziesz?

– Muszę jeszcze zajść do wsi.

– Żeby się dowiedzieć, gdzie pójde ja?

– Nie. To wiem, do karczmy.

– A gdyby nawet?

Szli w milczeniu obok siebie aż do rozstajów.

– No dobrze – powiedziała Lenka. – Przyjdź do nas jutro.

– Po co?

– Jak to po co? Po ubranie.

Oddalała się od niego szybkim krokiem. Vilem stał jak wrośnięty w lodowatą ziemię, odprowadzał ją wzrokiem po zawianej drodze, na samą górę, do kościoła.

Tam? Co ma znaczyć ta pielgrzymka?

Idzie całkiem sama, wokół niej opada śnieg. Odwrócił się. Zmierza do gospody jak nakręcany manekin. Tam czuje się lepiej niż w domu. Siada w kącie przy brudnym stole, i chociaż jego ciało trawi płomień, zamawia szklankę gorzałki na rozgrzewkę.

Do niedawna jeszcze Żelary drzemały w białym kożuchu, teraz wyglądają jak upudrowana twarz płaczącego Murzyna. Od rana do wieczora z nieba opada szara ślizgawka, po której zsuwają się ptaki, napełniając powietrze krzykiem.

Lenka Lipkova niedomaga. Jest słaba, żołądek buntuje się przeciwko jedzeniu.

Babcia dotyka jej czoła, przypomina nieszczęsną kąpiel w rzece i do znudzenia opowiada, kto kiedy w wiosce rozchorował się z przemarznięcia.

Lence bledną i sinieją policzki, coś z niej wysysa życie.

Wyprawy do miasteczka po towar stają się coraz trudniejsze.

Wyprawy bez Baryka.

Pod komórką rdzewieje wózek, do którego go zaprzęgała. Kiedy jechali na pusto, Lenka na nim siadała, a kiedy wieźli towar, szła obok niego. Osiołek był skory do żartów. Czasem ni stąd, ni zowąd puszczał się biegiem przed siebie i znikał z oczu. Czekał za pierwszym zakrętem i szelmowsko strzygł uszyma. Uspokajał się, jeśli się śmiała, a jeśli się gniewała, trącał ją głową, żeby ją udobruchać.

Lence nic po nim nie zostało. Nawet wytworna skórzana obróżka z metalowymi rozetkami, którą nosił jak pies.

Babcia nie ma pojęcia o dniu, który tak dobrze pamięta Lenka. Szykuje miodowe herbatki i zmusza wnuczkę, żeby się wypociła. Lenka poci się i coraz bardziej słabnie.

– Zobaczysz, że dostaniesz grypy. Tak samo wyglądał przed śmiercią nieboszczyk dziadek.

Szalone słowa płynące z najczystszej źródła – z miłości i troski.

– Twoja matka też myślała, że wszystko wytrzyma, ale i ją zmogło. Masz gorączkę.

– Nie mam, babciu, nic mi nie jest.

– Zimno ci w nogi?

– Nie.

– Zmierz gorączkę, Leniczko, proszę cię.

Lenka mierzy. Trzydzieści siedem.

– To nie jest żadna gorączka, babciu. Muszę tylko wyjść na świeże powietrze. Pójdę się trochę przejść.

– Ale tylko na chwilę, Leniczko. Weź mufkę i oddychaj przez wełniak. Słyszysz? Oddychaj przez wełniak.

– Dobrze, babciu.

Lenka pozwala się otulić i szybkim krokiem rusza w kierunku kościoła. Ktoś jej staje na drodze, a ona nie cofa się. Wyciąga do niego rękę.

– To ty?

Ciepła ręka dotyka twarzy Vilema. Ręka, która daje najwięcej, kiedy jest pusta. Ten sam wieczorny spacer, to samo przypadkowe spotkanie, dzień w dzień. Od tego dnia, kiedy go po raz pierwszy zawołała.

Vilem usłyszał ją z daleka.

Vilemie – powtarzało mu echo.

Nie potrafił udąć, że nie słyszy.

Podszedł. Oparł się o żerdź w płocie Lipków.

– Dlaczego mnie wołasz?

– Wcale cię nie wołam, Vilemie. Tak sobie krzyczę, żeby mnie usłyszało echo.

– Tak sobie, żeby cię usłyszało echo?

– Ale cieszę się, że przyszedłeś. Masz u nas czereśniową gałązkę.

Vilem milczy.

– Vilemie – powtarza Lenka.

– Musisz mówić głośniej. Żeby cię usłyszało echo.

– To mi pomóż, masz mocniejszy głos. Brrrr, co za wiatr... Jesteś przystojniejszy, kiedy się nie chmurzysz. Skaleczyłam się w palec, zobacz.

Krzywonogi pies spogląda ufnie na ponurego obcego i macha ogonem.

– Broczek chce, żebyś go pogłaskał.

Vilem pochyla się i bierze psa na rękę. Psi język przejeżdża mu po brodzie. Na nogę wskoczyła mu liliputka, próbuje wydziobać z buta sznurówkę. Tasiemka się rozwiązuje, dżdżownica rozciąga się na całą długość, kura ciągnie ją ze wszystkich sił, szarpie oporny kąsek.

– A kysz! Ładnie to tak?!

Lenka chwyciła sznurówkę, lecz zanim zdążyła zawiązać węzeł, poczuła na ramionach dłoń Vilema.

– Zostaw, sam zawiążę.

– Już to zrobię, skoro kucnęłam.

– Nie zrobisz.

Coś ją uniosło w górę. Zachwiała się, chwyciła Vilema za kołnierz.

– Nie szarp się, bo cię upuszczę.

Posadził ją na kurniku. Kura wdrapała się tam za nią i usadowiła się jej na ramieniu. Brok zaczął szczekać.

Lenka bębni piętami w nawilgłe drewno. Vilem widzi, że dach kurnika się wygina. Wyciągnął ręce. Lenka chwyciła go za nie, ale nie zeskoczyła... Objęła go za szyję.

– Tak będziesz mnie nosić przez całe życie, jak diabeł Kaškę!

Vilemowi rwie się oddech, czoło pokrywa się potem. Strząsnął Lenkę na ziemię, dotknął szyi, jakby chciał coś z niej zdjąć – i zaniósł się kaszlem.

Cofnął się parę kroków i przycisnął do ust chustkę.

Lenka siedzi na ziemi – uosobienie strachu.

Kaszel minął.

– Wstań z tej ziemi!

Dziewczyna wstaje powoli. Rękoma ściera błoto ze spódnicy.

– I idź się umyć.

– Musisz wyzdrowieć, Vilemie.

– Albo zdechnąć. To będzie szybciej.

Lenka wpatruje się w jego twarz, nie może oderwać od niej wzroku.

Vilem nie wytrzymuje jej spojrzenia, opuszcza głowę, gapi się w ziemię.

– Wieczorem przyjdź pod kościół. Musisz chodzić na spacer.

– Zamiast do szynku? A co ty masz z tym wspólnego?

– Bo sam byś nie poszedł. Przyjdiesz?

– Nie.

Wieczorem spotkali się w połowie drogi.

Dla młodego mężczyzny – jeszcze niemal chłopca – dzięki tym spacerom Żelary nabywały bajkowego uroku. Wiatr daremnie zgrzytał zębami i syczał mu do uszu. Vilem widział nad sobą rozświetlone niebo, ale nawet ono nie zdołałoby go skusić. Nie chciałby do niego wstąpić. Nie oddałby ani jednej chwili życia za wszystkie skarby świata.

Zmieniał się.

Łzy Lenki omywały jego duszę, tak jak deszcz omywał żelarskie skały. Wchłaniała je gleba czarniejsza niż żyła antracytu, szorstka i nienasycona gleba, która mimo wszelkich ofiar, na zawsze pozostanie ugorem, a która mimo to chciałaby pokryć się różami. Lenka widziała znamię śmierci na jego cerze, brała je tak, jakby nie było na to rady.

Ale z biegiem dni, które mijały coraz szybciej, które świszczały jak kopie wymierzone w piersi Vilema, kielkowało w niej przerażenie. Zaprzysięgła Svojsika, że będzie na siebie uważał. Dawała mu tysiące szalonych rad, zarzucała mu na plecy wełnianą chustę babci i zaczynała bać się jego śmierci tak, że musiał wymyślać najbardziej niewiarygodne kłamstwa, żeby ją uspokoić.

Przypominał sobie słowa, które znał z dzieciństwa. Najpierw wydawały mu się śmieszne, potem do nich przywykł i bez nich stawał się niemy.

Zmieniał się.

Przedtem jego myśli krążyły wokół karczmy, oblizywały tam każdy kamień. Teraz napelniły się żywą treścią. Marzył nad górniczą lampką, marzył w ciasnym korytarzu. Marzył i marzył. Marzenie było obłokiem rozpylonym wokół jego głowy w lepkim pyłe węglowym.

Z marzeń wytrąciło go i zraniło głębiej niż pazur śmiertelnej choroby okrucieństwo, które nie ma nazwy.

Surowa twarz Lucki Wojniczowej zwiastowała najstraszliwszą prawdę. Ta prawda wylaźła z ziemi jak poczwara i za swoim monstrualnie rozrastającym się ciałem pozostawiała otwarty grób.

Z początku Svojsik nie rozumiał, co stara do niego mówi.

– Vilemie, ty idioto – wrzeszczała – nie widzisz, że zdychasz? Mówię o Lence, żeby było jasne.

Gniew krwawo zabarwił pomarszczoną twarz.

– Nie rozumiem...

– Nie rozumiesz?! To ci powiem, skoro chcesz to usłyszeć! Wpakowałeś Lence na głowę bękart! Bękart, bo sam zdechniesz, zanim zdążysz się z nią ożenić!

Oczy Vilema roznieciły się jak lustra, w których odbija się słońce.

– Co wy mówicie?

– Prawdę.

– Bzdura. Przecież sam wiem najlepiej, że to bzdura!

– Może i o tym nie wiesz, ale to nic a nic nie zmienia.

– Mówię przecież, że to niemożliwe! Czegoś takiego nie wziąłbym na swoje sumienie. Nawet gdybym nie zdychał. Nie wziąłbym tego na sumienie.

Zielarka milczy, wszechwiedzącym, bezwzględny milczeniem, głębokim jak zaspą. Vilem wie, że nie powie już nic innego, oprócz tego, co powiedziała. Spoza jej słów zieje pustka, pozbawiona wszelkiej nadziei.

W ucziwość Lenki Lipkovej nie zwątpił ani na chwilę.

Chwycił ją za ręce pod rozpalonym niebem przy poczerwiałym krzyżu i zapytał o imię tego, kogo musi zabić. Lecz prędzej zmusiłby do wyznania żelaznego Chrystusa, ukrzyżowanego pomiędzy miasteczkiem i wsią, niż dziewczynę Lipków.

– Dlaczego chcesz go chronić?

– Nie jego, Vilemie, ciebie. Ja już przed swoją hańbą nie ucieknę, nawet gdybym wyszła za mąż. Tak musi być.

– Musi?!

Lenka nie boi się hańby i cieszy się, że będzie miała dziecko.

To cud! To dziecko jest tylko jej, tak bardzo należy tylko do niej i do nikogo innego, że irytuje ją wszelkie napomknienie o ojcu. Gdyby Vilem mógł to zrozumieć! Lenka nie ma kogo nienawidzić! Będzie mieć córkę, której da na imię Libusza, będzie miała Libuszkę z dołeczkami w policzkach!

Nie pytaj, Vilemie, na miłość Boską, nie pytaj!

Ale Vilem już wkroczył na pole śmierci.

– Mnie jest wszystko jedno, dziewczyno, ty wiesz, że mnie jest wszystko jedno – błyska zapadniętymi oczyma. – Muszę wiedzieć, co to za łajdak! Mów, albo zabiję ciebie.

– Kto ci o tym powiedział?

– Lucka.

– Mnie też powiedziała kmoterka Lucka. Ja sama nie wiedziałam.

– Kto to jest?

Svojsik ściska ramię Lenki, jutro pojawi się tam siniak, chrypi jej w twarz, szarpie ją, zrywa jej z głowy chustkę, lecz przy pierwszym szlochu ręce opadają mu jak odcięte.

Lenka ucieka do wsi. A wiatr, płaczka pogrzebowa, jęczy i wyje jej za plecami.

Vilem zostai tam, gdzie stal. Zwrócił twarz do nieba. Zdaje mu się, że niebo musi otworzyć się nad nim jak książka, w której pojawi się słowo. To słowo, to wielkie słowo, którego ludzkie usta jeszcze nigdy nie wypowiedziały.

Lenka Lipkova cofnęła się, kiedy zatrzasnął za sobą drzwi. Chciała krzyknąć, ale nie krzyknęła. Chciała zawołać babcię, ale nie zawołała. Vilem wsunął obie dłonie do kieszeni i oparł się o wierzeje.

Dziewczyna dotknęła ręką gardła. Na jej twarzy pojawił się dziecięcy uśmiech. Wygląda jak niegrzeczna dziewczynka, która przestraszyła się świętego Mikołaja, ale po chwili poznała w nim przebranego tatusia.

Oczy Vilema nie są oczyma mordercy.

Tylko muszę się w nie wpatrywać, a nie będzie się czego bać.

Muchy wypełniają pomieszczenie cichym brzęczeniem.

– Wiesz, po co przyszedłem, dziewczyno. Zabiję cię.

Lenka patrzy mu w oczy i nie może się bać. Svojsik w wilgotnej dłoni trzyma nóż.

– Dziewczyno, ty wiesz, że nie uciekniesz, że nikt cię nie usłyszy. Chcę od ciebie tylko jednego. Kto?

Policzki Lenki są białe jak lilie.

– Jeśli cię poproszę, to mnie nie zabijesz, Vilemie.

– Proś!

Zacięła zęby. Zaczęła dygotać.

– Proś, dziewczyno! Wyłowilem cię z rzeki i zabiję cię jak psa! Proś, na wszystko w świecie, proś!

Kaszal przerwał mu ostatnie słowo. Upuścił nóż. Usta ma pełne krwi. Rozłożył rękę i namacał drzwi, słania się jak przybity do krzyża.

Babciu, babciu, babciu!

Babcia Lipkova dotyka zakrwawionego mężczyzny z odwagą właściwą starości. Układa go na ziemi, podtyka mu coś pod głowę.

– Zostań przy nim. Pójdę po Luckę.

– Wracajcie szybko... wracajcie!

Vilem daremnie próbuje rozprosyć mgłę, którą ma przed oczyma. Mimo to rozpoznaje twarz i porusza ustami.

– Nic nie mów!

Przez okno wdziera się do izby słońce, na Vilema pada cień dziewczyny. Czereśniowe gałązki przy oknie kwitną jak zwariowane.